PRZEMYSŁAW
PIOTROWSKI
PIĘTNO
CZARNA OWCA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PRZEMYSŁAW
PIOTROWSKI

PIĘTNO

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA
WARSZAWA 2020

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

PODZIĘKOWANIA

OD AUTORA

Przypisy końcowe

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Beata Wójcik, Katarzyna Rojek
Projekt okładki: Piotr Cieśliński (Dark Crayon)
Redaktor inicjujący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © by Przemysław Piotrowski, 2020
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego
i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 9788381432986

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5
00-519 Warszawa
www.czarnaowca.pl

DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

nwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Ukochanej córeczce Lenie

Prolog

– Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi kapłanów Kościoła, by się modlili nad nim i namaścili go olejem w imię Pana. A modlitwa pełna wiary będzie dla chorego ratunkiem i Pan go podźwignie, a jeśliby popełnił grzechy, będą mu odpuszczone [1].

Ksiądz nie przerywał.

Na jego młodej i nieskalanej trudami życia twarzy wystąpiły krople potu, skronie nabrzmiały pulsującymi żyłami, a głos, mimo że ledwo słyszalny, niósł się po izbie ponurym echem niczym zaklinania egzorcysty.

Za oknem trzaskały błyskawice, a drzewa uginały się pod naporem wichury. Deszcz tłukł o szyby niemiłosiernie, a na ścianach starego, rozpadającego się domu na końcu wsi w blasku świec pełzały pokraczne cienie.

Ksiądz po raz kolejny wykonał nad głową umierającej znak krzyża.

Kobieta leżała pod starymi kocami i ściskała w dłoniach nieco już zardzewiały krzyż z cierpiącym Chrystusem Panem. Jej stare, naznaczone ponurym losem dłonie drżały żałośnie, a ona szeptała pod nosem niezrozumiale dla wyjątkowo skromnego audytorium. Nie była pewna, czy Pan przyjmie ją do swojego królestwa, tak naprawdę szczerze wątpiła, aby wybaczył jej grzechy i wpuścił ją do raju. Dawno temu odwróciła się od Niego. Teraz bardzo tego żałowała.

Spojrzała na przygarbioną postać stojącą w rogu izby. Mężczyzna patrzył na nią chłodno. Jego brązowe, głęboko osadzone oczy migotały

złowrogo w blasku świec, a gdy ksiądz po raz kolejny powiedział „amen”, wydłubał spomiędzy trzonowców resztkę kapusty i splunął na podłogę.

Poczuła, jakby ktoś wbił jej nóż prosto w serce. Zamknęła powieki i z bólu zacisnęła szczęki z taką siłą, że wbiła sobie resztki spróchniałej zębowiny w dziąsła. Metaliczny smak krwi wypełnił jej usta. Kaszlnęła, opluwając brodę i pościel, a ministrant o blond włosach wytarł jej usta białą chustką.

Umierała. Poprzedniego wieczoru, gdy w końcu zabrakło wódki, ostatecznie zdała sobie z tego sprawę i poczuła lęk. Niezwykle intensywny. Potrafiła odróżnić go od strachu, który znała doskonale. Strach towarzyszył jej przez blisko sześćdziesiąt lat marnego i podłego życia. Naznaczonego biedą, smutkiem, kolejnymi depresjami i bólem duszy przychodzącym po każdej z nich. Strach był jednak uczuciem namacalnym, można było z nim walczyć, ukryć się przed nim, czasem nawet go oszukać. Ale świadomość, że już wkrótce zamieni się w cuchnące ścierwo, a jacyś obcy jej ludzie włożą je do taniej trumny i zakopią, sprawiała, że zdecydowała się poprosić o widzenie z ojcem Wilczkiem. Zrobiło jej się strasznie wstyd, gdy wezwany ministrant poinformował ją, że kapłan umarł trzy lata temu, a nowym proboszczem został ksiądz Adam Klich. Poprosiła więc o ostatnie namaszczenie ojca Adama, który do tej pory wykazywał się niezwykłym zaangażowaniem w wykonywaniu swojego powołania. Patrzyła mu w oczy, gdy wypowiadał kolejne sentencje, i dziękowała, że przyszedł do niej w chwili ostatniej próby.

– Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam, bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem.

Kobieta uderzyła się w piersi.

– Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Przeto błagam Najświętszą Maryję, zawsze Dziewicę, wszystkich Aniołów i Świętych,

i was, bracia i siostry, o modlitwę za mnie do Pana, Boga naszego.

Spojrzała w róg izby, ale nie dostrzegła w przygarbionej postaci tego, czego tak bardzo pragnęła. Ona milczała. I nie biła się w piersi.

– Niech się zmiłuje nad nami Bóg wszechmogący i odpuściwszy nam grzechy, doprowadzi nas do życia wiecznego…

Ksiądz kontynuował. Kobieta wtórowała tak, jak potrafiła. Było jej wstyd, że nie znała podstawowych modlitw. Kiedyś, dawno temu, pamiętała. Dziś, w godzinę własnej śmierci, nie umiała wyrecytować w całości choć jednej.

– Prosimy Cię, abyś złagodził jej cierpienia.

– Wysłuchaj nas, Panie.

– Prosimy Cię, abyś ją uwolnił od grzechów i pokus.

– Wysłuchaj nas, Panie…

Kobieta poczuła, jak do chorych oczu napływają łzy. Przez lata wyzbyła się wstydu, ale dziś to uczucie nie pozwalało jej choćby na chwilę zapomnieć o tym, jak żyła i co robiła. Pokusa, grzech, pokuta. Tak wyglądało całe jej plugawe życie.

Ukradkiem spojrzała na brodatego mężczyznę w rogu izby. Stał przygarbiony i obserwował księdza udzielającego ostatniego sakramentu umierającej kobiecie. Obojętny, niewzruszony, zimny. Nie pomagał. Nie uczestniczył w ceremonii. Czekał.

Ministrant o blond włosach podał młodemu kapłanowi naczynie z olejem świętym. Ojciec Klich namaścił czoło i zasklepione dłonie kobiety, a następnie, wypowiadając modlitwę za chorą w agonii, w imieniu Pana odpuścił grzechy. Gdy skończył, wytarł dłonie w watę, którą odłożył na biały obrus, tuż obok miseczki z wodą święconą.

Kobieta zakrztusiła się krwią, która tym razem dosięgła jej nadgarstka i gorliwie ściskanej figury Jezusa Chrystusa umierającego na krzyżu.

Ksiądz delikatnie wytarł jej usta i dotknął dłoni. Uśmiechnął się przy tym do niej tak naturalnie, jak nikt od wielu długich lat. Poczuła ulgę.

– Już blisko. Jeszcze tylko „Ojcze Nasz”.

Cierpiąca zacisnęła wargi, walcząc z przejmującym bólem. Rak, który od blisko trzech lat pożerał ją od środka, w ostatnich dniach rozpoczął sutą ucztę. Nie miała pieniędzy na morfinę, leki przeciwbólowe już nie działały, wódki zabrakło. Teraz, na łożu śmierci, cieszyła się z tego faktu. Choć raz chciała być trzeźwa i do Boga wejść z podniesioną głową.

Złożyła ręce i odmówiła z księdzem „Ojcze Nasz”. Kilkakrotnie zakaszlała krwią, poczuła, że koniec jest już bardzo bliski. Błagalnie spojrzała na kapłana. Miał przystojną twarz z mocno zarysowanymi kośćmi policzkowymi, prosty nos i duże niebieskie oczy. Nie była już w stanie wypowiedzieć słowa, zwłaszcza że na zewnątrz rozpętało się piekło, a odgłosy burzy zagłuszały nawet modlitwy księdza. Ojciec Klich uchwycił spojrzenie umierającej, jej tęczówki były szare jak u chorego na jaskrę, a białka przybrały kolor zgniłego jaja. Zrozumiał, co chciała mu powiedzieć, a ona mu za to milcząco podziękowała.

Patrzyła, jak sięga po bursę z Komunią Świętą. Z namaszczeniem wyciągnął opłatek i delikatnie wsunął go w uchylone usta umierającej.

Kobieta gestem poprosiła, aby nachylił się nad nią. Zrobił to, a ona wyszeptała, że przed śmiercią chce wyjawić ostatnią tajemnicę.

– Mów, córko. Pan Jezus cię słucha.

Pokiwała głową i wskazała na postać w rogu. Ksiądz Klich podszedł do niej i przekazał ostatnie życzenie umierającej, po czym opuścił izbę. Mężczyzna przeciągnął językiem po dziąsłach i splunął szpetnie na podłogę. Zrobił kilka kroków, a pod jego potężnymi stopami podłoga zaskrzypiała.

Nachylił się nad kobietą, a ona spojrzała mu w oczy. Pałały czystą, nieukrywaną nienawiścią. Przeraziła się, że nie pójdzie do nieba. Gdy w jego źrenicach odbiły się płomienie świeczek, pomyślała, że tak właśnie wygląda diabeł. I teraz, w godzinę jej śmierci, objawił się pod jego postacią.

Zanim umarła, powiedziała mu całą prawdę.

Rozdział 1

Filip Trochan był mężczyzną przed czterdziestką, choć ludzie zwykle dawali mu kilka lat mniej. Nosił dobre garnitury i idealnie wyprasowane przez żonę koszule, oczywiście, gdy tylko opuścił swoją klinikę, w której był lubiany i szanowany nie tylko przez pacjentów, ale także pracowników, od pani sprzątającej po zatrudnionych lekarzy specjalistów. Często podróżował po Europie, jeździł na sympozja i pomimo wybitnych osiągnięć w podologii stawiał sobie coraz to nowe wyzwania i wciąż poprawiał własne umiejętności, w związku z czym ściana jego gabinetu wyglądała niczym mundur zasłużonego generała – z tą różnicą, że zamiast medali i odznaczeń zdobiły ją certyfikaty, dyplomy i atesty.

Lubił czasem usiąść w fotelu i wodzić wzrokiem po dowodach swoich niewątpliwych osiągnięć. Co prawda nie należał do osób z przesadnie wybujałym ego, tym bardziej nie wywyższał się w towarzystwie, mimo to czuł się człowiekiem sukcesu i przynajmniej przed samym sobą tego nie ukrywał. Miał cudowną rodzinę, wspierającą go żonę Annę oraz przepiękną pięcioletnią córeczkę o dźwięcznym imieniu Lena. Choć na co dzień tego nie okazywał, był dumny, że każdego dnia może wracać do domu z podniesioną głową, będąc pewnym, że niczego im nie zabraknie, nawet jeśli wymagało to od niego tylu wyrzeczeń.

Tego wieczoru też był zmęczony. Gdy odwiesił fartuch i sprawdził stan ostatnich pacjentów, postanowił, że przed wyjściem zajrzy jeszcze do skrzynki mailowej. Chwilę trwało, zanim przebił się przez rozrośnięty do

gargantuicznych rozmiarów spam, którego w żaden sposób nie mógł się pozbyć, w końcu jednak wyłuskał interesujące go wiadomości. Dwa zaproszenia na sympozja do Sankt Petersburga i Dubaju, prywatna wiadomość od doktora Szymanowskiego z Centrum Medycznego ALDEMED dotycząca zmiany terminu spotkania oraz spersonalizowana, niecierpliwie wyczekiwana oferta z firmy Medicors, mająca na celu przedstawienie najnowocześniejszego sprzętu do chirurgii stopy, zwłaszcza zaś leczenia wrastających paznokci, co było wizytówką doktora nie tylko w kraju, ale i w Europie.

Przed opuszczeniem kliniki musiał odpisać przynajmniej doktorowi Szymanowskiemu. Był jednak tak zmęczony, że nie miał sił wchodzić z nadawcą w jakąkolwiek dyskusję, dlatego – dziękując w duchu, że od jakiegoś czasu są już na stopie prywatnej i nie musi udawać – wiadomość ograniczył do krótkiego „Tak, dzięki za informację, pozdrawiam, FT”. Chwilę potem zamknął laptopa i rozsiadł się w skórzanym fotelu. Postanowił, że zasługuje chociaż na dziesięć minut całkowitego spokoju, zwłaszcza że sekretarka już dawno opuściła biuro, a nikt inny – prócz sprzątaczki i żony oczywiście – nie miał prawa wejść do jego gabinetu bez uprzedniego umówienia się na konkretną godzinę. Dziesięć minut zamieniło się w blisko godzinę i gdyby nie pani Grocholska, która w każdy poniedziałek, środę i piątek przychodziła posprzątać biura, Filip Trochan zapewne spałby przynajmniej kolejne dwie.

Obudził go dźwięk otwieranych drzwi. Doktor zerwał się na widok starszej kobiety w ogromnych okularach, która bezceremonialnie wpakowała się do gabinetu z pokaźnych rozmiarów wózkiem.

– Dobry wieczór, pani Basiu – przywitał się, przecierając oczy.

– Dobry wieczór, panie doktorze – powiedziała i wymownie podparła się pod boki.

– Znów mnie pani przyłapała. – Trochan wstał i chwycił wiszącą na wieszaku marynarkę.

– To już trzeci raz w tym miesiącu, a mamy dopiero dziesiąty października, panie doktorze. Jak tak dalej pójdzie, to pana licho weźmie i taki będzie koniec.

– Ej tam, od razu licho. Pani zawsze taka czarnowidzka?

– Żadna tam czarnowidzka, tylko kobieta twardo stąpająca po ziemi. Jak mój świętej pamięci Gieniu tak się zaharowywał w tej pieruńskiej kopalni, to też niby mówił, że go licho nie weźmie. I co? Wzięło go szybciej, niż myślał i…

– Dobrze już, dobrze, pani Basiu. Obiecuję, że się poprawię.

– Od trzech lat doktor mi to gada. – Grocholska wymownie machnęła ręką. – A ja pana i tak przydybię. I tak w koło Macieju.

Trochan poprawił poluzowany krawat i już miał wyjść, gdy postawna kobieta w okularach przypominających oczy owada zatarasowała mu drogę.

– Ooo, tak, was młodych to zawsze trzeba pilnować na każdym kroku – rzekła, gdy naprostowała węzeł przy kołnierzyku. – Krawat to nie męski zwis, jak próbują go nazywać w tej pieruńskiej telewizji. I trzeba umieć go nosić.

– Co ja bym bez pani zrobił, pani Basiu? – Trochan uśmiechnął się i opuścił gabinet.

Ruszył do windy, która o tej porze zwykle była rzadko używana. Wcisnął guzik, w opuszczonym korytarzu rozległo się głośne „ping”, a z szybu dał się słyszeć stłumiony szept nowoczesnego mechanizmu. Chwilę później srebrne drzwi rozsunęły się i doktor wszedł do środka. Spojrzał odruchowo na zegarek Tag Heuer – prezent od żony na dziesięciolecie ślubu – za, bagatela, szesnaście tysięcy złotych i pomyślał, że jest szczęśliwym człowiekiem. Nawet jeśli zapieprza od rana do

wieczora, to lubi to, co robi, i na nic mu nie brakuje. Nacisnął przycisk z symbolem „-1”, oznaczającym garaż, gdzie czekał na niego nowiutki srebrny SUV – Hyundai Santa Fe, którym pojedzie do rezydencji w podzielonogórskim Jędrzychowie. O tej porze ukochana żona pewnie układała do snu Lenkę, ponieważ dochodziła dziewiąta, która dla młodej była graniczną godziną. Po niej, nawet jeśli próbowała walczyć ze snem, szczypiąc się po rękach, zawsze przegrywała z kretesem.

Pomyślał, że miło by było spędzić romantyczny wieczór. Ostatnio rzadko bywał w domu, z żoną kochał się rzadziej niż kiedyś i choć ona, psycholog prowadząca własny gabinet, nigdy nie zdecydowała się poruszyć tego tematu, wyczuwał, że coś między nimi szwankuje. To była ta jedna, ledwo dostrzegalna rysa. Niby wszystko wyglądało w jak najlepszym porządku, ale gdzieś tam pod płaszczem miłości, wzajemnego szacunku i wieloletniego przyzwyczajenia krył się problem, do którego oboje nie chcieli się przyznać. Lekceważył go, tłumacząc się przed samym sobą przepracowaniem i brakiem czasu, ale z każdym kolejnym miesiącem dręczył go coraz bardziej. Czuł, że ktoś lub coś zasiało ziarenko, które w ich wzorowy i uporządkowany związek wprowadziło nutkę niepokoju, co gorsza, wykiełkowało i wypuściło pędy.

Dziś zabawię się w ogrodnika i wytnę niepożądane pędy, pomyślał, maszerując w kierunku samochodu. Zajadę po drodze po sushi, w Świecie Win (dawno tam nie byłem i mam nadzieję, że mają otwarte do dziesiątej) kupię drogie chilijskie wino (ona uwielbia chilijskie wina). Spędzimy romantyczny wieczór, a potem będziemy się dziko i namiętnie kochać przy rozpalonym kominku, wsłuchując się w trzask płonących polan. Gdy już ochłoniemy, znów napijemy się wina, a potem to powtórzymy. Jeszcze mocniej i intensywniej.

Te myśli wprowadziły go w jeszcze lepszy nastrój. Miał plan na dzisiejszy wieczór, dlatego przyspieszył kroku. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął kluczyki i wcisnął przycisk. Reflektory błysnęły, rozjaśniając na chwilę półmrok niewielkiego podziemnego garażu i oświetlając pobliską ścianę.

Trochan przystanął.

To był ułamek sekundy, ale dałby sobie uciąć palec, że ktoś stał w zacienionym rogu. W miejscu, gdzie nikt nigdy nie stanąłby ot tak. Poczuł się nieswojo, tym bardziej że zarys postaci był mu znajomy. Nie należał do cykorów, od lat trenował karate i choć nauczony pokory, zwykle schodził z drogi ewentualnym agresorom, na pewno nikomu tanio by skóry nie sprzedał.

Przez moment zawahał się, ale raz jeszcze wcisnął przycisk otwierający zamek w aucie. Światła znów zamigotały pomarańczowym blaskiem, ale tym razem postać już się nie pojawiła. Pomyślał, że to pewnie efekt zmęczenia, ale gwałtowny i bardzo nieprzyjemny dreszcz przypomniał mu, że nie może się dalej okłamywać. Znał tę postać. Prześladowała go od dzieciństwa, od najmłodszych lat. W snach, w ciemnych zakamarkach, nawet w lustrach, których nie lubił do dziś. Rosła, tężała i rozwijała się razem z nim, zawsze pojawiała się jednak jako cień, istota bez twarzy. Z czasem jej oblicze nabrało kształtów, ale do samego końca pozostało zamazane, przez co było jeszcze bardziej przerażające. Zwłaszcza gdy otwierało swoje przepastne czarne usta i wydawało ten ohydny, niemy krzyk, niczym bezimienny bohater słynnego obrazu Edvarda Muncha. Gdy inne dzieci bały się duchów i potworów, on zawsze bał się tego szkaradnego cienia.

Ostatni raz widział go wiele lat temu, chyba na jednej ze studenckich imprez. Kolega zaproponował mu skręta z „białą wdową”, wówczas

podobno najlepszą na rynku marihuaną. To był pierwszy i ostatni raz, gdy zaaplikował sobie jakikolwiek narkotyk.

Dlaczego zobaczył go ponownie właśnie teraz? Nerwowo wcisnął przycisk po raz trzeci. I po raz trzeci światła rozjaśniły półmrok pomarańczowym blaskiem. Nikt nie stał w rogu, nikt się na niego nie czaił. Cień zniknął.

– Jesteś przemęczony, doktorze Trochan – mruknął pod nosem i ruszył w kierunku auta.

Gdy chwycił za klamkę, usłyszał z głębi parkingu jakiś dźwięk. Jakby niewielki stalowy element potoczył się po betonie i zatrzymał gdzieś w oddali. W niemal absolutnej ciszy metaliczny odgłos poniósł się upiornym echem.

Trochan puścił klamkę i poszedł na tył samochodu. Otworzył bagażnik i wyciągnął saperkę. Pomyślał, że właściwie mógłby po prostu wsiąść za kierownicę, włączyć silnik i pojechać po sushi i wino, a z samochodu zadzwonić na policję i zgłosić, że ktoś podejrzany kręci się po podziemnym parkingu kliniki. Pierwszy lepszy patrol zajechałby sprawdzić, co się dzieje, i ewentualnie zgarnąłby tego bezdomnego, złodzieja czy kimkolwiek był ten osobnik. Mimo to z saperką w ręku ruszył przed siebie. W głębi duszy doskonale wiedział, że to nie był ani bezdomny, ani złodziej. Przez krótki moment poczuł się silny i twardy, ale gdy metaliczny odgłos rozległ się w najciemniejszym zakamarku parkingu, zrozumiał, że był w błędzie. Na skroniach wystąpiły mu krople potu, a serce zamieniło się w młot pneumatyczny. Suchość w ustach, drżenie rąk, gardło ściśnięte jak w imadle.

Ostatni atak paniki miał dobrych kilkanaście lat temu, ale nie zapomniał tego obezwładniającego uczucia. Paraliżowało go w ułamku sekundy. Tak właśnie reagował, gdy wyczuwał jego obecność.

Cień wrócił.

– Kto tam? Proszę odpowiedzieć, bo mam się czym bronić…

Ton głosu zaskoczył nawet jego samego. Piszczał jak pięcioletnia dziewczynka, która właśnie straciła z oczu mamę w lunaparku. Jeśli chciał kogoś przestraszyć, to jego starania z pewnością odniosły odwrotny skutek.

Uznał, że wystarczy. Nie będzie dalej pajacować. Wycofał się i ruszył w kierunku pojazdu. Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą, a saperkę położył na siedzeniu pasażera. Rozejrzał się po parkingu po raz ostatni, po czym włączył silnik. Reflektory rozbłysły silnym, jasnym światłem, ale choć podświadomie to sobie wyobraził, nie uchwyciły w swoim blasku zarysu żadnej złowrogiej postaci. Zamiast tego wnętrze pojazdu wypełniły rytmy jakiegoś nowego hitu w języku hiszpańskim, który wpadł mu w ucho kilka dni temu. Muzyka sprawiła, że poczuł się bezpieczniej. Przesunął gałkę zmiany biegów na „drive” i powoli ruszył do przodu. Gdy brama garażu uniosła się, a on opuszczał podziemny parking, pomyślał, że chyba przesadził. Przecież cień był tylko ucieleśnieniem jego obaw i lęków z dzieciństwa. Przynajmniej tak kiedyś tłumaczył to psychiatra.

Wtedy na kręgosłupie poczuł lodowate palce strachu. Odruchowo zamknął oczy i pomodlił się, aby w lusterku wstecznym znów nie ujrzeć tego, co mignęło mu przed chwilą w odbitym świetle ulicznych latarni.

Za plecami usłyszał dyszenie i poczuł ciepły oddech na karku.

Cień siedział tuż za nim.

Chwilę później doktor runął w otchłań ciemności.

Rozdział 2

Na zewnątrz wciąż panował mrok. Krople deszczu dudniły o parapet starej kamienicy na warszawskiej Saskiej Kępie, a sypialnię o skąpym wystroju wypełniały jęki szczytującej pary kochanków. Kobieta o długich blond włosach wpijała paznokcie w klatkę piersiową partnera i gwałtownie, z każdą sekundą coraz szybciej i bardziej zachłannie, ujeżdżała go. W kulminacyjnym momencie zaklęła siarczyście i wygięła ciało w łuk niczym gimnastyczka. Mężczyzna uniósł biodra, jakby w ostatniej chwili chciał wejść w kochankę jeszcze głębiej, po czym obojgiem targnęła fala ekstatycznych spazmów. Chwilę później kobieta opadła na partnera, jakby straciła wszystkie siły.

Leżeli tak przez kilkadziesiąt kolejnych sekund, dysząc ciężko. Wnętrze wypełniał zapach dymu papierosowego, kadzideł i seksu.

– Kocham cię, Igor – szepnęła mężczyźnie do ucha i pocałowała go w szyję. Raz, drugi, trzeci, czekała, aż w końcu usłyszy z jego ust to samo, ale kochanek milczał.

Jak zawsze.

Oksana Szczypenko pochodziła z Ukrainy i blisko rok temu zakochała się w Igorze bez opamiętania. Poznali się przypadkiem, gdy prowadził śledztwo dotyczące zabójstwa szefa jednego z magazynów dużej firmy odzieżowej pod Warszawą. Przesłuchiwał ją jako jednego z kilkudziesięciu potencjalnych świadków i choć nie miała zielonego pojęcia o sprawie,

zatrzymała wręczoną wizytówkę. Po kilkunastu dniach walki z samą sobą zadzwoniła. Wtedy wszystko się zaczęło.

Z początku ją zlekceważył, ale miała swoje sposoby, aby zmienił zdanie. W końcu uległ i spotkali się w gruzińskiej restauracyjce na Starym Mieście. Przyszła ubrana w podkreślającą jej kształty czerwoną sukienkę i od razu zrobiła na nim wrażenie. Szczupłe nogi do samego nieba wieńczyły zgrabne pośladki, a szerokie biodra kontrastowały z talią tak wąską, że postawny mężczyzna był w stanie objąć ją dłońmi. Jej bezsprzecznym atrybutem były też ogromne jasnoniebieskie oczy oraz zdrowe, lśniące włosy koloru letniego słońca. Znała swoją wartość i wykorzystała ją w pełni, aby usidlić faceta, który w tylko sobie znany sposób skradł jej serce.

Oksana uniosła delikatnie głowę i odgarnęła dłonią posklejane w strąki włosy. Jej mężczyzna miał zamknięte powieki, oddychał coraz spokojniej. Powiodła wzrokiem po jego idealnie wyprofilowanej twarzy, twardych, męskich rysach, bliźnie przecinającej łuk brwiowy i pokrytych kilkudniowym zarostem policzkach. Nie mogąc się oprzeć, pocałowała go w usta, po czym zsunęła się z niego i położyła obok.

Przez chwilę obserwowała, jak jego klatka piersiowa miarowo unosi się i opada. Położyła smukłą dłoń w okolicach mostka. Jej palce powoli przesuwały się, zakreślając niewielkie koła, kluczyły pomiędzy zroszonymi potem włosami, w końcu zatrzymały się kilka centymetrów powyżej prawego sutka. W tym miejscu skóra była pozbawiona owłosienia, a przy tym najdelikatniejsza, przypominała jej najdoskonalszy jedwab. Przez kilka sekund zataczała na niej palcami drobne okręgi, następnie przysunęła twarz i pocałowała to miejsce. Nie dostrzegając żadnej reakcji ze strony mężczyzny, położyła głowę i objęła go.

Westchnęła zawiedziona. Nie miała pojęcia, jak przebić się przez ten emocjonalny mur, jakim Igor odgrodził się od reszty świata. Jeszcze nigdy

nie spotkała tak zamkniętego w sobie człowieka. Nie naciskała go, wiedziała, jaki jest, i przyzwyczaiła się do tego, że nie okazuje albo po prostu nie potrafi okazywać uczuć. Na początku znajomości nawet jej się to podobało. Igor był taki surowy, męski, trochę szorstki w obyciu, a do tego pieprzył się jak sam bóg. Z czasem jednak odnalazła w sobie potrzebę większej akceptacji, pragnienie głębszego związku, motywowanego nie tylko dzikim i namiętnym seksem. Czuła, że nie była Igorowi obojętna, ale nigdy też nie usłyszała od niego czegoś więcej niż „jesteś cudowna i szaleję za tobą", zwykle tuż przed albo w czasie, gdy się kochali. Słowo „kocham" zdawało się nie istnieć w jego słowniku, jakby było co najmniej zakazane, a jego użycie podlegało karze.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk komórki Igora. Tej firmowej, która dzwoniła, kiedy chciała. I nieraz zepsuła im upojną noc.

Igor po omacku wyciągnął rękę w kierunku nocnej szafki. Nie mogąc namierzyć bzyczącego telefonu, otworzył oczy i delikatnie wysunął się spod ciała kochanki.

– Musisz? – zapytała.

Nic nie odpowiedział, tylko spuścił nogi na podłogę i chwycił urządzenie. Dzwoniła jego była partnerka Julia Zawadzka, z którą przestał pracować, gdy po jednej z akcji stres odreagowali w łóżku. Od tamtej pory wolał działać sam, choć oboje pozostali w przyjacielskich relacjach.

– Cześć, Igor.

– Cześć, Julka.

– Jesteś w Warszawie?

– Tak, ale wiesz, która…

– Tak, wiem, która jest godzina, więc…

– Dlaczego nie dzwonisz na prywatny?

– Bo mógłbyś nie odebrać.

– Pod ten numer dzwonią zwykle po to, aby mi zepsuć humor. Też masz taki zamiar?

– Sprawa jest trochę bardziej skomplikowana, ale raczej ci go nie poprawię. Musimy się natychmiast zobaczyć.

– To nie może poczekać do rana?

– Owszem, ale wtedy zapewne będziesz już gwiazdą wszystkich mediów, a komendant nakaże ci natychmiastowe stawienie się w jego biurze, aby osobiście urwać ci jaja.

– Ty się dobrze czujesz, Julka?

– Nie wkurwiaj mnie, Igor. Nie dzwoniłabym do ciebie, gdyby to nie było ważne. Przyjedź do mnie jak najszybciej. Albo ja mogę dojechać do ciebie.

– Nie, do mnie nie. Niedługo będę, ale możesz mi choć z grubsza powiedzieć, o co chodzi?

– Już za chwilę możesz być podejrzany o morderstwo. Wystarczy?

– Żartujesz sobie?

– A brzmię, kurwa, jakbym żartowała? Pospiesz się, Igor.

Połączenie zostało przerwane. Komisarz siedział na skraju łóżka i próbował jakoś przyswoić słowa byłej partnerki.

– Musisz uciekać… – mruknęła Oksana. W jej tonie wybrzmiał nieskrywany żal.

– Na to wygląda – rzucił w przestrzeń, po czym obrócił się i spojrzał jej w oczy. – Jak chcesz zostać, to klucze wiszą w skrzynce przy drzwiach. Ale nie czekaj. Nie wiem, kiedy wrócę.

– Przyzwyczaiłam się.

Igor włożył spodnie i wyjął z szafy koszulę. Najpierw jedną, potem drugą, trzecią, czwartą cisnął w kąt. Zaklął pod nosem, wszystkie wyglądały jak wyjęte psu z gardła.

– Ja panu wyprasuję, panie komisarzu. – Oksana rzuciła mu zalotne spojrzenie i zamachała łydkami jak lolitka z kucykami i wielkim lizakiem w ustach.

– Nie teraz, Oka. Poza tym czasem mogłabyś zaprotestować…

– Czyż nie jesteś moim panem i władcą?

Igor miał mętlik w głowie, a podobne zagrywki ze strony Oksany zdecydowanie nie pomagały w koncentracji. Uwielbiał ją za to jednowymiarowe postrzeganie życia, ale teraz najchętniej wyrzuciłby ją za drzwi. Miała dwadzieścia osiem lat i choć przeżyła już wiele, wciąż, była niewinna i naiwna, zwłaszcza gdy zaciągała z tym swoim wschodnim akcentem.

– Wezmę koszulkę.

– Czyli nie idziesz na inne dziewczyny? – zapytała zaczepnie i usiadła na skraju łóżka.

– Oka, proszę cię. Idź już spać.

Komisarz przełożył przez głowę wysłużoną koszulkę reeboka, na nią narzucił równie szaroburą rozpinaną bluzę. Sięgnął do szuflady w szafce nocnej, wypiął walthera z kabury i wcisnął za pasek spodni. Często tak nosił broń, lubił czuć ją przy ciele.

– Mam się martwić? – spytała Oksana, jakby wyczuwając, że tym razem nie chodzi o zwykły telefon z komendy.

– Nie musisz.

– Na pewno?

– Czy kiedykolwiek cię okłamałem?

Oksana uśmiechnęła się anemicznie, bo rzeczywiście nigdy tego nie zrobił. Ale jeżeli zwykle milczy się na większość tematów, to i skłamać trudno.

– Nigdy – szepnęła i osunęła się z powrotem na pościel.

Chwilę później Igor maszerował przez ponure podwórze, nie zważając na siekący deszcz. Miał złe przeczucie, a intuicja zawodziła go rzadko. Gdy w końcu dotarł do samochodu i uruchomił starego nissana patrola, pomyślał, że wdepnął w niezłe bagno.

* * *

Komisarz Igor Brudny był mężczyzną w kwiecie wieku. Nie przykładał wagi do tego, co nosi, dlatego zwykle wyglądał tak samo. Golił się raz na tydzień, a jak miał dużo pracy w terenie, to czasem raz na dwa. Większość współpracowników widziała w nim gbura, ale nie rozdzierał szat z tego powodu, w zasadzie nawet mu to odpowiadało. Przynajmniej nie musiał udawać i każdemu z osobna mówić rano „dzień dobry”, gdyż wychodził z założenia, że nie ma sensu chwalić dnia przed zachodem słońca. Dobre dni przytrafiały mu się rzadko, ale potrafił je docenić, zwykle wieczorami w towarzystwie ulubionych jamesona i Brudnego Harry’ego, od jakiegoś czasu jamesona, Brudnego Harry’ego i pewnej niezwykle uroczej Ukrainki, która dawała mu to, czego jameson i Brudny Harry nie byli w stanie.

Komisarz Brudny był też człowiekiem o dość zagmatwanej przeszłości. Nikomu o tym nie mówił, ale tak naprawdę nie nazywał się Brudny. Nazwisko to przyjął tuż po wkroczeniu w dorosłość, gdy postanowił zniknąć z miejsca, gdzie się wychował, i raz na zawsze zerwać ze światem, który los mu wybrał. Jedynym transferem z życia numer jeden do życia numer dwa był właśnie Brudny. Brudny Harry. To na cześć tego ascetycznego gliniarza, którego grał nie mniej surowy w życiu prywatnym Clint Eastwood (a przynajmniej Igor tak go sobie wyobrażał), przyjął w Urzędzie Stanu Cywilnego nowe nazwisko. Pomijając grymas wyjątkowo nieprzyjemnej biurwy, która słysząc wybór petenta, nie omieszkała poprzewracać oczami i dodatkowo go skomentować, Igor nigdy

więcej nie miał problemów w związku z nowym nazwiskiem. Zwłaszcza że w stolicy, do której się przeprowadził, popracował nad wizerunkiem, aby już od pierwszego kontaktu sprawiać wrażenie ponurego skurwysyna.

Przeszłość Igora kryła wiele smutnych historii, ale nigdy nikomu o nich nie opowiadał. W ogóle mówił niewiele i gdyby nie praca, która w dużej mierze polegała na zadawaniu pytań, pewnie nie mówiłby wcale. Według Igora od słów wszystko się zaczynało i na nich wszystko kończyło. Nie tylko w pracy, ale także poza nią. A poza pracą czuł się jak słoń w składzie porcelany. Dlatego przez blisko dwadzieścia lat był sam, a jego kontakt z kobietami ograniczał się do przygodnych spotkań, zwykle rzadkich, bo z konieczności opłacanych z lichej policyjnej pensji. Miało to swoje plusy, bo nie musiał mówić, minusem była arytmetyka, której nie dało się oszukać, i bywało, że Igor pod koniec miesiąca musiał ograniczać się do chleba, sera i jamesona. Dopiero przed rokiem coś w tym temacie drgnęło, a nieoczekiwane pojawienie się w uporządkowanym schemacie gadatliwej kobiety (z mocnym wschodnim akcentem) wprowadziło w życie Igora nieco więcej słów, których połączenie nie kończyło się znakiem zapytania. Godził się jednak na to, bo był gburem, ale nie ignorantem i rozumiał, że może otrzymać coś tylko wtedy, gdy z czegoś innego zrezygnuje. Decydując się na jakiś ruch, należało się liczyć z konsekwencjami. Akcja rodziła reakcję. To był bardzo prosty mechanizm (lub jak kto woli, prawda życiowa), lecz poznał w życiu wielu ludzi, którzy jednak tego nie rozumieli. Takich zazwyczaj łapał albo do nich strzelał.

Lubił proste środki i czytelne metody. Przejrzyste rozwiązania i jasne odpowiedzi. Czerń i biel. Dlatego tym bardziej nie mógł pojąć, co miał znaczyć ten enigmatyczny i popierdolony telefon od Julki w sobotę o drugiej trzydzieści nad ranem.

Dotarł na Giełdową krótko po trzeciej. Zatrzymał się tam, gdzie zawsze, czyli na zarośniętej dzikimi krzakami wysepce, która z racji przesadnie wysokiego krawężnika dla zdecydowanej większości samochodów osobowych była nie do sforsowania. Wyłączył silnik i raz jeszcze spróbował ogarnąć, o co mogło chodzić byłej partnerce z patrolu. Nic nie przychodziło mu do głowy, a nie lubił być zaskakiwany. Nawet przez Julkę.

Wysiadł z samochodu i zeskoczył na chodnik. Wciąż lało jak z cebra, a w oddali dźwięczały klaksony uwijających się jak w ukropie taksówek. Skierował się w stronę portierni, przez którą wchodziło się na zamknięte osiedle, jedno z wielu, które w ostatnim czasie wyrastały w stolicy jak grzyby po deszczu. Okolica nie należała do tanich i Igor zawsze zastanawiał się, jak Julka daje radę się tu utrzymać.

Strażnik go znał, więc przywitał się tylko i przepuścił. Igor wyszedł na wewnętrzne, przestronne podwórze i ruszył do jednego z kilkuletnich wieżowców. Na ósmym piętrze mieszkała Julia Zawadzka, była partnerka z patrolu, dla której kiedyś zebrał kulkę i z którą potem wylądował w łóżku. To wtedy jedyny raz złamał swoje zasady. I zaczął mówić…

Wszedł do klatki i zadzwonił domofonem. W odpowiedzi usłyszał tylko sygnał rozmagnesowującego się zamka. Po pierwsze spodziewała się go, a po drugie każde z urządzeń miało wbudowaną kamerę. Przy windzie natknął się na podpitą parkę, która lubieżnie całowała się pod ścianą. On, w spodniach w kant i wygniecionej koszuli za tysiaka, ona z tych, których usta wyglądają, jakby pokąsały je pszczoły. Byli na siebie mocno napaleni, bo nawet go nie zauważyli. Dopiero gdy drzwi się otworzyły, a dziewczyna zorientowała się, że nie są sami, wyrwało jej się krótkie „o kurwa”. Odsunęła kochanka i odruchowo spuściła nieco podciągniętą już spódnicę, ale zaraz potem oboje zachichotali. Igor nie czekał, wcisnął guzik z ósemką i winda ruszyła w górę.

Nie musiał pukać, do Julki wchodził jak do siebie. Od lat była jedyną bliską mu osobą, która wiedziała więcej niż to, co znajdowało się w jego aktach. Przywitała go na bosaka, w koszulce na ramiączkach i szortach. W jednej dłoni trzymała obgryziony kawałek jabłka, a w drugiej do połowy wypalonego cienkiego LM-a.

– Długo ci zeszło – rzuciła i odgarnęła nadgarstkiem niesforny kosmyk rudych włosów.

– Nie byłem sam.

– Wciąż jesteś z tą Ukraineczką?

– No…

– Dobra, nie mów. Siadaj, zrobię ci mocną kawę.

Gdy Julka proponowała komuś mocną kawę, zwykle sytuacja była poważna. Ale nie poganiał jej, znał ją i wiedział, że jest profesjonalistką. Na pewno przygotowała się do tego spotkania należycie.

– Wyjeżdżałeś z Warszawy? – spytała, lejąc wrzątek. Stała przy blacie, obrócona tyłem, z papierosem w ustach.

– Nie.

Igor obserwował, jak przestępuje z nogi na nogę. Miała umięśnione uda i jędrne pośladki, ale do figury modelki sporo jej brakowało. Małe piersi i dość krótkie włosy też nie dodawały jej kobiecości, mimo to mężczyźni uganiali się za nią jak za suką w rui. Uwielbiali ją, bo gadała jak facet, piła jak facet i pieprzyła się jak facet. Tak naprawdę Julka była facetem, tylko podczas aktu tworzenia Matce Naturze coś się pochrzaniło i zamiast kompletnego „zestawu”, dała jej tylko jaja. A te miała jak arbuzy i nikt w całej komendzie nie podawał w wątpliwość tego niezaprzeczalnego faktu, z komendantem włącznie.

Dziś jednak zachowywała się dziwnie. Igor potrafił ją wyczuć, bo znali się jak łyse konie. I rozumieli bez słów.

Zgasiła papierosa i z kubkiem kawy zbliżyła się do przyjaciela. Przysiadła obok i sięgnęła po kolejną fajkę. To już był bardzo zły sygnał. Otworzyła laptop.

– O tym, co ci teraz powiem i pokażę, na razie wiemy tylko ja i Leśny. To on ma dziś dyżur.

– Ten Leśny?

– Tak, ten, dlatego zadzwonił do mnie, a nie do ciebie.

Ryszard Leśny był aroganckim typem, a takich Brudny bardzo nie lubił. Dwa lata temu złamał mu palec wskazujący, którym ponoć Julce dogadzał, przynajmniej tak się chwalił w szatni kolegom. Ona nie robiła z tego afery, bo seks traktowała instrumentalnie, ale Igorowi to się nie spodobało. Leśny tego nie zgłosił, bo na kolegów się nie kabluje, odpuścił, bo z Brudnym lepiej było nie zadzierać, a poza tym gnojek był zwykłą pizdą. Od tamtej pory unikali się, czyli wszystko pozostawało w normie, bo Igor w zasadzie unikał większości kolegów z pracy.

– O co chodzi z tym morderstwem?

– Sama chciałabym wiedzieć.

Zaciągnęła się, drugą ręką operowała zintegrowaną z laptopem myszką. Po chwili na ekranie pojawiło się zdjęcie. Brudny widział tysiące podobnych, więc od razu zorientował się, że to fragment nagrania z kamery miejskiej.

Na zdjęciu można było dostrzec mężczyznę klęczącego przy ścianie jakiejś kamienicy. Miał na sobie ciemną kurtkę, a na głowie kaptur.

– Kto to? – spytał.

– Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz.

Zawadzka wyświetliła kolejne fotki. Na każdej z nich był uchwycony ten sam mężczyzna w różnych pozycjach. Wyglądało, jakby nad czymś pracował, jego oblicze wciąż skrywał sporych rozmiarów kaptur. W końcu

na jednym ze zdjęć dało się dostrzec fragment jego twarzy, na kolejnym stała się już w pełni widoczna, choć wciąż dość mocno zamazana. Julia nie przestawała klikać. Jeszcze jedno. I następne. Igor poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Wyostrzenie, zbliżenie. Kurwa!

– Co to ma znaczyć, do jasnej cholery? – rzucił wyraźnie zaskoczony.

– No właśnie, miałam nadzieję, że ty mi to powiesz.

– Skąd jest ten materiał?

– Z kamer miejskiego monitoringu w Zielonej Górze.

– Julka, to nie jest śmieszne…

Posłała mu spojrzenie, po którym powinien paść trupem.

– Dobra, o co tu chodzi? Kim jest ten facet na zdjęciu i dlaczego jego gęba wygląda jak moja?

– Ten facet to według lokalnej policji niejaki Filip Trochan, lekarz i założyciel prywatnej kliniki w Zielonej Górze. Żonaty, pięcioletnia córka, ogólnie człowiek lubiany i szanowany. Gdyby nie to, że jest podejrzany o morderstwo.

– Filip Trochan…?

Brudny się zasępił. Zdjęcie zostało zrobione w nocy, dodatkowo nie należało do najdokładniejszych, ale policyjni technicy zrobili swoje i doprowadzili je do stanu, że można było dostrzec uderzające podobieństwo. To mógł być zwykły zbieg okoliczności, ostatecznie każdy ma gdzieś swojego sobowtóra, ale Brudny dawno temu przestał wierzyć w zbiegi okoliczności.

– Dla jasności. Facet ze zdjęcia nie tylko zabił ofiarę, ale też wyciął jej większość organów i obwiesił nimi te… – Julia przez moment szukała w pamięci konkretnej nazwy – …bachusiki. To takie figurki poro…

– Wiem, czym są bachusiki – uciął Brudny.

– No właśnie, Igor. Ty pochodzisz chyba z tamtych okolic, co nie?

Komisarz poczuł złość. Nie na nią, ale na siebie. To właśnie Julce zdradził kiedyś, że jest sierotą, że nigdy nie poznał swoich rodziców i wychował się w domu dziecka pod Zieloną Górą. Właśnie dlatego nikogo nie powinna obchodzić przeszłość innych. Zignorował ostatnie pytanie.

– No dobra. Jest facet, który kogoś zabił. Okej, podobny do mnie, nawet mieszka w okolicach, skąd pochodzę. I co z tego, Julka? Co z tego?

– Nie powiedziałam, ile ma lat…

Brudny przygryzł dolną wargę i pokiwał głową na znak, że wie, do czego dąży.

– Niech zgadnę. Trzydzieści osiem.

– Bingo. A urodziny obchodzi dzień po twoich.

Ten argument był naprawdę mocny. Brudny przez moment patrzył w nieokreślonym kierunku. Zawadzka dała mu chwilę, aby to sobie poukładał. Nie potrzebował dużo czasu.

– To może być zwykły zbieg okoliczności. A już na pewno żaden dowód. Zresztą dzień urodzin się nie zgadza, mam rację?

– Gdybym cię nie znała, to może bym ci uwierzyła. Nie wierzysz w przypadki tak samo jak ja. Zresztą popatrz na to.

Zawadzka wpisała w wyszukiwarkę dane Trochana. W ułamku sekundy wyskoczyło kilkadziesiąt artykułów o doktorze i jego klinice oraz cała masa zdjęć, głównie z sympozjów i konferencji branżowych. Tym razem ich jakość nie pozostawiała złudzeń. Podobieństwo nie tylko było uderzające, Brudny i Trochan wyglądali jak dwie krople wody.

Igor szpetnie zaklął pod nosem. Gdy uznał, że ujrzał już wystarczająco dużo, odchylił się i wziął głęboki oddech.

– Czyli co, chcesz mi wmówić, że mam bliźniaka-rozpruwacza? – zapytał z wyraźnym poirytowaniem w głosie.

– Niczego nie chcę ci wmawiać, ale nawet jeśli to tylko przypadek, to przygotuj się, że od rana ta facjata będzie fruwać po każdym kanale, w każdych wiadomościach i będzie prezentowana w każdej możliwej odsłonie. Rozdzwonią się telefony, ludzie zaczną widzieć w tobie poszukiwanego mordercę, a stary od razu wyśle cię na przymusowy urlopik. W końcu…

– Czekaj, czekaj, co ty chcesz przez to powiedzieć? Przecież mają już podejrzanego i…

– Mają podejrzanego, ale nie mają człowieka. Facet zniknął w środę wieczorem i od tamtej pory, pomijając te nagrania z miejskiego monitoringu, nikt go nie widział.

– Jest już oficjalnie poszukiwany?

– Od czwartku figurował jako zaginiony pierwszej kategorii. Zaginięcie zgłosiła jego żona jakoś po godzinie jedenastej. Teraz, a dokładnie od jakichś trzech godzin i szesnastu minut, jest poszukiwany, ale jako podejrzany o morderstwo. Te materiały wpłynęły na komendę tuż po północy. Od jutra Trochan stanie się wrogiem publicznym numer jeden. A więc, w pewnym sensie, ty też…

– Kurwa mać!

– Sorry, Igor. Nie chciałam zostać posłańcem złych wieści.

Brudny wstał i wyciągnął z kurtki paczkę papierosów. Była lekko przemoczona i pomięta. Wydłubał ostatnią fajkę i wyrzucił opakowanie do kosza. Zapalił i przez moment wpatrywał się w nieokreślony punkt za oknem. Po szybie wciąż spływały strużki wody, a w oddali migotały światła nocy. Wypił dwa duże łyki kawy.

– Jasna cholera. Ten facet naprawdę wygląda jak ja… – mruknął i z powrotem przysiadł na sofie.

Rzucił przyjaciółce wymowne spojrzenie i ponownie skupił się na zdjęciach doktora Trochana. Klikał kolejne, na których doktor odbierał kwiaty od jakiejś gustownie ubranej kobiety, przemawiał do zgromadzonych w Londynie, pozował z jakimś certyfikatem w towarzystwie starszego mężczyzny o arabskich rysach. Trochan miał ten sam profil, te same rysy, identyczne oczy, nos, uszy, różniła ich jedynie fryzura, bo w przeciwieństwie do Brudnego doktor po prostu ją miał. Zwykle z przedziałkiem, włosy nienagannie ułożone na bok z lekko sterczącą grzywką. Igor pomyślał, że nawet by mu pasowała, ale zaraz skarcił się, że odbiega myślami od tematu.

– Mówiłaś, że gość ma trzydzieści osiem lat i jest z dziesiątego czerwca. Załóżmy zatem, czysto hipotetycznie, że rzeczywiście jest moim bratem bliźniakiem. Dlaczego więc ma wpisane w papierach dziesiąty, a ja dziewiąty czerwca?

– A skąd mam wiedzieć? Może jakaś głupia urzędniczka machnęła się i tyle. Takie rzeczy się zdarzają.

– No tak, takie rzeczy się zdarzają…

Brudny przeciągnął dłońmi po głowie. Nie musiał obawiać się, że zepsuje sobie fryzurę, bo włosy nosił przycięte bardzo krótko.

– Nie uciekniesz od tego, Igor…

– Wiem.

– Stary jest w porządku, ale w tym wypadku będzie miał związane ręce. Wątpię, aby cię krył.

– No co ty, Julka. Nie ma co się łudzić, to zbyt gruba sprawa. Beryl poinformuje komendę w Zielonej Górze, gdy tylko się dowie. No, przy odrobinie szczęścia, może najpierw pogada ze mną.

– Będą chcieli cię przesłuchać.

– To na pewno.

– W takim razie co chcesz zrobić?

– W tej chwili nic. Muszę to sobie poukładać. Prześlij mi te materiały na prywatną skrzynkę, okej?

– Jasne. Jak chcesz, to możesz tu zostać…

– Dzięki, ale nie. Wracam do siebie.

– Jak wolisz.

Brudny klepnął się w uda i podniósł z sofy. Zawadzka pozostała na miejscu z kubkiem w jednej i papierosem w drugiej dłoni.

– Dzwoń jakby co…

– Pewnie, dzięki, Julka.

– Drobiazg, wiesz, że zawsze…

– Tak, wiem. Jeszcze raz dzięki. Na razie, Julka.

– Cześć.

Komisarz opuścił mieszkanie. Miał mętlik w głowie. Zawsze robił wszystko, aby zapomnieć o przeszłości. Nigdy jej nie drążył, wolał pozostawić ją w spokoju. Jednak gdy wyszedł z budynku, a zacinający deszcz zaczął siec go po nieogolonej twarzy, zdał sobie sprawę, że przeszłość właśnie się o niego upomniała.

Rozdział 3

– A więc czym dysponujemy w tej chwili? – spytał Romuald Czarnecki.

Romuald Czarnecki w policji pracował blisko trzydzieści lat. Służył w stopniu inspektora w wydziale dochodzeniowo-śledczym Komendy Wojewódzkiej w Gorzowie i z racji absolutnie wyjątkowych zdolności intelektualnych zajmował się najtrudniejszymi i najbardziej skomplikowanymi sprawami. Miał na koncie wiele sukcesów i kilkudziesięciu bandytów wsadzonych za kratki, w tym paru wyjątkowych zwyrodnialców. Był też człowiekiem o spokojnym usposobieniu, opanowanym, zrównoważonym, niecierpiącym arogancji i chamstwa. Nie pasował do klasycznego wzorca samotnego, zgorzkniałego gliny, który wieczorami upija się do lustra, a dzień później biega na kacu po mieście z pistoletem i łapie gangsterów. Bardziej przypominał relikt przeszłości, człowieka o sznycie dystyngowanego wiktoriańskiego komisarza z powieści Agathy Christie, który rozwiązuje zagadki dzięki bystremu umysłowi i umiejętnemu łączeniu zebranych dowodów i poszlak w jeden logiczny związek przyczynowo-skutkowy. Można go było lubić albo nie, ale z pewnością trudno byłoby znaleźć w komendzie policjanta, który by go nie szanował.

– Na razie mamy niewiele – rzekł Grzegorz Zimny, podinspektor z Wydziału Kryminalnego. – Do tej pory tylko kilka narządów wewnętrznych niezidentyfikowanej ofiary oraz filmy z kamer miejskiego

monitoringu, na których widać podejrzanego. Tak naprawdę nawet nie wiemy, czy możemy tu mówić o zabójstwie.

– Da się namierzyć jego trasę?

– W centrum miasta bez problemu, później trudno powiedzieć. Już wysłałem ludzi, aby pozbierali materiały z kamer sklepowych. Ale to z pewnością trochę potrwa.

– To kluczowy temat. Jeśli będzie trzeba, weź więcej ludzi. Musimy odtworzyć trasę, jaką się poruszał. Anka? – Wzrok Czarneckiego skierował się na ekspertkę kryminalistyki Annę Borucką.

Anna Borucka była filigranową szatynką o włosach do ramion i ładnym uśmiechu. Z racji wykonywanego zawodu zwykle występowała w fartuchu i lateksowych rękawiczkach, ale dziś miała na sobie dżinsy i sportową bluzę.

– Moi ludzie wciąż pracują, lecz potrzebujemy czasu. Z samych bachusików zdjęliśmy około siedemdziesięciu różnych odcisków palców. Jeden należy do osoby notowanej, niejakiego Arkadiusza Stefanowicza. Odsiedział krótki wyrok za przemyt, ale od około dziesięciu lat jest czysty.

– Facet mieszka w Słubicach. Już wysłałem do niego dwóch ludzi – wtrącił się Zimny i na znak przeprosin uniósł dłoń.

– Mamy też kilka innych drobnych rzeczy, ale laboratorium potrzebuje czasu – dodała nieco poirytowana zaistniałą sytuacją.

– Wiadomo coś więcej o podejrzanym? – Kolejne pytanie zostało skierowane do Zimnego.

– Nic, czego nie ustaliliśmy wcześniej. Facet zapadł się pod ziemię. Nie kontaktował się z rodziną ani przyjaciółmi. Jego telefon milczy, ostatni raz zalogowany na terenie swojej kliniki. Potem cisza.

– A samochód?

– Nie mamy go. Ostatnią osobą, która miała z nim kontakt, jest sprzątaczka w jego firmie, niejaka Barbara Grocholska. Rozmawiała z nim krótko przed dwudziestą pierwszą. Według jej relacji Trochan zachowywał się normalnie, w planach miał powrót do domu, jego samochód miał czekać na niego w podziemnym garażu. Zamienili kilka zdań… – Zimny wskazał na teczkę z zeznaniami – …i pożegnali się. Zanim wyszedł z gabinetu, poprawiła mu krawat, i to był ich ostatni kontakt.

– Drogówka ma już dane pojazdu?

– Oczywiście.

– Czy ktoś rozmawiał z żoną podejrzanego?

– Od czasu gdy media opublikowały to nagranie, jeszcze nie. Podobno jest w szoku. Nie chce rozmawiać z policją. Odrzuciła nawet pomoc psychologa, choć sama para się tym zawodem.

– To zrozumiałe. Wini nas za tę sytuację. Trzy dni temu zgłosiła zaginięcie męża i liczyła na pomoc, a my w odpowiedzi mamy zamiar oskarżyć Trochana o brutalne morderstwo. Dajmy jej jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Potem pojadę porozmawiać z nią osobiście.

Czarnecki omiótł spojrzeniem twarze swoich współpracowników. W gabinecie, oprócz ekspert kryminalistyki Anny Boruckiej i podinspektora Grzegorza Zimnego, znajdowali się jeszcze: prokurator Krzysztof Lis, psycholog policyjny Elżbieta Pałka, protokolant Janusz Kosiński oraz dwóch niższych stopniem policjantów – starszy sierżant Łukasz Warszawski oraz młodszy aspirant Jakub Wicha. Wzrok prowadzącego padł na prokuratora.

– Jakie macie najbliższe plany, Krzysztof?

Krzysztof Lis był wysokim mężczyzną o krótko przystrzyżonych blond włosach z przedziałkiem nad lewą skronią. Miał czterdzieści trzy lata, zwykle ubierał się w garnitury i prezentował nie gorzej niż nadziany

nowojorski makler. Nie był jednak zbyt lubiany, zwłaszcza Borucka unikała z nim kontaktu, choć uczciwie musiała przyznać, że jest bardzo dobrym i skutecznym prokuratorem. Drażniły ją natomiast jego władczość i despotyzm, którymi kierował się przy prowadzeniu kolejnych spraw. Tym bardziej cieszyła się, że akurat przy tej oficerem prowadzącym będzie Czarnecki, który jako jedyny potrafił powściągnąć Lisa i sprowadzić go do parteru, nawet pomimo faktu, że w zasadzie prokurator był jego przełożonym.

– Na razie nie będę nikomu stawiał zarzutów. Teoretycznie mógłbym, ale ta sprawa mi wyjątkowo śmierdzi.

– Dlaczego? Przecież mamy nagranie, jak facet robi bachusikowi szalik z jelita ofiary…

– Wiem, Romek, że podjudzasz. Po pierwsze na razie nie mamy ofiary, a po drugie nie wydaje wam się trochę dziwne zachowanie faceta z nagrania? Niby przez cały czas krył twarz w kapturze, aby nagle, zaraz po skończonej robocie, podnieść głowę i spojrzeć w kamerę? Dla mnie to bez sensu i cuchnie na kilometr.

Zebrani pokiwali głowami na znak, że zgadzają się z prokuratorem. Wszyscy z niejednego pieca chleb jedli i doskonale wiedzieli, że czasem najbardziej oczywiste sprawy mają drugie, trzecie dno, a czasem i czwarte. Nie tak dawno w podobnym gronie zajmowali się sprawą zaginięcia mężczyzny w jednej z podzielonogórskich wsi. Przejęli ją w momencie, gdy zaczęto podejrzewać, że za zniknięciem faceta może stać jego żona. Ślady i zeznania świadków nie pozostawiły złudzeń, że mąż od lat pił i strasznie ją katował. Kobieta miała więc motyw, ale brakowało ciała. Należała jednak do prostych i mało bystrych, a do tego chyba dręczyło ją sumienie, w związku z czym długo nie lawirowała i szybko przyznała się do winy. Zdradziła miejsce ukrycia zwłok, które szczelnie zamurowała pod

podłogą, a podczas wizji lokalnej pokazała, jak zamordowała męża, wbijając mu nóż kuchenny w klatkę piersiową. Sprawa wydawała się oczywista, ale Czarneckiemu nie zgadzał się pewien drobny szczegół. Kobieta upierała się, że dźgnęła męża kilkadziesiąt razy i rzeczywiście tak było. Podczas przesłuchania dziwiła się tylko, że z ran wypływało tak mało krwi, bo więcej „to z kuraków tryskało niż tego zimnego sukinsyna". Czarnecki zawsze ufał swojej intuicji i jak się okazało, znów miał nosa. Zlecił patomorfologowi wykonanie bardzo dokładnej sekcji, która wykazała, że ofiara umarła nie od ciosów nożem, ale od zachłyśnięcia się własnymi wymiocinami. Okazało się, że żona, nieświadoma tego, że mąż już nie żyje od dobrych kilku godzin, zdecydowała się go zakłuć, myśląc, że w stanie tak silnego upojenia alkoholowego, nie będzie w stanie się bronić. I rzeczywiście, nie bronił się. Dźgała tak długo, bo według niej wciąż było za mało krwi, która od kilku godzin nie krążyła już w żyłach, gdyż spłynęła w partie ciała, na których mąż leżał, w tym wypadku pleców. Kobiecina miała szczęście, bo zamiast długiej odsiadki została skazana na pięć lat w zawieszeniu.

Sprawa „Filipa Rozpruwacza" na pierwszy rzut oka też wyglądała na oczywistą. Tak podejrzanego okrzyknęły media już kilka godzin po odnalezieniu wyciętych narządów. Czarnecki nie lubił tych wszystkich porównań, ale przez lata pracy przyzwyczaił się i zwykł je tolerować. W tym wypadku musiał jednak przyznać, że analogia ze słynnym „Kubą Rozpruwaczem" była wyraźna, bądź co bądź najsłynniejszy morderca świata też wycinał ofiarom poszczególne narządy, choć w przeciwieństwie do zabójcy z Zielonej Góry, zachowywał je dla siebie, a na widok publiczny wystawiał okaleczone ciała. Pojawiały się też inne porównania. „Wampir z Zielonej", „Bachusikowy Rzeźnik" czy „Krwawy Doktor". Kwestią czasu było, która z wersji przyjmie się w złaknionym krwawych wiadomości

społeczeństwie, ponieważ temat od pierwszego dnia stał się najgorętszym lokalnym newsem, z każdą kolejną godziną pączkującym następnymi doniesieniami, głównie domysłami domorosłych dziennikarzy, którzy w CV uwielbiali dopisywać sobie „śledczy".

– To rzeczywiście nie pasuje do profilu podejrzanego, który wygląda na zorganizowanego i skrupulatnego człowieka – skomentował Czarnecki. – Ale wróćmy do potencjalnej ofiary. Jak badania DNA?

– Komplet wyników powinien być znany za jakieś… – Anna zerknęła na zegarek – …czterdzieści godzin.

– Do tego czasu musimy przeszukać wszystkie archiwa dotyczące osób zaginionych z ostatnich trzech miesięcy w promieniu stu kilometrów. Potem możemy rozszerzyć poszukiwania na kolejne województwa. Skontaktujcie się też z niemieckimi kolegami z Guben i Frankfurtu.

Dwóch niższych stopniem policjantów coś zapisało w notatnikach. To na nich spoczywało wykonywanie szeregu czynności o charakterze operacyjnym, od rozpuszczenia wici wśród swoich źródeł informacji po przesłuchania dziesiątek albo i setek świadków bądź ludzi mogących mieć choćby cokolwiek wspólnego ze sprawą.

– Przejdźmy do profilu przestępcy i tych bachusików. Ela, czy twoim zdaniem wybór akurat tych dwóch może mieć kluczowe znaczenie?

Elżbieta Pałka miała renomę wybitnej profesjonalistki, która jako jedna z kilku osób w Polsce z czystym sumieniem mogła mówić o sobie jako o profilerce z prawdziwego zdarzenia, a jej stanowisko specjalisty do spraw identyfikacji psychologicznej należało do najbardziej elitarnych wśród psychologów policyjnych. Na wyraźne polecenie Czarneckiego została ściągnięta z Gdańska w trybie natychmiastowym, bo w przypadku tak niejednoznacznych zabójstw jej obecność była na wagę złota.

– Potencjalny zabójca… – Czarnecki uniósł rękę i chciał coś powiedzieć, ale Pałka od razu skontrowała: – Tak, wiem, ale od razu chcę zaznaczyć, że będę operować takim terminem także w przypadku ofiary, bo póki nie znajdziemy ciała, nie możemy stwierdzić, czy mamy do czynienia z zabójcą, czy też ofiarą. Nie chcę jednak mieszać i bawić się tu w terminologiczne gierki.

Grupa przyjęła jej tłumaczenie z pełną wyrozumiałością, zwłaszcza że nikt z zebranych nie wątpił, że mają do czynienia z wyrafinowanym mordem.

– Zatem potencjalny zabójca wybrał dwie figurki tak zwanych bachusików. To Brukus i MZKus. Oba znajdują się w ścisłym centrum miasta. Pierwszy obok kamienicy przy ulicy Stefana Żeromskiego przedstawia bożka z młotkiem w dłoni, układającego kostkę brukową, drugi przy ratuszu – że posłużę się potocznym terminem – ujeżdża autobus. Nie są zbytnio od siebie oddalone, ale myślę, że zabójca wybrał je z konkretnego powodu. Na pewno wśród zaginionych możemy szukać kierowców i słabo wykwalifikowanych pracowników związanych z branżą budowlaną. Oczywiście to bardzo pobieżny wniosek, ale taki, który mogę sformułować już teraz. Co do reszty, to wybaczcie, ale nie zdążyłam zapoznać się z całym materiałem, bo przyjechałam do miasta dopiero dziś w nocy. Na żywo nie widziałam nawet tych figurek. Myślę, że więcej będę mogła powiedzieć wieczorem.

– To już coś. Szukamy zaginionych kierowców i budowlańców oraz ludzi z tych branż w otoczeniu podejrzanego. Coś o profilu potencjalnego zabójcy?

– Na razie nic konkretnego. Muszę porozmawiać z kilkoma osobami z towarzystwa podejrzanego: żoną, rodzicami, współpracownikami, przyjaciółmi. Fakt, że organy były wycięte przez profesjonalistę, mógłby

wskazywać na winę Trochana, ale to byłby zbyt pochopny wniosek. I zbyt banalny. Zresztą z tego, co zdążyłam wyczytać na jego temat, to takie działania kompletnie nie pasują do jego pobieżnie sporządzonego profilu. Mogę się mylić, ale moim zdaniem to nie ten facet i nawet jeśli powykładał te narządy przy tych figurkach, to prędzej ktoś go do tego zmusił. Ale, powtarzam, to tylko wersja na mój własny użytek, sporządzona z bardzo skąpych informacji.

– Co zatem sugerujesz?

– Na razie nic. Proszę dać mi czas do jutrzejszej narady. Na pewno zdołam powiedzieć więcej.

– Kwestia wybrania konkretnych narządów i rozłożenia ich przy figurkach?

– MZKus był owinięty jelitami, cienkim i grubym, obok leżały nerka, śledziona i żołądek. Brukus „dostał” język, przełyk, wątrobę i serce. Na razie nie widzę sensownego wytłumaczenia akurat takiego umiejscowienia tych narządów.

Czarnecki pokiwał głową w pełnym zrozumieniu. Znów spojrzał na Borucką, ale nie zdążył zadać kolejnego pytania, gdy rozległo się pukanie. Chwilę później drzwi otwarły się, a do gabinetu wszedł drugi zastępca Komendanta Miejskiego Policji w Zielonej Górze, nadkomisarz Marcin Czaputowicz. Był niewysokim, przysadzistym mężczyzną w okularach i sprawiał wrażenie człowieka o raczej niezbyt wysokim ilorazie inteligencji.

– Prosiłem, aby nie przeszkadzać w czasie spotkań grupy dochodzeniowo-śledczej – rzekł ze stoickim spokojem Czarnecki. – Takie wtargnięcia nie tylko…

– Przepraszam inspektorze, ale mam informację, która na pewno inspektora zainteresuje.

– Związaną ze sprawą?

– Oczywiście.

– W takim razie proszę mówić.

– Ktoś chciałby się z inspektorem spotkać.

– Możecie mówić jaśniej, nadkomisarzu?

– Ta osoba stoi na korytarzu. Może lepiej by było, gdyby sama…

– Dobrze, proszę ją wprowadzić.

Nadkomisarz Czaputowicz obrócił się na pięcie i opuścił pomieszczenie. Nie zamknął za sobą drzwi, w których kilka sekund później pojawił się postawny mężczyzna w wymiętym płaszczu.

– Dzień dobry państwu – przywitał się, ale w odpowiedzi ujrzał, jak połowie z obecnych oczy wyszły z orbit, a drugiej szczęki opadły do podłogi. – Komisarz Igor Brudny. Miło państwa poznać.

* * *

Brudny nie należał do ludzi, którzy robią różne rzeczy na pokaz, ale wyraz twarzy członków grupy operacyjnej był bezcenny. Przez kilka najbliższych sekund, które zdawały się trwać całe wieki, wszyscy wpatrywali się w niego jak w ducha. Dopiero prowadzący wyciągnął do niego rękę i przedstawił się jako inspektor Romuald Czarnecki.

– Nam również miło pana poznać, komisarzu Brudny – przywitał się. – Mam nadzieję, że jest pan tak samo skuteczny w działaniu, jak w robieniu show.

Czarnecki starał się zachować stoicki spokój, choć w środku szalała burza sprzecznych emocji. Był wściekły, że nikt go wcześniej nie poinformował o tak drobnym szczególe jak fakt, że główny podejrzany ma brata bliźniaka, który dodatkowo jest komisarzem stołecznej policji.

Z drugiej strony w postaci Brudnego miał szansę znaleźć silnego sojusznika. Jeśli oczywiście komisarz będzie chciał współpracować.

– Na dziś to koniec. Pomimo tego niespodziewanego najścia nie zmieniamy planów – powiedział bardziej stanowczym tonem. – Wszyscy wiedzą, co mają robić. Panie i panowie, bierzcie się do roboty.

Członkowie zespołu pozabierali swoje rzeczy i opuścili gabinet przydzielony Czarneckiemu. Inspektor zluzował także zastępcę komendanta.

– Proszę usiąść – zaproponował Brudnemu, gdy w końcu zostali sami.

– Nie chciałem przeszkadzać wam w robocie.

– Cóż… powiedzmy, że ją pan dodatkowo skomplikował.

– Cóż… powiedzmy, że ta sprawa skomplikowała mi życie.

Brudny usiadł naprzeciwko Czarneckiego. Zmierzyli się spojrzeniami niczym bokserzy tuż przed pierwszym gongiem.

– No dobrze, komisarzu Brudny. Albo obieca mi pan szczerą rozmowę, albo może pan odejść i nie wracać do momentu, aż po pana poślę swoich ludzi.

– Dlaczego pan sugeruje, że mogę być nieszczery?

– Pan żartuje, komisarzu?

– Nie, panie inspektorze.

– Przynajmniej jest pan konkretny, a tę cechę sobie cenię. Nie sugeruję, że ma pan zamiar kłamać, ale w związku z zaistniałą sytuacją wolę się upewnić, czy za godzinę albo dwie nie spotka mnie kolejna niespodzianka. Chyba pan dostrzega, w jakiej sytuacji postawił mnie pan przed moimi ludźmi…?

– Nie mam zamiaru kłamać.

– To dobrze.

– Ale z niespodziankami niczego nie gwarantuję…

– Coś konkretnego ma pan na myśli?

– Mogę zapalić?

– Zwykle nie pozwalam palić moim ludziom we własnym gabinecie, ale ta sytuacja jest wyjątkowa. Nie mam tylko popielniczki, ale… – Czarnecki sięgnął po kubek z resztką kawy i podsunął go rozmówcy – …prokurator Lis zawsze zapomina zabrać swoje śmieci. Przyzwyczaiłem się do tego.

– Dziękuję. – Brudny przypalił papierosa. – Proszę pytać, choć może się pan rozczarować.

– Zobaczymy.

– Jestem do pana dyspozycji.

Czarnecki rzucił Brudnemu wyzywające spojrzenie. Trochę surowe, nieco ojcowskie, sygnalizujące, kto tu rządzi. Igor znał wszystkie sztuczki doświadczonych gliniarzy, ale inspektor zrobił na nim spore wrażenie. Z pewnością przesłuchał tysiące osób i znał się na robocie.

– Nie odpowiedział pan na poprzednie pytanie. Dlaczego mi pan nie gwarantuje, że nie spotkają mnie kolejne niespodzianki?

– Myślę, że pan wie, inspektorze.

– Wolę to usłyszeć od pana, komisarzu. Poza tym prosiłbym odpowiadać na pytania. Konkretnie.

– Dobrze zatem. Wyartykułuję to tak jasno, jak potrafię. – Brudny zaciągnął się papierosem. – Facet na filmie wygląda identycznie jak ja i jest to dla mnie równie wielkie zaskoczenie jak dla pana i wszystkich pana ludzi. Nigdy wcześniej go nie widziałem i nigdy wcześniej o nim nie słyszałem. A teraz ten doktorek wlazł ze swoimi brudnymi buciorami w moje życie i sprawił, że właśnie z panem rozmawiam, choć mógłbym dalej posuwać moją piękną dziewczynę i pić zimne piwo w moim tanim mieszkaniu na Saskiej Kępie. W tej chwili nie wiem nic więcej, ale mam

zamiar się dowiedzieć. I nie wyjadę stąd, póki nie zrozumiem, o co tu, kurwa jego mać, chodzi.

Czarnecki wysłuchał rozmówcy, ale pomimo pewnej dozy ekspresji, która pojawiła się w jego wypowiedzi, zachował stoicki spokój. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień na nieco już pokreślonej zmarszczkami twarzy, wciąż nie odrywał spojrzenia od oczu Brudnego.

– Rozumiem, to sporo wyjaśnia – odparł po dłuższej chwili. – Ale oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę pana włączyć do mojego zespołu…

– Co nie znaczy, że nie może mnie pan informować.

– To zależy od pana, komisarzu.

– Nie będę wchodził panu w drogę, inspektorze, ale ten facet najpewniej jest moim bratem bliźniakiem. Rozumie pan, że będę krążył obok tej sprawy…

– Jeśli zachowa pan dystans, to może się dogadamy.

– Proszę dać mi jedynie podstawowy dostęp. Chciałbym zobaczyć te bachusiki, porozmawiać z rodziną…

– Wolałbym, aby pan się nie kręcił po mieście. Wie pan, co się stanie, gdy media się o panu dowiedzą?

– I tak się dowiedzą. To tylko kwestia czasu.

– Akurat tu ma pan rację, komisarzu. Postaram się, aby ta informacja wyszła od nas, żeby była kontrolowana. Ale jeśli chce pan, aby nasza współpraca nie wysypała się na pierwszym wirażu, to sugeruję na bieżąco mnie informować. I w żadnym wypadku nie może pan rozmawiać z mediami.

– Media to nie moja bajka, może pan spać spokojnie. Jak z tym dostępem, inspektorze?

Czarnecki wziął głęboki oddech, złączył palce obu dłoni i trwał tak przez chwilę.

– Wiem, że i tak pana nie powstrzymam, a zamknąć na dłużej niż czterdzieści osiem godzin nie mogę. Ma pan zbyt silną motywację, a do tego niezbywalne prawo do tego, aby odkryć prawdę o swojej rodzinie. Dlatego przychylę się do pana prośby i dam panu podstawowy dostęp, ale proszę nie nękać moich ludzi za moimi plecami i informować mnie, jeśli znajdzie pan cokolwiek, co mogłoby się przydać w śledztwie. Co drugi dzień może pan przyjść po spotkaniu mojego zespołu, aby dowiedzieć się więcej. Na ten temat rozmawia pan tylko ze mną. Oczywiście może pan liczyć tylko na tyle, ile uznam, że jestem w stanie panu zdradzić. Zaufanie wymaga czasu. Zgadza się pan na te warunki?

– Jest pan rozsądnym człowiekiem, inspektorze. Zgadzam się.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Brudny pomyślał, że trafił na odpowiedniego człowieka na odpowiednim miejscu. Lubił takich ludzi i bardzo cenił, nawet jeśli w większości kwestii prywatnych różnili się diametralnie. Brudny cenił profesjonalistów i z tego, co mógł wywnioskować po tej krótkiej rozmowie, Czarnecki również. Ta kooperacja wcale nie musiała być taka zła.

– Jeśli mamy współpracować, jako starszy stopniem i wiekiem sugeruję, abyśmy zrezygnowali z komisarzowania i inspektorowania. Nazywam się Romuald Czarnecki.

– A ja Igor Brudny. Komisarz Igor Brudny.

Ta odpowiedź najwyraźniej po raz pierwszy zbiła z tropu dotąd pewnego siebie inspektora. Dla Brudnego ta propozycja wykraczała poza ustalone ramy, burzyła postawiony mur i sprawiała, że czuł się osaczany już na starcie. Czarnecki tego nie wiedział, ale odmowę przyjął ze zrozumieniem.

– Dobrze komisarzu Brudny. Zanim pan wyjdzie…

– Tak?

– Nie będzie miał pan nic przeciwko, aby technicy pobrali od pana odciski palców i próbki DNA?

– Teraz?

– Tak. Teraz.

– Dobrze. Tylko proszę dać znać, jak przyjdą wyniki.

– Może pan spać spokojnie… komisarzu Brudny.

Rozdział 4

To była typowa psia pogoda. Temperatura oscylowała w granicach sześciu, siedmiu stopni, a niebo pokryła gruba warstwa stalowych chmur, które raz za razem otwierały swoje trzewia i spuszczały miliony zalegających litrów wody wprost na głowy przeklinających przechodniów.

Brudny stał w korku. Sznur samochodów ciągnął się od ulicy Wrocławskiej przy Galerii Focus Mall w kierunku skrzyżowania ze Strzelecką. W lokalnym radiu niejaki Jacek Biały zachęcał do wybrania się na mecz koszykówki, a wycieraczki wściekle zbierały wodę z przedniej szyby, choć nie miały najmniejszych szans w starciu z szalejącym żywiołem. Minęło jeszcze dobrych kilkanaście minut, zanim nissan patrol skręcił na parking starego hotelu Pod Dębem mieszczącego się na południowym krańcu Zielonej Góry. Komisarz pamiętał go jeszcze z życia numer jeden, gdy zamieszkał w nim po opuszczeniu pewnej placówki opiekuńczo-wychowawczej, o której zawsze chciał zapomnieć, ale nigdy nie potrafił. Ku jego zdziwieniu hotel wciąż istniał i miał się całkiem dobrze, działała też znajdująca się tuż obok strzelnica należąca do Gwardii, klubu sportowego o wielkich tradycjach. Brudny nie był sentymentalnym typem, ale poczuł lekki dreszcz, gdy wysiadł z samochodu i stanął obok starego budynku, w którym podjął decyzję o rozpoczęciu życia numer dwa. Od tamtego czasu, roku milenijnego, w którym większość ludzi planowała wielkie zmiany i rzadko kiedy dotrzymywała danych sobie obietnic, on postanowił opuścić to miasto i nigdy do niego nie wracać. Prychnął na

myśl, że znów stoi w tym samym miejscu co przed laty. Człowiek mógł sobie obiecywać, ale życie i tak zawsze pisało dla niego własne scenariusze.

W wejściu minął parę Niemców w podeszłym wieku, ale zignorował ich. Nigdy nie udawał. Gardził nieszczerymi powitaniami, pozorowanymi dyskusjami i nie miał zamiaru tego zmieniać nawet w stosunku do cudzoziemców, którzy po powrocie do swojego kraju mogliby skomentować polską gościnność w niewybrednym stylu.

Poprosił o tani pokój z widokiem na parking. Miał na głowie czapkę i duże ciemne okulary, mimo to obserwował recepcjonistkę z uwagą. Na tabliczce przy bujnej piersi widniało imię Andżelika i jego zdaniem idealnie pasowało do tej młodej kobiety ze sztucznymi rzęsami i przedłużanymi włosami. Sprawiała wrażenie wyjątkowo zblazowanej, wątpił też, aby programy informacyjne należały do kanonu jej ulubionych. Andżelika rzeczywiście nie była nim specjalnie zainteresowana, zerknęła tylko na dowód osobisty i po przyjęciu opłaty za pierwsze trzy dni pobytu podsunęła blankiet rejestracyjny. Brudny wypełnił go i ruszył do pokoju dwieście siedemnaście.

Nie spodziewał się luksusów i takowych nie zastał, ale właśnie dlatego płacił za noc niecałą stówę z podatkiem. Pokój był mały, ale czysty. Podwójne łóżko (klasycznych jedynek nie mieli), szafa na ubrania, szafka z płaskim telewizorem, a na nocnej kwiatek i butelka z wodą. Brudny postawił walizkę przy ścianie, rozebrał się i wziął gorącą kąpiel. Następnie zamówił mocną kawę i przetrawił w umyśle ostatnie godziny swojego życia. Zdał sobie sprawę, że nie był przygotowany na taki rozwój sytuacji. Cóż za ironia losu, że jako dziecko zawsze marzył o tym, aby mieć rodzinę, a dziś drżał na samą myśl o tym, że będzie musiał stanąć twarzą w twarz ze szwagierką i bratanicą. O samym bracie nie wspominając, bo choć przerobił

już kilkadziesiąt hipotetycznych scenariuszy takiego spotkania, to wciąż nie wiedział, czy powinien go uściskać, czy dać mu w mordę.

Z zamyślenia wybił go dźwięk dzwoniącego telefonu.

– Cześć, Oka – przywitał się.

– Cześć, jak leci, skarbie?

– W porządku.

– Nie zamknęli cię? – Kobieta po drugiej stronie zachichotała.

– Jeszcze nie, ale mało brakowało.

– O Chryste Panie, poważnie?

– Daj spokój, mała. Żartuję.

– Głupi jesteś.

– To ty zaczęłaś…

– Skarbie, nigdy bym nie chciała, abyś trafił za kratki. Wiesz przecież…

– Wiem, Oka. Poczekaj chwilę.

Brudny odchylił firankę. Tak jak podejrzewał, srebrna astra z dwoma tajniakami wciąż stała pod dębami na miejscu parkingowym usytuowanym przy wjeździe na teren hotelu. Czarnecki doczepił mu ogon, ale w jego sytuacji on zrobiłby to samo, dlatego nie miał do inspektora pretensji.

– Co się dzieje? – spytała Szczypenko nieco zlęknionym tonem.

– Nic, mała. Wszystko okej.

– Oglądałam wiadomości w głównych kanałach. Wszędzie pokazują twarz tego faceta i mówią, że może być bardzo niebezpieczny. Boję się, że…

– Oka, daj spokój. Jestem dorosły. Na razie wszystko wygląda nieźle, w dodatku chyba trafiłem na rozsądnego prowadzącego. Facet ma łeb na karku i myślę, że się z nim dogadam.

– To chyba dobrze.

– Tak, to dobrze. Oka, muszę kończyć.

– Rozumiem. Uważaj na siebie, Igor.

– Ty też, Oka. Pa.

– Braku…

Szczypenko nie zdążyła dokończyć, bo Brudny się rozłączył. Gdy jeszcze przez następnych kilkanaście sekund tępo gapiła się w ekran smartfona, on już sprawdzał broń i rozmyślał nad tym, czy od razu zgubić śledzących go policjantów, czy trochę poudawać i pozwolić się odrobinę poganiać. Wybrał to drugie. Nie było sensu wkurzać Czarneckiego już na starcie, zresztą na razie nie miał zamiaru robić rzeczy, które chciałby ukryć przed wścibskim okiem inspektora i jego ludzi.

Brudny ubrał się i dopił kawę. Zerknął na parking. Srebrna astra wciąż stała na posterunku. Wyciągnął telefon i wybrał numer Zawadzkiej.

– Cześć, Julka.

– Cześć, Igor.

– Sprawdziłaś tego Czarneckiego?

– O tyle o ile. Daj mi jeszcze kilka godzin, ale chyba wygląda na porządnego glinę.

– Też mi się tak wydało.

– Facet prowadził grube sprawy. Dwie jego roboty naprawdę robią wrażenie. Chcesz poznać szczegóły?

– Tak, ale później. Coś na temat Trochana?

– W sumie nic takiego. Wiesz, normalny, pracowity, rodzinny gość. Bez kartoteki, tylko kilka mandatów. Żadnych kochanek czy problemów finansowych, regularnie płaci podatki. Wygląda na wzorowego obywatela.

– A akt urodzenia?

– I tu robi się ciekawie, bo miejsce urodzenia to – uwaga – Moskwa.

– Ooo…

– Też się zdziwiłam i przejrzałam akta jego rodziców. Ojciec to niejaki Olgierd Trochan, emerytowany wojskowy lekarz i zatwardziały komunista, który w tamtym czasie pracował właśnie w Moskwie. Próbowałam skontaktować się z tamtym szpitalem, ale natrafiłam na mur milczenia. Nie dokopałam się na razie do niczego konkretnego, zwłaszcza na temat matki, Joanny z domu Bródka. I nie mam żadnych dowodów, że w tamtym czasie przebywała w ZSRR. Ale daj mi więcej czasu, to pogrzebię. Czuję, że czeka nas sporo niespodzianek.

– Dzięki, Julka. Jesteś wielka.

– Nie ma sprawy. A u ciebie wszystko gra?

– Tak. Jadę zobaczyć te figurki.

– Powodzenia. I uważaj na siebie, Igor.

– Dzięki. Ty też. Na razie.

– Pa.

Brudny po raz ostatni spojrzał przez okno. Nie działo się nic podejrzanego, a astra wciąż stała w tym samym miejscu. Wolał jednak trzymać rękę na pulsie. Nie wierzył w zbiegi okoliczności i cała ta sprawa cuchnęła na kilometr. Był przekonany, że tu nic nie jest takie, jak się wydaje. Bez wątpienia ktoś pociągał za sznurki. Pytanie brzmiało, kto i jaka w tym wszystkim była jego rola.

Przeładował broń i wcisnął ją za pasek. Chwilę później, z gazetą nad głową, truchtał w kierunku swojego wozu.

Uruchomił silnik, wycieraczki zebrały wodę z przedniej szyby. Z głośników popłynął słynny kawałek grupy Queen *Bohemian Rapsody*. Lubił Freddy’ego Mercury’ego. Facet miał głos i charyzmę, której dziś brakowało większości pseudoartystów promowanych na siłę przez bogate wytwórnie.

I’m just a poor boy, nobody loves me
He’s just a poor boy from a poor family
Spare him his life from this monstrosity
Easy come, easy go, will you let me go?

Freddy śpiewał. Deszcz nie odpuszczał. Brudny powoli wykręcił i przesunął wajchę prawego kierunkowskazu. Kątem oka dostrzegł, że srebrna astra włączyła reflektory. Niespiesznie ruszył w dół ulicy Strzeleckiej.

So you think you can stone me and spit in my eye?
So you think you can love me and leave me to die?

Ostatni akord utworu jak zwykle został przez prezentera sprofanowany, ale Brudny był do tego przyzwyczajony. Gardził takimi amatorami, ale nie wściekał się, bo z założenia nie denerwował się na rzeczy, na które nie miał wpływu. Nauczył się tego przez osiemnaście lat życia numer jeden. Gdy człowiek nie mógł o czymś decydować, lepiej dla niego, aby przyjął werdykty losu z otwartą przyłbicą. I dalej robił swoje.

Gdy dojechał na parking sądu okręgowego, ulewa zelżała i zastąpiła ją nieprzyjemna mżawka. Wszystkie miejsca były zajęte, więc opuścił parking i poszukał wolnego w okolicy nieistniejącego już starego kina Wenus. Paskudny postkomunistyczny gmach zastąpił nowoczesny, pomalowany na czerwono obiekt, w którym dziś znajdowało się planetarium, jak doczytał na frontowej ścianie, pełna jego nazwa brzmiała Centrum Nauki Keplera Planetarium Wenus. Zastanawiał się, ile jeszcze podobnych niespodzianek spotka go po drodze. Na kilka już się natknął, choćby na wielką galerię Focus Mall, która stanęła w miejscu niegdysiejszego symbolu miasta,

słynnej fabryki tkanin Polska Wełna. To właśnie tam utknął w korku ciągnącym się aż pod hotel, gdzie się zatrzymał.

Brudny wysiadł z samochodu i zapalił papierosa. Wciąż siąpiło i było dość wietrznie, ale z każdą minutą pogoda trochę się poprawiała. Kontrolnie rozejrzał się po okolicy i przepuścił srebrną astrę, która przejechała mu tuż przed nosem i stanęła kilkadziesiąt metrów dalej. Kupił bilet parkingowy, włożył go za szybę i skierował się w stronę ratusza. Mijał kolejne kamienice, a pamięć mimowolnie odtwarzała znane mu obrazy. Z zadowoleniem przyjął, że jego ulubiona pizzeria Koloseum wciąż stoi na miejscu i najwyraźniej ma się całkiem dobrze. Pomyślał, że zje w drodze powrotnej i sprawdzi, czy dalej dają tyle pysznego sera co kiedyś.

Przeszedł przez plac Pocztowy, następnie ruszył ulicą Pod Filarami w stronę ratusza. Po drodze minął zaledwie kilkunastu przechodniów, którzy zaciskając kołnierze kurtek i płaszczów, szybkim krokiem podążali w sobie tylko znanych kierunkach. Ta okolica nie zmieniła się tak bardzo. Gdzieś pojawił się nowy kebab, gdzie indziej księgarnia zmieniła się w aptekę, klimat pozostał jednak ten sam.

Droga nie była długa i po kilku minutach dotarł do centralnego punktu. Strzelista wieża ratusza nie zmieniła się ani trochę, podobnie jak okalające ją kamienice, które może stały się tylko trochę bardziej kolorowe. Już z daleka dostrzegł biały namiot oklejony policyjnymi taśmami. Obok krążyło dwóch mundurowych. Gdy podszedł bliżej, dostrzegł, że to młodzi posterunkowi. Nie wyglądali na zbyt lotnych, ale Brudny wolał od razu z nimi porozmawiać, aby nie wprowadzać niepotrzebnego zamętu. Zgasił niedopałek w pobliskim koszu na śmieci i zbliżył się do policjantów.

– Dzień dobry. Komisarz Igor Brudny. Chciałbym zajrzeć do środka namiotu – oznajmił tonem, jakby co najmniej był włączony w sprawę i kierował postępowaniem. Zanim niższy z nich, o pucołowatej twarzy

i niemodnym wąsiku, zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Brudny wyciągnął odznakę i przystawił mu niemal pod sam nos.

– Dzień dobry, komisarzu – odparli jak jeden mąż, ale nic więcej nie dodali. Wpatrywali się w niego jak piętnastolatkowie, którzy właśnie po raz pierwszy w życiu zobaczyli na żywo kobiece cycki.

Brudny podziękował w myśli Czarneckiemu, który z pewnością uprzedził ich o jego przybyciu. Bez wątpienia się go spodziewali, w przeciwnym razie pewnie by spanikowali i próbowali go aresztować.

– Mogę zadzwonić do inspektora… – rzucił zniecierpliwionym tonem.

– Nie, nie trzeba – odezwał się „wąsik”. – Inspektor Czarnecki mówił, że komisarz może się pojawić. Tylko…

– Tylko co?

– Komisarz rzeczywiście jest bardzo podobny do tego doktorka…

– Macie z tym jakiś problem, posterunkowy?

– Nie, przepraszam, nie o to mi chodziło, komisarzu.

– Skupcie się na pracy, posterunkowy.

– Tak jest, komisarzu.

Brudny pomyślał, że policja z każdym kolejnym rokiem schodzi na psy. Obaj mundurowi wyglądali, jakby dopiero co opuścili zakład dla niedorozwiniętych umysłowo i na pewno nie wzbudzali respektu wśród obywateli. Wątpił, aby byli w stanie złapać kulawego złodzieja damskich torebek, a co dopiero prawdziwego bandytę.

– Nie wspominajcie o tym spotkaniu po służbie, czy to jasne?

– Tak jest, komisarzu.

Nie wyglądali też na takich, co potrafią trzymać język za zębami, i był niemal pewny, że wypaplają wszystko przy pierwszej okazji. Ale w sumie to już był problem Czarneckiego, dlatego obrócił się na pięcie i skierował w stronę namiotu.

Uniósł krzyżujące się w wejściu taśmy policyjne i pchnął plastikową płachtę. Namiot miał około dziewięciu metrów kwadratowych, ale taka powierzchnia w zupełności wystarczyła, aby zabezpieczyć bachusika i jego najbliższą okolicę. Brudny przetarł dłonią zroszony zarost. Nie spodziewał się zdobyć wielu informacji, wszystko i tak zostało już dawno zabrane przez techników policyjnych, od odcisków palców po najdrobniejsze włókna czy grudki błota, jakie mogły wypaść spomiędzy rowków na podeszwie buta podejrzanego. Tak naprawdę Brudny zjawił się tu tylko po to, aby spróbować wczuć się w umysł człowieka, który wpędził go w to całe bagno. Gdy przyglądał się figurce, przyszła mu do głowy absurdalna myśl. Wyobraził sobie, że rzeźnik powrócił na miejsce kultu. A gdy tylko zamknął oczy, poczuł, jak wszystkie wnętrzności wywracają mu się na drugą stronę. I zobaczył to wykrzywione oblicze, niewyraźne, ale pełne wściekłości i zgrozy. To oblicze, przez które budził się przed laty zlany potem, a starsi koledzy drwili z niego i tłukli go tak mocno, że cierpła skóra i trzeszczały kości.

– Niech to szlag – zaklął pod nosem, trzymając się za brzuch.

Spodziewał się wszystkiego, ale nie tego. Postać ze snów opuściła go krótko po wyjściu z sierocińca i do tej pory nie wracała. Prześladujące go widziadło uznał za sumę wszystkich strachów, imaginację młodzieńczego umysłu, który bronił się przed surowymi siostrami i starszymi kolegami. Dlaczego wróciło właśnie teraz?

– Wszystko w porządku, komisarzu?

Brudny nie dostrzegł, jak chwilę wcześniej plastikowa płachta uniosła się i do środka wszedł jeden z posterunkowych.

– Tak – odparł przez zaciśnięte zęby, na szczęście ból odpuszczał.

– Czegoś pan potrzebuje, komisarzu?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

Brudny gwałtownie podniósł się i zmierzył posterunkowego srogim spojrzeniem. Policjant w barkach był jak trzcina cukrowa i komisarz zastanawiał się, jak to możliwe, aby zdał podstawowy egzamin sprawnościowy. Miał nie więcej niż dwadzieścia kilka lat i przez moment szukał właściwych słów.

– Gdyby pan chciał, komisarzu, to możemy uprzedzić kolegów z Żeromskiego, żeby nie musiał pan…

– Dobry pomysł. Zrób to, przyjacielu.

– Oczywiście, komisarzu.

Posterunkowy połączył się przez krótkofalówkę z partnerami pilnującymi drugiego namiotu i w kilku słowach poinformował, że wkrótce pojawi się mężczyzna w czarnym płaszczu i czapce, który przedstawi się jako komisarz Brudny. I żeby nie robili mu żadnych problemów.

– Dobra robota. Dzięki, panowie.

– Służba, komisarzu – odparł pucołowaty, a drugi dorzucił coś o „przyjemności”, ale tego Brudny już nie dosłyszał, bo znajdował się dobre kilka kroków dalej.

Do kolejnego bachusika dotarł po dwóch minutach. Posterunkowi rzeczywiście byli przygotowani na jego wizytę, pierwsi przywitali się i nie wpatrywali się tak w jego gębę jak „wąsik” i „trzcina”. Brudny wszedł do namiotu, ale spędził w środku jeszcze mniej czasu. Obejrzał figurkę, omiótł wzrokiem okolicę i wyszedł na zewnątrz. Tym razem nic niespodziewanego się nie wydarzyło. Zamienił jeszcze zdanie z posterunkowymi, poklepał jednego z nich po ramieniu i pożegnał się. Wracając, zaszedł jeszcze do centrum turystycznego w ratuszu, w którym poprosił o coś na temat historii bachusików. Czapkę zsunął aż na brwi.

– Przykro mi, ale mapki szlaku bachusików skończyły się dziś przed południem – rzekł młody chłopak w okularach z jaskrawą oprawką i fryzurą bardziej pasującą do lat siedemdziesiątych.

– Na pewno ma pan coś pod ladą…

– Przysięgam, nic a nic. Wie pan, to morderstwo wstrząsnęło miastem i ludzie rzucili się na bachusiki jak dzicy, a nie mieliśmy mapek zbyt wiele. Szkoda, że akurat z tego powodu, ale cóż…

Brudny wyciągnął blachę i podsunął chłopakowi pod nos.

– A teraz coś się znajdzie?

– Pan z policji?

– A wygląda na odznakę fryzjera?

– No nie… Ale mógłbym zobaczyć legitymację służbową?

Brudny rzadko pozwalał sobie na podobne dygresje, ale czasami po prostu nie mógł się opanować. Ludzie bardzo różnie reagowali na policyjną odznakę, a najdziwniej ci, którzy mieli coś do ukrycia. Ten młodzian go jednak zaskoczył. Nie wyglądał na tak rezolutnego, jaki był w rzeczywistości. Komisarz wyciągnął legitymację i położył ją na ladzie. Chłopak omiótł ją wzrokiem.

– Sprawdzę w magazynie – rzekł i ruszył na tyły.

– Jak wykręcisz dziewięć, dziewięć, siedem, to nie zapomnij zapytać o inspektora Czarneckiego.

Młody zatrzymał się w pół kroku. Przez moment stał, jakby zapuścił korzenie, następnie odwrócił się i wbił wzrok w komisarza.

– To prawdziwa legitymacja, chłopcze. Wiem, że jestem podobny do podejrzanego z kamer monitoringu, ale to nie ja. I byłbym wdzięczny, gdybyś nie rozpowiadał o tym na lewo i prawo, bo możesz zostać oskarżony o utrudnianie śledztwa. Chcesz wiedzieć, co grozi za utrudnianie śledztwa?

– Przyniosę mapkę…

Po chwili chłopak zniknął za drzwiami drugiego pomieszczenia. Brudny rozejrzał się po wnętrzu. Salka była dość przestronna, a pośrodku wspierały ją solidne kolumny. Na ścianach wisiały stare mapy, obrazy i zdjęcia Zielonej Góry. Z rogu dochodził dźwięk palców namiętnie stukających w klawiaturę. Zanim Brudny zdążył wychylić się zza filaru, za ladą pojawił się chłopak z włosami à la John Lennon.

– Proszę bardzo. Moja prywatna – rzekł i wręczył Brudnemu trochę już sfatygowaną mapę bachusików.

– Doceniam to, przyjacielu. Ile płacę?

– Udostępniamy je za darmo.

Brudny rozłożył mapę na ladzie. Omiótł wzrokiem z jednej i drugiej strony.

– Znasz się na tym?

– Na czym?

– Na tych bachusikach, historii miasta i tak dalej…?

– Chyba tak.

– Odpowiedziałbyś mi na kilka pytań, gdybym tego potrzebował?

– To zależy?

– Od czego? – Brudny przeniósł wzrok na twarz chłopaka.

– Czy pan pyta jako policjant, czy jako osoba prywatna?

Brudny uniósł brew, ale nie spuścił wzroku z chłopaka. Dał mu szansę, którą ku jego zdumieniu młodzian natychmiast wykorzystał.

– Z tego, co zdążyłem zauważyć, jest pan komisarzem stołecznej policji, a nie lokalnej. I jeśli pyta pan służbowo, w co szczerze wątpię, to będę musiał odpowiedzieć, ale jeśli nie, to nie, i będę mógł zażądać odpowiedniej gratyfikacji za udzielenie tak szczegółowych informacji, prawda?

Brudny uśmiechnął się pod nosem. Sto razy bardziej wolał takich ludzi niż przygłupów, z jakimi miał styczność przy pierwszym namiocie.

– Podobasz mi się, młody. Wezmę twoją wizytówkę… – Brudny sięgnął po niewielki prostokącik na ladzie – …i jeśli będę miał jakieś pytania, to się odezwę. Tu masz moją, tak w razie gdybyś poczuł niepohamowaną potrzebę podzielenia się jakąś interesującą informacją.

– Naprawdę jest pan bardzo podobny do doktora Trochana.

– Ale nikomu o tym nie mów…

– Osobiście nie wierzę w jego winę. Nawet go kiedyś poznałem, gdy robił zabieg mojej mamie. I od razu wiedziałem, że to nie pan. Jemu lepiej z oczu patrzy.

Brudny niemal parsknął śmiechem i pokręcił głową z niedowierzaniem. Rzadko kto potrafił mu tak poprawić humor.

– Marnujesz się tu, chłopie. Przy okazji, jak się nazywasz?

– Bartek. Bartek Zdun. I lubię swoją pracę.

– Komisarz Igor Brudny. I będę o tobie pamiętał.

Obaj mężczyźni podali sobie dłonie, po czym Brudny raz jeszcze podziękował za mapę i opuścił lokal. Wychodząc, pomyślał, że ten młody chłopak umilił mu dzień. I pozwolił zapomnieć o niespodziewanej wizycie nieproszonej postaci z przeszłości.

Gdy wyszedł z podziemi ratusza, słońce właśnie nieśmiało zaczęło wychylać się zza popielatych chmur, aby po chwili skąpać rynek w złotym blasku. Brudny poprawił ciemne okulary, włożył mapę bachusików za pazuchę i ruszył do samochodu. Po drodze nie omieszkał zahaczyć o swoją pizzerię, gdzie wybrał ulubioną pizzę – o dziwo menu przez wszystkie te lata zmieniło się nieznacznie – o niewybrednej nazwie „Śmierć na arenie” i spałaszował ją z ogromnym apetytem. Usiadł przy oknie, aby śledzący go

tajniacy dobrze go widzieli. Gdy zjadł, zostawił spory napiwek i w sklepie obok kupił paczkę gum miętowych.

Gdy wsiadał do samochodu, zerknął w lusterko wsteczne, aby się upewnić, czy Czarnecki nie przyczepił mu nowego, bardziej dyskretnego ogona. Po drugiej stronie ulicy dostrzegł tylko postawnego mężczyznę w garniturze, który właśnie wchodził do pizzerii. Miał ciemne okulary i kapelusz z rondem.

Brudny uruchomił silnik, raz jeszcze rozejrzał się po okolicy i nie dostrzegając żadnego zagrożenia, zwolnił pedał hamulca. Kolejnym punktem na jego mapie był Jędrzychów. Tę partię chciał rozegrać po mistrzowsku, ale oczywiście nic z tego nie wyszło.

Rozdział 5

Na dworze padał deszcz, a w salonie jednej z willi w podzielonogórskim Jędrzychowie siedziała kobieta o długich blond włosach i tępo gapiła się przed siebie. Czuła się, jakby orbitowała na skraju czarnej dziury, a wszystko, co znała i kochała, było bezpowrotnie zasysane do jej mrocznego wnętrza.

Anna Trochan należała do kobiet dumnych i twardo stąpających po ziemi. Po studiach we Wrocławiu, na których poznała Filipa, oboje wrócili w rodzinne strony. To była ich wspólna decyzja, bo od zawsze wszystkie decyzje podejmowali razem. Ceniła to w narzeczonym, z którym rok później złożyli sobie śluby miłości i wierności. Kochali się na zabój, ale przez następne trzy lata odwlekali decyzję o poczęciu potomka. Uzgodnili, że najpierw muszą skupić się na karierze, a gdy już osiągną pułap pozwalający im na spokojne i dostatnie życie, pomyślą o spłodzeniu dziecka.

W wieku trzydziestu lat Anna zaszła jednak przypadkiem w ciążę. Z początku miała mieszane uczucia, przecież dopiero co wystartowała z prywatną praktyką. Nie przestała jednak pracować i prawie do dziewiątego miesiąca przyjmowała pacjentów, a po urodzeniu Lenki szybko odstawiła ją od piersi i wróciła do gabinetu. Z przyjemnością i nutką zazdrości przyglądała się w tym czasie, jak jej mąż buduje i rozwija swoją klinikę, która po dziewięciu latach działalności stała się jedną z wizytówek miasta, a z szeroko pojętymi problemami stopy zwracali się do doktora

Trochana znani i lubiani w Polsce i za granicą. Choć Anna była bardzo ambitna, w pewnym momencie pojęła, że ten mikrowyścig szczurów nic dobrego nie przyniesie, zwłaszcza że oboje wyraźnie zaniedbali czas, który powinni poświęcić córeczce. Odpuściła więc i choć wciąż z powodzeniem prowadziła swoją praktykę, skupiła się na urządzeniu i pielęgnowaniu rodzinnego gniazda. I na sobie.

Do tej pory szło jej całkiem dobrze. Nauczyła się świetnie gospodarować czasem, w związku z czym nawet w mocno napiętym grafiku mogła znaleźć chwilę na kawę z koleżanką, pójście do fryzjera i na manikiur. Choć zawsze uważała się za urodziwą i wychodziła z założenia, że niczego jej nie brakuje, rozumiała, że w życiu każdej kobiety nadchodzi czas, w którym musi bardziej o siebie zadbać. Filip rzeczywiście ostatnio rzadziej zwracał na nią uwagę, później wracał do domu i coraz częściej wyjeżdżał na zagraniczne sympozja. Wątpiła, aby miał kochankę, nie odważyłaby się też przeglądać jego telefonu bądź skrzynki pocztowej. Postawiła więc sobie za punkt honoru, że znów rozbudzi w nim pożądanie, a gdy spędzą upojną noc, porozmawia z nim szczerze o tym, aby trochę odpuścił i więcej czasu poświęcił rodzinie.

Miała plan, który chciała zrealizować w środowy wieczór. Wcześniej niż zwykle ułożyła do snu Lenkę, następnie przygotowała kolację z owoców morza i otworzyła drogie wino. Włożyła seksowną i – w jej przeświadczeniu – mocno perwersyjną bieliznę i czekała na niego w pełnej gotowości. Chciała go zaskoczyć już w progu, sprawić, aby jego libido eksplodowało, a potem żeby dziko i namiętnie kochali się całą noc. Nie miała pojęcia, że Filip też miał taki plan…

Czekała do dziesiątej. Do tej pory zdążyła wypić pół butelki. W końcu zadzwoniła, ale telefon Filipa był poza zasięgiem. Pół godziny później spróbowała raz jeszcze, potem za kolejnych piętnaście minut, dziesięć, pięć.

Wściekła się, bo pomyślała, że robi z siebie wariatkę, a on pewnie pieprzy właśnie jakąś tanią ździrę. Uspokoiła się dopiero o północy, ale obawy o zdradę zmieniły się w lęk przed czymś jeszcze gorszym. Bo choć Filip potrafił się spóźnić, to zawsze wracał do domu przed dwunastą, chyba że wcześniej Annę uprzedził, że będzie inaczej.

Nie spała całą noc, a nad ranem, gdy Filip wciąż nie odbierał, zgłosiła sprawę na policję. Przez trzy dni drżała o jego życie i zdrowie, miała do siebie pretensję, że w irracjonalnym gniewie coś sobie uroiła, przywoływała nawet Boga. Próbowała nawiązać kontakt z mężem, wykonała kilkaset telefonów, zostawiła drugie tyle wiadomości. Filip zapadł się jednak pod ziemię, a mundurowi byli bezradni.

Minęły kolejne trzy dni, a ona siedziała w półmroku, bezsilnie obserwując, jak dziennikarskie hieny rozrywają jej męża, rodzinę i życie. Jej piękne, ułożone i stabilne życie, które legło w gruzach, a ona, cholerna doktor psychologii, nie miała pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Gdy sięgnęła po następnego papierosa, po raz kolejny zadzwonił telefon. Zablokowała już ze dwadzieścia numerów, głównie natrętnych dziennikarzy, ale nie wyłączyła aparatu. Chciała być w stałym kontakcie ze światem, przecież w każdej chwili mogły pojawić się jakieś nowe informacje na temat jej męża. Przypaliła papierosa, nie odrywając wzroku od wyświetlacza smartfona. Ten zamilkł, ale za chwilę znów zadrżał. Ten sam numer. Odebrała.

– Słucham?

– Pani Trochan?

– Jeśli jesteś dziennikarzem albo inną hieną, to sugeruję, żebyś wypierd…

– Komisarz Igor Brudny ze stołecznej policji.

– Tym bardziej!

Rozłączyła się, ale zanim zdążyła odłożyć smartfon, ten zabrzęczał jej w dłoni.

– Nie dzwonię oficjalnie. Mam dla pani ważną informację – oznajmił głos po drugiej stronie. Tym razem Trochan nie odważyła się przerwać połączenia.

– Czy coś wiadomo? Czy mój mąż…? – spytała niepewnie, ale urwała w połowie, Brudny usłyszał jej przyspieszony oddech. – Pan ze stołecznej policji?

– Chciałbym się z panią spotkać. To bardzo ważne.

– Ma pan jakieś nowe informacje? Co z moim mężem? – Komisarz wyczuł, że rozmówczyni jest roztrzęsiona.

– Mogę być u pani za pięć minut. Jest pani w domu?

– Tak.

– W takim razie do zobaczenia za chwilę.

Brudny rozłączył się i pstryknął niedopałkiem w kałużę. Wsiadł za kierownicę, włączył silnik i skasował nawigację. Nie była mu już potrzebna, bo zdążył sprawdzić adres, ale zawrócił z prostej przyczyny – zabrakło mu papierosów. A gdy już wszedł do osiedlowego sklepiku, pomyślał, że kupi też jakąś czekoladę dla małej. Bądź co bądź był jej wujkiem. I chyba już nie mógł nic z tym zrobić.

W tym samym czasie doktor psychologii zastanawiała się, czy aby na pewno dobrze zrobiła. Zorientowała się, że nie był to zwykły telefon z policji, dopiero gdy odłożyła komórkę na stół. Podeszła do okna i delikatnie uchyliła zasłonę. Zmrużyła oczy, bo przez ostatnie dni prawie w ogóle nie wyglądała na dwór. Żyła w półmroku jak wampirzyca, którą chciały z niej zrobić dziennikarskie sępy. Obserwowała przez moment drogę dojazdową, która prowadziła do jej rezydencji na skraju lasu. Stała tak w zawieszeniu przez dłuższy moment, cofnęła się dopiero wtedy, gdy

popiół z papierosa spadł jej na przedramię. Strząsnęła resztki ze swetra i poszła do łazienki. Spojrzała w lustro.

Anna Trochan z przykrością odnotowała, że naprawdę wygląda jak wampirzyca. Przetarła dłońmi dolne powieki i sięgnęła do kosmetyczki. Kilkoma wprawnymi ruchami poprawiła zaniedbany makijaż, następnie spięła w kitkę zmierzwione włosy. Gdy kończyła, usłyszała zbliżający się samochód. Silnik chodził na niskich obrotach i brzmiał jak podrasowany traktor. Podeszła do drzwi i spojrzała przez wizjer.

Mężczyzna nosił czapkę i duże ciemne okulary. Miał zdrowy, kilkudniowy zarost i kołnierz płaszcza postawiony na sztorc.

Wtedy coś ją tknęło. To było tak gwałtowne, że aż odskoczyła od drzwi i potrąciła nogą opartą o ścianę parasolkę, która upadając, wydała głuchy odgłos. Chwilę później rozległo się pukanie.

Trochan oddychała szybko i płytko. Zwykle była w stanie się opanować, jako że ludzkie emocje były obiektem jej codziennych badań. Tym razem kompletnie zgłupiała.

– Pani Trochan?

Anna raz jeszcze spojrzała przez wizjer, który niemal w całości przysłoniła policyjna odznaka.

– Pani Trochan, czy wszystko w porządku?

– Tak, już otwieram – odparła, po czym przekręciła zamek.

Brudny wszedł do środka. W przedpokoju panował półmrok, a w powietrzu unosił się znajomy zapach dymu papierosowego i wczorajszej pizzy. Trochan gestem zaprosiła go do salonu, ale wciąż trzymała się za jego plecami.

– Mam nadzieję, że ma pan dobre wieści, panie komisarzu…

– Brudny, komisarz Igor Brudny.

Brudny odwrócił się i ściągnął okulary, a potem czapkę. Trochan podniosła wzrok i w jednej chwili jej oczy zrobiły się wielkie jak piłeczki pingpongowe.

– Chryste Panie… – wymamrotała i pobladła, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. – Filip…?

– Nie, nie. Nie jestem Filipem. Wyglądam jak on, ale…

Nie zdążył dokończyć, gdy doktor Trochan rzuciła mu się na szyję i zaczęła całować jak długo niewidzianego kochanka. Wtedy chwycił ją za ramiona i odepchnął. Nie tak to sobie zaplanował, ale liczył się z tym, że będzie musiał improwizować.

– Filip, no coś ty?

– Nie jestem pani mężem, pani Trochan! – Potrząsnął nią lekko acz zdecydowanie.

– Filip, co oni ci zrobili? – Kobieta znów próbowała zbliżyć się do Brudnego, ale jej na to nie pozwolił.

– Jeszcze raz powtarzam, pani Trochan. Nie jestem pani mężem. Nazywam się Igor Brudny i jestem komisarzem stołecznej policji.

Trochan spojrzała na niego przytomniej. Omiotła go wzrokiem, chwilę dłużej zatrzymała się na bliźnie, która przecinała w połowie jego lewą brew. Uspokoiła się nieco, choć jej źrenice wciąż szalały. W pewnym momencie oczy zaszły jej łzami.

– O co tu chodzi? Kim pan jest, do jasnej cholery?

– Powtórzę raz jeszcze. Nazywam się Igor Brudny i pracuję w policji. Prawdopodobnie jestem też dotąd nieznanym bratem bliźniakiem pani męża.

– Czy to jest, kurwa, jakiś kiepski żart? Czy ja jestem, kurwa, w jakiejś zasranej ukrytej kamerze? – Trochan zupełnie się rozkleiła.

– Pani Trochan, proszę się uspokoić. Jestem tu po…

Brudny nie zdążył dokończyć, gdy na jego głowę spadł grad ciosów. Kobieta biła na oślep i łajała przez łzy, była rozjuszona i kompletnie rozbita emocjonalnie. Komisarz w końcu chwycił ją za przedramiona i przycisnął do siebie. Pomyślał, że córka nie może zobaczyć matki w takim stanie.

– Co to ma być, do jasnej cholery?

– Pomogę pani.

– To jest jakiś horror, to…

– Proszę usiąść, naleję pani wody.

Brudny usadowił gospodynię na kanapie i rozejrzał się po kuchni, która szczęśliwie była połączona z salonem. Instynktownie otworzył pierwszą z górnych szafek i chwycił kubek, który napełnił wodą z kranu. Podał go roztrzęsionej kobiecie.

– Gdzie pani córka?

– U matki. – Trochan machnęła dłonią. – Nie chciałam, aby oglądała mnie w takim stanie. Podobno dzieci wyczuwają emocje dorosłych…

– Nie mam dzieci, ale przyniosłem tę czekoladę. Dla córki.

Brudny wyciągnął zza pazuchy tabliczkę mlecznej z orzechami i wręczył ją wycierającej oczy Trochan.

– Dziękuję, ale i tak nie mogłaby zjeść. Jest uczulona na orzechy. – Trochan przyjęła upominek, a Brudny poczuł się jak głupek. Uważał się za zimnego sukinsyna, ale ta sytuacja przerosła nawet jego.

– Pan naprawdę jest bratem Filipa? – spytała i zmęczonymi oczami powiodła po twarzy komisarza.

– Jeszcze tego nie wiem na pewno, ale chyba tak. Sama pani widzi. Wyglądamy identycznie, a takie podobieństwa w przyrodzie raczej się nie zdarzają.

– Mój Boże… Filip nigdy nie mówił, że ma brata bliźniaka.

– Wątpię, żeby o mnie wiedział.

– Jak to?

– Ja dowiedziałem się o nim z kamer miejskiego monitoringu.

Trochan sięgnęła po papierosa, a Brudny go jej przypalił. Zaciągnęła się i wypuściła dym.

– Znów zaczęłam – bąknęła pod nosem. – Ale ta sytuacja mnie dobija. A teraz jeszcze to. To znaczy pan.

– Ta sytuacja mnie też skomplikowała życie.

– Skomplikowała… – żachnęła się Trochan.

– Przepraszam, nie to miałem na myśli.

– Proszę nie przepraszać. Nie po to pan tu przyszedł. Czego pan chce?

– Informacji.

– Przez te lata chyba sporo się nazbierało. – Trochan wstała i lekko chwiejnym krokiem skierowała się do kuchni. – Zaparzę kawę. Może być z ekspresu?

Brudny przytaknął, przynajmniej od godziny chodziło za nim podwójne espresso. Lubił i pił dużo kawy, od kiedy pamięta. Zawsze czarna, mocna, bez grama cukru.

– Proszę mi wybaczyć moje zachowanie – rzekła Trochan, czekając, aż kawa zacznie się nalewać. – Pewnie pan wie, że jestem psychologiem, ale chyba kiepskim, skoro nie potrafię zapanować nad samą sobą.

– To normalne, pani Trochan. Nie ma powodu czynić sobie wyrzutów.

– Człowiek żyje, planuje, stara się dbać o dom, rodzinę, pracę, a tu nagle „bam” i wszystko szlag trafia. A na koniec ze wszystkim zostaje sam.

To nie była pierwsza rozmowa tego typu, jaką Brudny przeprowadził podczas swojej kariery. Tak naprawdę dobry glina musiał być też dobrym psychologiem, bo świadkowie zbrodni rzadko kiedy byli przypadkowymi ludźmi z ulicy. Zwykle należeli do rodziny bądź przyjaciół zabójcy lub

ofiary, najczęściej ich obojga. Nigdy jednak nie przesłuchiwał jeszcze doktor psychologii, w dodatku swojej bratowej.

Brudny pozwolił wygadać się Trochan, poczekał też, aż wręczy mu kawę i wygodnie usiądzie w fotelu. Gdy uznał, że nadszedł dobry moment, wyciągnął notatnik i przeszedł do ofensywy.

– Mówiła pani, że doktor Trochan nigdy nie wspominał o bracie bliźniaku. Czy w ogóle opowiadał o przeszłości?

– Raczej rzadko. Nie lubił o tym rozmawiać, bo Filip jest dość zamknięty w sobie. Uważam, że to z powodu domu, w jakim się wychował. Jego ojciec Olgierd był takim surowo ciosanym typem, rozumie pan… Od kiedy pamiętam, Filip starał się mu zaimponować i zdobyć jego szacunek, ale nigdy się nie doczekał. Ojciec zmarł na zawał jeszcze przed naszym ślubem, tuż po tym, jak mąż zainwestował w klinikę. Myślę, że Olgierd nigdy nie obdarzył go prawdziwą miłością, a przynajmniej nie potrafił jej okazać, przez co Filip też ma z tym problem.

– Ufaliście sobie?

– Tak, bezgranicznie.

– Wątpi więc pani, aby mógł ukrywać przed panią taką informację?

– O bracie bliźniaku? W życiu. Filip był introwertykiem, ale nie kłamcą.

– A jego rodzice? Dobrze ich pani znała?

– Ojca słabo, tak jak mówiłam, był raczej nieprzyjemnym człowiekiem. Do tego nie lubił mnie i chyba nigdy nie zaakceptował. Z matką złapałam jakiś kontakt, choć nie należymy do psiapsiółek, rozumie pan…

– Ale czasem się spotykacie…

– Same nigdy. Kiedyś mi powiedziała, że trudno by jej było naturalnie rozmawiać z synową, która każde jej zdanie rozkładałaby później na części pierwsze i analizowała w zaciszu swojego gabinetu. Odczytałam to jako sygnał, że nie chce utrzymywać bliższych stosunków, i chyba się nie

pomyliłam. Powiedzmy, że nasze relacje są neutralne, a spotykamy się zwykle w rodzinnym gronie podczas świąt czy z innych okazji.

– Ma pani jakieś albumy ze zdjęciami z dzieciństwa męża?

– Tak, mogę je panu pokazać. Był naprawdę słodkim szkrabem.

– Nie chciałbym zabierać pani zbyt wiele czasu i byłbym wdzięczny, gdyby mi je pani pożyczyła na dzień lub dwa.

– Dobrze. I tak tylko się tu kurzą. Zresztą chyba ma pan do tego prawo…

Brudny usłyszał to dziś już po raz drugi. I sam nie był pewny, co o tym myśleć.

– Pani mąż urodził się w Zielonej Górze? – zapytał, choć kiepsko czuł się, pogrywając z kimś, kto teoretycznie mógł należeć do rodziny, której nigdy nie miał.

– Skoro jesteście bliźniakami, to chyba powinien pan wiedzieć, czyż nie? – Trochan nie dała się podejść.

– No właśnie to wszystko nie jest teraz takie oczywiste. Może pani odpowiedzieć?

– Mogę. To żadna tajemnica. – Wymownie machnęła ręką. – Filip przyszedł na świat w Moskwie. Mówiłam panu, że jego ojciec był nieprzyjemnym typem, ale nie wiem, czy wspominałam, że należał do partii. Nie wnikałam w szczegóły, bo na tym polu w ogóle się nie dogadywaliśmy. Zawsze miałam i mam do dziś kompletnie odmienne poglądy na te sprawy. – Trochan zgasiła papierosa i na moment zawiesiła się, jakby szukała czegoś głęboko w pamięci. – Wie pan… Temat urodzin i moskiewskiego życia tak naprawdę nigdy nie pojawiał się we wspominkach rodzinnych. W albumach Filipa nie ma też żadnego zdjęcia z Rosji. Trochę to chyba dziwne, prawda?

– Niekoniecznie, przecież…

– A pan ma jakieś zdjęcia z tamtych czasów?

– Chyba panią rozczaruję. Wychowałem się w sierocińcu.

– Oj, przepraszam. Nie chciałam…

– Proszę nie żartować. Jesteśmy dorośli. Podobno moja matka nie była gotowa mnie wychować, cokolwiek by to miało znaczyć…

– To naprawdę przykre i… bardzo dziwne. Akurat matce Filipa niczego w życiu nie brakowało. Chociaż po tym wszystkim, co pan opowiada, po tym, co się teraz dzieje, już nie jestem pewna czegokolwiek tyczącego się mojego męża, a zwłaszcza jego rodziny.

– Myśli pani, że mógłby zrobić coś złego innemu człowiekowi?

– Ma pan na myśli „zabić”? – Anna uniosła wzrok i spojrzała Brudnemu głęboko w oczy. – Nie, Filip nie byłby w stanie nikogo zamordować. A już na pewno nie wypatroszyć i porozrzucać jego flaki po centrum miasta. Dla mnie to w ogóle jakiś absurd. – Trochan upiła kolejny łyk kawy. – A pan, panie komisarzu? Co pan o tym myśli?

– Też nie wierzę w jego winę, jeśli o to pani pyta.

– Dobrze mieć kogoś po swojej stronie.

Rozmowa zaczęła zmierzać w kierunku, który Brudnemu przestał się podobać. Wątpił, aby rozmówczyni robiła to specjalnie i korzystała z wyuczonych umiejętności, w każdym razie nie skomentował jej ostatniej wypowiedzi, zamiast tego upił łyk kawy i wrócił do zadawania pytań.

– Czy pani mąż mógł mieć jakichś wrogów?

– Nie przypominam sobie. Nigdy nie wchodził innym w drogę, zwykle unikał jakichkolwiek starć.

– A może jakieś długi? Niespłacone kredyty?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Filip trzymał rękę na domowym budżecie, ale nie zauważyłam jakichś drastycznych ruchów finansowych na naszym

koncie. W ostatnim czasie naprawdę niczego nam nie brakowało. Przynajmniej pod względem finansowym.

– A konta firmowe?

– Do nich dostępu nie miałam. Ale naprawdę wątpię. Filip nie należał do ryzykantów czy jakichś spekulantów. Każdą złotówkę oglądał dwa razy, zanim ją wydał, a na sukces pracował naprawdę ciężko.

Brudny dopił kawę i zamaszystym ruchem podkreślił coś w swoim notatniku. Następnie zamknął go i schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Bardzo pani dziękuję, pani Trochan.

– Nie ma za co. W sumie miło było poznać szwagra…

– Czy mógłbym dostać te albumy? – Brudny wrócił do bardziej stanowczego tonu.

– Oczywiście… panie komisarzu.

Po jakiejś minucie Trochan wróciła do salonu z trzema pokaźnych rozmiarów albumami. Brudny stał już w przedpokoju. Wręczyła mu je i uśmiechnęła się.

– Zwrócę je najpóźniej pojutrze, jeśli to nie problem – rzekł, również siląc się na uśmiech, choć zwykle wychodziło mu to mało naturalnie.

– Może je pan zatrzymać tak długo, jak pan chce. Wierzę, że są w dobrych rękach.

– Dziękuję i do zobaczenia, pani Trochan.

– Do widzenia, komisarzu.

Trochan wyciągnęła smukłą dłoń. Brudny uścisnął ją delikatnie, po czym założył ciemne okulary i odwrócił się w kierunku samochodu. Zrobił kilka kroków, ale nie usłyszał, żeby drzwi się za nim zamknęły. Trochan stała i obserwowała go.

– Komisarzu Brudny! – zawołała, gdy był w połowie drogi do swojego patrola. Brudny się odwrócił. – Dziękuję. Pana wizyta dała mi nadzieję…

Komisarz przytaknął, ale nic nie odpowiedział. Postawił kołnierz płaszcza i ruszył w kierunku pojazdu. Myślami był już zupełnie gdzie indziej.

Rozdział 6

Inspektor Romuald Czarnecki pocałował żonę na do widzenia i wyszedł z mieszkania. Wsiadł do swojego pięcioletniego renault megane, włączył silnik i przepuściwszy sąsiada, pomału wyjechał z parkingu.

W radiu znów mówili o doktorze Trochanie, w relacji mediów w zasadzie już skazanym i ukamienowanym. To bardzo irytowało inspektora, ale dawno nauczył się z tym żyć. I choć w podobnych sytuacjach tęsknił za czasami słusznie minionymi, w których to policja i prokuratura decydowały, co można, a czego nie można powiedzieć i napisać, to rozumiał, że kijem rzeki nie zawróci.

Dochodziła osiemnasta, miasto powoli pogrążało się w półmroku. Niebo znów pokryła gruba warstwa chmur, przez co przybrało ołowiany kolor. Nie lubił go, kojarzył mu się z czymś nieprzyzwoitym i nikczemnym. Jak ludzka natura, która w krytycznych momentach zwykle ujawniała swoją mroczną stronę. Przekonał się o tym nie raz i nie dwa. Trzydzieści lat w policji wystarczyło, aby przestać się oszukiwać. Człowiek był drapieżcą i to nie zmieniło się od tysiącleci.

Na miejsce dotarł, gdy zrobiło się już całkiem ciemno. Wziął pod pachę aktówkę i szybkim krokiem wszedł po schodach prowadzących do gmachu komendy miejskiej. Machnął portierowi i poszedł na drugie piętro do przydzielonego mu na czas śledztwa gabinetu. Do spotkania z Piotrem Wanią, dziennikarzem „Gazety Lubuskiej”, miał jeszcze kwadrans. Umówił się z nim zaraz po porannej naradzie swojego zespołu, bo choć potem

zwołał na następny dzień konferencję prasową, to wolał wywiedzieć się, co w trawie piszczy.

Zrobił sobie kawę i dokonał szybkiej analizy dnia. Czuł, że śledztwo nie będzie łatwe, i przekonał się o tym już w południe, kiedy zadzwonił do niego lekarz sądowy i potwierdził przypuszczenie, że pozostawione przez podejrzanego narządy należą do dwóch osób, a nie do jednej. A dokładnie dwóch mężczyzn między pięćdziesiątym piątym a sześćdziesiątym piątym rokiem życia, którzy raczej przesadnie nie dbali o zdrowie. Najwyraźniej było to widać po zniszczonej wątrobie, której oględziny wykazały, że jej posiadacz nie wylewał za kołnierz, pozostałe narządy wewnętrzne również nosiły ślady nader „aktywnego” stylu życia. Komplet tych faktów pozwalał podejrzewać, że jeden z tropów może być trafiony. Czarnecki miał nadzieję, że jeszcze dziś to przypuszczenie zostanie potwierdzone.

Poza tym inspektor stał w miejscu, nie licząc dodatkowego problemu w postaci pewnego komisarza, który od przyjazdu nie zasypiał gruszek w popiele i choć na razie trzymał się umowy, sprawiał wrażenie faceta, którego niełatwo będzie utrzymać na krótkiej smyczy. Czarnecki zastanawiał się, jak Brudny poprowadził rozmowę z Anną Trochan. Jakkolwiek nie było mu to na rękę, nie mógł mu zabronić wizyty u bratowej, nawet jeśli nigdy wcześniej nie mieli okazji się spotkać.

Rozmyślania przerwał mu sygnał telefonu. Czekał na niego. Dzwonił podinspektor Grzegorz Zimny.

– Cześć, Grzegorz. Powiedz, że masz dobre wieści.

– Nie mnie to oceniać, ale dzwonili z „zaginionych”.

– Mów.

– To był dobry trop. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zaginęło dwóch mężczyzn. Zgadnij, czym się zajmowali i w jakim byli wieku?

– Dawaj, dawaj. To nie zgaduj-zgadula.

– Pierwszy to niejaki Zenon Kowalski, lat pięćdziesiąt dziewięć, kierowca autobusowy z Krosna Odrzańskiego. Drugim jest emerytowany już budowlaniec z Sulechowa, Zdzisław Boruch, lat sześćdziesiąt jeden.

– No to chyba mamy potencjalne ofiary.

– Już wysłałem ludzi, żeby jeszcze dziś popytali rodzinę i znajomych. Szykować ekipę poszukiwawczą?

– Tak, nie ma na co czekać. Musimy jak najszybciej odnaleźć ciała. Jeszcze dziś do północy chcę mieć dwie silne grupy z psami tropiącymi. Najpierw niech przeczeszą okolice miejscowości, w których tamci mieszkali, potem brzegi rzeki pomiędzy Krosnem i Sulechowem. Morderca musiał zostawić jakieś ślady. Do rana ma być też gotowa ekipa nurków.

– Dobra, załatwione.

– Aha, jeszcze jedno. Wyślij techników po próbki DNA tych facetów. Wtedy będziemy mogli określić z całkowitą pewnością, że narządy należą do nich. W razie gdyby opornie szło nam szukanie trupów.

– Jasne, przekażę. Jest jeszcze jedna sprawa, Romek…

– Słucham.

– Wczoraj zaginęła siedemnastolatka z Krosna Odrzańskiego. Bierzemy to czy na razie zostawiamy?

– Cholera.

Czarnecki zamilkł. Pobieżna analiza nie wskazywała, że zaginięcie młodej dziewczyny może mieć cokolwiek wspólnego ze sprawą Trochana. Biorąc pod uwagę najnowsze informacje, modus operandi sprawcy nijak miał się do porwania młodej dziewczyny.

– Grzegorz…

– Jestem.

– Oddaj to na razie Mariolce z „zaginionych”. Ale niech potraktuje temat priorytetowo. Nigdy nie wiadomo. Poza tym cała ta sprawa zaczyna mi

śmierdzieć. Te puzzle jakoś do siebie nie pasują.

– Też mam takie wrażenie. Mariolce przekażę.

– Aha, i jak dowie się czegoś konkretnego, niech kontaktuje się bezpośrednio ze mną.

– Okej.

– Informuj mnie na bieżąco, a jak ktoś będzie marudził, to kieruj ich do mnie. Jeszcze dziś psy mają zacząć szukać.

– Pewnie, szefie.

– Dzięki, Grzegorz.

Czarnecki się rozłączył. Te informacje posunęły sprawę do przodu. Miał narządy wewnętrzne, na dziewięćdziesiąt procent miał też nazwiska ofiar, którym je wycięto. W przypadku podejrzanego brak było natomiast motywu, bo dlaczego wzięty doktor miałby zabijać jakichś małomiasteczkowych, podrzędnych pijaczków? Kroić ich i grać z policją w jakieś gierki, skoro od razu pokazał swoją twarz? To, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie miało sensu. Do tego wciąż brakowało ciał, choć czysto teoretycznie mógłby się bez nich obejść. Z wynikami DNA zabezpieczonych narządów można było stwierdzić z całkowitą pewnością, że ich posiadacze zostali pozbawieni życia. I do tego ta zaginiona dziewczyna. Mogła po prostu uciec z domu, zaćpać się w jakiejś norze albo utopić w rzece, ale Czarnecki miał złe przeczucie.

Kolejny telefon.

– Tak. Proszę go wpuścić.

Czarnecki odłożył komórkę i poprawił krawat. Zaczął myśleć o tym, co zrobi, gdy pożegna dziennikarza.

Rozdział 7

Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą,
błogosławionaś Ty między niewiastami,
i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.
Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi
teraz i w godzinę śmierci naszej.

Siostra Gwidona żarliwie się modliła. Mimo szacownego wieku sześćdziesięciu siedmiu lat wciąż pełniła służbę w Placówce Opiekuńczo-Wychowawczej Hieronimek Zielonogórskich, zakonu służebnic pańskich, które na swego patrona wybrały Hieronima Emilianiego, włoskiego świętego, opiekuna sierot i porzuconych dzieci. Poświęciła temu całe swoje życie i do śmierci nie miała zamiaru rezygnować z misji, jaką wyznaczył jej Bóg. Dziś, jako matka generalna, drżała jednak przed jego gniewem jak nigdy wcześniej.

W niewielkiej kaplicy było duszno, ale siostra Gwidona nie przestawała żarliwie się modlić. W złączonych dłoniach ściskała różaniec, a w palcach z trwogą przekładała kolejne paciorki. W niewielkich witrażach drgało światło niespokojnych płomieni świec. Było w nich coś złowieszczego, poruszały się niczym pokraczne istoty z nieznanego wymiaru, które pragną znaleźć bramę do naszego świata. Siostra Gwidona była doświadczoną służebnicą Jezusa Chrystusa i wiedziała, że świat jest grzeszny. I pełen

demonów, których nie można unicestwić. Istot okrutnych, bezbożnych, wodzących ludzi na pokuszenie, aby odebrać im dusze i zabrać je do piekła.

Ludzie nie byli świadomi, nie rozumieli zagrożenia. Tylko oni, słudzy Kościoła, podejmowali tę nierówną walkę. Księża, biskupi, siostry zakonne od setek lat byli poddawani najcięższym próbom, aby stawić czoło kroczącemu złu. I choć jak wierni, których chronili, też czasem ulegali pokusom, wiedziała, że Bóg osądzi ich sprawiedliwie. Ich grzechy nie mogły być traktowane równoważnie. Zbyt wiele poświęcali, aby pomagać biednym, samotnym i niedołężnym, aby rozgrzeszać nikczemników i nędzników, aby bronić świat przed królestwem ciemności. Tylko Bóg miał prawo ich osądzić. Wyłącznie Bóg.

Jak Bóg ją osądzi? To pytanie zadawała sobie ostatnimi laty coraz częściej. Znała swoje grzechy i wiedziała, że zasługuje na pokutę, którą miała nadzieję gorliwie wypełnić przed przekroczeniem bram raju. Siostra Gwidona lękała się czego innego. Najbardziej bała się, że Bóg nakaże jej zapłacić za grzechy nie po śmierci, ale za życia.

Dziś Bóg dał jej pierwsze ostrzeżenie. Była tego pewna, więc żarliwie prosiła Go, by zrozumiał ją i jej wybaczył.

Gdy usłyszała zgrzyt zamka i świst wiatru za uchylonymi drzwiami, wiedziała, że Bóg jednak wystawił ją na próbę. Z całych sił ścisnęła różaniec w oczekiwaniu na przybycie demona, którego sama stworzyła.

– Szczęść Boże, siostro Gwidono.

Matka generalna zrozumiała, że przeszłość właśnie się o nią upomniała.

– Szczęść Boże, Krzysztofie.

– Nie miałem tego w planach, ale chyba czas uciąć sobie dłuższą pogawędkę.

– Jeśli taka jest wola Boga.

– Boga w to nie mieszaj, siostro Gwidono. Ty ostatnia masz do tego prawo.

Rozdział 8

Elżbieta Pałka była kobietą, która nie potrzebowała mężczyzny, aby iść przez życie. Przed laty jeden z nich bardzo zawiódł jej zaufanie. Chciała mu zrobić niespodziankę i wcześniej wróciła z Filadelfii, gdzie jako pierwsza psycholog kryminalna z Polski ukończyła słynną w świecie profilerów uczelnię Saint Joseph's University. Jakież było zaskoczenie Elżbiety, gdy weszła do mieszkania, w którym jej narzeczony, kandydat do oddziału antyterrorystycznego gdańskiej policji, pieprzył jak zwierzę dwie kobiety o aparycji rumuńskich tirówek. Cała trójka była tak sobą zajęta, że nikt jej nie zauważył. A ona po prostu wyszła i już nigdy nie wróciła.

O dziwo nie przejęła się tym tak bardzo, jak przejęłaby się pewnie większość kobiet w podobnej sytuacji. Szybko zrozumiała, że nigdy go nie kochała, a związała się z nim tylko dlatego, żeby lepiej wyglądać na rodzinnych spotkaniach i nie wysłuchiwać kolejnych kazań konserwatywnych rodziców, którzy po pierwsze nie akceptowali wybranej przez nią drogi życiowej, a po drugie coraz częściej naciskali, aby w końcu pomyślała o założeniu rodziny.

To zdarzenie uzmysłowiło jej jeszcze jedną prawdę, przed którą jako nastolatka dość mocno się broniła. Elżbieta Pałka była lesbijką. Zrozumiała to, gdy przeanalizowała swoje życie seksualne, które nigdy nie było udane, a orgazm jawił się jako pojęcie raczej abstrakcyjne. Z jednym wyjątkiem. Gdy w czwartej klasie liceum upiła się w domu najbliższej przyjaciółki i w pewnym momencie wylądowały razem w łóżku. Wtedy, po raz

pierwszy i przez długie lata jedyny, doznała prawdziwego, głębokiego i nieudawanego uniesienia.

Elżbieta Pałka porzuciła myśli o mężczyznach i skupiła się na pracy. Przez jakiś czas zaspokajała swoje pożądanie przy okazji okazjonalnych randek z innymi kobietami, w końcu zaś jedna z nich skradła jej serce. Justyna była wziętą malarką i należała do artystycznej bohemy Trójmiasta, ale w przeciwieństwie do większości znajomych z branży potrafiła dochować wierności, mimo że przez pierwsze trzy lata żadna nie stawiała takich wymagań. Pasowały do siebie idealnie i nigdy nie robiły sobie wyrzutów, a częste służbowe wyjazdy obu kobiet tylko wzmagały ich wzajemne pożądanie. Dzięki temu Elżbieta w czasie służby mogła skupić się na wykonywanej pracy i poświęcić się jej bez reszty. Tak jak teraz. Gdy wchodziła w wynaturzony umysł i element po elemencie składała rozrzucone okruchy w jedną całość, aby zrozumieć, co motywuje zabójcę do działania.

Dochodziła jednak piąta nad ranem, a ona wciąż nie umiała znaleźć wspólnego mianownika. Nie spała, nawet się nie wykąpała. Siedziała z łokciami opartymi o blat biurka, przy punktowym świetle niewielkiej lampki i próbowała wejść w głowę Trochana, ale za każdym razem się wycofywała. Jakby morderca również nie spał i gdzieś tam, w swoim ponurym przybytku, najpierw pozwalał jej uchylić drzwi do swojego umysłu, a następnie wyrzucał ją z hukiem na zbity pysk. Czuła, że morderca z niej drwi. Niemal słyszała jego obleśny rechot.

W tym wypadku wszystko było na opak. Prowadziła już wiele nietypowych spraw, rozgryzała najbardziej wynaturzone umysły. Ale z czymś takim nie spotkała się nigdy, nawet w grubaśnych tomiskach, które musiała poznać prawie na pamięć, aby zdać egzamin na dyplomowanego profilera.

Odgarnęła za ucho czerwony kosmyk. Chwyciła kubek, ale spostrzegła, że sięga po niego już trzeci raz. I trzeci raz z rozczarowaniem stwierdza, że na dnie widzi tylko fusy. Zauważyła, że coraz trudniej jej się skoncentrować. Zmęczenie nieuchronnie zaczynało dawać o sobie znać. Po raz ostatni spróbowała się skupić. Jeszcze raz przejrzała notatki, przeanalizowała wszystko, co do tej pory ustaliła.

– Kurwa mać – zaklęła. – Kurwa jego mać. Skup się, Elka. Ten facet cię nie pokona. Nie ma takiej opcji. Rozgryziesz go i jeszcze będą pisać o tobie w podręcznikach – dodawała sobie otuchy.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła szósta. Za oknem wynajętej kwatery w centrum miasta powoli narastał poranny harmider. Słyszała klaksony samochodów, charakterystyczny dźwięk śmieciarki, stukot obcasów bezimiennej kobiety zmierzającej w jakimś jej tylko znanym kierunku.

Podniosła się z krzesła i poszła do kuchni. Nalała wody do czajnika, postawiła go na ogień i ściągnęła gwizdek. Przez moment tępo gapiła się w wymyślne wzorki na niewielkich płytkach nad kuchenką. Wtedy zdała sobie sprawę, że dziś już więcej nie wymyśli i musi się przespać. Wyłączyła palnik i poszła do łazienki. Rozebrała się i z niesmakiem stwierdziła, że cuchnie. W lustrze ujrzała zmęczoną kobietę o coraz bardziej korpulentnej figurze i podkrążonych oczach.

Pieprzona Bridget Jones, pomyślała. Niedługo będzie musiała kupić sobie te wielkie gacie, aby przy każdej okazji nie musieć wciągać brzucha.

Odkręciła wodę i wzięła gorący prysznic. Łazienka musiała mieć kiepski albo przytkany odpływ powietrza, bo w jednej chwili zrobiło się biało. Gdy skończyła, wytarła się i przeciągnęła dłonią po zaparowanym lustrze.

Wtedy coś mignęło jej za plecami. Wzdrygnęła się. To był krótki, niewyraźny ruch. Obróciła się i z ulgą stwierdziła, że to tylko ręcznik, który zsunął się z poręczy.

– Zaraz zaczniesz widzieć w lustrze psycholi w skórzanej masce… – mruknęła do siebie.

Raz jeszcze spojrzała na swoje odbicie. Wtedy poczuła silny dreszcz podniecenia. Uderzyło to ją, jak wściekłe tsunami, i w jednej chwili zburzyło mur, który sama sobie postawiła. Olśniło ją. Nagle wszystkie puzzle ułożyły się w piękny, choć niezwykły obraz jedynego w swoim rodzaju seryjnego mordercy.

Chwilę później profiler Elżbieta Pałka ubierała się i nakładała makijaż, bo miała w planach wsiąść w samochód i pojechać potwierdzić swoją teorię.

Weszła!

Była tego prawie pewna.

Rozdział 9

Fetor rozkładającego się ciała był odrażający. Inspektor Czarnecki przyłożył do nosa chusteczkę i nachylił się, aby jeszcze dokładniej przyjrzeć się napuchniętym zwłokom.

– A gdzie głowa? – zapytał podinspektora Zimnego.

– Jeszcze nie znaleźliśmy, ale nurkowie pracują bez ustanku.

Czarnecki przez moment oglądał ciało denata. Zwłoki wciąż leżały w mule, a z otwartej szyi i jamy brzusznej co rusz wychodziło jakieś drobne rzeczne robactwo. W końcu z trudem wyciągnął nogi z błota i odszedł kilka metrów w głąb lądu, aby zaczerpnąć odrobinę powietrza. Choć pracował w tym zawodzie tyle lat, nigdy nie przywyknął do tego smrodu. Na samą myśl, że jedzie na oględziny zwłok, zaczynał boleć go żołądek.

Gdy wziął kilka głębszych wdechów, omiótł wzrokiem najbliższą okolicę. Poranek nad Odrą był rześki, a słońce nieśmiało wyglądało zza drzew po przeciwległej stronie rzeki. Dookoła uwijało się kilkudziesięciu ludzi: techników, nurków, policjantów z psami tropiącymi, na wale pojawił się też prokurator, który właśnie przymierzał zielone wodery. Krzysztof, jak zwykle spóźniony, najpierw musiał wypić kawę i przeczytać gazetę.

W oczekiwaniu na prokuratora inspektor namierzył patomorfologa, który chwilowo zniknął mu z pola widzenia. Miał obfitą, siwą brodę, nazywał się Robert Krzywicki i był najwybitniejszym fachowcem medycyny sądowej, jakiego Czarnecki poznał w życiu.

– Jak długo zwłoki znajdowały się pod wodą? – zagadnął.

– Minimum siedemdziesiąt dwie godziny. Rybki już się nimi zajęły, ale to bez dwóch zdań jeden z naszych. Ma otwartą klatkę piersiową i jamę brzuszną, a do tego jest pozbawiony serca i wątroby. Dodam, że nawet całkiem fachowo.

– Dasz radę określić czas zgonu?

– Leżał w mule i już zrobił się dość śliski, ale powiedziałbym, że od pięciu do siedmiu dni. Będę bardziej precyzyjny po sekcji.

– Kiedy mogę się spodziewać raportu?

– Jak przyślecie mi tego ancymona.

Czarnecki przytaknął i zwrócił się w stronę grzęznącego w rozmokłym gruncie prokuratora. W zielonych woderach na szelkach i szarej marynarce wyglądał komicznie, choć nikomu na miejscu do śmiechu nie było.

– Kawa wypita?

– Daj spokój z tą ironią, Romek. Miałem ciężką noc.

– Dobra, nawet nie pytam.

– To jeden z naszych?

– Tak, wszystko wskazuje, że to zwłoki tego budowlańca z Sulechowa, niejakiego Zdzisława Borucha.

– Czyli nasz morderca nie jest aż taki sprytny.

– Albo chciał, żebyśmy go znaleźli.

– A co z drugim?

– Psy złapały trop, więc pewnie jest gdzieś niedaleko. Może nurt porwał go kawałek dalej.

– To prawda, że sprawca oderżnął mu kutasa?

– Niestety, tak.

– Jasna cholera. Takie gówno w naszym mieście. Aż nie chce się wierzyć… – Prokurator zasępił się na chwilę. – Ktoś już rozmawiał z miejscowymi?

– Grzegorz rozdysponował ludzi. Chodzą od domu do domu.

– Dobra, pokaż mi tego trupa.

– Tam leży. Ja już się naoglądałem. Nic przyjemnego.

Czarnecki odprowadził prokuratora wzrokiem, po czym ruszył wąską ścieżką w wysokich trawach w stronę grupy nurków, których kolejna zmiana szykowała się do pracy. Chciał ich zagadać, pochwalić, ale zdecydował, że nie będzie zabierał im cennego czasu, i skierował się do grupy techników na czworakach szukających w ziemi śladów, które mógł pozostawić sprawca. Teren był ogrodzony. Inspektor podszedł do nadzorującej swoich ludzi Anny Boruckiej.

– Macie coś?

– I to całkiem sporo. Facet nie należy do pedantów, jeśli tak to można ująć. Nawet nie próbował ukryć swoich śladów.

– A konkretniej?

– Odcisk buta, stare resztki z rowków na podeszwie, bieżnik opony, nawet niedopałek papierosa. No i trochę włókien, których większość jest taka sama. Na pewno będę miała co robić. Jeszcze dziś sporządzę wstępny raport.

– Co podpowiada ci doświadczenie?

– Pytasz, czy to ten Trochan?

– No…

– Moim zdaniem to do niego w ogóle nie pasuje. Zresztą to by było za proste.

– Mówiłaś, że nawet nie próbował ukryć swoich śladów. Może mu na tym nie zależy. Może od początku chce, żebyśmy wiedzieli, kim jest.

– W porządku, nawet rozmiar buta się zgadza. Ale choćby te ślady po podeszwie. Popatrz… – Borucka wskazała wyraźny odcisk w gliniastym fragmencie podłoża. – To jakieś gumiaki albo robocze buciory, a do tego

stare i schodzone, nawet faktura podeszwy jest nierówna i starta. Myślisz, że Trochan nosiłby takie buciska? Niby skąd miałby je wytrzasnąć? Taki człowiek jak on w potrzebie kupuje nowe.

– Może lubi wędkować?

– Może…

Borucka ściągnęła gumowe rękawiczki i przetarła czoło wierzchem dłoni.

– Jesteś na nie? – zagadnął inspektor.

– Nie wiem, Romek. To już chyba twoja działka. Ale jeśli pytasz mnie o zdanie, to ci odpowiadam. Moim zdaniem to nie ten doktorek.

– Dzięki, Aniu. Świetna robota.

– Robię swoje.

– Jak zawsze.

Inspektor rzucił Boruckiej szelmowski uśmiech i odwrócił się w stronę rzeki. Prokurator właśnie walczył, aby wydostać się z grzęzawiska, co w wysokich i ciężkich woderach nie należało do rzeczy prostych. Gdy w pewnym momencie noga utknęła mu na dobre, a on musiał podeprzeć się, aby nie runąć twarzą w błoto, dało się słyszeć zdławione „kurwa mać”.

W końcu prokurator Lis podołał wyzwaniu i choć nie wyszedł z tej próby bez szwanku, dotarł na twardszy grunt.

– Dlaczego zawsze te sukinsyny muszą porzucać zwłoki w takich miejscach? – wysyczał przez zęby. – Masz jakieś chusteczki, Romek?

– A dlaczego prokurator zawsze przyjeżdża w takie miejsca w garniturze i bez chusteczek?

– Nie wkurwiaj mnie, Romek. Masz je czy nie?

– Trzymaj.

Inspektor wręczył mu paczkę jednorazówek, a Lis od razu wyciągnął wszystkie i zaczął czyścić upaćkane błotem i trawą dłonie. Gdy skończył,

upchnął chusteczki z powrotem do folii i zabrał się do odpinania szelek od woderów.

– Przynajmniej będzie o czym mówić na konferencji – skomentował, gdy uwolnił się od zielonych gumowców.

– Wciąż nie mamy motywu.

– Dokopiemy się. A sprawdziłeś tego Brudnego?

– Podobno dobry glina. Może trochę ekscentryczny, ale świetny fachowiec.

– A przeszłość? Jeśli to rzeczywiście brat tego Trochana, to może jest coś, o czym wciąż nie wiemy. Sam widzisz, że to trochę dziwne, bo temu doktorkowi to chyba niczego w życiu nie brakowało.

– Pogrzebałem osobiście, bo facet mnie zaintrygował. Tak, ten Brudny to ciekawy przypadek. Po raz pierwszy pojawia się w systemie dopiero po ukończeniu osiemnastego roku życia, a dokładnie w warszawskiej szkole policyjnej. Wcześniej pustka. Nawet aktu urodzenia. Tak jakby komuś zależało, aby jego przeszłość zachować w tajemnicy. Wrócę do tematu, jak uporam się z tym… – Czarnecki kiwnął w stronę rzeki.

– Ja bym go nie lekceważył.

– Nie lekceważę.

Rozległy się głosy. Na lewo, w dole rzeki. Szczekanie i nawoływania. Wśród ekipy poszukiwawczej nastąpiło wyraźne poruszenie. Czarnecki powiódł wzrokiem w tę stronę. Kilku funkcjonariuszy truchtało w kierunku zarośniętego fragmentu jednej z rzecznych ostróg, gdzie skupiło się już trzech innych z psami. Inspektor zmrużył oczy, gdy słońce nagle wzbiło się ponad koronę jednego z dębów i cisnęło promieniami niemal dokładnie w tamten punkt.

– Mamy drugiego! – rozniosło się po rzece.

Czarnecki spojrzał z politowaniem na prokuratora.

– Wkładaj wodery, Krzysztof. Czas najwyższy przywitać się z panem Kowalskim.

– Chuj nie robota – warknął prokurator i poszukał wzrokiem zielonych gumowców. – A mogłem zostać komornikiem…

– Mnie byś nie poznał…

– Daj spokój.

Kilka chwil później obaj mężczyźni przedzierali się przez podmokłe chaszcze, a ptaki śpiewały, jak zawsze gdy nad Odrą wschodziło ciepłe słońce. Kawałek dalej bezgłowe zwłoki Zenona Kowalskiego pożerało robactwo.

* * *

Inspektor Czarnecki zrobił sobie czwartą tego dnia kawę. Wkrótce po obejrzeniu drugiego nieboszczyka pojechał do domu. Wykąpał się, zjadł jajecznicę i wrócił na komendę. Przesunął konferencję prasową na szesnastą, aby wcześniej móc porozmawiać ze swoim zespołem. Spotkanie odbywało się w niepełnej obsadzie, ponieważ po odnalezieniu zwłok ludzie mieli co robić. Najdłużej Czarnecki rozmawiał z psychologiem policyjnym Elżbietą Pałką oraz młodszym aspirantem Jakubem Wichą odpowiedzialnym za zrobienie wywiadu z mieszkańcami Wielobłotów (i kilku przyległych wiosek), w których okolicy zostały znalezione ciała obu ofiar.

– Czego się dowiedziałeś, Jakub?

– Czterech ludzi cały czas jest w terenie, w tym Łukasz. Do tej pory udało nam się przesłuchać około czterdziestu mieszkańców Wielobłotów i Łazu. A został jeszcze Zabór, Droszków, Przytok i Milsko, w którym jest przeprawa promowa. A to i tak nie wszystko…

– Dobrze, Jakub, ale ja się pytam, czy czegoś się już dowiedziałeś…

– Przepraszam, szefie. Już mówię. Na razie słabo, klasyczne „nic nie widziałem, nic nie słyszałem”. Ale osobiście pomęczyłem jednego pijaczka, bo mówił coś o kłusownikach, którzy nocami rzucają sieci w tym zakolu, gdzie znaleziono ciała. A tam podobno zawsze ryba jest. Może oni coś widzieli…

– Jakieś nazwiska?

– Nie, ale kłusowników namierzymy szybko.

– Coś jeszcze?

– Pomiędzy Łazem a Wielobłotami jakiś dzieciak widział około trzeciej nad ranem ciemne kombi, ale po pierwsze był pijany, a po drugie najprawdopodobniej pod wpływem marihuany.

– Znaleźliście coś?

– Miał przy sobie całkiem sporo. Raczej za mało na sprzedaż, ale widać, że chłopak dużo pali. Trochę go postraszyliśmy, dlatego się wygadał. Ale nie dałbym sobie głowy uciąć, że nie ściemnia.

– Jest pełnoletni?

– Dwadzieścia dwa lata.

– Zatrzymaj go za posiadanie i przyślij do mnie jak najszybciej.

– Przekażę Łukaszowi.

– Coś jeszcze?

– Na razie wszystko.

– Ela? – Czarnecki odwrócił się do profilerki.

Kobieta o rudych, prostych włosach z grzywką poprawiła okulary i sięgnęła po przezroczystą teczkę z papierami. Założyła nogę na nogę i otworzyła dokumentację.

– Od razu powiem, że to dość nietypowa sytuacja, bo czysto teoretycznie mamy już podejrzanego i wiemy, kim jest, a w takich sprawach moja obecność jest w zasadzie zbędna. Ale po głębokiej analizie osobowości

pana Trochana oraz opierając się na sposobie, w jaki ofiary zostały zamordowane, jednoznacznie stwierdzam, że profil sprawcy kompletnie nie pasuje do podejrzanego.

W biurze Czarneckiego zaległa cisza, wszyscy czekali na rozwinięcie i uzasadnienie. Pałka kontynuowała:

– Skąd takie wnioski? Po pierwsze profil mordercy. To biały mężczyzna między trzydziestym a czterdziestym piątym rokiem życia, wychowany w aspołecznej, patologicznej rodzinie, z ojcem alkoholikiem, który z dużą dozą prawdopodobieństwa go bił i gwałcił. Słabe wykształcenie, niska samoocena, do tego orientacja seksualna raczej homo. Bez stałej pracy.

– Całkowite przeciwieństwo doktora Trochana.

– Właśnie.

– Dlaczego ofiary były pozbawione głów i czemu wyciął im narządy?

– Sprawca mógł zabrać głowy jako trofea, a narządy wyciął prawdopodobnie jeszcze przed śmiercią. Torturował ofiary, pastwił się nad nimi, żywił się ich strachem. Mutylacja ciała charakteryzuje najbardziej sadystyczne jednostki. Najbliżej mu do tak zwanego maniaka mocy i władzy, który odczuwa przyjemność tylko wtedy, gdy ma absolutną kontrolę nad zdominowaną przez siebie ofiarą. Klasyczne przykłady to słynny klaun John Wayne Gacy czy nie mniej znany kanibal z Milwaukee, Jeffrey Dahmer, którzy zresztą też zabijali mężczyzn. Ogólnie mordercy tego typu to wyjątkowe sukinsyny.

– Dlaczego wystawił narządy wewnętrzne na widok publiczny w centrum miasta?

– Ma bardzo niską samoocenę i pragnie być doceniony. Pragnie uwagi. Dlatego będzie się z nami bawił i oficjalnie zaprasza na widowisko. Mimo że poprzez sposób porzucenia zwłok i pozostawienie masy śladów próbuje przedstawić się jako typ „niezorganizowany”, uważam, że wszystko bardzo

dokładnie zaplanował. Przecież układając trofea przy tych figurkach, praktycznie podał nam na tacy tożsamość ofiar.

– A same ofiary? Dlaczego właśnie ci mężczyźni?

– Nie wykluczam przypadku, ale sądzę, że wybrał ich z jakiegoś konkretnego powodu. Obaj byli w podobnym wieku, pochodzili raczej z nizin społecznych i nadużywali alkoholu. Mieli też wyraźną nadwagę i nosili brody. Sądzę, że przypominali sprawcy ojca, którego pośmiertnie karze. I chce pokazać światu, kim był, zanim umarł. Z dużym prawdopodobieństwem morderca wyszedł z cienia ojca tyrana, ewentualnie matki, i wybił się na samodzielność dopiero po jego czy też jej śmierci. Warto sprawdzić nekrologi z ostatniego roku.

– To ciekawy trop. Podkreśl to, Janusz. – Czarnecki skierował czubek swojego długopisu w kierunku protokolanta.

– Jaką więc rolę odgrywa w tym wszystkim doktor Trochan?

– Tego nie wiem. Nie spotkałam się jeszcze z takim przypadkiem w całej swojej karierze, nawet w podręcznikach. To novum, ale jeśli miałabym opierać się na doświadczeniu i wiedzy z zakresu psychologii i psychiatrii, to powiedziałabym, że wybrał człowieka w podobnym wieku, może nawet tym samym, ale swoje całkowite przeciwieństwo. Aby go ukarać. Za to, że miał piękne dzieciństwo, że odniósł sukces, że ma cudowną rodzinę. Pytanie, na które nie potrafię odpowiedzieć, brzmi, jak, do jasnej cholery, zmusił go do współpracy.

Wszyscy zebrani, łącznie z Czarneckim, pokiwali głowami w pełnym zrozumieniu i lekkiej zadumie.

– Chyba że… – Pałka uniosła palec, a inspektor obrzucił ją ciekawskim spojrzeniem. – Chyba że choroba Trochana się rozwinęła…

– Ela…?

– Brzytwa Ockhama. Pomyślałam, że może warto sprawdzić najbardziej oczywiste rozwiązania. A skoro mamy go na kamerach…?

– Ela… jaka choroba?

– Założyłam więc, zupełnie hipotetycznie, że wbrew profilowi, który stworzyłam, mordercą rzeczywiście jest doktor Trochan. Całą noc zastanawiałam się, co skłoniłoby człowieka jego pokroju do takich czynów. Zrozumiałam, że jest tylko jedna możliwość. Trochan musi być chory.

– Sprawdzaliśmy historię jego chorób. Nie ma tam słowa o jakiejkolwiek chorobie psychicznej.

– Czytałam te akta, ale musiałam się upewnić. Dziś rano pojechałam do jego matki i zagrałam va bank. Powiedziałam jej, że wiemy już wszystko o jego schorzeniu i lepiej, żeby niczego więcej przed nami nie ukrywała.

Na twarzach zebranych można było dostrzec, jak początkowa ciekawość przechodzi w zdumienie, a na końcu w podziw.

– Przestraszyła się i przyznała, że syn miał w młodości problemy z psychiką, a nawet podejrzenie schizofrenii, ale ojciec, wysoko postawiony partyjniak, postarał się, aby nigdy nie ujrzały światła dziennego. Sam był lekarzem i miał ambicje, aby syn poszedł w jego ślady.

– Jakie miał objawy?

– Podobno Trochan widywał jakiś cień czy postać bez twarzy, która go prześladowała. I to nie tylko w snach. Bał się jej tak bardzo, że nie chciał spać, chodzić samemu do piwnicy, a nawet przeglądać się w lustrze. Moczył się do piętnastego roku życia. Pojawiło się nawet podejrzenie schizofrenii paranoidalnej, ale w pewnym momencie, około osiemnastego roku życia, objawy ustąpiły. Wtedy ojciec słono zapłacił, aby historia choroby wyparowała.

Elżbieta Pałka stuknęła długopisem w dokumentację i odłożyła ją na blat stołu. Pierwszy brawo zaczął bić prokurator Lis, a chwilę później dołączyli

do niego pozostali.

– Ela… jesteś pieprzoną boginią psychoanalizy – syknął przez zęby i jeszcze energiczniej zaczął klaskać.

– Dobrze już, bez takich tekstów, proszę. – Czarnecki postanowił zapanować nad wzbierającą euforią, a gdy emocje nieco opadły, kontynuował: – Ela… jestem pod wielkim wrażeniem, ale takie akcje powinnaś najpierw skonsultować ze mną. To było duże ryzyko, bo gdybyś jednak nie miała racji, matka Trochana mogłaby nas później zamęczyć oskarżeniami. Ale, do diabła, wybaczam ci. Majstersztyk. Mistrzowska robota.

– To był impuls, Romek. Przepraszam, to już się nie powtórzy.

– Jasne, skupmy się już na pracy. Te rewelacje tłumaczą jeszcze kilka innych rzeczy – rzekł nieco zasępiony Czarnecki. – Po pierwsze podwójny profil mordercy. Typ „zorganizowany”, czyli wypisz wymaluj Trochan, który mógł przygotować dokładny plan czy fachowo wyciąć narządy wewnętrzne, z typem „niezorganizowanym”, sprofilowanym przez Elę, niechlujnym, pozostawiającym masę śladów sadystą. Dobrze kombinuję, Elu?

– Właśnie tak.

– Pozostaje kwestia, dlaczego Trochan, przyjmując naturalną postać doktora, po prostu nie wrócił do domu.

– Gdy w pewnym momencie silne alter ego przejmuje władzę nad umysłem chorego, bywa, że w pewien sposób ubezwłasnowolnia poprzednie. Można powiedzieć, że gdy pojawiają się przebłyski starego Trochana, druga osobowość zaciąga hamulec ręczny, zakłada chomąto i nie pozwala jej normalnie funkcjonować. Tak jakby umysł należał do doktora Trochana, a ciało do jego alter ego. Chciałby coś zrobić, ale nie może, nie panuje nad odruchami. Znane są przypadki ludzi o osobowości mnogiej,

którzy zdawali sobie sprawę ze swojej choroby i czując, że nadchodzi zmiana, zamykali się w celach albo przykuwali do ściany.

– Czyli walczymy z profesjonalnym wariatem? – zagadnął Lis.

– Osobiście tak bym tego nie ujęła, ale… owszem… coś w tym stylu.

– Romek, mówiłeś o kilku rzeczach. Co jeszcze miałeś na myśli? – zapytał coraz bardziej podekscytowany prokurator.

– Brudnego.

– Brudnego?

– Jeszcze nie wszyscy wiedzą, więc warto was ostrzec. Sprawdziłem komisarza Igora Brudnego i owszem w Warszawie ma renomę twardego i skutecznego gliniarza, ale problem pojawił się, gdy chciałem odnaleźć informacje z jego dzieciństwa. Okazało się, że przed osiemnastym rokiem życia, czyli krótko przed wstąpieniem do szkoły policyjnej, Brudny nie istnieje. Nie ma na jego temat żadnej wzmianki. Nawet cholernego aktu urodzenia.

– I…

– Skoro Brudny jest bratem bliźniakiem Trochana, to ojciec mógł zrobić to samo. Jeśli zapłacił za zniknięcie historii choroby jednego syna, to mógł zadbać o to, aby zniknęły papiery drugiego. Pytanie brzmi: dlaczego i co spowodowało, że Brudny nie wychowywał się z bratem.

– Choroba?

– Niewykluczone. Przecież to bliźniacy. Na tyle się na tym nie znam, ale czy jednojajowi nie mają takiej samej puli genów? Ela? – Czarnecki nieznacznie obrócił się na krześle w kierunku profilerki.

– Jak najbardziej. Istnieje też spore prawdopodobieństwo, że mogą przejawiać objawy tej samej choroby psychicznej.

– Brudny miał opinię dobrego, aczkolwiek dość ekscentrycznego gliny…

– Ja pierdolę… – jęknął prokurator.

– To jeszcze niczego nie przesądza, ale skoro choroba nagle powróciła u Trochana, to niewykluczone, że ujawni się u Brudnego – dodała Pałka.

– Tu już posuwamy się za daleko. To czyste gdybanie. Ale okej, ja zajmę się Brudnym, a ty, Grzegorz… – czubek długopisu tym razem powędrował w stronę podinspektora Zimnego – …namierz tego lekarza, który zajmował się Trochanem. Może zachował coś dla…

– Już o tym pomyślałam – wtrąciła się Pałka. – Niestety, facet nie żyje od pięciu lat, a jego praktyka przestała istnieć.

– A matka Trochana? Uważasz, że coś może mieć?

– Zapytałam, ale odparła, że nie wnikała w działania męża i nigdy nie widziała na oczy dokumentów syna. Była dość roztrzęsiona, ale według mnie mówiła szczerze. Wątpię, aby coś ukrywała.

– Mam zorganizować nakaz? – włączył się Lis.

– Na razie nie. Nie działajmy w pośpiechu – odparł Czarnecki. – Musimy być bardzo ostrożni. Nie chcę, aby media skazały Trochana przed końcem śledztwa. I tak już przeginają z tymi Wampirami i Rzeźnikami. W każdym razie w tej chwili ani słowa o tej chorobie, bo w mieście rozpęta się piekło. Najpierw musimy to dokładnie sprawdzić.

– Co z Brudnym?

– Tak jak powiedziałem, zostawcie go mnie. Dziś jestem z nim umówiony, bo mieliśmy poinformować media o jego istnieniu, ale teraz, cholera, sam nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Pamiętaj, że dostaliśmy już kilkanaście zgłoszeń, że ktoś podobny do podejrzanego był widziany w mieście i okolicach – dorzucił Zimny.

– Tak, wiem, ale większość to lipa. Pamiętacie gwałciciela z jesieni dwa tysiące dziesiątego? Jakiś pseudodziennikarz wykreował Wampira i telefony też się urywały, a okazało się, że to wszystko jedna wielka bujda.

Nie chcę powtórki z rozrywki. W każdym razie mam na Brudnego oko i wiem, gdzie się kręci. Dziewięćdziesiąt procent tych telefonów zostało wykonanych z miejsc, w których na pewno się nie pojawił.

– To cwany gość. Pewnie zdaje sobie sprawę, że doczepiliśmy mu ogon.

– W to nie wątpię. Ale nie róbmy sobie wrogów, jeśli nie musimy. Na razie brak dowodów, że ma wobec nas niecne zamiary. W każdym razie dziś spróbuję go wybadać. Ma tu być za godzinę.

Gdy prowadzący śledztwo Romuald Czarnecki wymawiał te słowa, komisarz Igor Brudny brał właśnie gorącą kąpiel i zastanawiał się nad realizacją szczegółowego planu działania. Ale najpierw miał zamiar inspektora wybadać. I sprawdzić, czy on też już wie.

Rozdział 10

Igor Brudny wszedł do biura Czarneckiego pewnym krokiem. Inspektor przywitał się w swoim stylu, mocnym uściskiem dłoni i wymownym spojrzeniem. Zaprosił gościa do stołu, przy którym stał talerzyk z ciasteczkami na wagę.

– Życzy pan sobie kawy, komisarzu Brudny?

– Poproszę. Czarna, mocna, bez cukru.

Inspektor nastawił czajnik elektryczny i wsypał do szklanek zmielone ziarna.

– Nie ma mi pan za złe, że kazałem pana śledzić?

– Nie. Spodziewałem się tego. Postąpiłbym tak samo na pana miejscu.

– To dobrze. Nie wszyscy ze zrozumieniem podchodzą do pewnych działań, które w gruncie rzeczy są oczywiste.

– Cóż… jakoś siebie znosimy…

Woda w czajniku zaczęła bulgotać. Czarnecki zalał obie szklanki, zamieszał i jedną wręczył Brudnemu.

– To jak, panie komisarzu? Odkrywamy karty?

– To zależy, czy ma pan jakieś asy w rękawie.

– Każdy dobry gracz ma asa w rękawie.

– Raczej dobry szarlatan.

Czarnecki uśmiechnął się półgębkiem i upił łyk kawy.

– Jeden zero dla pana, komisarzu.

– Nie przyszedłem tu grać. Chcę wiedzieć, czy nasza umowa jest dalej aktualna i mogę liczyć na pana pomoc.

– Nasza umowa jest aktualna, o ile usłyszę, o czym pan rozmawiał z żoną doktora Trochana.

– Niczego konkretnego odnośnie do sprawy się nie dowiedziałem. Ale jeśli chce pan znać szczegóły, to najpierw dostałem parę całusów, potem kilka ciosów na głowę, następnie kawę i trochę opowieści o niczym. W skrócie, według pani Trochan mąż też nic nie wiedział na temat istnienia brata bliźniaka, prócz tego nie miał wrogów ani problemów finansowych. I oczywiście nie wierzy w jego winę.

– To wszystko?

– Zapomniałbym, pani Trochan wręczyła mi trzy albumy z dzieciństwa męża. Wie pan…

– Tak…

– Mogę zapalić?

– Przykro mi, ale nie. Dziś to nie wczoraj.

Brudny stracił kontakt wzrokowy z inspektorem i odwrócił się w kierunku samotnej paprotki, która stała na parapecie i litościwie błagała o odrobinę wody. Obok stała kryształowa popielniczka.

– Mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe – dorzucił Czarnecki.

Zadziałało. Inspektor dał się podejść na stary trik. Poczuł się panem sytuacji, przez co stracił czujność. Umiejętność sterowania ludźmi Brudny opanował do perfekcji. Lata gehenny przetrwał tylko dzięki temu.

– Nie, absolutnie, inspektorze. A czy ja mogę liczyć na pomoc z pana strony?

– To zależy, ale proszę pytać.

– Słyszałem, że znaleziono ciała. Chciałbym je zobaczyć.

– Możemy pojechać do prosektorium tuż po konferencji prasowej.

– Kim są ofiary?

– Dwóch mężczyzn w wieku pięćdziesięciu dziewięciu i sześćdziesięciu jeden lat. Kierowca z Krosna Odrzańskiego i budowlaniec z Sulechowa. Obaj zostali po śmierci zdekapitowani.

– Jakie jest pana zdanie na ten temat? Wierzy pan w winę Trochana?

– Nie lubię wyciągać pochopnych wniosków, ale uważam, że to nie robota pana brata. Nie pasuje do profilu mordercy, ale wnioskuję, że pan to wie. Wszystkie znaki wskazują, że został do tego w jakiś sposób przymuszony. Pytanie brzmi jak.

– Też zadaję sobie to pytanie. Uważam, że ktoś inny pociąga za sznurki.

– Też tak uważam, ale na razie mamy związane ręce. Dowody wskazują na doktora Trochana. I choć podczas konferencji postaram się trochę zmienić przekaz medialny, to nie gwarantuję, że tak się stanie.

– Nie oczekuję tego. Nie wierzę w winę Trochana tylko z racji doświadczenia w tej branży. Tak dla jasności.

– Rozumiem. Źle to zabrzmiało. Nie chcę, żeby pan myślał, że podważam pana profesjonalizm.

– Nie ma sprawy. Ostatnie pytanie, inspektorze. Widzi mnie pan w kręgu podejrzanych?

Brudny bacznie obserwował reakcję Czarneckiego, który zachował jednak zimną krew. Inspektor złączył palce u dłoni, głęboko odetchnął i spojrzał w oczy komisarza.

– Jeszcze nie, ale wiem też, że nie jest pan ze mną do końca szczery.

– Tak jak pan ze mną.

– Mówię panu tyle, ile uważam za słuszne. Taka była umowa. Pan za to znika na pół nocy z pokoju hotelowego i myśli, że jak zostawi samochód na parkingu, to ja się o tym nie dowiem.

Brudny poczuł, jakby dostał w wątrobę. Nie docenił starego. Pytanie brzmiało, jak Czarnecki zdołał go namierzyć. I czy miał go na oku od początku do końca.

– Jeden jeden, inspektorze.

– Co pan robił w tym domu dziecka?

Szlag by to, Brudny zaklął w myślach. Taksówkarz musiał być podstawiony. Inna możliwość nie wchodziła w rachubę, bo na pewno nikt go nie śledził. Czarnecki rzeczywiście był fachowcem. W tej chwili jakakolwiek próba mataczenia mijała się z celem, bo ktoś z jego ludzi już pewnie przeprowadził wywiad. Albo właśnie to robi.

– Twierdził pan, że mam niezbywalne prawo do poznania swojej przeszłości. I rodziny. Skorzystałem z niego.

– Był pan wychowankiem tej placówki, prawda?

– Tak.

– Co pan ukrywa, komisarzu Brudny? Dlaczego wszystkie pana papiery z tamtego okresu zniknęły? Jaki to ma związek z naszą sprawą?

– Czy to przesłuchanie?

– Nie, na razie szczera rozmowa. Ale nie znoszę, gdy ktoś ze mną pogrywa. A pan, komisarzu Brudny, bezceremonialnie leci ze mną w chuja.

Słowo „chuj” pasowało do Czarneckiego jak pięść do oka, tym bardziej zabrzmiało w jego ustach niezwykle sugestywnie. Zwłaszcza że ton inspektora nie zmienił się nawet odrobinę, jakby całkowicie panował nad swoimi emocjami.

Brudny przegrał tę partię i musiał się z tym pogodzić. Zrozumiał, że nie ma sensu go oszukiwać, bo i tak wyciśnie siostrę Gwidonę jak cytrynę.

Nabrał powietrza i pokiwał głową na znak, że przyjął do wiadomości swoją porażkę. Wtedy Czarnecki wstał i bez słowa sięgnął po popielniczkę, po czym postawił ją komisarzowi przed nosem. Wrócił na miejsce

naprzeciwko swojego rozmówcy, usiadł wygodnie i rzucił mu zaczepne spojrzenie.

Brudny wyciągnął papierosa i zaczął obracać go w palcach. Głęboko spojrzał w oczy inspektora. Trwało to chwilę, po której z powrotem włożył go do paczki.

– Jest pan w tym naprawdę dobry, inspektorze – rzekł z nieskrywanym podziwem. – Niestety dla pana na mnie to nie działa.

– Wie pan, że mogę pana zatrzymać, komisarzu.

– Proszę bardzo. Media będą miały pożywkę.

Czarnecki nabrał powietrza w płuca i skarcił się w myślach. Niepotrzebnie wyskoczył z tą groźbą. Czuł, że Brudny ma ze sprawą jakiś pośredni związek, ale na pewno nie był mordercą ani z nim nie współpracował. I byłoby ogromnym błędem, gdyby zdecydował się go zatrzymać. Pomijając już reakcję tych przeklętych mediów.

– Dostrzegłem w panu sojusznika, komisarzu Brudny…

– Nie pomylił się pan. Jestem pana sojusznikiem. I w taki sam sposób traktuję pana, inspektorze.

– Sojusznicy sobie ufają.

– Zaufanie wymaga czasu.

Czarnecki poczuł się jak głupek. To były jego słowa.

– Co ja mam z panem zrobić, komisarzu? – zagadnął zrezygnowanym tonem.

– Proszę dać mi ten czas.

– Nie mamy czasu. Ten człowiek nie przestanie zabijać i wkrótce zrobi to znowu. I jeśli pana przeszłość, jakakolwiek by ona była, może mieć jakiś związek z tą sprawą, to nie powinien jej pan przede mną ukrywać.

– Myślę, że czas się pożegnać, inspektorze…

– Nie chce pan obejrzeć zwłok? – Brudny już trzymał dłonie na stole i miał zamiar się podnieść, ale zastygł. Czarnecki zmierzył go dość surowym, choć na pewno nie agresywnym spojrzeniem. – Nie mam zamiaru pana karać. Może do końca sobie nie ufamy, ale nie jesteśmy też wrogami.

– Jest pan naprawdę rozsądnym człowiekiem, inspektorze.

– Po prostu w pana wierzę.

Brudny pokiwał głową na znak, że docenia starania inspektora.

– Naprawdę jest pan w tym dobry, ale chyba pana rozczaruję.

– Myślę, że nie. A znam się na ludziach i na tej robocie.

– Wkrótce się przekonamy. Co z konferencją?

– Postanowiłem jeszcze zachować pana istnienie w tajemnicy.

– Skąd ta zmiana?

– Nie muszę panu wszystkiego mówić, prawda? – Czarnecki zmienił ton na bardziej niezobowiązujący. – Możemy umówić się w prosektorium o siedemnastej. Pasuje panu, komisarzu?

– Pasuje. Do zobaczenia, inspektorze.

Mężczyźni podali sobie dłonie. Uścisk był silny i niósł ze sobą coś więcej. Po raz pierwszy w życiu Brudny poczuł się w pracy nieswojo. Gdy opuszczał pomieszczenie, pomyślał, że ten starszy facet w okularach jest w tym naprawdę cholernie dobry.

Rozdział 11

Oliwia Malinowska skończyła siedemnaście lat dopiero niecały miesiąc temu, ale nie pierwszy raz obudziła się w nie swoim łóżku, przecież od dobrych kilku lat musiała liczyć głównie na siebie. Jej matka nie należała ani do przesadnie pracowitych, ani opiekuńczych, a jej głównym zajęciem było kurwienie się po okolicznych wioskach. Mimo to Oliwia nie miała do niej żalu, bo mogła swobodnie korzystać ze swojego wolnego czasu, nie przejmując się ograniczeniami, które zwykle narzucano większości jej rówieśniczek.

W rodzinie Oliwii nigdy się nie przelewało. Póki żył ojciec, jeszcze jakoś dawała radę. Pracował jako koniuszy, a później śmieciarz, codziennie wypijał litr taniej wódki, po której rękę miał ciężką jak młot do wbijania nitów kolejowych, ale każdego dziesiątego przynosił do domu wypłatę, dzięki czemu trzymał wszystko w ryzach. Do czasu oczywiście, bo życie, nawet liche, nie zna próżni. I tak żywot Malinowskich po raz pierwszy zmienił się, gdy z domu odszedł brat Oliwii, Bogumił. Był od niej starszy o sześć lat i gdy tylko skończył osiemnaście i wyrobił sobie dowód osobisty, zabrał wszystkie swoje rzeczy i zniknął. To sprawiło, że ojciec zaczął pić jeszcze więcej i rutynowo tłuc matkę trzonkiem od siekiery. Obwiniał ją o to, że Bogumił uciekł, choć Oliwia doskonale zdawała sobie sprawę, że nie miał racji. Ale Stach wiedział swoje i swoje robił. Żywot Malinowskich zmienił się po raz drugi, gdy rok później Bóg zesłał na nich trzecie błogosławieństwo. Ojciec ograniczył spożycie, ale jak sam

regularnie powtarzał: „suma nałogów musi pozostać stała”, w związku z czym, zwłaszcza pod koniec ciąży żony, bardzo cierpiał, gdy połowica odrzucała jego kulawe zaloty, i swoją chuć zaspokoił w końcu w pokoju Oliwii. Przez następne miesiące robił to regularnie, a gdy matka wydała na świat martwą Jagódkę, znienawidził ją i całkowicie skupił się na córce. Oliwia od zawsze kochała ojca bardzo mocno i nową sytuację przyjęła ze zrozumieniem, jeśli trzynastoletnia dziewczynka może zrozumieć fakt, że ojciec co wieczór ją gwałci. Nie oponowała jednak, bo się bała, a poza tym tłumaczyła sobie, że przecież Stach był delikatny, a do tego przynosił jej lody i czasem zostawiał jakieś drobne, a po roku pozwolił nawet palić papierosy i pić wódkę. Oliwia weszła tym samym w kolejny etap życia, które dla rodziny Malinowskich już wkrótce miało zmienić się jeszcze bardziej.

Zmieniło się, gdy pewnej nocy Stach poszedł na ryby. Oliwia lubiła, jak ojciec wychodził nad rzekę, bo zwykle nie wracał przez wiele godzin, a czasem dni, dzięki czemu mogła robić, co chciała, i nie martwić się perspektywą spełniania obowiązku, który ciążył jej coraz bardziej. Zresztą łowienie ryb było chyba jedynym zajęciem, które sprawiało, że ojcu wracał humor, a pod wąsem mogła dostrzec szczery uśmiech.

– Jest! Kurwa, jest! Duża skubana! Patrz, Oliwka, patrz, jak wyciąga żyłkę – zwykł krzyczeć podniecony, gdy kolejny szczupak, sum bądź ulubiony boleń chwycił przynętę. Lubiła wtedy oglądać ojca, zwłaszcza gdy była mała i wciąż jeszcze bezinteresownie darzyła go miłością i podziwem. Jak na ugiętych nogach, z tanim papierosem w ustach, dzierżył wygiętą w łuk wędkę i walczył z rybą, która zwykle później lądowała na rodzinnym stole. W tych starych, cuchnących woderach, dziurawej kamizelce z tysiącem kieszonek i czapeczce z wąskim rondem prezentował się dla niej jak bohater. Wtedy gdy była mała i jeszcze miała brata.

Ale Stach pewnej piątkowej nocy poszedł na ryby i już nie wrócił. Matka z początku niespecjalnie się przejęła, ponieważ przyzwyczaił ją, że do chałupy wracał wtedy, kiedy uznał to za stosowne, zwykle gdy zgłodniał. Rzadko zdarzało się, aby nie pojawił się w domu dłużej niż trzy dni z rzędu, dlatego w poniedziałek Halina zadzwoniła do Gienka, który był jego najbliższym przyjacielem od ryb i kielicha. Gienek odebrał dopiero wieczorem, krótko po powrocie z pracy, i ze zdziwieniem przyjął do wiadomości, że Stach nie wrócił do domu. Twierdził, że zasadzili się na suma, rozpalili ognisko i pili wódkę, a że akurat był dzień wypłaty i tej nie brakowało, to urwał mu się film. Gdy się przebudził, zobaczył, że Stacha nie ma, jego wędki też, pomyślał więc, że stary kompan po prostu wrócił do domu. Próbował zadzwonić na komórkę, ale nie było sygnału. Doszedł do wniosku, że może po pijaku narobił jakichś głupot i Stach się na niego wkurwił. Spakował więc swój sprzęt i poszedł. Dopiero gdy policja zapukała do jego drzwi z informacją, że jest ostatnią osobą, która widziała Stacha przy życiu, zrozumiał powagę sytuacji. Stach utopił się, a jego ciało nurkowie wyłowili w okolicach Radomicka. Przyczynę śmierci potwierdziła sekcja zwłok. Śledztwo było więc krótkie i choć Gienka z początku podejrzewano, że mu w tym pomógł, z powodu braku dowodów został oczyszczony z zarzutów. A gdy dwa tygodnie później, kilka kilometrów za Połęckiem, znaleziono wędkę Stacha tkwiącą w jednym z powalonych konarów, stało się jasne, że ręki do śmierci przyjaciela nie przyłożył. Stach zginął, robiąc to, co kochał najbardziej. Walczył z rybą, choć tym razem tę walkę przegrał. Dowód tego heroicznego pojedynku – przynajmniej z perspektywy Stacha, Gienka i niewielkiej społeczności Krosna Odrzańskiego – wciąż pływał z hakiem w trzewiach. Ponad dwumetrowy, ważący sześćdziesiąt siedem kilogramów sum nie został oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia, zamiast tego jacyś młodzi

ludzie z koła wędkarskiego zabrali go i ślad po nim zaginął. Podobno, choć to tylko legenda, zwrócono mu wolność i wciąż pływa w Odrze.

Ta myśl sprawiła, że Oliwia się ocknęła. Widok rozdziawionej paszczy „suma mordercy” zwykle sprawiał, że budziła się zlana potem, nawet jeśli z biegiem czasu zdała sobie sprawę, że ryba oddała jej przysługę. Przez chwilę leżała, próbując skupić myśli, ale miała wrażenie, że jej głowa zaraz eksploduje. Pomyślała, że znów dopadł ją kac morderca, i zdecydowała, że trochę oswoi się z tą myślą, zanim otworzy oczy i ból głowy jeszcze się nasili. Tylko ta woń. Wyjątkowo paskudna. Nie pierwszy raz budziła się w melinie, ale jeszcze nigdzie nie cuchnęło aż tak obrzydliwie.

Oliwia poczuła, że zaraz zwymiotuje. Z trudem uniosła powieki, ale ze zdumieniem spostrzegła, że niewiele widzi. Smród stęchlizny uderzył ze zdwojoną siłą i niewysoka blondynka gwałtownie opróżniła swój żołądek z zalegającego alkoholu i resztek tego, co zjadła poprzedniego wieczoru. Wytarła usta dłonią, a nadgarstek w stary materac, na którym siedziała. Był wilgotny i zimny.

Pomyślała, że wstanie i pójdzie do łazienki. Chciało jej się siku. Gdy się podniosła, usłyszała metaliczny dźwięk, który nie wzbudził w niej przyjemnych skojarzeń. Zlękła się i z duszą na ramieniu dotknęła okolic lewej kostki, a gdy pod palcami wyczuła skórzaną obejmę, zgroza wdarła się do jej umysłu niczym rozszalałe tsunami.

– Halo? – pisnęła. – Jest tu kto?

Sama nie wiedziała, czy chciała poznać odpowiedź. Nasłuchała się opowieści o tym, jak dziewczyny w jej wieku były porywane przez gangi stręczycieli i przepadały bez wieści. Rozmawiała o tym nawet podczas ostatniej imprezy z Agatą, koleżanką ze szkolnej ławki, która opowiadała…

No właśnie. Ostatnia impreza. U Antka na chacie. Byli w czwórkę z Jackiem i Agatą właśnie. Sporo wypiła, Antek poczęstował ją jakimiś

nowymi dopalaczami, podobno mocnymi. Może wykręcili jej jakiś numer? Ale przecież wyszła z jego domu. Jak przez mgłę pamiętała, że pokłóciła się o Kostkę, swojego byłego, o którego Antek był tak zazdrosny. On wypominał jej, zresztą zupełnie bezpodstawnie, że pewnie wciąż się z nim bzyka, a ona oponowała. Krzyczeli na siebie, potem chciał się do niej dobrać, ale źle się poczuła. Wyszła się przewietrzyć. I tyle. Chyba…

– Antek? – Poczuła się trochę pewniej. Chłopaki prawie na pewno robiły sobie jaja. – Antek, do jasnej cholery! To nie jest śmieszne!

Cisza. Tylko echo, które po chwili wsiąkło w zimne ściany.

Oliwia podniosła się i zrobiła dwa kroki. Ponury szczęk łańcucha wypełnił mroczną piwnicę.

– Antek, Jacek, Agata! Tu jest cholernie zimno! – krzyknęła. – Skończcie z tymi bzdurami, bo jeszcze się rozchoruję.

Bez odzewu. Oliwia poczuła nawracający atak paniki. Chłopaki robiły różne numery, ale ten byłby wyjątkowo paskudny. Co jeśli to nie oni?

– Kurwa, Antek, proszę cię. To naprawdę nie jest śmieszne. Zapal przynajmniej to cholerne światło, bo nic nie widzę.

Cisza, mrok jak najczarniejsza noc. Oliwia zawsze widziała gorzej w ciemności. Prezent od babci i matki, które miały odpowiednio minus pięć i minus trzy dioptrie. Ona tylko minus dwie, ale nie nosiła okularów, aby nie wyglądać jak kujon. Z taką wadą mogła żyć. Do tej pory.

Oliwia wyciągnęła ręce przed siebie i zrobiła kolejne dwa kroki. Łańcuch szurał po podłodze, szczękając złowieszczo. Nagle naprężył się i poczuła szarpnięcie. To niemożliwe, pomyślała. To tylko zły sen albo kolejny pokręcony odlot po dopalaczu, wmawiała sobie.

Wtedy palce jej dłoni oplotły zimny pręt. Najpierw jeden, potem drugi, powędrowały do trzeciego i czwartego.

Oliwia zrozumiała. Ktoś zamknął ją w celi i przykuł do ściany jak psa. Zanim się zorientowała, wpadła w panikę i zaczęła krzyczeć. Na próżno. Nikt jej nie słyszał. Albo prawie nikt.

Kilka metrów dalej, w najciemniejszym rogu piwnicy, siedział mężczyzna, który w ciszy bacznie ją obserwował. I toczył walkę. Sam ze sobą.

Gdy dziewczyna w końcu padła bez sił na kolana i zaczęła cicho płakać, podjął decyzję. Już wiedział, jak ją ukarze.

Rozdział 12

Brudny stał na światłach jednego ze skrzyżowań ulicy Wrocławskiej, która prowadziła w stronę zielonogórskiej nekropolii. Z lekkim niesmakiem obserwował niebo, które znów przykryły kłębiaste chmury nawiane z zachodu, i słuchał, jak w radiu ciepły kobiecy głos ostrzegał przed kolejną ulewą. Pomyślał, że październik tego roku jest wyjątkowo paskudny.

Od dobrych dwóch minut wlókł się za starym clio, którym kierowała jakaś kobieta o puszystych, siwych włosach. Poruszała się czterdzieści na godzinę, nic sobie nie robiąc z faktu, że za nią stworzył się już sporej długości korek. W końcu dotarł jednak na szczyt wzniesienia, na którym znajdowała się stacja benzynowa. Zajechał pod dystrybutor, zatankował i wstąpił do sklepu po sok z czarnej porzeczki. Zawsze pił go podczas sekcji zwłok. Przed jego pierwszą ktoś mu powiedział, że pomaga przezwyciężyć fetor i nieprzyjemny posmak w ustach, a on po prostu skorzystał z rady. Czy zadziałało? Nie był pewny, bo nie miał punktu odniesienia, ale Brudny lubił rytuały, a ten mu się spodobał.

Na przednią szybę spadły pierwsze krople. Brudny spojrzał w niebo, upił łyk soku i z powrotem włączył się do ruchu. Po prawej stronie minął stadion żużlowy, na którym według radiowych doniesień już tej niedzieli miano rozegrać finałowy mecz o mistrzostwo Polski pomiędzy Falubazem Zielona Góra a jego odwiecznym wrogiem Stalą Gorzów. Nie lubił tego sportu, tym bardziej nie rozumiał masowej histerii lokalnych społeczności. Potrafił jednak docenić fakt, że pojedynek, który traktowano tu jako

najważniejszy finał w historii obu miast, choć trochę przykrył medialnie sprawę Trochana. Tuż za stadionem, na wzgórzach znajdował się cmentarz miejski, a po prawej stronie, w jego nowej części, budynki biurowe i pracownicze, w tym prosektorium.

Komisarz dotarł na duży, prawie pusty parking. W tym czasie już lało, dlatego włączył wycieraczki, które z coraz większym trudem walczyły z żywiołem. Kątem oka dostrzegł przy drzewach furgonetkę z wymalowanym emblematem jednej z ogólnopolskich telewizji. Nieco dalej kilka samochodów, w większości rzęchy, w których dostrzegł siedzące postaci. Pomyślał, że takimi złomami mogą jeździć tylko młodzi policjanci albo dziennikarze. Jeden z nich wyszedł z pojazdu i skierował w jego stronę jedną z tych dużych, nieporęcznych kamer, które już dawno wyszły z użycia. Zignorował go i ruszył wzdłuż parkingu, aż dotarł do zamkniętej bramy. Założył, że musi być monitorowana, dlatego poczekał kilka sekund, aż się otworzy, po czym podjechał pod budynek prosektorium. Pod niewielkim daszkiem przy wejściu czekał na niego inspektor Czarnecki.

– Cenię sobie punktualność, komisarzu – przywitał go i wyciągnął do niego rękę.

Brudny uścisnął dłoń inspektora i znacząco kiwnął głową. Obaj weszli do budynku i od razu skierowali się do biura lekarza sądowego Roberta Krzywickiego. Doktor siedział przy biurku wpatrzony w jakieś papiery. Był postawnym mężczyzną w kwiecie wieku, a obfita siwa broda dodawała mu powagi i estymy. Gdy zorientował się, że ma gości, ściągnął okulary i wstał, aby się przywitać.

– Cześć, Romek. Czekałem specjalnie na ciebie, bo…

Gdy jego spojrzenie spoczęło na twarzy Brudnego, zaniemówił. Wytrzeszczył oczy w niedowierzaniu, następnie odruchowo cofnął się, a Czarnecki pomyślał, że w końcu udało mu się zaskoczyć starego wygę.

– Poznaj komisarza stołecznej policji Igora Brudnego – przedstawił gościa.

– Jasny gwint! Romek…

Brudny wyciągnął dłoń w kierunku patomorfologa. Ten uścisnął ją nieufnie.

– Toś mnie, Romek, teraz zaskoczył… – zwrócił się do inspektora, nie spuszczając wzroku z komisarza i potrząsając jego ręką, jakby zupełnie zapomniał, że wciąż ją trzyma.

– Uprzedzałem cię…

– A myślałem, że już nic mnie w życiu nie zadziwi… – Krzywicki poluzował uścisk, gdy zorientował się, że jego zachowanie zaczyna wyglądać mało profesjonalnie.

– Też tak myślałem – skomentował Brudny z wyczuwalną ironią w głosie.

– Dla jasności. Komisarz Brudny z pewnością jest bratem bliźniakiem podejrzanego. Wcześniej o sobie nie wiedzieli. Wychowywali się osobno – wyjaśnił Czarnecki.

Doktor poczuł się trochę zażenowany. Z powrotem założył okulary i podszedł do szafki, w której trzymał roboczy fartuch. Z łatwością można było zauważyć, że jest podenerwowany.

– Przepraszam pana, komisarzu – zwrócił się do Brudnego, gdy wkładał niebieski kitel. – Mam nadzieję, że pana nie uraziłem swoim zachowaniem. Rzadko w tym miejscu spotykam obcych, którzy są w stanie mówić, a widok mężczyzny, który, jak sobie wyobrażałem przez ostatnie godziny, zamordował tych biedaków…

– Nic się nie stało, doktorze – przerwał mu Brudny, a Krzywicki poczuł się, jakby zupełnie pogrążył swój wizerunek najlepszego patomorfologa w tej części kraju. – Możemy przejść do oględzin zwłok?

– Oczywiście. Tędy, proszę. – Doktor zamaszystym gestem zaprosił gości do sali sekcyjnej. – Aha… – dodał po chwili. – Uczulam, że zwłoki są w dość zaawansowanym stanie rozkładu…

Chwilę później trójka mężczyzn wkroczyła do niewielkiej sali sekcyjnej. Gdy tylko doktor otworzył grube stalowe drzwi, z wnętrza buchnął odrażający fetor.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję… – burknął pod nosem Czarnecki i od razu sięgnął do kieszeni marynarki po chusteczkę.

Brudny nie skomentował, zamiast tego zbliżył się do bezgłowych zwłok. W milczeniu omiótł je wzrokiem. Były ogromne i ledwie mieściły się na stole sekcyjnym. Ofiara musiała za życia albo chorować, albo prowadzić wyjątkowo niezdrowy tryb życia, bo Brudny ocenił wagę denata na jakieś sto sześćdziesiąt kilogramów. Pożałował, że nie mógł zobaczyć ich w miejscu porzucenia, a następnie podczas sekcji. W tej chwili, po przebadaniu i pozyskaniu próbek przez techników kryminalistyki, zwłoki były już wymyte z mułu, śluzu i innych substancji, które miały kontakt z ciałem.

– Oto pierwszy z naszych ancymonów, pan Zenek – oznajmił Krzywicki i rozpoczął swój monolog. Brudny nie słuchał, znał się na tej robocie i nikt nie musiał mu niczego tłumaczyć. Obszedł ciało dookoła. Było pozbawione głowy, a klatkę piersiową i jamę brzuszną otwarto od samej góry aż po okolice przyrodzenia, po którym pozostała tylko zielono-brązowa dziura. Skóra w przedniej części ciała była blada, a w okolicach pleców i dolnej części ud w oczy rzucały się wyraźne plamy opadowe. Na nogach i biodrach rany po ugryzieniach, dowód, że po śmierci do ciała dobrały się zwierzęta. Raz jeszcze obszedł zwłoki, pochylając się przy nadgarstkach i kostkach, które nosiły ślady głębokich otarć i wokół których skóra była wyraźnie poczerniała.

– Udało się ustalić ostateczną przyczynę zgonu? – zapytał, nie odwracając wzroku od prawej dłoni denata.

– Tak. I nie mam tu dobrych wieści. Spójrzcie na krawędzie ran. – Krzywicki wskazał palcem tkanki przy głównym cięciu na klatce piersiowej. – Po pierwsze nie są idealnie równe, a po drugie widać wyraźne krwawe podbiegnięcia.

– Sugerujesz, że patroszył ich na żywca? – do rozmowy włączył się Czarnecki, który od dłuższego czasu trzymał przy nosie chusteczkę.

– I pewnie doskonale się przy tym bawił. Otworzył ich jakimś ostrzem, ale na pewno nie skalpelem. Może nawet zwykłym, dobrze naostrzonym nożem. Rany nie są idealnie równe, miejscami nawet szarpane, co wyraźnie widać w głębszych warstwach tkanki. O, na przykład tu. – Krzywicki wskazał palcem na fragmenty tkanki tłuszczowej. – Ofiara z pewnością reagowała na ból i nawet jeśli była porządnie unieruchomiona, co potwierdzają otarcia na nadgarstkach, udach i kostkach, to w czasie rozcinania klatki piersiowej próbowała walczyć.

– Jak oprawca dostał się do płuc i serca? – Brudny pochylił głowę, niemal wsadzając ją do wnętrza klatki piersiowej ofiary. Z odległości zaledwie kilku centymetrów zbadał kolejne tkanki.

– No właśnie… to nie moja robota… – Krzywicki wymownie spojrzał na trupa i bezradnie rozłożył ręce. – Powiedziałbym, że facet działał według procedur sekcyjnych. Po otwarciu klatki piersiowej i jamy brzusznej pozbył się mostka i żeber. Po cięciach widać, że prawie na pewno takim sekatorem jak ten. – Wskazał na jedno ze swoich narzędzi. – Sprawca robił to, gdy ofiara jeszcze żyła, więc trudno mi sobie wyobrazić jej cierpienie. Konieczne jest szybkie zapoznanie się z wynikami toksykologicznymi. Wiecie… jeśli naprawdę chciał, aby ofiary szybko nie umarły, choćby na

zawał czy doznając szoku bólowego, to pewnie je czymś naszprycował, aby choć odrobinę uśmierzyć cierpienie.

– Skąd wiesz, że ten facet do samego końca był świadomy?

– Prawie wszystkie cięcia są nierówne. Albo ofiara walczyła i próbowała się wyrwać, albo sprawca miał parkinsona. – Krzywicki uśmiechnął się wymownie. – Tak na serio, to wszędzie widać bardzo wyraźne krwawe podbiegnięcia, co potwierdza, że serce biło do samego końca. Nawet gdy oprawca sięgał po jelita czy nerkę.

– Jak długo to mogło trwać?

– Nawet do kilku minut. I, tak jak mówiłem, przez ten cały czas ofiara mogła być przytomna i świadoma tego, co się z nią dzieje. Ale na przykład ostatnio miałem pacjentkę – Krzywicki pokazał palcami cudzysłów – która po pijaku sama nacięła sobie brzuch i przez dziurę wyciągnęła pięć metrów jelita. Tak żebyście nie myśleli, że to coś niewykonalnego…

– A głowa? – Brudny niemal wsadził nos w otwartą szyję denata.

– Sprawca odciął ją po śmierci. Wyraźnie widać, że krawędzie ran są równe, gładkie i bez krwawych podbiegnięć.

– Jakim narzędziem się posłużył?

– Dużym i z szerokim ostrzem. Na moje oko tasak albo maczeta.

Brudny wyprostował się i bez słowa wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza paczkę papierosów. Poczęstował Krzywickiego, który od razu mocno się zaciągnął.

– Jak widzicie, panowie, sprawca to naprawdę chory sukinsyn. Chcecie zobaczyć drugiego?

– Ja już widziałem, ale…

– Oczywiście. – Brudny nie pozostawił wyboru.

Mężczyźni udali się w oparach dymu papierosowego do drugiego pomieszczenia. W środku krzątała się młoda, niewysoka blondynka

o dużych niebieskich oczach. Miała na sobie biały, częściowo ubrudzony płynami ustrojowymi kitel, a jej nieprzeciętna uroda wyraźnie kontrastowała z ponurą scenerią sali sekcyjnej.

– To moja asystentka Iza Nowakowska – przedstawił ją Krzywicki, a Brudny nieznacznie skinął głową na powitanie.

– Właśnie wychodziłam, Robert – rzekła nieco speszona. – Skończyłam ogarniać zwłoki i papiery też są już na swoim miejscu.

– Jak zwykle niezastąpiona. Co ja bym bez ciebie zrobił, Iza?

– Cóż… nawet wolę o tym nie myśleć… – Nowakowska wymownie pokręciła głową i puściła do niego oko.

– Dobrze już, dobrze. Bądź jutro z pół godziny wcześniej, proszę. Pewnie znów będziemy mieć tu niezły kocioł.

– Okej. W takim razie uciekam. Do widzenia panom.

Asystentka pożegnała się z gracją i znikła w przedsionku. Brudny odprowadził ją wzrokiem, który chwilę później skierował na kolejne bezgłowe zwłoki. Również były otwarte oraz oczyszczone z mułu i śluzu. Różniły się natomiast gabarytami, bo w przeciwieństwie do „pana Zenka”, Zdzichu – jak przedstawił denata Krzywicki – należał do zdecydowanie niższej kategorii wagowej.

– Coś pod paznokciami? – spytał Brudny, oglądając trupa.

– Nic specjalnego. Raczej nie liczyłbym na DNA sprawcy, bo nie odnalazłem żadnych fragmentów skóry czy innej tkanki.

– Treść żołądkowa?

– Obaj mieli prawie taką samą. Wygląda na to, że zanim sprawca zabrał się do roboty, wcześniej nakarmił ich ziemniakami i wieprzowiną. Ale tuż przed morderstwem wykazał się wyjątkowo wysublimowanym gustem kulinarnym… – W oczach Krzywickiego rozbłysły ogniki.

– Nie będę zgadywał – burknął Brudny, który z odległości kilku centymetrów studiował gnijącą ranę w kroczu.

– Jest pan na dobrym tropie, że tak powiem…

– Czyli jednak mam zgadywać? – Ton Brudnego nie pozostawiał złudzeń, że nie bawi się równie dobrze jak gospodarz tego przybytku.

Krzywicki nerwowo poprawił na nosie okulary. W obecności komisarza czuł się nie tylko skrępowany, ale i – co zdarzało się bardzo rzadko – co najmniej nieswojo we własnym prosektorium. W jego ocenie Brudny idealnie pasował do wizerunku psychopatycznego zabójcy. Właśnie tak go sobie wyobrażał. Ponurego, surowego, bez krzty emocji. Skrzywił się z niesmakiem na widok tego, jak absorbują go oględziny zwłok.

– Kazał im zjeść własne penisy – wykrztusił po chwili wahania.

Po tych słowach w salce zapadła cisza. Czarnecki znał już ten fakt, bo trzy godziny wcześniej uczestniczył w sekcji razem z prokuratorem i kilkoma innymi osobami zaangażowanymi w śledztwo. Specjalnie nie informował o tym Brudnego, bo chciał sprawdzić, jak zareaguje na tę informację. Komisarz nawet nie podniósł wzroku.

Czarnecki przyglądał się Brudnemu z zaciekawieniem, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby go zaniepokoić. Komisarz był po prostu surowo ciosanym typem, a do tego profesjonalistą w swoim fachu, który widział już wiele i takie obrazki nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

– Co pan o tym myśli, inspektorze? – Brudny w końcu podniósł wzrok znad trupa.

– Osobiście nie spotkałem się jeszcze z takim bestialstwem, choć od kolegów ze „zorganizowanej” wiem, że to coraz częstsza praktyka.

– No to chyba mamy motyw…

– Może pan jaśniej, komisarzu…

– Mafia bądź różnego rodzaju grupy związane z przestępczością zorganizowaną stosują tak surową karę tylko wobec ludzi, którzy wyjątkowo zaleźli im za skórę. I właśnie… Do tej pory nie spytałem. Sprawca dokonał gwałtu na ofiarach? – Brudny rzucił krótkie spojrzenie w kierunku lekarza.

– Tak. I to bardzo brutalnego, zwłaszcza że do penetracji doszło za życia obu ofiar. Nie zgwałcił ich jednak w klasycznym znaczeniu tego słowa. Zrobił to zardzewiałą rurą albo czymś w tym rodzaju. Obrażenia są bardzo rozległe i widać, że sprawca robił to pod wpływem silnych emocji.

– Jak dla mnie sprawa jest jasna… – Brudny obszedł trupa i zbliżył się do inspektora.

– Sugeruje pan, że mordercą kierowała zemsta?

– Moim zdaniem to ma sens.

– Zakładając, że mordercą nie jest doktor Trochan, oczywiście…

– Owszem.

– Średnio pasuje to do profilu nakreślonego przez moją ekspert…

– Tak jak i cała reszta.

Inspektor zasępił się, przyłożył pięść do podbródka i na chwilę odpłynął myślami gdzieś daleko. Brudny wymienił się jeszcze z Krzywickim kilkoma spostrzeżeniami dotyczącymi miejsca porzucenia ciał, ich ułożenia i kilku innych kwestii, których szanujący się detektyw nie mógłby pominąć, po czym zgasił papierosa w kryształowej popielniczce i napił się soku z czarnej porzeczki. Czarnecki wciąż intensywnie próbował połączyć fakty.

– Kto, kto, kto byłby…? – powtarzał pod nosem.

– Kto byłby w stanie odciąć ofierze kutasa i wcisnąć go w jej gardło? – Brudny zapalił kolejnego papierosa.

To nie może być tak proste, pomyślał Czarnecki. Spojrzał na skąpanego w kłębach białego dymu Brudnego i chwycił za telefon.

– Grzegorz?

– Tak?

– Sprawdź kartotekę tych ofiar. Wyślij ludzi do ich rodzin i znajomych, znajomych znajomych i znajomych ich znajomych. Chcę wiedzieć o tych facetach absolutnie wszystko.

Rozdział 13

Wieczór był chłodny. Niebo znów zasnuły ołowiane chmury, z których nieustająco siąpił kapuśniaczek wciskający się w każdy niezasłonięty zakamarek ciała. Gdy zapadł zmrok, z zachodu zerwał się dodatkowo silny wiatr, który tylko potęgował wrażenie zimna.

Brudny zaparkował swojego patrola przy Filharmonii Zielonogórskiej i Pierogarni po Byku. Po godzinie w towarzystwie dwóch bezgłowych i wypatroszonych trupów większość ludzi zapewne straciłaby apetyt. On jednak przyzwyczaił się do podobnych widoków już dawno temu, a ponieważ ruskie były jednym z jego ulubionych dań, nie mógł sobie odmówić tej przyjemności. Łaknienie poczuł już w prosektorium, ale prawdziwy głód zaczął mu doskwierać dopiero teraz, dlatego od razu poszedł coś zjeść. Zamówił porcję „po byku", pół na pół ruskich oraz z mięsem, i popił zimnym jasnym piwem. Dał kelnerce dwanaście złotych napiwku i opuścił lokal.

Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno. Wyciągnął papierosa i zapalił. Przez chwilę bezmyślnie przyglądał się budynkowi stojącej naprzeciwko filharmonii, po czym postawił kołnierz płaszcza i ruszył w kierunku kurii diecezjalnej, która znajdowała się przy kościele Przenajświętszej Marii Boskiej Częstochowskiej, jednego z najstarszych i najczęściej odwiedzanych zabytków miasta. Nie umawiał się na spotkanie, bo się go spodziewali. Siostra Gwidona, nawet jeśli ją trochę postraszył, i tak pewnie zadzwoniła do przełożonych.

Brudny przemknął przez park przy filharmonii i ominąwszy kilka zaparkowanych samochodów, skręcił za rogiem szarego budynku należącego do kurii. Z nutką melancholii zauważył, że na posterunku obok wciąż stoi stary, dobry Kapsel, jedyny sklep monopolowy w mieście, w którym można było dostać piwne białe kruki. Bo jeśli czegoś nie mieli w Kapslu, to znaczyło, że nie miał tego nikt w Polsce.

Stanął przy domofonie i wybrał odpowiedni numer. Po krótkim sygnale z głośnika dobiegł młody, choć stanowczy głos.

– Kto tam?

– Zbłąkana dusza – zakpił Brudny.

– Proszę nie pajacować. Poza tym kuria zamknięta. Proszę przyjść jutro.

– Nalegam, aby otworzył pan drzwi.

– Już powiedziałem, kuria zamknięta do jutra do godziny dziewiątej. Do widzenia.

Coś w głośniku zaskrzeczało i nastała cisza. Głos na pewno nie należał do biskupa, raczej do ministranta albo jakiegoś świeżo upieczonego urzędnika odpowiedzialnego za budynek kurii. Brudny nie czuł się zaskoczony. Od zawsze uważał, że Kościół to instytucja z największą liczbą hipokrytów na metr kwadratowy. Człowiek po drugiej stronie mikrofonu tylko utwierdził go w tym przekonaniu.

Brudny nacisnął przycisk raz jeszcze i tym razem przytrzymał go dłużej.

– Słucham? – Ton był jeszcze bardziej pretensjonalny.

– Proszę otworzyć. Mam pilną sprawę do biskupa Pilcha.

– Kuria jest zamknięta do jutra do…

– Spójrz w ekran, chłopcze, i otwórz te cholerne drzwi. – Brudny stracił cierpliwość i przystawił do oka kamery policyjną odznakę. Odczekał chwilę.

– Pan z policji? – Ton po drugiej stronie zmienił się diametralnie, a Brudny od razu pomyślał, że rozmówca ma coś na sumieniu. Biorąc pod uwagę zapach, jaki wyczuł zaraz po wejściu na plac przy kurii, sprawa była oczywista. – A w jakiej sprawie, jeśli mogę spytać?

– Nie może pan. Proszę otworzyć drzwi i poinformować biskupa Pilcha o moim przybyciu.

– Pana godność, panie władzo…?

– Otwieraj, gówniarzu, bo zamknę cię za posiadanie. Nawet stąd czuję zapach maryśki, którą właśnie paliłeś w oknie.

W tej samej sekundzie rozległo się charakterystyczne bzyczenie i Brudny otworzył drzwi. Wszedł do środka i poszedł na piętro, gdzie miał swój apartament biskup Pilch. Gdy był już w połowie schodów, usłyszał szczęk zamka na parterze. Po chwili z jednego z pomieszczeń wybiegł chudy chłopaczek w okularach i w za dużej bluzie z kapturem. Miał może ze dwadzieścia lat.

– Proszę nie iść do księdza biskupa! – zawołał błagalnie. – Ja pójdę z panem, tylko proszę nic mu nie mówić. Błagam. Chciałem tylko spróbować i…

Młodzieńcowi głos się załamał. Brudny przystanął i zmierzył go spojrzeniem pełnym zawodu.

– Spuść w kiblu to, co ci zostało, i następnym razem otwórz każdemu, kto tu przyjdzie i będzie szukał pomocy. Bez względu na godzinę. Zrozumiano?

– Tak, oczywiście, proszę pana. Ale czy to oznacza, że…?

– Tak, to oznacza, że nie wspomnę o tym biskupowi, nie aresztuję cię i nie wsadzę do celi z grypsującymi recydywistami, choć mógłbym to zrobić i zrobię, jeśli następnym razem będziesz taki pyskaty.

– Naprawdę? – W oczach chłopaka pojawił się błysk nadziei.

– Nie będę powtarzał. I lepiej zejdź mi z oczu, zanim zmienię zdanie.

– Zrobię, co pan każe. Dziękuję panu. Do widzenia panu.

Chłopak ukłonił się kilkakrotnie, obrócił na pięcie i zniknął w pokoju. Brudny odprowadził go wzrokiem i wznowił wspinaczkę po stromych schodach. Ucieszył się, że sytuacja ułożyła się w ten sposób i młody nie zdołał uprzedzić Pilcha o jego wizycie. Mógł wziąć biskupa z zaskoczenia.

Stanął przed drzwiami, na których wisiał sporych rozmiarów krzyż oraz tabliczka „J.E. Ks. Bp Amadeusz Pilch”. Przystawił ucho do drzwi. W tle słychać było grający telewizor, z którego dobiegał znajomy hymn Ligi Mistrzów. Gdy go słyszał, zwykle przełączał kanał, bo nigdy nie należał do fanów piłki nożnej. Musiał jednak przyznać, że choć ten kawałek zwiastował dwie godziny zmarnowanego czasu, to miał w sobie coś wytwornego i nawet wpadał w ucho.

Zapukał raptownie.

– Czaruś? Wejdź.

Brudny pomyślał, że być może źle ocenił siostrę Gwidonę. Biskup Pilch nie wyglądał na człowieka, który spodziewa się gościa tego kalibru. Albo do niego nie zadzwoniła, bo rzeczywiście przestraszyła się konsekwencji, albo nie nadawała z Pilchem na tych samych falach. Obie możliwości zadowalały Brudnego w takim samym stopniu.

Brudny nacisnął klamkę i wszedł do środka. Biskup Pilch siedział wygodnie przed telewizorem w piżamie w kolorowe palemki. W jednej ręce trzymał paczkę paprykowych czipsów, a w drugiej piwo.

– Przyszła już ta pizza? Mam nadzieję, że dali tę dodatkową colę… – Biskup upił łyk, nie odwracając oczu od telewizora, na którym kamera przesuwała się po twarzach kolejnych piłkarzy. Kilku z nich Brudny nawet kojarzył, ale nie pamiętał nazwisk.

– To nie pizza, panie Pilch – odparł.

Mężczyzna aż podskoczył. Grymas zdziwienia na jego twarzy mógł konkurować jedynie z miną Andrzeja Gołoty po pierwszym nokdaunie przegranego starcia o mistrzostwo świata wagi ciężkiej z Lennoxem Lewisem.

– Kim pan jest? Co pan tu robi? – pytał zaskoczony.

– Nazywam się Igor Brudny i jestem komisarzem stołecznej policji. Będę miał do pana kilka pytań.

– O tej porze? Tak niezapowiedziany? Czy… czy… pan wie, kim jestem?

Pilch próbował się jakoś maskować. Wyglądał doprawdy żałośnie w tej zapinanej na guziki piżamie w kolorowe palemki, spod której wystawał piwny brzuszek i kilka czarnych kłaków w okolicy szyi. Spora łysina i okulary o grubych szkłach również nie dodawały mu powagi. Na pewno nie spodziewał się gości.

– Wiem, kim pan jest, i nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Radzę też panu jakoś sensownie się ubrać, zanim zaczniemy rozmowę.

– To jest skandal! Proszę natychmiast opuścić mój pokój i budynek kurii. A ja jutro zadbam, aby pan odpowiedział za to bezprawne wtargnięcie i…

– Nie zadba pan o nic i będzie siedział cicho. Zrobi pan też nam obu mocnej kawy i przez najbliższą godzinę albo dwie odpowie zgodnie z prawdą na każde pytanie, które panu zadam. No, chyba że rzeczywiście chce pan poznać prawdziwe znaczenie słowa „skandal”.

Biskup Pilch zamilkł i z odrazą zmierzył pewnego siebie rozmówcę. Nerwowo przełknął ślinę i zmrużył oczy. Gardził intruzem, ale jednocześnie się go bał. Brudnemu wystarczyło jedno spojrzenie, aby zrozumieć, że ten pięćdziesięcioparoletni facet o aparycji miłego sąsiada psychopaty z naprzeciwka ma na sumieniu całkiem sporo.

– Czego pan chce, panie komisarzu? – spytał gospodarz.

– Powiem panu, jak pan się przebierze. Ma pan jakieś dżinsy i koszulkę?

– Księża to też ludzie.

– Powiedzmy, że coś o tym wiem.

Pilch odstawił na wpół opróżnioną butelkę z piwem i raz jeszcze przyjrzał się komisarzowi. Ostatnia odpowiedź zmroziła go, tylko głupiec nie zdołałby wyczytać groźby między wierszami. Ten glina coś wiedział. Tylko co i co chciał z tą wiedzą uczynić?

Biskup poszukał na stole pilota i wyłączył telewizor w momencie, gdy sędzia gwizdkiem rozpoczął mecz.

– Proszę dać mi chwilę – rzekł. – Zaraz do pana przyjdę, komisarzu Brudny.

Rozdział 14

Romuald Czarnecki siedział na kanapie i oglądał kanał informacyjny. Właśnie wypił przygotowaną przez żonę herbatę i nalał sobie odrobinę koniaku, który pomagał mu zasnąć. Przez lata nie potrafił wypracować modelu pozwalającego na stuprocentowe oddzielenie życia prywatnego od pracy, zwłaszcza przy tak trudnych i angażujących śledztwach, w związku z tym, nawet gdy był zmęczony, potrzebował czegoś, co pomagało mu zapomnieć o trudach dnia minionego.

Sprawa Trochana, niestety, stała się już główną pożywką dla wszystkich ogólnopolskich mediów. Dzisiejsza konferencja prasowa z pewnością nie została odebrana przez media najlepiej, bo dziennikarze nie usłyszeli niczego konkretnego prócz kilku oczywistych faktów i ogólnikowych stwierdzeń, które finalnie sprowadzały się do klasycznego „z uwagi na dobro prowadzonego śledztwa nie mogę udzielić więcej informacji". Mimo to o sprawie trąbiono przy każdej okazji, do programów informacyjnych zapraszano pseudoekspertów od psychoanalizy, byłych gliniarzy, a nawet jasnowidzów. Stało się to, czego inspektor chciał uniknąć za wszelką cenę. Z poważnej sprawy zrobiono cyrk, a co najgorsze, w większości przekazów Trochan został napiętnowany i w zasadzie skazany. „Doktor Śmierć", „Filip Rozpruwacz", „Wampir z Zielonej Góry" – te i podobne nagłówki tylko wzmagały ogólnopolską psychozę, mało tego, zaczęły dochodzić sygnały z Warszawy, sugerujące, że Trochan tam się właśnie ukrywa. Kwestią czasu było, aż jakiś nadgorliwy młody dziennikarz w końcu dokopie się do

Brudnego, który przecież nie był, nawet biorąc pod uwagę specyfikę stolicy, postacią zupełnie anonimową.

Te i wiele innych spraw spędzały Czarneckiemu sen z powiek. Gdy na chwilę przysnął, zaraz budził go najdrobniejszy hałas, a pierwszą myślą było „kim jest morderca?”, drugą „dlaczego to robi?”, trzecią „czy uda mi się go złapać, zanim znów zabije?”. I tak w kółko.

Czarnecki nalał sobie drugi kieliszek koniaku, który zwykle pozwalał mu zasnąć na trochę dłużej. Postanowił też, że zanim go opróżni, wcześniej weźmie gorącą kąpiel, aby zmyć z siebie kożuch z tych wszystkich brudów, które przykleiły się do niego w ciągu długiego dnia pracy. Po wyjściu z łazienki dał żonie buziaka i jak to miał w zwyczaju podczas tak trudnych śledztw przyniósł sobie koc do salonu, aby w razie pilnego telefonu jej nie budzić.

Przebrał się w piżamę i ułożył wygodnie. Wypił resztkę koniaku, wyłączył telewizor i zamknął oczy. Poczuł, jak ogarnia go błogie uczucie rozluźnienia. Organizm wyraźnie dopominał się o podładowanie baterii, dlatego nasunął koc pod szyję i starał się więcej nie myśleć. Zerknął jeszcze na elektroniczny zegarek pod telewizorem. Dochodziła dwudziesta druga. Zdjął okulary i odłożył je na stół. Potem zasnął.

Kiedy rozbudzony sygnałem wibrującej komórki otworzył oczy, na budziku widniała dwudziesta trzecia dwanaście. Odebrał.

– Cześć, Anka – wymamrotał.

– Cześć, Romek. Słyszę, że cię obudziłam, ale lepiej usiądź.

– Masz wyniki DNA…?

– Mam.

Czarnecki usiadł i wymacał na stole okulary.

– Już. I niech to będą dobre wieści.

– Krótko. Odciski palców i DNA Trochana zostały potwierdzone na podstawie przynajmniej kilku pozostawionych śladów. Prawie na pewno to on.

– Prawie?

– Tak, prawie. Znaleźliśmy też DNA, które dzięki kilku drobnym mutacjom minimalnie różni się od DNA Trochana.

– Co to ma niby znaczyć, że minimalnie się różni?

– Tak jak słyszałeś. Minimalnie. Ale diabeł tkwi w szczegółach. Nie owijając w bawełnę, dowody wskazują, że Brudny też tam był.

* * *

– Jesteś pewna, że to nie pomyłka? – Czarnecki był nieco rozdrażniony, chodził wzdłuż swojego gabinetu z kubkiem parującej kawy w dłoni.

– Zleciłam badanie raz jeszcze, ale takie błędy się nie zdarzają.

– Opowiedz mi dokładnie, jak to jest z tymi bliźniakami. Z tego, co wiem, mają identyczne DNA. Mam rację?

– Po części. Bliźniaki jednojajowe rzeczywiście pod względem genetycznym są prawie identyczne. Prawie, bo tak sądzono do dwa tysiące piątego, gdy dostrzeżono pewne nieścisłości. W dwa tysiące ósmym ostatecznie potwierdzono, że informacja genetyczna bliźniąt może zawierać pewne różnice.

– Na czym to polega?

– Jest kilka teorii na ten temat, ale najczęściej mówi się o momencie tuż po podziale zarodka. Zmiany w genomie mogą zachodzić już w łonie matki, na przykład w trakcie walki o tlen i substancje odżywcze, ale zwykle rozwijają się później, a ich przyczyną są głównie czynniki środowiskowe. Chodzi tu przede wszystkim o takie rzeczy jak: przebyte choroby, dieta, spożycie alkoholu, papierosy, styl życia. W zasadzie lista jest

nieograniczona. W kilku segmentach DNA Trochana i Brudnego znaleźliśmy takie właśnie drobne różnice.

– Co to twoim zdaniem oznacza?

– Nie wiem, Romek. Ta sprawa robi się z dnia na dzień jeszcze bardziej zagmatwana. Wokół tych figurek DNA Trochana było niemal wszędzie, a jeśli chodzi o Brudnego, to dowodem było kilka włosów.

– Czyli musieli mieć wcześniej kontakt?

– Na to wychodzi.

– A próbki znad rzeki?

– Jutro… – Borucka zerknęła na zegarek – …a w zasadzie dziś do południa powinnam mieć wyniki. Gdy mamy już wzór, idzie znacznie szybciej.

Czarneckiego ta odpowiedź wyraźnie nie zadowoliła. Chodził od okna do szafki jak nakręcony, jakby ten rytuał miał pomóc w rozwiązaniu sprawy. Borucka obserwowała go kątem oka, bo choć współpracowali od lat, jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

W końcu się zatrzymał.

– A ta cała schizofrenia? Wiem, że to choroba genetyczna…

– Tak, właśnie miałam to powiedzieć. W obu sekwencjach odnaleźliśmy geny świadczące o obciążeniu tą chorobą, ale i tu dostrzegliśmy pewne różnice. O ile obaj mają wyraźną nadaktywność genu NOS1AP, który jest najpopularniejszy u schizofreników, prawdopodobieństwo wystąpienia silniejszej postaci choroby u Trochana jest, jak by to ująć, wyższe. Nie wchodząc w szczegóły, ze stu ośmiu odkrytych genów odpowiadających za podłoże pod schizofrenię, u Trochana wykryliśmy cztery mutacje obciążające go znacznie poważniej niż Brudnego.

Inspektor odstawił kubek na stół i usiadł na krześle. Schował głowę w dłoniach i trwał tak przez dłuższą chwilę. W pewnym momencie podniósł

wzrok na siedzącą obok Borucką.

– Obaj są chorzy?

– I w tym problem. Mogą, ale nie muszą. To jak z rakiem. Niektórzy są obciążeni genetycznie i dożywają stu lat, a inni umierają młodo, choć nigdy w rodzinie nie mieli nikogo z nowotworem.

– Przynajmniej teoria Elki ma jakieś podstawy – mruknął pod nosem nieco zrezygnowanym tonem. – Tylko co z tym Brudnym? Nie potrafię rozgryźć tego faceta. Teoretycznie powinienem go teraz aresztować, ale co mi to da? Brudny, jeśli rzeczywiście jest w to zamieszany, nie przyzna się. Jest zbyt inteligentny…

– Ja wykonałam swoją robotę, Romek. – Borucka podniosła się z krzesła i poklepała inspektora po ramieniu. – I jeśli nie masz nic przeciwko, to chętnie pójdę się przespać, bo nie zmrużyłam oka od dobrych trzydziestu godzin.

– Pewnie, Anka, dobra robota.

– Robię swoje.

– Żeby tak każdy robił swoje, to na świecie byłoby jak w raju. – Czarnecki spojrzał na współpracownicę, która właśnie zarzuciła na siebie płaszcz i sięgała po czarną torebkę. – Spotkanie zespołu o ósmej. Chcę, abyś to wszystko powtórzyła całej grupie.

– Nie spóźnię się. Cześć.

– Cześć.

Gdy drzwi gabinetu inspektora zamknęły się, Czarnecki poczuł, jak ogarnia go uczucie bezsilności. Przez trzydzieści lat prowadził setki spraw, ale po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że śledztwo zaczyna go przerastać.

Chwilę później poszedł w róg gabinetu, gdzie stały dwa skórzane fotele. Połączył je ze sobą i położył się. Szybko zasnął.

Rozdział 15

Usłyszała kroki.

Przeraziły ją bardziej niż cokolwiek do tej pory, bo zdała sobie sprawę, że gdy krzyczała i błagała o pomoc, ktoś cały czas krył się w ciemności. I napawał się jej lękiem.

Oliwia zastygła. Kroki ustały i znów zapadła grobowa cisza. Wstrzymała oddech i przyłożyła dłoń do ust, ale zrozumiała, że to nic nie da. Słyszała, jak bije jej serce. Jego nie mogła uciszyć. I była pewna, że postać czająca się w nieprzeniknionej ciemności też je słyszy.

Coś chrupnęło. Paskudny dźwięk skojarzył się jej z rozgniataniem chitynowego pancerza karalucha bądź innego owada. Ktoś za kratami znów ruszył w jej kierunku. Jeden krok, drugi, trzeci, czwarty. Coś trzeszczało pod podeszwami, jakby podłoga była wyścielona dywanem z wysuszonego robactwa.

Postać znów się zatrzymała, a Oliwia dostrzegła w mroku ledwo zauważalny zarys. Cień o nienaturalnie dużej, bezkształtnej głowie. I to dyszenie. Okropne. Odrażające. Nieludzkie.

Gdy usłyszała szczęk kluczy, a następnie zgrzyt przesuwanego rygla, nie wytrzymała.

– Błagam pana – pisnęła, jej głos łamał się prawie z każdym wypowiadanym słowem. – Proszę nie robić mi krzywdy. Ja nic nie powiem. Błagam, proszę mnie wypuścić. Nic nie powiem. Przysięgam.

Zawiasy złowieszczo zaskrzypiały i drzwi od prowizorycznej celi uchyliły się odrobinę. Oliwia znała ten dźwięk. Taki sam wydawała stara brama krośnieńskiego cmentarza. Ta myśl pogłębiła narastającą zgrozę.

– Błagam pana, zrobię wszystko. Błagam, proszę mnie zostawić – mamrotała pod nosem.

Dyszenie zamieniło się w sapanie. Wyczuła w nim żądzę. Zwierzęcą, niezaspokojoną chuć. Odruchowo zacisnęła uda. Wtedy cień pochylił się i – nie była tego całkowicie pewna – chyba postawił coś na podłodze. Następnie obrócił się i z powrotem zaryglował wejście. Chwilę później, stąpając ciężko, oddalił się.

Oliwia odetchnęła z ulgą, ale spokój nie trwał długo. Szybko zorientowała się, że cień daleko nie odszedł. Znów skrył się w mroku. I ją obserwował.

Teraz o tym wiedziała i to ją totalnie przerażało.

* * *

Filip Trochan tkwił w mroku i zastanawiał się, czy przeżyje. Oparty o zimną ścianę walczył z przenikliwym chłodem i dojmującym lękiem. Oddychał ciężko, czuł na szyi zaciśnięty sznur, ściągający zarzucony na głowę worek po ziemniakach. Nie mógł się go pozbyć, bo cień mu zabronił. I kazał milczeć. Pod groźbą srogiej kary.

Trochan mu wierzył i wolał nie ryzykować. Już pierwszej nocy przekonał się, do czego cień jest zdolny. Słyszał, jak oprawiał swoje ofiary. Robił to powoli, w milczeniu, napawając się ich strachem i delektując cierpieniem.

Teraz doktor obawiał się, że podobny los czeka tę młodą dziewczynę. Tamtym mężczyznom też wcześniej dał miskę z jedzeniem i kubek wody.

Pomyślał, że jest pieprzonym tchórzem. Całe życie przed nim uciekał, nigdy nawet nie spróbował stawić mu czoła. Dziś też nie potrafił. Po prostu nie był w stanie. Strach przed cieniem paraliżował go niczym zastrzyk z kurary.

Trochan zacisnął pięści. Zebrał się w sobie i otworzył powieki. Gdy tylko spojrzał przez dwie wyszarpane w worku dziury, od razu pożałował tej pochopnej decyzji. W czeluści mroku dostrzegł niewyraźny kontur jego sylwetki. Cień siedział przygarbiony w tym samym miejscu co zawsze. W milczeniu. I czekał.

Rozdział 16

Anna Borucka właśnie kończyła mówić, gdy zadzwoniła jej komórka. Przeprosiła pozostałych członków zespołu, choć wcale nie musiała. Na ten telefon z laboratorium czekali wszyscy bez wyjątku.

– Borucka, słucham. Tak. Tak. Co jeszcze? Ze stuprocentową pewnością? Tak. Tak. Dziękuję, Adam. Odezwę się. Do usłyszenia.

Borucka schowała aparat do kieszeni i omiotła wzrokiem zebranych, w końcu zatrzymała wzrok na inspektorze Czarneckim.

– No, do cholery jasnej, mów, Anka. Jak te wyniki znad rzeki?

– Jest potwierdzenie śladów DNA Trochana i Brudnego.

– W takiej samej konfiguracji?

– Owszem, włos Brudnego też mamy, ale dziś dorzucam do puli niedopałek po papierosie i okruch po pizzy z jego śliną, pełną ślicznego i świeżutkiego DNA.

W pomieszczeniu zapadła niemal grobowa cisza. Wszyscy wpatrywali się to w ekspert od kryminalistyki, to w inspektora, który najwyraźniej miał spory problem z przyswojeniem przekazywanych informacji.

– Mało tego – dorzuciła Borucka. – Na fragmencie szkła po rozbitej butelce coca-coli mamy piękny odcisk kciuka naszej stołecznej gwiazdy.

– Mamy odcisk palca Brudnego? – Ton inspektora orbitował gdzieś na granicy niedowierzania i posądzenia Boruckiej o podrzucenie lub spreparowanie dowodów.

– Jest bardzo podobny do Trochana, w sumie to bliźniacy, ale różnice są ewidentne. Bez najmniejszych wątpliwości to paluch Brudnego.

Ta informacja spadła na Czarneckiego jak grom z jasnego nieba. Do samego końca łudził się, że Brudny to może i szorstki w obyciu, ale jednak uczciwy i porządny glina. Fakt, że nad rzeką znaleziono jego DNA i odciski palców, sprawiał, że po raz drugi wyraźnie podkopał swój autorytet przed członkami zespołu, więc musiał w końcu zareagować. I choć te wszystkie niechlujnie pozostawione dowody miały się nijak do profilu skrupulatnego i ponadprzeciętnie inteligentnego komisarza stołecznej policji, to w tej sytuacji inspektor miał tylko jedno wyjście. Musiał Brudnego aresztować.

– Widzicie w tym jakiś sens? – spytał po chwili zastanowienia, omiótł wzrokiem wszystkich bez wyjątku, aby w końcu zatrzymać się na podinspektorze Grzegorzu Zimnym.

– To ty miałeś z nim najwięcej do czynienia, Romek. – Zimny rozłożył ręce, ale po chwili dodał: – Oczywiście nie chcę, żebyś to źle odebrał, ale wziąłeś Brudnego na siebie, więc chyba żaden z nas nie odpowie ci na to pytanie lepiej niż ty sam.

– Powinieneś go aresztować jak najszybciej – dorzucił prokurator Lis. – Facet może zacierać ślady i utrudniać śledztwo. Poza tym jest nieprzewidywalny i po prostu niebezpieczny. Nakaz aresztowania mogę podpisać w tej chwili.

Inspektor wysłuchiwał swoich współpracowników ze stoickim spokojem. Zależało mu, aby poznać ich zdanie, a oni doskonale zdawali sobie sprawę, że przy Czarneckim mogą, a w zasadzie muszą, być całkowicie szczerzy. Udawanie czy podlizywanie się w zespole nigdy nie miały prawa bytu.

– Też uważam, że powinien zostać zatrzymany, choć rozumiem twoje wątpliwości – dodała Elżbieta Pałka. – Badania DNA jasno wykazały, że

obaj są genetycznie dość mocno obciążeni schizofrenią, choć… – profilerka zakręciła dłonią w powietrzu i spojrzała w sufit, jakby szukała gdzieś wyżej poparcia swojej tezy – …współpraca dwóch chorych schizofreników, do tego braci bliźniaków, którzy wychowywali się oddzielnie, byłaby niemal na pewno pierwszym takim przypadkiem w historii kryminalistyki. Ale skoro Trochan wykazuje tak diametralnie różne zachowania, to czysto teoretycznie Brudny też jest do tego zdolny. Jeśli ma choć w połowie tak wyraźne rozdwojenie osobowości, to wśród nas może uchodzić za świetnego policjanta, aby po wyjściu na ulicę zmienić się nie do poznania.

W pomieszczeniu znów nastała cisza. Lis, Zimny i dwóch policjantów sugestywnie pokiwali głowami. Czarnecki dostrzegł, że jest w zdecydowanej mniejszości, i zasępił się trochę.

– Przyjmuję wasze słowa z pokorą – rzekł po chwili. – Znacie mnie i wiecie, że bardzo cenię sobie szczerość członków własnego zespołu, nawet jeśli bywa bolesna dla mojego i tak już nadszarpniętego ego. Ale zawsze podchodzę do sprawy całościowo, a mnie nie dają spokoju dwie kwestie, które nijak mają się do tej całej sytuacji. Po pierwsze, wciąż nie mamy jasnego motywu, zwłaszcza biorąc pod uwagę zakładane w chwili obecnej pomocnictwo w zbrodniach Brudnego, a po drugie, on sam ma mocne alibi.

– Romek, w ciężkich przypadkach schizofrenii paranoidalnej trudno mówić o czymś takim jak motyw zbrodni – skontrowała Pałka. – Wystarczą wyimaginowane głosy, aby człowiek zaczął zabijać.

– Tu jeszcze mógłbym się zgodzić, ale pozostaje alibi. Wczoraj patomorfolog potwierdził, że do zgonów najprawdopodobniej doszło w noc ze środy na czwartek ubiegłego tygodnia, czyli w dzień zniknięcia Trochana. W tym czasie Brudny prowadził śledztwo w Warszawie i według wszelkich znaków na niebie i na ziemi nie ruszał się z miasta.

Rozmawiałem z jego przełożonym i poświadczył, że w ubiegłym tygodniu widywał się z nim codziennie. Logowania jego telefonu z tamtego okresu również to potwierdzają.

– Nikt nie twierdzi, że Brudny zabijał… – Słowa profilerki zawisły nad stołem jak miecz Damoklesa, który zaraz miał spaść na głowę samego szefa.

– Mógł pomóc bratu w pozbyciu się ciał zaraz po przyjeździe do miasta. To znaczy nie on, tylko ten drugi, który w nim siedzi… – Zimny poczuł, że się trochę zagalopował.

– Ale w jakim celu? Co mogłoby go popchnąć do takiej decyzji? – dopytywał Czarnecki.

– Impuls –nie odpuszczała Pałka. – Silny impuls, a takim z pewnością mogła być informacja, że ma brata bliźniaka, mógł otworzyć w umyśle jakieś nieznane dotąd obszary i obudzić uśpioną drugą osobowość.

– To czysta teoria.

– I przyznam, że mocno naciągana, ale chyba na razie jedyna, jaka może wytłumaczyć to, co nam serwuje morderca. Sama nie słyszałam do tej pory o podobnym przypadku. Współpraca dwóch schizofreników na takim poziomie wydaje się bardzo mało prawdopodobna, ale nie takie rzeczy świat widział.

– Właśnie, Elu, na takim poziomie współpraca wydaje się niemożliwa. Zwłaszcza że miałem i mam na Brudnego cały czas oko. Nie wchodzi w grę, żeby spotykał się w tym czasie z Trochanem ani kimkolwiek innym bez mojej wiedzy.

– Swoje mógł zrobić wcześniej, zanim pojawił się na komisariacie po raz pierwszy – włączył się do rozmowy Zimny. – Ja byłbym za tym, aby go zatrzymać i zabezpieczyć wszystkie jego rzeczy osobiste, z tą jego

terenówką włącznie. Co prawda nie znaleziono śladów po takich oponach, ale przecież w jego patrolu zmieściłby się koń z kopytami.

– Nie przewoziłby ciał na pace. Nie wierzę w to. Jest zbyt inteligentny.

– A ja chętnie bym zajrzała do środka, aby się o tym przekonać – włączyła się Borucka. – Jeśli jest w to zamieszany, a do tego taki niechlujny jak nad rzeką, to w samochodzie muszą być jakieś ślady. Nie wiem, to może być wszystko, od DNA ofiar po grudki gliny znad rzeki, martwego owada czy choćby pozostałość po jakimś charakterystycznym zapachu.

Czarnecki splótł palce i zamyślił się. Przez kilkadziesiąt sekund analizował słowa swoich podopiecznych, którzy – miał przekonanie graniczące z pewnością – czekali, aż w końcu wyda rozkaz aresztowania Brudnego.

– Przychylam się do waszych propozycji – rzekł w końcu. – Zatrzymam Brudnego, ale nie postawimy mu zarzutów, póki… – Czarnecki wymownie spojrzał na Lisa – …póki nie będę stuprocentowo pewny, że ma z tym wszystkim coś wspólnego. Bo żeby była jasność. Nie jestem co do tego przekonany tak jak wy. Rozmawiałem z nim twarzą w twarz kilka razy i nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że ten człowiek potrafi tak doskonale kłamać. Prędzej uwierzyłbym, że ktoś podrzucił nad rzekę te dowody, niż przyjął do wiadomości, że Brudny je tam pozostawił z powodu swojego niechlujstwa. To nie ten typ człowieka, nawet jeśli rzeczywiście ma drugie, mroczniejsze oblicze. Zbyt wiele puzzli mi w tej układance nie pasuje, a nie mam zamiaru ich wciskać na siłę. To po prostu do mnie nie przemawia, ale muszę przyznać, że w sytuacji, w jakiej mnie postawiliście, nie mam wyjścia, bo teoria Eli też ma prawo się bronić. Dlatego osobiście dokonam zatrzymania Igora Brudnego, a potem go przesłucham. I cała akcja zostanie oznaczona jako ściśle tajna, bo ostatnim, czego chcę, jest medialna jatka.

Czy macie jeszcze jakieś pytania? Jeśli nie, to wracajcie do pracy. Ty, Grzegorz, pojedziesz ze mną.

Chwilę później członkowie opuścili gabinet inspektora i rzucili się w wir pracy. Nie mieli pojęcia, że już za kilkanaście godzin przybędzie im jej jeszcze więcej. A media i tak rozpętają piekło, jakiego to miasto i kraj nigdy nie widziały.

Rozdział 17

Igor Brudny miał tej nocy paskudne koszmary. Najpierw przyśniła mu się siostra Gwidona, później ksiądz Filip, w końcu ci wszyscy łysi i szczerbaci ulubieńcy matki przełożonej, których spuszczała ze smyczy, gdy inni wychowankowie nie spełniali jej oczekiwań. Tak jak on.

– Krzysztofie – syczała niczym wąż. – Jesteś wyjątkowo tępy. Ostatnia pokuta niczego cię nie nauczyła? Głupi dzieciak. To teraz zobaczysz. Nauczysz się, że tylko cierpienie uszlachetnia grzeszną duszę. Już ja się o to postaram.

Próbowała go złamać wiele razy, ale nigdy nie osiągnęła celu. Od dziewiątego roku życia i tamtego feralnego zdarzenia unikała go i choć wielokrotnie osobiście straszyła surową karą, nigdy go nie tknęła. Wyręczali ją Pierun, Łycha, Francuz i paru innych starszych wychowanków, którzy potrafili tłuc go do nieprzytomności kilka razy w tygodniu. Przypalanie papierosami, rażenie prądem czy kręcenie wora były jego codziennością, regularnie zasypiał przywiązany do łóżka bez możliwości skorzystania z toalety. Nauczeni przeszłością nie odważyli się zrobić tylko jednego. Kiedyś podsłuchał, jak siostra Gwidona szeptała z siostrą Bernadettą na jego temat i zdradziła jej, że wyczuwa w nim obecność demona, że „ten bachor nosi w sobie diabła”.

Może i nosił. Od zawsze czuł, że nie jest sam, że w jego umyśle mieszka ktoś jeszcze. Ten ktoś nie miał twarzy i zawsze przychodził we śnie.

Niczym mroczne odbicie jego samego, ponury cień z innego wymiaru, który szukał bramy do świata śmiertelników.

On go wykorzystał. Aby przetrwać, nauczył się z nim żyć. Krótko później mało kto miał odwagę zostawać z nim sam na sam.

Tyle lat miał to wszystko za sobą. Pięć dni temu przeszłość się o niego upomniała.

Od Gwidony nie dowiedział się wiele. Stara, złośliwa i podła baba już nie miała takiego wigoru jak kiedyś. Dziś była tylko zgnuśniałą i przestraszoną starowiną, która nie panowała nad drżeniem dłoni i trzymaniem moczu. Ale nawet gdy dzieliła i rządziła w tym przeklętym sierocińcu, należała tylko do pionków, które przestawiali inni, dużo poważniejsi gracze. Dlatego Brudny wybrał się do kurii diecezjalnej, gdzie młody biskup w piżamie w palemki spędził z nim pół nocy na przeszukiwaniu archiwum. Niestety, bezskutecznie. Pozostała mu ostatnia szansa. Dom księży emerytów. To tam czekał na śmierć ksiądz Albert, były biskup i jedyny człowiek, który mógł znać miejsce przechowywania jego aktu urodzenia. I nie tylko…

Dochodziła dziewiąta. Brudny właśnie kończył poranną toaletę, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Nikogo się nie spodziewał. Chyba że to kłopoty, pomyślał. Sięgnął po swojego walthera i włożył go za pasek spodni. Pukanie stało się bardziej natarczywe.

– Proszę otworzyć, komisarzu Brudny.

To był głos Czarneckiego. Ta wizyta nie była w jego stylu. I zdecydowanie nie zwiastowała nic dobrego.

– Nie mógł pan zadzwonić, inspektorze?

– Przykro mi. Proszę otworzyć, komisarzu.

– Nie sądzę, aby było panu przykro, inspektorze.

Brudny już wiedział, co się święci. Włożył koszulkę i wyjrzał przez okno. Na zewnątrz teren ubezpieczały dwa radiowozy i przynajmniej czterech uzbrojonych policjantów. Podrapał się po coraz gęstszym zaroście i wytarł ręcznikiem ostatnie krople z czoła. Pomyślał, że niepotrzebnie zaufał Czarneckiemu.

– Komisarzu Brudny…

Otworzył drzwi.

– Mogę wejść? – zapytał inspektor z wdziękiem godnym samego Herkulesa Poirot.

– Nie sądzę, abym miał wybór, prawda? – odparł ironicznie Brudny i gestem zaprosił Czarneckiego do środka.

Inspektor nie był sam, ale jednym spojrzeniem zatrzymał dwóch rosłych policjantów, którzy chcieli przekroczyć próg pokoju Brudnego razem z nim.

– Jest pan pewny, szefie? – spytał jeden z nich.

– Naturalnie.

Drzwi zatrzasnęły się za plecami Czarneckiego. Inspektor przez chwilę wwiercał się wzrokiem w ciemne źrenice Brudnego.

– Jeśli podczas ostatniej rozmowy coś pan przeoczył albo po prostu ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia, to proszę mówić teraz. Później mogę nie zdołać panu pomóc, komisarzu.

– Myślałem, że rozmowę o zaufaniu mamy już za sobą…

– Też tak myślałem. Ale proszę mi wierzyć, w tej chwili jestem chyba jedyną osobą, która stoi po pana stronie.

– Może mi pan powiedzieć, co się stało?

– Wolałbym najpierw oddać głos panu…

– Nic nowego pan ode mnie nie usłyszy.

– W takim razie będę musiał pana zatrzymać, komisarzu.

Brudny rzucił inspektorowi wyzywające spojrzenie. Szukał w jego oczach odpowiedzi, czy zdołał dotrzeć do prawdy, ale Czarnecki doskonale ukrywał emocje. Jeśli coś wiedział, miał zamiar zachować to dla siebie.

– Jesteśmy po tej samej stronie, inspektorze.

– Długo w to nie wątpiłem, ale teraz mam mieszane uczucia. Naprawdę więcej mi pan nie powie, komisarzu?

– Nie mam pojęcia, o co panu chodzi. Jeśli jestem o coś oskarżony, to proszę mnie aresztować. Jeśli nie, to proszę odejść.

– Niestety, skoro nie chce pan współpracować, to nie mogę na to pozwolić i muszę pana zatrzymać. Zna pan procedury. Proszę oddać broń.

– Pod jakim zarzutem?

– O współudział w podwójnym morderstwie pierwszego stopnia.

Brudny skrzywił się, jakby właśnie rozgryzł zgniłego pomidora.

– Miałem pana za poważnego człowieka, inspektorze.

– Przykro mi, ale nie mam wyjścia. Przy tylu dowodach musiałem zareagować.

– Mogę zapytać, co to za dowody?

– Wolałbym przeprowadzić tę rozmowę w komisariacie.

– Skuje mnie pan, inspektorze?

– Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Wystarczy, że odda mi pan broń.

Brudny wyciągnął walthera zza paska, wyjął magazynek i wręczył pistolet Czarneckiemu. Zrobił to z ulgą. Inspektor nie dokopał się do prawdy. Kluczył po omacku.

– Wie pan, że to jest farsa. Widzę to w pana oczach, inspektorze.

– Moją rolą jest prowadzenie śledztwa i reagowanie na pojawiające się w jego toku dowody. To sprawia, że czasem muszę robić rzeczy wbrew swojej woli. I pana zatrzymanie jest jedną z nich.

– Obaj wdepnęliśmy w bardzo śmierdzącą kupę.

– Tu się z panem zgodzę.

– Więc po co ten cały cyrk?

– Już panu mówiłem. Dowody.

– Cokolwiek pan znalazł, obaj wiemy, że to lipa. I najwyraźniej komuś bardzo zależy, aby nam dokopać. Bo wie pan, że pan też na tym straci?

– Być może nie mielibyśmy tego problemu, gdyby był pan ze mną stuprocentowo szczery.

– Zaufanie wymaga czasu.

– Tak, wiem, tę szpilę wbił mi pan już wcześniej. A czasu mamy coraz mniej.

– Zatem niech pan czyni swoją powinność, inspektorze. – Brudny wymownie wystawił nagie nadgarstki.

– Jest pan uparty jak osioł, ale zanim opuścimy ten pokój, powtórzę raz jeszcze – nie jestem pana wrogiem. Znam się na ludziach i wiem, że jest pan dobrym i uczciwym gliną. I choć nie mam pojęcia, co pan przede mną ukrywa i dlaczego robi to tak uparcie, to proszę pamiętać, że morderca wkrótce ponownie zabije. I jeśli ujawnienie pańskiego sekretu mogłoby choćby w minimalnym stopniu przyspieszyć złapanie sprawcy, a pan dalej będzie szedł w zaparte, to będzie miał pan krew ofiary na rękach.

Czarnecki wbił spojrzenie w Brudnego, który podjął wyzwanie, ale ułamek sekundy później zrozumiał, że tego pojedynku nie wygra. Stary glina miał rację. I rozegrał to znakomicie. Jak profesjonalista.

– Wezmę płaszcz – rzucił Brudny i odwrócił głowę w stronę wieszaka.

Zrobił to nie dlatego, że chciał włożyć płaszcz. Zrobił to, bo już nie mógł dłużej wytrzymać spojrzenia inspektora.

* * *

Julia Zawadzka właśnie kończyła jeść omleta z cebulą i pomidorem, gdy zadzwoniła jej komórka. Bez wahania sięgnęła po telefon i wcisnęła zieloną słuchawkę.

– Cześć, Igor. Jak ci idzie?

– Cześć, Julka. Średnio. A nawet gorzej niż średnio. Przymknęli mnie.

– Że co?!

– Chcą mi wcisnąć współudział. Ten Czarnecki twierdzi, że mają jakieś dowody. A skoro zdecydował się na taki ruch, to muszą być mocne.

– Jasna cholera. W coś ty się wpakował, Igor?

– Nie wiem, ale jest tu ktoś trzeci. On pociąga za sznurki. Nie wiem tylko, jaki ma motyw i cel.

– Myślisz, że cię wrabia?

– Ktoś to robi.

– Potrzebujesz alibi? Przyjadę i zrobię, co trzeba.

– Czarnecki by mnie nie zatrzymał, gdyby alibi zwalniało mnie z podejrzeń. Zresztą, jak sam mówił, zrobił to wbrew swojej woli.

– Nic z tego nie rozumiem, Igor. Jak to wbrew swojej woli?

– Mówiłem ci, że ten facet nie jest głupi. Cokolwiek na mnie ma, wie, że te dowody to lipa. I chyba stoi po mojej stronie.

– Może być dobrym graczem…

– Na pewno jest, ale tu nie o niego chodzi. Czarnecki próbuje poskładać to do kupy, ale na razie – i on sobie zdaje z tego sprawę – wciąż jest krok za sprawcą. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Wiem natomiast jedno: w tej sprawie nic nie jest takie, jakie się wydaje.

– Ten cały Czarnecki… – Zawadzka zawiesiła głos na chwilę. – On wie o twojej… no wiesz…

– Tyle, ile powinien.

– Ufasz mu?

– Ufam tylko dwóm osobom i ty doskonale znasz obie. Ale ten facet ma w sobie coś wyjątkowego i jeśli kiedykolwiek miałbym wskazać trzecią, to startowałby z pierwszej pozycji.

– Wobec tego jakie masz plany?

– Muszę go przekonać, że się myli. Potem znajdę Trochana.

– Będziesz potrzebował pomocy.

– Nie dzwoniłbym do ciebie, żeby ci się wypłakać. Julka, musisz coś dla mnie załatwić. To bardzo ważne i czuję, że może mieć dużo wspólnego z tą sprawą.

– Mów.

– Pamiętasz, co ci powiedziałem tamtej nocy?

– Tego nie da się zapomnieć.

– Więc pojedź do Szkopułowa. To niewielka miejscowość pod Poznaniem. Mieści się tam dom księży emerytów diecezji i archidiecezji z miast północno-zachodniej Polski. Oficjalnie oczywiście, bo w istocie to miejsce zsyłki dla tych wszystkich złodziei, krętaczy i pedofilów. Tam znajdziesz… – Brudny odchrząknął i przełknął ślinę – …tego Alberta.

– Tego?

– Tak, właśnie tego. Poznasz go po znamieniu na prawym policzku. Ma teraz blisko osiemdziesiąt lat, więc może być w kiepskiej formie. Ale arcybiskup to jedyny człowiek na tym zasranym świecie, który zna prawdę. I musisz ją od niego wyciągnąć za wszelką cenę.

– Zawsze chciałeś odciąć się od przeszłości.

– Nie prosiłem się o to, Julka. Ale teraz jest już za późno. Po prostu to zrób. Muszę wiedzieć.

– Ubieram się i wsiadam w samochód. Jeszcze dziś będę u ciebie.

– Dzięki, Julka.

– Wiesz, że nie ma za co. Pa.

Gdy Zawadzka zakładała szelki i sprawdzała broń, Brudny siedział w gabinecie inspektora i zastanawiał się, co dalej. Gryzło go sumienie. Czarnecki nie musiał godzić się na ten telefon, ale po raz kolejny poszedł mu na rękę. I nie zrobił tego, bo chciał go zmiękczyć albo podejść. Zrobił to, bo uznał, że wciąż ma w nim sojusznika.

Rozdział 18

Oliwia się ocknęła. Otworzyła oczy, ale ujrzała jedynie nieprzeniknioną ciemność. Czarną niczym najmroczniejsza noc.

Przez chwilę wyobraziła sobie, że to tylko sen. I że na pewno leży w łóżku i dochodzi do siebie po narkotykowym tripie. Wizja runęła chwilę później, gdy dziewczyna zorientowała się, że nie może poruszać rękami i nogami, a jej głowa jest przepasana i dociśnięta do drewna twardym rzemieniem. Zdała sobie sprawę, że gdy była nieprzytomna, ktoś przeniósł ją na ławę i rozłożył na blacie niczym kawał surowego mięsa.

Usłyszała dyszenie. Dochodziło z rogu piwnicy, ale po chwili ustało. Oliwia wstrzymała oddech, chcąc dokładnie namierzyć źródło. Wtedy po jej twarzy przemknął odrażający podmuch. Cuchnął zgnilizną. Zrozumiała, że ten ktoś pochylał się nad nią. Jego usta, język, nos i oczy znajdowały się zaledwie centymetry od niej. Na tej wielkiej, bezkształtnej głowie.

Krzyknęła, ale dźwięk uwiązł jej w gardle, z którego wypełzło jedynie żałosne piśnięcie. Wtedy usłyszała syknięcie, a pomieszczenie rozświetliło kilka krótkich błysków.

Dostrzegła go. Jego postać złośliwie mignęła parę razy, po czym znów zniknęła w mroku. Zdawał się wielki jak góra. Zapamiętała też, że miał na sobie rzeźnicki fartuch, a na głowie ten upiorny i skrajnie przerażający worek po ziemniakach. Z tylko jednym otworem – na usta.

Gdy żarówka w końcu zaskoczyła i ostre żółte światło uświadomiło Oliwii ogrom męki, jaka ją czeka, struny głosowe odblokowały się

i podziemia wypełnił pełen zgrozy krzyk.

Gardło paliło, jakby ktoś wlewał jej roztopiony ołów, ale Oliwia nie miała pojęcia, że taka śmierć byłaby dla niej miłosierdziem. Zabolało jeszcze bardziej, gdy mężczyzna wepchnął jej do ust kawałek wilgotnej szmaty. Wciskał głęboko, dopychał, a dziewczyna niedorzecznie pomyślała, że w jej gardle zmieściła się nieprawdopodobna ilość materiału. Nie mogła się ruszyć ani krzyczeć, mogła tylko płakać. Łzy spływały jej po skroniach, które, podobnie jak szyja, pokryły się siateczką ciemnoniebieskich żył. On stał i milczał. Wyglądał jak strach na wróble. Najstraszniejszy strach na wróble, jakiego Oliwia mogła sobie wyobrazić. Wtedy pochylił się nad nią raz jeszcze, nieznacznie muskając wysłużonymi jutowymi włóknami jej twarz. Obwąchiwał ją. Jak pies albo knur.

Poczuła na policzku coś twardego i zimnego. Miała mętlik w głowie. Pragnęła umrzeć, a chwilę później błagać o litość. Ale nie mogła nawet tego. Nie miała już żadnego wyboru.

Zimne ostrze przesunęło się jeszcze bliżej lewego oka. Zatańczyło pod powieką, po czym bez ostrzeżenia zagłębiło się w oczodole. Oliwia usłyszała, jak chrobocze po kości. Dopiero wtedy poczuła świdrujący, porażający ból.

Kilka sekund później już nic nie widziała i uświadomiła sobie, że nie może nawet płakać. Pomyślała, że to koniec, ale szybko pojęła, jak bardzo się pomyliła. Mężczyzna z workiem na głowie po prostu nie chciał, aby na niego patrzyła. I wcale nie kończył. On dopiero zaczynał.

Rozdział 19

Romuald Czarnecki przygotował dwie czarne kawy. Nie musiał tego robić, wystarczyło zadzwonić po jedną z tych kobiet, dla których parzenie kawy było głównym zadaniem w komendzie. Inspektor nie należał jednak do ludzi, którzy wysługują się przy tej czynności innymi, zwłaszcza że kawę lubił tylko jedną i tylko w konkretnych, pieczołowicie wymierzonych proporcjach.

Postawił szklankę z napojem przed swoim rozmówcą. Na serwetce i w staroświeckim koszyczku, które większości, w tym Brudnemu, kojarzyły się z epoką słusznie minioną.

– Komisarzu… – zaczął Czarnecki, gdy usiadł naprzeciwko Igora. – W tej chwili powinienem szukać mordercy, a po raz kolejny tracę czas na rozmowę z panem. Nie będę panu mówił, co bym mógł, a czego bym nie mógł, bo pan to doskonale wie. Ale rozmawiam z panem, bo wiem, że ukrywa pan coś, co może mieć kluczowe znaczenie w śledztwie. Wiem też, że pana przeszłość jest bardzo enigmatyczna, żeby nie powiedzieć, że po prostu nie istnieje. I dla jasności, przesłuchałem też siostrę Gwidonę. Czy ma mi pan zatem coś więcej do powiedzenia?

– Moja przeszłość to moja sprawa, inspektorze. Nie mam obowiązku dzielić się nią z nikim. Nawet z panem. A skoro rozmawiał pan z siostrą Gwidoną, to nie mam nic więcej do dodania.

– Ma pan rację, ale doskonale zdaje pan sobie sprawę, że jeśli pana przeszłość może mieć jakikolwiek, choćby minimalny związek

z prowadzonym śledztwem, powinien mi pan o tym powiedzieć.

– Owszem. Niestety, rozczaruję pana. Do tej pory nie ustaliłem niczego, co mogłoby potwierdzać taką hipotezę.

Czarnecki upił łyk kawy i wwiercił się spojrzeniem w oczy Brudnego.

– Wierzę panu, komisarzu. I pomimo tych wszystkich dowodów wskazujących na pana współudział w obu morderstwach czuję, że nie ma pan z nimi nic wspólnego. Zakładając, że mam rację, chociaż dowody się znalazły, to ktoś musiał je podrzucić albo spreparować.

– Brzmi, jakbyśmy mieli wspólnego wroga…

– Otóż to. Nie przywykłem do tego, aby ktoś się ze mną bawił w kotka i myszkę, a czuję się wodzony za nos jak żółtodziób. Pana milczenie tylko pogarsza tę sytuację, bo panu zaufałem. I dalej, pomimo pana niezłomnego uporu, panu ufam. Dlatego, pomimo tej zdecydowanie niekomfortowej dla pana sytuacji, oferuję panu układ.

Brudny obserwował Czarneckiego, starając się zachować kamienną twarz. Wiedział już, że siostra Gwidona nic inspektorowi nie powiedziała, choć żywił pewne obawy, gdy odkryto jego wizytę w sierocińcu. Oczywiste było, że przesłucha przełożoną, ale Gwidona byłaby wyjątkowo głupia, gdyby się wygadała. Inspektor wciąż kluczył po omacku, choć biorąc pod uwagę jego osobowość, bez wątpienia w końcu prawdy się dokopie.

Brudny dał rozmówcy do zrozumienia, że czeka na ofertę.

– Nie pozwolę postawić panu zarzutów. Wypuszczę pana, oddam broń i nieoficjalnie włączę do swojego zespołu. Przekażę też panu wszystkie informacje na temat prowadzonego śledztwa. Poprowadzimy tę sprawę razem i razem dopadniemy mordercę. Warunek jest jeden. Od tego momentu będzie pan ze mną całkowicie szczery i odpowie na wszystkie moje pytania zgodnie z prawdą.

Brudny rozważał przez chwilę słowa Czarneckiego. Nie spodziewał się aż tak dobrej oferty, ale przypuszczał, że inspektor spróbuje się dogadać.

– Nie lubi pan przegrywać, ale obaj wiemy, że nie ma pan innego wyjścia. Nie postawi mi pan zarzutów, bo się pan ośmieszy, wypuści mnie pan, bo takie jest prawo, i odda mi pan broń, bo jest moja. Nawet wbrew opinii pana zespołu i całego świata. Bo to pan, a nikt inny odpowiada za to śledztwo. Tyle na temat obecnej sytuacji. Interesująca jest ta druga, powiedzmy, że ciekawsza część pana propozycji. Pozwoli pan, że zapalę?

Zrezygnowany Czarnecki skinął głową, a Brudny sięgnął po stojącą przy paprotce popielniczkę. Zapalił papierosa i spojrzał inspektorowi w oczy.

– Jest pan w cholernie trudnej sytuacji i nie może pan stawiać warunków. Chętnie natomiast wysłucham wszystkiego na temat prowadzonego śledztwa, zwłaszcza szczegółów odnoszących się do tych dowodów, które sugerują mój współudział.

– Przegina pan, komisarzu Brudny…

– Nie chcę, aby mnie pan źle zrozumiał, bo nie do końca tak to miało zabrzmieć. – Brudny pomyślał, że właśnie tak, kurwa jego mać, miało to zabrzmieć. – Ufam, że jest pan po mojej stronie. Chyba nawet powinienem powiedzieć „naszej”, biorąc pod uwagę Trochana. Wiem też, że zrobi pan wszystko, aby dorwać mordercę. Ja, dla jasności, też tego pragnę. Ale prowadzenie tej sprawy z mojego punktu widzenia wygląda trochę inaczej i musi pan to zrozumieć.

– Co mi pan zatem da? – W tonie inspektora można było wyczuć nutkę zniecierpliwienia.

– Mogę panu obiecać, że gdy poznam szczegóły śledztwa, jeszcze dziś wieczorem dam panu ostateczną odpowiedź, czy przyjmuję ofertę.

– To mało, komisarzu. To za mało.

– Nie zwykłem rzucać słów na wiatr. I tylko tyle mogę panu zaoferować.

Czarnecki upił kolejny łyk kawy, tym razem dużo większy, dzięki czemu prawie opróżnił szklankę z czarnego napoju. Złączył palce dłoni i przez kilkadziesiąt sekund szukał najlepszego rozwiązania. Brudny nie naciskał. Wypalił dopiero połowę papierosa. Miał czas.

– Zacznijmy od dowodów. Potem zobaczymy, czy rzeczywiście jest pan tak cholernie dobrym gliną, za jakiego się pan uważa.

* * *

– Pana włosy znajdowały się przy obu bachusikach oraz nad rzeką. Jak pan to wytłumaczy? – spytał Czarnecki.

– Ktoś musiał je podrzucić.

– Załóżmy, że tak rzeczywiście jest. Po pierwsze, musiałby je jakoś zdobyć. Ma pan pomysł jak?

– Tego obecnie nie potrafię wytłumaczyć. Ale popracuję nad tym.

– Załóżmy jednak, że ten ktoś jakoś je zdobył. O ile, czysto teoretycznie, byłoby to możliwe w przypadku Wielobłotów, przecież w czasie pana pobytu w mieście ktoś mógł jakoś zdobyć pana włosy, o tyle przy bachusikach jest to trudno wytłumaczalne, bo pan przyjechał kilkadziesiąt godzin po zdarzeniu.

– Ponownie jestem w kropce. Przychodzi mi do głowy tylko jedno: ktoś spreparował dowody, ale…

– Mam całkowite zaufanie do Anny Boruckiej. Współpracuję z nią blisko dziesięć lat i nigdy nie dała mi najmniejszego powodu, aby zwątpić w jej profesjonalizm. To kryształowa kobieta.

– A jej podwładni?

– Mój człowiek ich sprawdza.

– Borucka o tym wie?

– Wie, choć nie była zadowolona z tego faktu. Potraktowała to chyba jako osobistą zniewagę.

– To zrozumiałe.

– Owszem. Ale nie wydałbym takiego polecenia, gdyby nie dwa kolejne dowody, które znaleziono przy rzece.

Brudny zmrużył oko. Był wyraźnie zaciekawiony. Czarnecki kontynuował.

– Pierwszym był niedopałek papierosa. Dokładnie taki, jakie pan pali. Ekspertyzy laboratoryjne wykazały, że na filtrze znajdowały się resztki pana śliny. Podobnie rzecz miała się z kawałkiem pizzy. Na niej też znajdowało się pana DNA.

– Pizzy?

– Resztek po pizzy, które znaleziono w pobliżu miejsca, gdzie stał zaparkowany samochód sprawcy. Ach… i zapomniałbym. Na miejscu naleziono także rozbitą butelkę po coli z odciskiem pańskiego kciuka.

– Już rozumiem, dlaczego pan w to nie wierzy…

– Ktoś wyraźnie przesadził. Nawet wiejski przygłup nie pozostawiłby tak oczywistych śladów.

– W tym śledztwie nic nie jest takie, jakie się wydaje…

– Gdybym pana już trochę nie poznał, to pomyślałbym, że jest pan naprawdę szalony i robi wszystko, aby skupić na sobie podejrzenia.

– I co pan teraz z tym zrobi?

– Póki nie dostanę od pana jakiegoś dowodu albo czegoś, co mnie stuprocentowo przekona, że mogę panu zaufać, to pana nie wypuszczę. Dowody są mocne i na ich podstawie każdy sąd mógłby skazać pana przynajmniej za współudział. Ale nie o to nam wszystkim chodzi, prawda?

– No to mamy problem.

– Pan twierdzi, że ktoś pana wrabia, ale wciąż pan coś ukrywa. Co by pan zrobił na moim miejscu?

Brudny podrapał się po nosie. Zdał sobie sprawę, że dał się podejść jak gówniarz. Nie był czujny. Przez chwilę biczował się w myślach, po czym podniósł wzrok i spojrzał w oczy inspektora.

– Znalazłbym lepszych ludzi.

– Słucham? – Czarnecki zmarszczył brwi, w jego tonie czuć było narastającą irytację.

– Jeśli do tej pory żaden z tych krawężników, którzy mnie śledzili, nie wpadł na to, żeby sprawdzić nagrania z monitoringu, to znaczy – bez urazy, inspektorze – że pracuje pan z bandą idiotów.

– Może pan jaśniej, komisarzu…

– Dzień po przyjeździe zjadłem pizzę w Koloseum. I mogę się założyć, że to, co znaleźliście, to brzegi, które zawsze zostawiam na talerzu.

* * *

Czarnecki czuł się jak głupiec. Prowadził najlepszą grupę dochodzeniowo-śledczą w zachodniej Polsce, a może i w całym kraju, mimo to żaden z podwładnych nie wpadł na tak oczywisty trop. Sam powinien to sprawdzić i miał do siebie o to pretensję, ale najgorsze było to, że śledztwo wymykało mu się spod kontroli. Jeśli w ogóle kiedykolwiek taką nad nim miał.

Jak w potrzasku, pomyślał. Z jednej strony media i opinia publiczna, które napiętnowały i zaocznie skazały Trochana, z drugiej jego ludzie, którzy to samo zrobili z Brudnym. Wiedział, że w końcu musi podjąć jakieś decyzje, bo tylko kwestią czasu było odkrycie przez media tożsamości tego drugiego. Jeśli natomiast zrobiłby to oficjalnie, wybuchłby kolejny skandal i przypuszczalnie sprawą zainteresowałby się wydział wewnętrzny. I Bóg

wie, kto jeszcze. Znalazł się między młotem a kowadłem i czuł, że powoli zaczyna gubić się w tym wszystkim. I popełniać błędy. Ten z pizzą należał do „wielbłądów”.

Z zadumy wybił go dźwięk wibrującego w kieszeni marynarki smartfona.

– Aspirancie Wicha?

– Mamy nagranie z kamery planetarium.

Czarnecki poczuł na plecach dreszcz podniecenia.

– Co na nim jest?

– Niewiele. Jak na złość uchwyciła tylko fragment schodów przy wejściu do tej pizzerii.

– Widać na nagraniu Brudnego?

– Tak. Dość wyraźnie. Wyszedł z lokalu o piętnastej szesnaście i poszedł do zaparkowanego obok nissana patrola.

– Ktoś wszedł po nim?

– Tak, ale od drugiej strony i kamera uchwyciła jedynie fragment lewej części ciała. Postawny facet w garniturze i kapeluszu. Potem jakaś para, ale też nie widać twarzy. W końcu…

– Rozmawiałeś z właścicielem tej pizzerii?

– Telefonicznie. Nie było go tamtego dnia, ale właśnie poprosił kierowniczkę, aby sprawdziła, kto był wtedy na zmianie. O… – Czarnecki usłyszał jakieś trzaski, a następnie jego podwładny poprosił o chwilę cierpliwości. Młodszy aspirant rozmawiał z kimś o wesołym, dźwięcznym głosie. – Szefie?

– Mów, Wicha.

– Mam dwa nazwiska. Kobieta i mężczyzna. Podobno studenci pracujący w pizzerii od niedawna. Akurat dziś mają wolne.

– Namierz ich. Kierowniczkę i właściciela też przyprowadź. Chcę porozmawiać z każdym z osobna.

– Jasne, szefie.

– Wicha?

– Tak, szefie.

– Wezwij najbliższy patrol i daj im nagranie z monitoringu. Za kwadrans chcę mieć tę taśmę na swoim biurku.

– To płyta, szefie.

– Ech… Nie łap mnie za słówka. Pospiesz się.

– Przepraszam, szefie. Oczywiście, szefie.

Gdy tylko Czarnecki się rozłączył, rozległo się pukanie do jego pokoju.

– Proszę.

Drzwi otworzyły się i w wejściu stanął starszy sierżant Warszawski. Dyszał ze zmęczenia, a na skroniach i łysej czaszce wystąpiły mu ciemnoniebieskie żyły.

– Mam tego gówniarza z Wielobłotów – wydusił z siebie, wciąż trzymając w dłoni klamkę.

Czarnecki nie odpowiedział, tylko podniósł się z krzesła i poprawił krawat. Po tym, do czego dopuścili wczoraj jego ludzie, powinien ich nauczyć moresu, ale uznał, że w obecnej, skrajnie napiętej sytuacji im odpuści, a konsekwencje wyciągnie dopiero, gdy śledztwo zostanie zamknięte. Warszawski już wczoraj miał przyprowadzić mu tego chłopaka, ale dwóch posterunkowych najwyraźniej nie podeszło do swoich obowiązków zbyt solennie i nie upilnowało dwudziestodwulatka, który w obawie przed oskarżeniem o handel marihuaną najzwyczajniej w świecie uciekł im z domu przez okno w toalecie.

– Jest już w pokoju przesłuchań?

– Tak. Czeka na pana, szefie.

– Zrobię sobie kawę i przyjdę. Tymczasem zmiękcz go trochę. Niech poczuje, że to nie są przelewki.

– Mam być bardzo zły?

– Trochę. Twoja aparycja wystarczy.

– Jak pan sobie życzy, szefie.

– Odmaszerować.

Gdy woda w czajniku powoli zaczynała się gotować, inspektor poczuł, że znów przejmuje kontrolę. Nie miał pojęcia, że wciąż błądził po omacku, a śledztwo za parę godzin skomplikuje się jeszcze bardziej.

Już wkrótce na miasto miał paść blady strach.

Rozdział 20

Do Szkopułowa prowadziła wąska asfaltowa droga, która wiła się pośród pól, szarych o tej porze roku. Wolno przesuwały się korony rosnących wzdłuż jezdni dębów, a na horyzoncie znów zbierało się na deszcz. Ostatnio wieczorami padało prawie zawsze. Julia Zawadzka nie lubiła takiej pogody, nie lubiła też tej dziadowskiej polskiej prowincji, która kojarzyła jej się ze wszystkim, przeciw czemu jako nastolatka się zbuntowała. Zresztą bunt trwał do dziś i objawiał się na setki sposobów, między innymi głośnym słuchaniem ostrego rocka. Julia najbardziej lubiła, gdy łączył się z zimnym piwem i przygodnym seksem, na co tego wieczora liczyć nie mogła, musiała więc zadowolić się głośnym rockiem i paczką paluszków, które namiętnie podjadała od czasu opuszczenia stolicy.

Dojazd do Poznania zajął nieco ponad dwie godziny. Jej osiemnastoletnie bmw wciąż spisywało się przyzwoicie, choć coraz częściej słyszała jakieś dziwne dźwięki, które z pewnością nie zwiastowały nic dobrego. Drażniły ją, zwłaszcza że nie miała pojęcia, skąd się wydobywają i co jest ich przyczyną, w związku z czym zastanawiała się, czy nie powinna przygruchać sobie na jakiś czas porządnego mechanika, aby w ramach obopólnej korzyści zerknął to tu, to tam i trochę ogarnął starego druha, który służył jej od ponad ośmiu lat. „Dziadzia” – bo tak od jakiegoś czasu zwykła mówić o swoim pojeździe – dowiózł ją jednak bezpiecznie do Szkopułowa, którego pierwsze zabudowania właśnie wyłoniły się z nisko zawieszonej mgły.

Spadziste dachy, stare szopy, odrapane ściany, zamknięty sklep jakby żywcem wyjęty z PRL-u. Pierwsze kilka klatek utwierdziło ją w przekonaniu, że wciąż jest zwierzęciem typowo miejskim i nie ma zamiaru tego zmieniać. Gdy straciła sygnał telefonii komórkowej, zrozumiała, że trafiła na koniec świata.

Zawadzka zatrzymała się przy drewnianym płocie jednego z domostw. Wysiadła z samochodu i zapaliła papierosa. Dopiero po chwili zorientowała się, że panuje tu nieprawdopodobna cisza. Dziwnie się poczuła, nie słysząc trąbiących samochodów i stukających obcasów. Zamiast tego coś przefrunęło jej tuż nad głową i zniknęło we mgle. Wzdrygnęła się, bo bardzo nie lubiła ptaków, które jako takie uznawała tylko na talerzu. Przez kilka chwil próbowała bezskutecznie złapać sygnał, ale poddała się, gdy w pewnym momencie dostrzegła kundla, który przeszedł obok niej, zupełnie ją ignorując. Nie miał prawej tylnej łapy i ogona i zachowywał się, jakby był ślepy i pozbawiony węchu. Wtedy usłyszała skrzypnięcie drzwi.

– Co wy tu robita? – usłyszała.

Zawadzka odwróciła się i ujrzała wiekową kobietę w chuście i halce na guziki; prawie taką samą nosiła jej babcia, gdy ona była mała. Trzymała w żylastej dłoni miotłę i wyciągała głowę jak żyrafa, mocno mrużąc oczy.

– Dzień dobry pani.

– Czy dobry, to się jeszcze okoże. Pani do kogo?

– Szukam domu księży emerytów. Czy to daleko?

– Eee tam, daleko od razu. O tu, za Wiśniowieckimi i Chochołami. – Kobieta machnęła ręką. – Jakieś dwieście metrów prosto i potem w lewo przy tej pierońskiej fermie starego Biedrycha. Potem jeszcze kawałek prosto i znów w lewo.

– Dziękuję. Zaraz odjadę.

– No, no. Tylko tego kipa mi to nie wyćpij.

– Słucham?

– Kipa nie wyćpij mi na podwórze, no chyba że do węborka. – Kobieta w chuście wyciągnęła kościsty palec i wskazała na stojące pod ścianą wiadro.

Zawadzka dopiero po chwili domyśliła się, o co chodzi, i nie dopalając papierosa do końca, wyrzuciła go we wskazane miejsce. Następnie, grzecznie się pożegnawszy, wsiadła do samochodu i powoli odjechała.

Raz jeszcze zerknęła na GPS, ale nie mogąc złapać połączenia, skupiła się na wskazówkach, jakich udzieliła jej kobieta w chuście. Minęła kilka zaniedbanych zabudowań i dotarła do czegoś, co przypominało budynek gospodarczy. Nieprzyjemna woń utwierdziła ją w przekonaniu, że to ferma kurczaków. Znalazła zakręt i zjechała w nieutwardzoną, pełną dziur drogę. Poruszała się powoli, starając się omijać te największe, aż pojawił się następny zjazd, przy którym znajdował się niewielki znak z symbolem kościoła i napisem „Dom Księży Emerytów «Spokój Ducha»”. Spojrzała na zegarek. Dochodziła osiemnasta, zdawałoby się najlepsza pora, aby nieco zakłócić „spokój ducha” jednego z lokatorów tegoż przybytku.

Po kolejnych stu metrach znalazła się na miejscu. Budynek okalały okazałe bezlistne buki i dęby, a na ziemi leżał dywan z kolorowych liści. Pomimo ponurej aury i nadciągającego zmierzchu prezentował się całkiem ładnie, wyglądał na nowy i zadbany, a spadzisty dach z czerwonej dachówki dodawał mu uroku. Wokół nie było żywej duszy.

Zawadzka wyłączyła silnik i wysiadła z auta. Podciągnęła pod szyję czarny golf i ruszyła do znajdujących się na niewielkim podwyższeniu drzwi wejściowych. Jej wzrok przykuły dwie zdobione kołatki, ale najwyraźniej miały jedynie funkcję reprezentacyjną, bo obok znajdował się nowoczesny domofon z kamerką. Nacisnęła przycisk. Po dłuższej chwili coś zatrzeszczało i usłyszała chrapliwy głos.

– Szczęść Boże, siostro.

– Szczęść Boże, ojcze.

To krótkie zdanie przeszło przez jej gardło wyjątkowo trudno. Nie znosiła instytucji Kościoła i wszystkiego, co z nim związane. Chciała jednak załatwić sprawę szybko i bezproblemowo, a machanie odznaką już na starcie zapewne tylko by to utrudniło.

– Co cię sprowadza do „Spokoju Ducha”, siostro?

– Otworzy ksiądz?

– Właśnie zaczęła się wieczorna modlitwa.

– To dość pilna sprawa, ojcze.

– Aż tak, aby przerywać rozmowę z Panem Bogiem?

– Bardziej.

Zawadzka powoli zaczynała tracić cierpliwość. Podobne gadki sprawiały, że zbierało się jej na wymioty, zwłaszcza biorąc pod uwagę, iż „Spokój Ducha” był zwykłym zakładem dla przestępców, głównie pedofilów, którzy uniknęli kary tylko dlatego, że nosili koloratki.

– Otworzy ksiądz? – powtórzyła bardziej stanowczym tonem.

Magnes puścił i Zawadzka weszła do środka. Gdy tylko przekroczyła próg, zza rogu wyłonił się postawny mężczyzna w sutannie i okularach.

– Proszę tędy – zaprosił ją i wskazał pierwszy gabinet.

Wnętrze było skromne, ale nawet przytulne jak na typowo biurowe pomieszczenie. Biurko, za nim przeszklona szafka z regałami, kilka kwiatków, stolik, kanapa i dwa fotele. Kapłan wskazał jej jeden z nich. Usiadła.

– Herbaty?

– A ma ksiądz kawę?

Z trudem przychodziło jej udawanie. Nie tylko dlatego, że była policjantką, ale także kobietą. I nawet jeśli na co dzień przywdziewała

maskę wrednej suki, to miała emocje. A świadomość, że przebywa w miejscu, w którym na metr kwadratowy przypada więcej bezkarnych pedofilów niż bandytów w więzieniu, sprawiał, że w środku aż się gotowała. Nigdy nie miała współczucia dla ludzi krzywdzących dzieci.

– Pani z policji? – spytał ksiądz, programując kawiarkę.

Zawadzka nie była zaskoczona. Wszyscy tu mieli coś za uszami i nawet jeśli episkopat starał się uchronić swoje „czarne owieczki” przed gniewem Temidy, to z pewnością czasem zaglądali tu śledczy badający stare sprawy.

– Skąd ten pomysł?

– Nie wygląda pani ani na głęboko wierzącą, ani na akwizytorkę. Inni raczej się tu nie zjawiają.

– A policja?

– Zdarza się. – Ksiądz postawił filiżankę z kawą na stole. – Kenijska – pochwalił się. – Prosto z Afryki. Mogę zobaczyć pani legitymację?

Zawadzka wyciągnęła dokument. Ksiądz zsunął okulary na czubek nosa.

– Komisarz Julia Zawadzka. Bardzo ładne imię, choć nie pasuje do pani. Albo… – przez moment powiało chłodem – …do wykonywanego przez panią zawodu.

– Zawsze ksiądz tak przyjmuje gości?

– Przepraszam, to nie było uprzejme. Po prostu znałem pewną Julię i wyglądała zupełnie inaczej niż…

– Ksiądz już zna moje imię…

– Przepraszam najmocniej. Ostatnio rzadko przyjmujemy gości. Ksiądz Jan Bednarz. Na emeryturze, oczywiście.

– A więc, ojcze… Obojgu nam moja obecność nie jest na rękę, oboje też wiemy, czym dla Kościoła jest Spokój Ducha. Oszczędźmy sobie zatem nieprzyjemności i udawania. Jestem tu w konkretnym celu i mam zamiar go osiągnąć bez względu na wszystko.

Okrągła twarz siedzącego naprzeciwko mężczyzny przyjęła oziębły grymas. Rozmówca w milczeniu przeanalizował słowa policjantki, w końcu odchrząknął i nerwowo podrapał się po luźnym podgardlu.

– Czego pani chce?

– Porozmawiać z biskupem Albertem.

– To wielce szanowany kapłan, a do tego w podeszłym wieku. Nie jestem przekonany, czy powinna go pani niepokoić.

Zawadzka nachyliła się w stronę księdza.

– Panie Bednarz. Nie przyszłam tu po to, aby osądzać pana ani nikogo innego, choć przyznam, że zbiera mi się na wymioty na samą myśl o tym, co robiliście tym biednym dzieciom.

– Tu się pani zapędza i…

– Chcę tylko informacji. Nic więcej. Dlatego grzecznie proszę, aby mnie pan zaprowadził do pokoju biskupa Alberta.

Jan nerwowo przełknął ślinę. Na skroniach wystąpiły mu krople potu, a policzki przybrały barwę dojrzewającej czereśni.

– Jednak wolałbym nie zakłócać spokoju arcybiskupa Alberta. I sugeruję, aby pani opuściła nasz dom. Tak jak powiedziałem, biskup Albert jest bardzo szanowaną osobą i wciąż ma wielu przyjaciół na najwyższych szczeblach episkopatu. A wiadomo, kto teraz rządzi w tym kraju…

– Ksiądz mi grozi?

– Ależ skąd! Uprzejmie proszę, aby pani wróciła, gdy będzie miała nakaz.

Zawadzka zagotowała się niczym wulkan, ale tylko oparła łokcie o blat stołu i nachyliła się jeszcze bardziej.

– W takim razie nie chciałabym być w twojej skórze, gdy jutro rano na wierzch wypłyną wszystkie brudy Alberta. A możesz być pewny, że

wypłyną, jeśli zaraz mnie do niego nie zaprowadzisz.

– Teraz pani mi grozi.

– Żebyś wiedział, gnoju. Możemy tego jednak uniknąć, jeśli będziesz rozsądny. Tak jak powiedziałam, chcę tylko konkretnej informacji.

Ksiądz włożył pod koloratkę dwa palce i nieco ją poluzował. Był bardzo spięty i nie potrafił tego ukryć. Wykonał jeszcze kilka nerwowych ruchów, po czym wstał i bez słowa opuścił gabinet. Wrócił po pięciu minutach. Wyglądał na spokojniejszego.

– Pokój sto osiemnaście. Arcybiskup Albert na panią czeka.

Rozdział 21

Brudny siedział w celi oparty o zimną ścianę i wertował kolejne strony albumów, które dała mu Anna Trochan. Nie tak wyobrażał sobie powrót do przeszłości, ale przynajmniej w końcu miał czas, aby zrobić to na spokojnie.

Albumy, stare, grube i nieporęczne, zawierały zdjęcia Filipa Trochana z wczesnych lat dzieciństwa, na ogół czarno-białe. Miało to swój urok i choć Brudny nigdy nie należał do ludzi przesadnie sentymentalnych, to z pewnym zaskoczeniem zanotował, że powrót do początku lat osiemdziesiątych sprawia mu swoistą przyjemność. Zdziwiło go to tym bardziej, że przecież od dłuższego czasu robił wszystko, aby zapomnieć o przeszłości, wyrzucić ją z pamięci i zakopać w najgłębszych czeluściach podświadomości. Z tamtego okresu miał tylko dwa swoje zdjęcia. Pierwsze z chrztu świętego wręczyła mu siostra Gwidona, gdy opuszczał placówkę. Z początku chciał je wyrzucić, ale zapomniał. Przez kilka dni nieświadomie nosił je w tylnej kieszeni dżinsów, aż pewnego dnia, gdy szukał pieniędzy, natrafił na nie ponownie. Długo wpatrywał się w uśmiechniętego bobasa w starym, znoszonym białym ubranku, który siedział na kolanach siostry Gwidony. W końcu postanowił, że je zatrzyma. Drugą fotografią – tę podkradł z rocznika sióstr hieronimek – było grupowe zdjęcie podczas jednej z pielgrzymek. Przechował je w nadziei, że kiedyś stanie się jego drogowskazem do wszystkich tych pseudokolegów sadystów, którzy tak uprzykrzyli mu życie w sierocińcu. Z czasem emocje opadły, a on zaczął

skupiać się na budowaniu nowego życia w stolicy. Zdjęcia, wrzucone do kryształowej wazy, pewnie dalej tam leżały.

Wertowanie starych zdjęć Filipa sprawiło jednak, że coś w nim drgnęło. Oglądał je tak, jakby oglądał samego siebie. Dziwnie się z tym czuł, ale w samotności i spokoju mógł sobie pozwolić na chwilę ckliwej niefrasobliwości. Patrzył na dorastającego bobasa i podświadomie próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby znalazł się na jego miejscu. Te myśli nie chciały odejść, a on – choć przed samym sobą udawał, że jest mu to obojętne – też nie chciał, aby go opuściły. Kolejne etapy życia Filipa wzbudzały w nim niespotykane do tej pory emocje, tak jakby otworzył się na coś nowego, jakby wkroczył w zupełnie nowy wymiar uczuć, których do tej pory nie było mu dane doświadczyć. Pierwsze dni w przedszkolu, pasowanie na ucznia, rodzinny wyjazd nad morze. Radość po strzelonym golu, przestraszona mina na spotkaniu z Mikołajem, tort na dziesiąte urodziny.

Brudny nigdy nie chciał tego przyznać nawet przed samym sobą – w sierocińcu byłoby to oznaką słabości, której nie mógł okazywać pod żadnym pozorem – ale przez całe dzieciństwo pragnął właśnie tego. Normalnego życia w kochającej rodzinie. Czegoś tak banalnego i przez większość społeczeństwa zupełnie niedocenianego. Pragnął matki i ojca i za spełnienie tego marzenia choćby na jeden dzień w tamtym czasie pewnie dałby pokroić się w talarki.

Ktoś bardzo mu bliski, przynajmniej z biologicznego punktu widzenia, to wszystko miał. A nawet jeszcze więcej.

Brudny odłożył album na podłogę. Poczuł emocjonalną pustkę, którą po chwili zaczęły wypełniać uczucia równie silne, jak podłe. Przez myśl przeszła mu wyjątkowo nikczemna myśl. Że dobrze tak Trochanowi. Za to, że miał wszystko i…

Odepchnął ją od siebie. Pomyślał, że niepotrzebnie oglądał te zdjęcia. Podniósł się gwałtownie i zaczął zbierać z podłogi kolejne albumy. Gdy chwycił ostatni, najstarszy, ze środka wysunęło się zdjęcie. Wziął je i obrócił. Mały Filipek mógł mieć zaledwie kilka dni. Leżał w tetrowej pieluszce i obejmował rączką męski palec. Wtedy coś Brudnego tknęło. Przyjrzał się fotografii dokładniej. Na serdecznym palcu nieznajomego mężczyzny błyszczał złoty sygnet.

Widział go już kiedyś. Pamiętał go. Taki sam nosił na palcu jeden z wizytatorów sierocińca, który wśród wychowanków placówki wzbudzał największy lęk.

Brudny poczuł, jak zalewa go fala niepohamowanej wściekłości. Jeszcze raz przyjrzał się niemowlęciu, po czym z całej siły grzmotnął pięścią w ścianę. Doskonale pamiętał księdza Wilczka. I jego lubieżne, pełne rozbuchanego pożądania spojrzenie.

Obrócił zdjęcie. W lewym górnym rogu odczytał nieco już zamazany podpis: Nietków, 14 czerwca 1982.

Już wiedział, dokąd się wybierze, gdy opuści areszt.

* * *

Naprzeciwko inspektora siedział młody mężczyzna w bluzie z kapturem. Miał zapadnięte oczy i policzki. Czarnecki ocenił jego wagę na nie więcej niż sześćdziesiąt kilogramów.

– Mówiłeś, że to było po drugiej w nocy. Nie widzę, żebyś nosił zegarek…

– Tak mi się zdawało. Zresztą dziś są smartfony. Tam też jest godzina.

– Kiedy spojrzałeś na ekran, aby odczytać godzinę?

– Ile razy mam powtarzać? Jak dochodziłem do domu. Chciałem wysłać wiadomość do dziewczyny, ale zrezygnowałem. Wtedy chyba spojrzałem

na zegarek.

– Często wracasz od dziewczyny z Łazu do Wielobłotów na piechotę?

– Często.

– Jak często?

– Nie wiem. Prawie codziennie.

– Zdarza się, że widujesz wtedy jakieś samochody?

– Rzadko, jeśli już, to sąsiadów. Jak są spoko, to czasem mnie podwiozą.

– Znasz się na samochodach?

– Pewnie. Chodziłem do samochodówki.

– Jesteś w stanie poznać markę pojazdu, który minie cię w nocy?

– Sto procent. Gdy mi zależy.

– To dlaczego powiedziałeś, że widziałeś „jakieś ciemne kombi”?

– Nie wiem.

– Nie kłam. Pamiętaj, że mogę cię przymknąć.

– Za taką ilość? Przecież…

– Dziesięć gramów wystarczy, abyś trafił za kratki. A jeśli będziesz mi tu podskakiwał, to zadbam, abyś trafił do celi dla grypsujących. Oni lubią takich małych, chudych blondynków…

Czarnecki nie lubił uderzać w te tony, ale nie miał czasu na ceregiele, zwłaszcza że rozmówca wyglądał na takiego, który przy pierwszej okazji puści farbę. Gdy tylko wspomniał o grypsujących, chłopak poruszył się na krześle, jakby nagle oparzyło mu tyłek. Jego oddech przyspieszył, jeszcze silniej zaczął potrząsać nogą, a dłonie nerwowo wędrowały mu po blacie.

– To znaczy… no w sumie… wy, to znaczy policja, chyba nie zajmujecie się kłusownictwem, co nie? – bąknął w końcu.

– Masz moje słowo, że nie interesuje mnie to ani trochę.

– Nie chciałbym zakapować kolegów…

– Tu nie chodzi o walenie prądem jakichś rybek, chłopcze. Tu chodzi o morderstwo.

Przesłuchiwany rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się, że ktoś może go szpiegować. Przełknął ślinę i podrapał się po nosie.

– Takim samym kombi jeżdżą chłopaki z Zaboru. Nie chciałem, aby z tego powodu mieli problemy.

– Jakim kombi, chłopcze?

Chłopak znów obejrzał się za siebie.

– Stary passat, wersja b4, jeszcze z lat dziewięćdziesiątych.

– Taki sam mają twoi koledzy?

– Tak, ale to nie byli oni. Szklana założył swojemu rzęchowi ksenony, w sumie nie wiem po co… W każdym razie tamten ich nie miał.

– Jesteś tego pewny?

– Sto procent. Zresztą gdyby to byli Szklana z Benkiem, to bankowo by się zatrzymali na bajerę.

– I twierdzisz, że ten samochód wyjechał z dróżki prowadzącej do rzeki…

– Tak jak mówiłem. Tylko ona prowadzi do miejsca, gdzie znaleziono te zwłoki.

– Pamiętasz jego kolor?

– Tego na sto procent nie jestem pewny, bo było ciemno, a do tego był mega ujebany błotem… to znaczy brudny no… Ale moim zdaniem ciemny grafit albo coś podobnego.

– Widziałeś kierowcę?

– Tak, wyglądał mi na jakieś starszego faceta, ale było ciemno, a do tego reflektory mnie raziły. I chyba miał czapkę na głowie i… – chłopak przyłożył dłonie do szyi i pokazał – …tak wysoko postawiony kołnierz albo coś.

– Coś więcej? Coś jeszcze rzuciło ci się w oczy?

– No, nie wiem… Chyba nic. Zwykły gość, chociaż prowadził, jakby był przyklejony do szyby. Wie pan, tak czasem baby jeżdżą albo ci, co wsiadają za kółko raz na ruski rok.

Czarnecki się zasępił. Zeznania chłopaka sprawiły, że w jego umysł znów wkradł się niepokój. I niepewność. Czapka, wysoko postawiony kołnierz… Tak chodził ubrany Brudny. I jeszcze ta pozycja za kierownicą. To mógł być odruch bezwarunkowy, bo Brudny jeździł potężnym patrolem, przez co zwykle na wszystkich patrzył z góry, a długa i wysoka maska znacznie ograniczała widoczność z przodu.

– Widział cię?

– Nie wiem, ale raczej musiał. Szedłem poboczem.

– Coś jeszcze zwróciło twoją uwagę?

Chłopak zmarszczył brwi i przez moment próbował odtworzyć w pamięci tamten moment.

– Nie. Niczego więcej nie pamiętam.

Zapadła cisza. Czarnecki przez moment świdrował surowym wzrokiem swojego rozmówcę, w końcu złączył dłonie i zaplótł palce.

– Dobrze się spisałeś, młody – rzekł. – Tym razem ci odpuszczę, ale nie radzę brnąć w narkotyki w przyszłości. Jesteś wolny, ale na razie nie wyjeżdżaj z województwa. I jeśli sobie cokolwiek przypomnisz, to od razu do mnie dzwoń. – Czarnecki wręczył mu swoją wizytówkę.

– Dziękuję, proszę pana. Powiedziałem wszystko, co wiem. Naprawdę. Ale jeśli coś sobie przypomnę, to na pewno się odezwę. Obiecuję.

– Wiem. A teraz idź, synu, i nie grzesz więcej.

– Naprawdę mogę już iść?

– Lepiej się pospiesz, bo zmienię zdanie.

– Dziękuję panu. Obiecuję, że już nie będę…

Chłopak zamilkł, gdy Czarnecki posłał mu kolejne surowe spojrzenie. Przekaz był czytelny i brzmiał mniej więcej tak „jeśli zaraz nie pójdziesz, to zakuję cię w kajdanki i wyślę do celi dla grypsujacych, jeśli tego nie chcesz, to zejdź mi z oczu”. Po chwili drzwi się otworzyły i chłopak opuścił salę przesłuchań. Gdy tylko to zrobił, do środka wszedł podinspektor Grzegorz Zimny.

– Na pewno nie chcesz go przytrzymać na czterdzieści osiem? – spytał, odprowadzając chłopaka wzrokiem.

– Nie ma takiej potrzeby. Przynajmniej na razie.

– Myślisz, że to mógł być on?

– Nie wiem, ale czuję, że to dobry trop. Idź do Malwiny i powiedz, żeby wszystkie siły przerzuciła na odszukanie zarejestrowanych w województwie starych passatów kombi z lat dziewięćdziesiątych. Najpierw tych b4, potem kilku podobnych.

– Załatwione.

– I przekaż temat drogówce. Każdy taki passat, bez względu na kolor, ma być skontrolowany, a kierowca sprawdzony.

Zimny kiwnął głową na znak, że przyjął rozkaz. Przez moment przyglądał się jeszcze swojemu szefowi, po czym obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku drzwi. Gdy przekraczał próg, zawahał się i przystanął.

– Romek?

– Co?

– Dorwiemy tego sukinsyna.

– Oby jak najszybciej. Czuję, że nasz czas powoli się kończy.

Gdy inspektor wypowiedział te słowa, gdzieś poza miastem czas właśnie dobiegł końca. Oliwia Malinowska nie miała już oczu i twarzy, a jej serce właśnie przestało bić.

Rozdział 22

Pokój numer sto osiemnaście znajdował się na końcu korytarza. Podłogę wyścielała nieco już wysłużona wykładzina dywanowa, dzięki czemu Julia Zawadzka, pomimo kozaków na grubym obcasie, poruszała się praktycznie bezszelestnie. Gdy dotarła pod drzwi, nie zastanawiała się długo. Nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Na skromnym, podobnym do szpitalnego łóżku leżał drobny mężczyzna o pociągłej twarzy i zaczesanych do tyłu siwych, mocno przerzedzonych włosach. Tańczące płomienie świec odbijały się w jego oczach i oświetlały błękitną maskę z tlenem, którą drżącą dłonią dociskał do ust.

Zawadzka poczuła, że traci grunt pod nogami. Gorączkowo zaczęła szukać znamienia na prawym policzku w obawie, czy aby na pewno trafiła pod dobry adres. Dostrzegła je, gdy starzec uniósł maskę z tlenem, aby się przywitać.

– Szczęść Boże, pani Julio – rzekł półszeptem. – Proszę się nie krępować i rozgościć – dodał z pewnym wysiłkiem, kierując wzrok na stojące obok łóżka krzesło.

– Szczęść Boże, ojcze – odparła Zawadzka, z trudem ukrywając zdenerwowanie. Pragnęła zobaczyć starego, wysuszonego pedofila, aby bez skrupułów przejść do ataku, a ujrzała schorowanego, bezbronnego staruszka, który przywitał ją ciepło jak dawno niewidzianą wnuczkę.

– Przepraszam, że przyjmuję panią w takim stanie. Ostatnio rzadko miewam gości – rzekł, po czym zakasłał i natychmiast znów przyłożył

maskę z tlenem do twarzy. Wziął kilka głębokich wdechów. – Widzę, że jest pani onieśmielona. Niepotrzebnie. Jestem tylko starym, zgrzybiałym grzesznikiem, który w końcu dostał to, na co zasłużył.

Zawadzka zupełnie się pogubiła. Jej plan na rozmowę z Albertem runął i musiała improwizować.

– Przyszłam do biskupa po informację – wykrztusiła po dłuższej chwili.

– Ach tak… rozumiem… – Albert znów zakasłał, choć nieco lżej niż wcześniej. – Przyznam, że spodziewałem się gościa, ale o trochę mniej przyjaznej aparycji. – Na twarzy biskupa pojawił się nieco wymuszony uśmiech. – W każdym razie proszę pytać, pani Julio. W tym stanie nie mam już nic do ukrycia.

Zawadzka w trakcie służby poznała setki sztuczek, jakich używali przesłuchiwani, ale w tonie biskupa nie wyczuła choćby cienia oszustwa czy hipokryzji. Wytrącił jej wszystkie argumenty. Postanowiła, że zachowa spokój i zagra tę, którą biskup chciał w niej dostrzec.

– Wie ksiądz, dlaczego tu jestem, prawda? – zapytała łagodnym tonem.

– Cóż, telewizja to jedna z ostatnich ziemskich przyjemności, które mi pozostały. Można by rzec, że jestem na bieżąco.

– Zatem domyśla się ksiądz, że sprawa, z którą przyszłam, jest poważna…

– Gdy ktoś zostaje naznaczony, to sprawa zawsze jest poważna.

– Naznaczony? – Zawadzka mimowolnie ściągnęła brwi.

– Ten chłopak zawsze miał w sobie coś złego. I wiedziałem, przestrzegałem, że prędzej czy później to zło z niego wyjdzie.

– Kogo dokładnie ksiądz ma na myśli?

– Krzysztofa, czyli tego doktora Filipa Trochana. – Biskup wykonał znak krzyża. – On żaden Filip. A te wszystkie bzdury, które opowiadają w wiadomościach o jego przeszłości, są wyssane z palca. Doprawdy nie

wiem, jakim cudem zdołał tak wszystkich zmanipulować. Był inteligentny, owszem, uparty i twardy, ale musiał chyba zawrzeć pakt z samym diabłem, aby tego dokonać.

Zawadzka uśmiechnęła się pod nosem. To była cenna informacja, a biskup nie miał pojęcia o tym, że Igor ma brata, i pomylił Trochana z byłym podopiecznym hieronimek. Postanowiła, że nie będzie wyprowadzać duchownego z błędu.

– Dlatego potrzebuję dowodu. Dowodu na to, że jest perfidnym kłamcą. Dowodu na to, że wszystkich oszukał. Wiem, że ojciec taki ma.

– Pani Julio… Jestem już za stary i zbyt schorowany, aby z nim walczyć. Zresztą nie chcę. Ten człowiek to demon. Może nawet sam diabeł.

– Nie musi ksiądz z nikim walczyć. Chcę tylko, żeby ksiądz pokazał mi jego akt urodzenia.

– Nie istnieje. Spaliłem go dawno temu, gdy… ech…

Biskup znów przyłożył maskę z tlenem do twarzy i wziął kilka głębokich wdechów. Wbił wzrok w sufit, jego spojrzenie stało się nieobecne. Z trudem przełknął ślinę, a na jego twarzy pojawił się dziwny grymas.

– Ojcze… – zagadnęła Zawadzka.

Stary kapłan wzdrygnął się i spojrzał na nią, jakby zobaczył ją pierwszy raz. Jego szare, pozbawione wyrazu oczy błyszczały nienaturalnie. Wyglądał na zdziwionego i zaskoczonego jej obecnością.

– Wszystko z ojcem w porządku?

– Ach tak… – Albert jakby ocknął się z letargu. – Pani Julio… pewne rzeczy lepiej zostawić w spokoju.

– Muszę znać prawdę, ojcze. Od tego może zależeć ludzkie życie, bo ten człowiek nie przestanie zabijać. Niewykluczone, że jego przeszłość

naprowadzi nas na trop, który być może pozwoli go odszukać, dzięki czemu uda się uniknąć trzeciej ofiary.

– Czwartej.

– Słucham? – Zawadzka zmarszczyła brwi.

– Ci mężczyźni to nie pierwsze ofiary Krzysztofa. Zabił już wcześniej.

Zawadzka poczuła, jakby ktoś rąbnął ją obuchem w łeb. Albert co prawda był już stary i mógł, może nawet nieświadomie, konfabulować, a nawet mylić fikcję z rzeczywistością, ale coś w jego tonie nie dawało jej spokoju. Zrozumiała to dopiero wtedy, gdy wymawiając imię Krzysztof, powtórnie wykonał znak krzyża.

– Ksiądz jest tego absolutnie pewny?

– Pani Julio… – Biskup Albert odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. – Sam tuszowałem dowody tej okropnej zbrodni.

* * *

Kilka godzin później, gdy nad Zieloną Górą rozpętała się potężna nawałnica, na parking przy Palmiarni podjechał niepozorny dostawczak, z którego wysiadł postawny mężczyzna w płaszczu do ziemi. Otworzył bagażnik i wyciągnął czarny worek, następnie przerzucił go sobie przez ramię i zniknął w mroku.

Rozdział 23

Nagranie z kamery przy planetarium nie zdało się na wiele. Czarnecki obejrzał je przynajmniej kilkanaście razy, ale okazało się praktycznie bezużyteczne. Sprzęt był kiepskiej jakości, a poza tym obiektyw zahaczał tylko o fragment schodków i drzwi do pizzerii, w związku z czym klienci przychodzący od strony miasta w zasadzie nie łapali się w kadr. Inspektor zlecił zatem ściągnięcie materiałów ze wszystkich pobliskich kamer miejskiego monitoringu. To musiało potrwać, postanowił więc, że pojedzie do domu i w końcu prześpi ciągiem choć kilka godzin. Musiał odpocząć, bo miał wrażenie, że zaczyna gubić się w swoich domysłach i tropach, a stąd niedaleka droga do mylnej oceny i w końcu popełnienia błędu, którzy może kosztować zdrowie, a nawet życie innego człowieka.

Przesłuchania właściciela pizzerii, kierowniczki i dwojga pracowników będących na zmianie w czasie, gdy Brudny przyszedł się posilić, przełożył na następny dzień. Należało tylko namierzyć dwóch ostatnich, których patrol nie zastał w wynajmowanych mieszkaniach. Zeznania tych studentów prawdopodobnie będą absolutnie kluczowe dla śledztwa. Po pierwsze przypuszczalnie odsuną podejrzenia od Brudnego, a po drugie pomogą znaleźć brakujące ogniwo. Kogoś trzeciego, kto stoi za wrobieniem Trochana i próbami wrobienia Brudnego. Jakie znaczenie w tym wszystkim mogła mieć wizyta tego drugiego w sierocińcu prowadzonym przez zakon hieronimek zielonogórskich? Dlaczego matka przełożona podczas rozmowy

z inspektorem tak skrzętnie próbowała ukryć zdenerwowanie? Dlaczego kłamała?

– Po co przyjechał do placówki komisarz Igor Brudny? – To nie było oficjalne przesłuchanie, ale inspektor wywierał nacisk od początku.

– W odwiedziny. Był naszym wychowankiem – odparła, spuszczając wzrok.

– Był?

– Był, bo już nie jest. Ma swoje życie.

– O czym siostra rozmawiała z komisarzem?

– Ech… niczym takim. – Gwidona machnęła ręką. – Powspominaliśmy stare czasy, pomodliliśmy się. I pojechał.

– Siostra chce mi powiedzieć, że przyjechał tu o północy, aby się pomodlić?

– Krzysztof zawsze chodził własnymi ścieżkami.

– Krzysztof?

– To jego prawdziwe imię. Takie mu nadaliśmy, gdy trafił do ośrodka.

– Siostra go przyjmowała?

– Przepraszam, panie inspektorze, ale jestem zmęczona. Czy możemy przełożyć tę rozmowę?

– Ma siostra jego akt urodzenia?

– Nie mam. I naprawdę jestem zmęczona. Proszę wybaczyć, ale muszę się położyć.

– Odnoszę wrażenie, że nie pała siostra do pana Brudnego przesadną sympatią…

– Z Bogiem, inspektorze.

Siostra przełożona kłamała jak z nut, ale Czarnecki nie był w stanie zmusić jej do mówienia. Nie miał narzędzi, aby ją przycisnąć. Przynajmniej dopóty, dopóki Brudny nie był podejrzany o współudział w zbrodni. Ale

nawet to nie dawało absolutnej gwarancji, że sędzia szybko podpisałby nakaz przeszukania placówki. Zresztą, jeśli u hieronimek znajdowało się coś interesującego, Brudny zapewne już to przechwycił. Lub zniszczył…

A może ta sprawa sięgała jeszcze wyżej? Trochan podobno urodził się w Moskwie, ale jego akt urodzenia z pewnością był sfałszowany. Komu na tym zależało? A Brudny? Dlaczego jego akt urodzenia nie istniał? Skąd wziął się u hieronimek? Dlaczego siostra Gwidona zareagowała tak nerwowo, gdy o to zapytał?

Czarnecki miał mętlik w głowie. Musiał odpocząć, dlatego tuż po jedenastej pojechał do domu, a przed północą już twardo spał. Żona nie zdążyła mu nawet zrobić herbaty, wyłączyła więc telewizor i nakryła męża kocem, po czym poszła do sypialni. Inspektor spał do godziny piątej dziewięć, gdy zadzwonił telefon z komendy.

– Romek?

– Grzegorz…

– Mamy kolejną ofiarę.

Inspektor otrzeźwiał w ułamku sekundy. Podniósł się i zrzucił z siebie kraciasty koc.

– Kto to?

– Młoda kobieta.

– Chryste… Już jadę. Gdzie ją znaleźliście?

– Na pomniku przy Palmiarni.

– Zamknijcie teren w promieniu trzystu metrów. Nie chcę tam mediów ani żadnych przypadkowych gapiów.

– Za późno. Już tu są.

– Cholera. Dobra, Grzegorz. Wiesz, co robić. Już jadę.

– Romek?

– Tak…

– Przygotuj się, że nie będzie przyjemnie.

– Też nie ma głowy?

– Głowę ma…

– Ale…

– Ona nie ma twarzy, Romek.

– Nie ma twa…?

– No nie ma. Sprawca obrał jej głowę jak cholerną cebulę.

Czarnecki spróbował wstać, ale nagle ogarnęła go skrajna niemoc. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się z powrotem na kanapę. Zanim zjadł śniadanie i wypił mocną kawę, wcześniej dwukrotnie zwymiotował do toalety.

* * *

Poranek był wyjątkowo rześki jak na tę porę roku. Zza chmur nieśmiało przebijało słońce, a w jego promieniach skrzyły się krople deszczu na rzeźbie konia i chłopca, jednego z symboli Winnego Grodu. Na grzbiecie i grzywie zwierzęcia wciąż można było znaleźć czerwone smugi krwi ostatniej ofiary seryjnego mordercy, który od kilku dni terroryzował miasto. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, głównie techników kryminalistyki, którzy, często na kolanach, szukali śladów mogących naprowadzić organy ścigania na trop sprawcy. Panowała złowieszcza cisza, przerywana jedynie przez trzask migawek aparatów i szelest przesuwanych nogami liści, które pokrywały znaczną część wzniesienia.

Czarnecki rozejrzał się po okolicy. Alejki były puste, a krzewy winorośli pięły się pokracznie po rusztowaniach z pachołków i linek. Bezlistne drzewa, których konary upodobało sobie stado wron, dodawały miejscu zbrodni jeszcze bardziej mrocznego charakteru.

Niemi świadkowie, pomyślał inspektor. Gdyby tylko mogli mówić…

– Spóźniłeś się. – Do Czarneckiego podszedł prokurator Lis. Miał na sobie garnitur, a na nim ciepłą kurtkę z kapturem.

– Cześć – odparł Czarnecki, który nie miał zamiaru komentować tak lichej zaczepki.

– Widziałeś już ciało?

– Dopiero przyszedłem.

– Nie jest to przyjemny widok…

– Grzegorz wspominał. A właśnie, rozmawiałeś z nim?

– Dwadzieścia minut temu pojechał do szpitala. Kobieta, która pierwsza znalazła zwłoki, dość mocno to przeżyła. – Prokurator skinął głową w stronę czarnego worka. – Ale Elka miała ją przejąć na miejscu, więc wkrótce powinien być z powrotem.

– Dawno ją ściągnęliście z tego konia?

– Krótko po tym, jak o to poprosiłeś. I jak technicy zrobili zdjęcia i pobrali próbki. Trochę się zdziwiłem, jak Grzesiek mi to przekazał. Naprawdę nie chciałeś zobaczyć jej w naturalnym stanie? – Lis wyciągnął paczkę gum do żucia i włożył dwie pastylki do ust.

– Będę jeszcze miał czas ją pooglądać. Nie chciałem, żeby jakiś domorosły fotograf zrobił zdjęcia z dachu albo drona. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby takie obrazki trafiły do prasy? Albo do mediów społecznościowych?

– Tak właśnie wytłumaczyłem sobie twoją decyzję. Mądra.

– Ile postronnych osób mogło widzieć ofiarę w takim stanie?

– Zanim zamknęliśmy teren, przynajmniej siedem. Dane tylu świadków spisaliśmy.

– Są pod odpowiednią opieką?

– Pewnie. Elka wydała dyspozycje.

– A telefony?

– Skonfiskowaliśmy. Od nich raczej nic nie wypłynie.

– Wiemy już, kim jest ofiara?

– Z dużą dozą prawdopodobieństwa tak. Tuż nad tyłkiem ma charakterystyczny tatuaż – rechoczącego diabła siedzącego na kiblu. Taki został opisany przez matkę zaginionej Oliwii Malinowskiej z Krosna Odrzańskiego.

Czarnecki zamknął oczy i głośno przełknął ślinę. Poczuł się fatalnie. Od momentu, gdy usłyszał, że ofiarą jest młoda kobieta, obawiał się właśnie takiego finału. Czuł się odpowiedzialny za tę dziewczynę, bo choć został poinformowany o jej zaginięciu, podjął taką, a nie inną decyzję i nie połączył tego z prowadzonym śledztwem. Modus operandi mordercy nie wskazywał, że zniknięcie siedemnastoletniej Oliwii Malinowskiej może mieć ze sprawą morderstw cokolwiek wspólnego. A jednak czarny scenariusz stał się faktem. Pomijając niezwykle przykrą śmierć niewinnej dziewczyny, poziom skomplikowania śledztwa rósł wykładniczo. Zmieniając sposób działania, morderca całkowicie je zapętlił i tak naprawdę zmusił organy ścigania do rozpoczęcia pracy od nowa. Oczywiście zakładając, że to ten sam człowiek, bo czysto teoretycznie zbrodnie mogły zostać popełnione przez dwie różne osoby.

– Obejrzę ciało… – rzekł inspektor i zrobił kilka kroków w dół schodów prowadzących do rzeźby.

Obok pomnika leżał czarny worek ze zwłokami Oliwii. Inspektor przyklęknął, po czym wyciągnął latarkę i rozsunął zamek na wysokości głowy. Z ciemnej otchłani wyłoniła się groteskowa maska. Czarnecki odruchowo cofnął się i odwrócił wzrok. Widok był koszmarny. I choć podczas wieloletniej służby niejedno widział, ten obrazek wstrząsnął nim do głębi.

Zebrał się w sobie i z powrotem skierował strumień światła na sprofanowane ciało. Krwawa czaszka mieniła się całą paletą czerwieni, od ciemnej i mięsistej po jaskraworóżową na wysokości płata czołowego. Zamiast oczu zionęły dwie czarne dziury, które upiornie kontrastowały z rzędem równych, śnieżnobiałych zębów. Rozsunął suwak jeszcze niżej. Wzdrygnął się, gdy ujrzał, że ofiara została pozbawiona piersi, a od gardła aż po krocze młode ciało przecinała głęboka bruzda.

– Kto mógł zrobić coś takiego? – szepnął pod nosem, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Konkretnie popierdolony popapraniec. – Czarnecki poznał zachrypnięty głos lekarza sądowego, który nagle pojawił się tuż obok. – Już po pierwszych oględzinach mogę stwierdzić, że wydłubał jej oczy i zerwał skórę z twarzy jeszcze za życia. Potem delektował się całą resztą. Na pewno ją zgwałcił jakimś przedmiotem, bo obrażenia krocza są bardzo rozległe, potem wyciął obie nerki i serce razem z płucami. Więcej będę mógł powiedzieć po sekcji. Wygląda to na robotę tego samego gościa.

– I na razie zachowaj to dla siebie. – Inspektor spojrzał na Krzywickiego. – Kto jeszcze o tym wie?

– Tylko prokurator, Anka i kilku jej ludzi.

– Więc trzymaj język za zębami. To nie ma prawa wypłynąć. Nie chcę, aby w mieście wybuchła jeszcze większa panika.

– Jasna sprawa. – Patomorfolog wykonał gest, jakby zamykał usta na kłódkę.

Czarnecki jeszcze przez kilkanaście sekund przyglądał się ofierze, po czym z powrotem zapiął zamek błyskawiczny i podniósł się z kolan.

– Znasz już przyczynę śmierci?

– Muszę to potwierdzić na sekcji, ale postawiłbym na zatrzymanie akcji serca z powodu szoku bólowego, ewentualnie wykrwawienia.

– Dlaczego teraz młoda kobieta? I dlaczego zerwał jej twarz?

– Ech… Romek. Gdybym to ja wiedział, tobym ci powiedział. – Uśmiechnął się głupawo, ale zaraz się opamiętał. – Psychopaci rzadko kierują się logiką – dodał, teatralnie wypuszczając powietrze.

– I naprawdę myślisz, że to ten sam facet?

– Stówkę mogę postawić.

– Do diabła, Robert! Zachowałbyś choć trochę powagi… – Czarnecki skarcił lekarza surowym spojrzeniem.

– Tak tylko mówię. Takie rzeczy trzeba umieć, a za każdym razem gość wiedział od początku do końca, co chce zrobić. Bez dwóch zdań zna się na oprawianiu mięcha.

– Lekarz pasuje jak ulał – włączył się do rozmowy prokurator. – Ja wciąż stawiam na brzytwę Ockhama. Elka dobrze to wykombinowała. Trochan ich kroi, a Brudny mu pomaga. I na to mogę postawić tysiaka.

– Tylko że pierwszy zapadł się pod ziemię, a drugi spędził noc w areszcie, co mu daje niepodważalne alibi.

– Miał też alibi za pierwszym razem. Co nie znaczy, że razem z braciszkiem tego nie zaplanował.

Inspektor pokręcił głową z dezaprobatą. Krzywicki postanowił więcej się nie udzielać, wskazał tylko palcem na worek z ciałem, a następnie na kierunek, w którym znajdowało się prosektorium, i ruszył do pracującej w pocie czoła Boruckiej. Obaj mężczyźni odprowadzili go wzrokiem.

– Wiem, że chcesz go wsadzić, Krzysztof. Ale nie podzielam twojej pewności co do jego winy – przerwał ciszę inspektor, nie spuszczając wzroku z patomorfologa.

– Chyba nie chcesz go wypuścić?

– Dobrze wiesz, że jeśli nie postawimy Brudnemu zarzutów, to nie będę miał wyjścia.

– To pozwól mi działać. – Prokurator dał Czarneckiemu lekkiego kuksańca. – Dobrze wiesz, że ten gość konfabuluje. A już na pewno nie jest z nami szczery.

– To nie powód, aby go zamykać.

– A pomyślałeś o tym, co się stanie, gdy w końcu istnienie Brudnego zwęszą media? Jak dotrą do tych dowodów?

– Ja nie mam zamiaru im niczego zdradzać…

– Ech… Romek, teraz to ty kombinujesz

– Po prostu nie wierzę, że jest w to zamieszany.

– Obyś miał rację, Romek. Obyś miał rację… – Lis wyciągnął z ust przeżutą gumę i włożył ją w chusteczkę. – Jadę do biura. Widzimy się o dziewiątej, tak?

– O dziewiątej. Na razie.

Czarnecki odprowadził kolegę wzrokiem. Od lat bardzo często spotykali się na gruncie zawodowym, znali się jak łyse konie, szanowali i razem rozwiązali mnóstwo spraw. Ale czasami prokurator bywał irytujący jak kurs franka. Najchętniej wsadziłby za kratki wszystkich bez wyjątku i choć przecież był inteligentnym facetem, czasami najpierw działał, a dopiero potem myślał.

Z chwilowego zamyślenia wybił inspektora odgłos wibrującej komórki. Dzwonił Zimny.

– Jesteś już na miejscu, Romek?

– Tak.

– Słuchaj. Właśnie stoję na parkingu przy Palmiarni i jest tu jakaś nawiedzona ruda pinda z odznaką stołecznej. Julia Zawadzka. Upiera się, że musi się z tobą zobaczyć. Twierdzi, że wiesz, o co chodzi.

– Niech poczeka. Już do was idę.

To powiedziawszy, Czarnecki rzucił ostatnie spojrzenie na uwijających się jak w ulu podwładnych, następnie wydał kilka poleceń i skierował się schodami w górę wzniesienia, na którego szczycie dumnie wznosił się budynek słynnej zielonogórskiej restauracji. Zaklął pod nosem, gdy po drugiej stronie ujrzał kilkanaście wozów transmisyjnych i przynajmniej setkę wściekłych i żądnych krwi hien dziennikarskich.

Gdy schodził na parking, pomyślał, że czeka go piekielnie długi dzień.

Rozdział 24

– A co ja będę z tego miał?

Czarnecki poprawił okulary, nie spuszczając wzroku z przedniej szyby swojego grafitowego renault megane. Poruszał się w żółwim tempie w górę zakorkowanej ulicy Wrocławskiej. Na miejscu pasażera siedziała podkomisarz Julia Zawadzka.

– To się okaże. Najpierw muszę porozmawiać z Igorem – odparła.

– Wie pani, że jestem po stronie komisarza Brudnego, w ostatnim czasie chyba tylko ja jeden. Ulegałem już wielu jego prośbom, nawet pośrednio włączyłem go do śledztwa. Niestety, jakoś nie doczekałem się wzajemności…

– Igor jest skrajnym introwertykiem. I zawsze chodzi własnymi ścieżkami. To chyba zdążył pan już zauważyć.

– Owszem, ale to nie zwalnia go z obowiązku, żeby być wobec mnie szczerym. Zwłaszcza że tu chodzi o ludzkie życie.

– Jest też znakomitym gliną. Najlepszym, jakiego znam. I gwarantuję panu, że robi wszystko co w jego mocy, aby dopaść mordercę.

Czarnecki skręcił w prawo w osiedle Morelowe, następnie w lewo na parking komendy miejskiej. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Przez chwilę patrzył w zadumie w stronę parku.

– Pozwolę pani porozmawiać z komisarzem Brudnym na osobności, ale to mój ostatni gest dobrej woli. Jeśli komisarz Brudny nie wykaże chęci współpracy, będę zmuszony zmienić podejście.

– Igor mówił, że rozsądny z pana człowiek. Dziękuję, inspektorze.

– Niech pani nie dziękuje, tylko przemówi komisarzowi do rozsądku.

– Postaram się – odparła Zawadzka, po czym otworzyła drzwi i niemal natychmiast została zaatakowana przez przyczajonego w zaroślach dziennikarza. Z drugiej strony wyskoczyło dwóch kolejnych, ci doskoczyli do inspektora. Jeden z nich wsunął mu mikrofon niemal do gardła, a drugi zaczął filmować.

– Czy to prawda, że znaleziona ofiara została pozbawiona twarzy? Czy łączy pan to morderstwo ze sprawą „Filipa Rozpruwacza”? Czy jest znany motyw, jakim kieruje się sprawca? – Młody mężczyzna wyrzucał z siebie kolejne zdania, jakby strzelał z uzi.

– Bez komentarza – rzucił krótko Czarnecki i chwycił pod rękę opędzającą się od innego napastnika Zawadzką.

Na schodach prowadzących na plac przed budynkiem komendy zjawiło się kilku kolejnych reporterów, którzy widząc zbliżającego się inspektora, błyskawicznie ruszyli w jego kierunku. Już w połowie drogi posypały się pytania, w końcu zatarasowali drogę, próbując wymusić jakiekolwiek oświadczenie.

– Proszę nas przepuścić. Wkrótce ogłoszę termin konferencji prasowej. Do tej pory nie będę udzielał żadnych komentarzy. Do widzenia.

* * *

Brudny nie spał od trzeciej nad ranem. Obudził się zlany potem, z paskudnym poczuciem winy. Przed laty, gdy był małym chłopcem, siostry hieronimki tłumaczyły mu, że nosi w sobie grzech. A to paskudne poczucie winy to kara za wszystkie występki i niegodziwości, jakich się wobec nich dopuszczał. Nauczył się z tym żyć, aż w końcu ustąpiło. Ale powróciło. I było złe. Jakby ziarno, które przed laty utkwiło gdzieś w jego trzewiach,

znów wykiełkowało. I zaczynało oplatać go od wewnątrz swoimi zatrutymi pędami.

Wiedział, że nigdy nie będzie taki jak większość jego rówieśników. Miał inne dzieciństwo, ukształtowała go przeszłość. Gdy inne dzieci bały się duchów i potworów, on chował się po kątach na widok ludzi w czarnych sutannach, a w nocy walczył z posępnymi cieniami, które raz za razem próbowały go pochwycić w swoje szponiaste palce. Nie miał wsparcia, kogoś, kto przytuliłby młodego, zahukanego chłopaka i umocnił jego poczucie własnej wartości. Zwłaszcza po tym, co zrobił. Do czego został zmuszony. Gdy przed laty uwolnił drzemiącego demona.

Wtedy zupełnie się pogubił. Nie mając jakiegokolwiek autorytetu, uwierzył słowom siostry Gwidony i ojca Alberta, którzy wmówili mu, że jest naznaczony. Że nosi w sobie diabła. Że jest synem szatana.

Przypominali mu o tym każdego dnia. Mścili się. Stworzyli mu piekło. Spuszczali ze smyczy swoje wierne psy, wychowanków, którzy nigdy nie zaznawszy dobra, czynili zło. Skrzywieni psychicznie, maltretowani emocjonalnie, zamknięci w ponurej placówce dla niechcianych sierot, nie mieli dla młodszych i słabszych żadnej litości. Dla niego też. Kolejnymi ciosami i kopniakami wykuwali jednak jego charakter, który z każdym dniem twardniał niczym hartowana stal. Każdy oblekał go coraz szczelniejszą zbroją, zamykał ciało i umysł w kokonie odpornym na uczucia, a kolejne siniaki, rozcięcia czy pęknięte kości uodporniały go na ból zarówno fizyczny, jak i emocjonalny. Ale Krzysztof przetrwał, wbrew siostrze Gwidonie, biskupowi Albertowi i całemu zdegenerowanemu systemowi. Dzięki temu, co w sobie nosił. I Brudnemu Harry’emu.

Igor właśnie skończył robić kolejną serię pięćdziesięciu pompek, gdy usłyszał kroki. Uniósł głowę i za kratami dostrzegł policjanta w mundurze, a za nim znajomą postać. Po raz pierwszy od tygodni na jego twarzy

pojawił się grymas, który przypominał uśmiech. Podniósł się, chwycił leżącą na łóżku przepoconą koszulkę i ją włożył. Chwilę później drzwi do jego pojedynczej celi otwarły się i do środka wkroczyła Julia Zawadzka.

– Wyglądasz jak gówno, Igor – przywitała się.

– Też cię kocham, Julka – zrewanżował się Brudny.

– Macie kwadrans – rzucił na odchodne policjant i zostawił ich samych.

Zawadzka przytuliła się do Brudnego i po przyjacielsku poklepała po plecach. Komisarz odwzajemnił gest, ale po chwili chwycił ją za przedramiona i odsunął od siebie.

– Widziałaś się z Albertem?

– Tak.

– Masz go?

– Nie. Twierdzi, że go spalił krótko po tym, jak…

– Kurwa! Julka… – Brudny puścił jej ręce i odwrócił się w kierunku niewielkiego zakratowanego okna.

– Poczekaj, Igor. On mówił prawdę. W ogóle opowiedział mi o wszystkim. O tym, co tam przeżyłeś, co się tam działo. Niczego nie ukrywał.

Komisarz odwrócił się i ponownie spojrzał jej w oczy. Poczuł się głupio, że zwątpił w jej profesjonalizm.

– Julka… Nie trzymaj mnie, do jasnej cholery, dłużej w niepewności.

– Znam nazwisko. I nazwę wsi.

Brudny poczuł ukłucie lęku. Przez ułamek sekundy nie był pewny, czy aby na pewno chce je poznać. Zawsze robił wszystko, aby unikać grzebania w swojej przeszłości. Taką podjął decyzję i przez lata kurczowo się jej trzymał. Teraz zdał sobie sprawę, że za chwilę wszystko może się zmienić. Niekoniecznie na lepsze.

Z powrotem spojrzał przez okno. Słońce już wspięło się ponad dachy widocznych z celi wieżowców i rzucało łagodne promienie na pobliski park. Szykował się ładny, słoneczny dzień.

– Mów.

– Powiedział, że nazywasz się Nowak i pochodzisz ze wsi Nietków.

Rozdział 25

Dochodziła ósma rano. Czarnecki zasunął zielone zasłony, aby ochronić się od ostrego światła słonecznego. Usiadł na swoim krześle i wbił wzrok w Brudnego.

– Nie mam wiele czasu, komisarzu – rzekł wyjątkowo surowym tonem. – Dziś nad ranem natrafiliśmy na kolejną ofiarę.

– Julka mi mówiła.

– Skoro pan wie, to proszę decydować.

– Tylko jedno pytanie…

– Proszę.

– Kto wie, że mnie tu przetrzymujecie?

– Ja, moi najbliżsi współpracownicy i kilku policjantów. I podkomisarz Zawadzka, oczywiście. Jeszcze jakieś pytania, bo mam nawał pracy?

– Nie, ale w takim razie nie mogę przyjąć pańskiej propozycji, inspektorze.

Czarnecki nie klął i nie tolerował wulgarnego słownictwa w swoim towarzystwie z różnych powodów, choć zdarzało mu się czasem burknąć coś pod nosem. Nie pamiętał jednak, aby kiedykolwiek klasyczne „kurwa mać” cisnęło mu się na usta z taką siłą jak teraz.

Mierzył komisarza wzrokiem bazyliszka. Wiedział, że nie ma wyjścia i musi go wypuścić. Owszem, mógłby przetrzymać go jeszcze kilkanaście godzin, ale jaki to by miało sens? Dopiero po chwili połapał się w sytuacji. Domyślił się też, skąd to pytanie o liczbę ludzi wtajemniczonych w jego

obecną sytuację i skąd odmowna odpowiedź Brudnego. Komisarz liczył zapewne, że na miejscu porzucenia ciała pojawią się kolejne „niezbite” dowody na jego obecność, gdyż sprawca zapewne nie wiedział, że jest on przetrzymywany w areszcie. Gdyby laboratorium wykazało obecność DNA Brudnego w okolicy zwłok Oliwii Malinowskiej, Czarnecki wyszedłby na głupca. Przecież „podejrzany” miał w tej chwili absolutnie niepodważalne alibi.

– Jakie ma pan plany, komisarzu? – spytał, gdy odrobinę ochłonął.

– Odszukam Trochana i dopadnę mordercę.

– Doceniam szczerość, ale jeśli znów wejdzie mi pan w drogę, to oskarżę pana o utrudnianie śledztwa.

– Nie mam takiego zamiaru, inspektorze. Może trudno w to panu uwierzyć, ale wciąż gramy w tej samej drużynie.

– Mam nadzieję.

Czarnecki wstał z miejsca i podszedł do niewielkiego sejfu. Otworzył go, wyciągnął jakieś zawiniątko i wrócił do stołu. Położył je na blacie.

– Pańska broń i odznaka, komisarzu – rzekł bez emocji.

Brudny wziął walthera i włożył za pasek. Odznakę schował do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Doceniam kwestię zaufania. Mógł pan poczekać na wyniki ekspertyz z laboratorium.

– Nie muszę. Od początku wiedziałem, że te dowody to lipa.

– A jeśli przy Palmiarni nie znajdą mojego DNA?

– Cóż… – Czarnecki ściągnął okulary i przetarł czoło wierzchem dłoni. – Wtedy lepiej, żeby pan miał dla mnie coś naprawdę mocnego. I w końcu zaczął mówić.

– Dziękuję, inspektorze.

– Radzę opuścić komendę tylnym wyjściem.

– Tak zrobię.

Mężczyźni podali sobie dłonie. Uścisk był silny i wymowny. Chwilę później Brudny wyszedł z gabinetu Czarneckiego i w towarzystwie jednego z policjantów ruszył do tylnego wyjścia. Tam czekała już na niego Julia Zawadzka. W dłoni miała kluczyki do patrola. Rzuciła mu je, a Brudny pewnie złapał je w garść.

Kiedy ruszali w drogę do Nietkowa, młody proboszcz Adam Klich właśnie przygotowywał się do odprawienia porannej mszy świętej. I nie był świadomy, z jakim horrorem przyjdzie mu się wkrótce zmierzyć.

* * *

– Powiedz mi jedną rzecz, Romek… – Prokurator kipiał ze złości. – Dlaczego ty jesteś taki cholernie uparty?

– Bo wiem, że Brudny nie ma nic wspólnego ze śmiercią tych ludzi – odparł inspektor ze stoickim spokojem.

Ludzie z zespołu dochodzeniowo-śledczego spojrzeli po sobie. Zwykle aktywna w takich momentach profilerka Elżbieta Pałka tym razem milczała.

– Znamy się od lat. Wiem, że zawsze wychodziłeś obronną ręką z najbardziej przesranych spraw. Ale za cholerę nie mogę pojąć, co tobą kieruje w tej chwili. Jeśli masz jakiś plan, to może nam go litościwie objaw, bo chyba nikt w tym pomieszczeniu nie jest w stanie pojąć toku twojego rozumowania.

– Po pierwsze, proszę was o stonowanie emocji, zwłaszcza ciebie, Krzysztof. Takie oskarżenia i insynuacje na pewno nam nie pomagają.

– Ja cię nie oskarż…

– Po drugie… – Czarnecki uniósł dłoń – mamy kolejną ofiarę, której ktoś wyłupił oczy i zerwał twarz, a potem odciął piersi, zgwałcił

i wypatroszył, dlatego proponuję skupić się na złapaniu tego, kto to uczynił, bo po dzisiejszym znalezisku wciąż nie mamy nic, co mogłoby nas doprowadzić do sprawcy. W końcu, po trzecie, trzeba sprawdzić wiele nowych tropów, a na przesłuchanie czeka kolejka świadków, więc musimy podzielić robotę na nowo.

W gabinecie zapadła martwa cisza. Wszyscy byli zdruzgotani tym, co wydarzyło się dziś przy Palmiarni. Każdy przeżywał to na swój sposób, ale rozumiał też, że trzeba podwoić wysiłki, aby dopaść mordercę, który powoli urastał do rangi jednej z największych bestii w historii polskiej kryminalistyki. A do tego był skrajnie bezczelny. Jasne było jedno, od dzisiejszego ranka na ręce patrzył im cały kraj.

– Zamykając temat Brudnego… – Czarnecki wyczekał chwilę, aby znów przykuć uwagę zebranych. – Powiedziałem, że biorę go na siebie i nic się w tej kwestii nie zmienia. Znam konsekwencje podejmowanych decyzji.

– To, że jesteś kapitanem tej drużyny, nie znaczy, że możesz robić, co ci się żywnie podoba – skontrował Lis. – Nie zapominaj, że ostatecznie ja tu rządzę i…

– Jeśli nie podobają ci się moje metody, to proszę bardzo. Możesz powołać innego prowadzącego. A jeśli nie chcesz brać w tym udziału, droga wolna. Poproszę o przydzielenie do tej sprawy kogoś innego. Nie mogę pracować z ludźmi, co do których zaufania mam jakiekolwiek wątpliwości.

Lis wciągnął powietrze. Nie pierwszy raz poróżnił się z Czarneckim. Trudno mu było jednak polemizować z człowiekiem, który do tej pory zawsze miał rację.

Wypuścił powietrze i wymownie pokiwał głową. Następnie podniósł ręce w geście kapitulacji.

– Dobra, Romek. Przepraszam. Nie to miałem na myśli. Wierzę w ciebie. Wszyscy wierzymy.

– Przyjmuję. Czy ktoś chce jeszcze coś wiedzieć na temat Brudnego?

Cisza.

– Wiecie, że zawsze możecie… Wróć, oczekuję i wymagam, abyście wyartykułowali swoje wątpliwości.

– Czy jest jakakolwiek empiryczna przesłanka wskazująca na niewinność Brudnego? – włączyła się do rozmowy Borucka.

– Za każdym razem ma mocne alibi. Grzegorz, możesz…

Podinspektor Grzegorz Zimny wyprostował się na krześle.

– Na prośbę Romka przeanalizowałem ostatni tydzień z życia Brudnego przed przyjazdem do Zielonej Góry. Także jego logowania z telefonu, na których sprawdzenie sam wyraził zgodę. Rozmawiałem też z jego szefem, kolegami z posterunku, mocne alibi przedstawiła podkomisarz Julia Zawadzka, jego była partnerka ze służby, która przyjechała dziś w nocy do miasta. To praktycznie niemożliwe, a przynajmniej bardzo mało prawdopodobne, aby mógł brać czynny udział w tych morderstwach, zwłaszcza pojawić się w miejscach, gdzie znajdowaliśmy jego DNA. Fakt, że bez trudu je znaleźliśmy, dodatkowo przemawia na jego korzyść.

– Okej, do mnie to trafia – skomentowała Borucka.

– I do mnie – dodała Pałka. – Co nie znaczy, że czegoś nie ukrywa. Jako psycholog muszę zdradzić, że jego osoba absolutnie mnie fascynuje. Bardzo chciałabym z nim porozmawiać…

– Raczej nie przejdzie – skomentował sugestię swojej profilerki Czarnecki. – To rzeczywiście fascynujący człowiek, ale przy tym bardzo zamknięty w sobie. I diabelnie inteligentny.

– Tym bardziej mi na tym zależy.

– Uwierz, Ela, on nie będzie chciał z tobą rozmawiać.

– Dasz mi wolną rękę, abym się o tym przekonała?

– Masz moje pozwolenie.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Jeszcze jakieś wątpliwości co do Brudnego? – Czarnecki popatrzył po twarzach zebranych. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby go zaniepokoić. – W takim razie skupmy się na robocie. Najpierw konkrety. Mamy już jakieś wyniki z laboratorium?

– Nie. Najwcześniej po południu. Najpierw daktyloskopia i traseologia, potem mechanoskopia i mikroślady. Pod wieczór powinny być znane pierwsze wyniki DNA.

– Ela?

– Rozumiem, że mnie teraz karzesz, czy tak?

Pałka lekko się uśmiechnęła i wsunęła rudy kosmyk za ucho. Czuła się fatalnie, bo śmierć młodej Oliwii Malinowskiej zniszczyła stworzony przez nią profil mordercy, a przynajmniej sporą część założeń, na którym się opierał. Zwłaszcza motyw. Tak drastyczna zmiana modus operandi zdarzała się niezwykle rzadko, przeważnie pod wpływem nagłych i niespodziewanych dla sprawcy czynników zewnętrznych, na przykład gdy poszukiwany poczuł się zagrożony i musiał pozbyć się świadków, którzy normalnie nigdy nie staliby się jego ofiarami. Tutaj nic na to nie wskazywało. Bestialstwo, z jakim pozbawił życia Malinowską, cechowało pełne opanowanie. Takie działanie wymagało czasu. Dużo czasu.

– Ela, proszę cię. Śpieszy nam się.

– Nie będę się usprawiedliwiać. Dałam ciała. Ale nie poddam się i rozpracuję tego sukinsyna.

– Ela…

– Okej, już dobrze. Konieczne jest uzupełnienie informacji z sekcji tej dziewczyny, ale już teraz mogę stwierdzić, że ta w sumie dość istotna zmiana modus operandi wcale nie zmienia tak wiele w profilu, jaki stworzyłam. Czysto teoretycznie straciliśmy motyw. Ale tylko teoretycznie.

Temperatura w gabinecie Czarneckiego podniosła się przynajmniej o pół stopnia. Pałka potrafiła zaciekawić słuchaczy. Wrodzona elokwencja tylko jej to ułatwiała.

– Założyliśmy, że motywem zbrodni mogła być zemsta. Na przykład na zmarłym ojcu tyranie, który bił syna i być może gwałcił. Stąd tak okrutny mord na mężczyznach, którzy mogli go przypominać. Dlaczego zatem morderca nagle zabija młodą kobietę, okaleczając ją przy tym w jeszcze bardziej bestialski sposób?

Członkowie zespołu wpatrywali się w profilerkę jak w obrazek. Nawet Czarnecki dał się porwać jej niezaprzeczalnej charyzmie. Wszyscy czekali na przełom.

– Czytałam protokoły z zeznań rodzin i przyjaciół zamordowanych mężczyzn. Zdecydowanie nie należeli do obywateli, których sąsiedzi postawiliby za wzór do naśladowania. Obaj mieli w przeszłości problemy z prawem i drobne wyroki na koncie. Zdzisław Boruch w połowie lat osiemdziesiątych odsiedział nawet półtora roku za gwałt na nieletniej. Jak ustalono, obaj mężczyźni również nie byli sobie obcy, mało tego, znali się całkiem dobrze. Dlatego gdy tylko dowiedziałam się o śmierci Oliwii Malinowskiej, z początku najpierw trochę się podłamałam, bo ta ofiara zupełnie nie pasowała do modus operandi sprawcy, a przynajmniej wykluczała motyw, jakim mógł się kierować. Natychmiast poszłam obejrzeć zwłoki.

Pałka znów przerwała i upiła łyk kawy. Wsunęła niesforny kosmyk rudych włosów za ucho i kontynuowała.

– Rany, jakie sprawca zadaje ofierze – oczywiście, jeśli wciąż mówimy o sprawcy zorganizowanym, kierującym się motywem zemsty w połączeniu z motywem emocjonalno-seksualnym – zwykle są mrocznym odbiciem jego problemów psychicznych, takich, nad którymi nie umie zapanować

i z którymi sobie nie radzi. Znamy dokładnie obrażenia tamtych dwóch mężczyzn i choć występują spore podobieństwa do obrażeń Malinowskiej, mam na myśli zwłaszcza wycięcie narządów wewnętrznych, widać też spore różnice. Na usta cisną się więc od razu dwa pytania: dlaczego nie odciął jej głowy i dlaczego zdarł twarz?

Pałka spojrzała po zaciekawionych twarzach słuchaczy. Wszyscy byli tak zaintrygowani, że nie wyczuli jej intencji. Milczeli.

– Macie jakieś pomysły? – spytała, rozkładając ręce. Nikt nie odpowiedział. – To może inaczej. Kogo wam przypomina trup z Palmiarni?

W gabinecie dało się wyczuć lekkie poruszenie. Czarnecki pokiwał głową z uznaniem, jakby dostrzegł punkt widzenia profilerki.

– Jakby ktoś przystawił mi pistolet do głowy i kazał odpowiedzieć na to pytanie, to odpowiedziałbym, że nikogo – odparł Lis z lekką ironią.

– Otóż to, Krzysztof! – Pałka nieco podniosła głos. – Sprawca od początku chciał ją zdehumanizować. Nie chciał widzieć w niej kobiety, zaryzykuję twierdzenie, że nawet człowieka, bo tak naprawdę wcale nie chciał jej zabijać. Zrobił to, bo nie miał innego wyjścia.

– Śmiała hipoteza, ale może się obronić – skomentował Zimny.

– Najpierw pozbawił ją oczu, aby na niego nie patrzyła, bo nie mógł znieść jej błagalnego spojrzenia. Potem odciął jej piersi i zdarł skórę z twarzy, aby nie przypominała mu kobiety. Mogę się założyć, że przeciął jej jeszcze struny głosowe, aby nie słyszeć jej kobiecego głosu. – Pałka stuknęła długopisem o blat stołu. – Dopiero gdy poczuł się swobodniej, a ofiara zmieniła się w nieokreślony byt, otworzył ją i zabrał się do dania głównego.

– Fiu, fiu… – zagwizdał Lis, ale nic nie powiedział.

– Co sugerujesz, Ela? – włączył się Czarnecki, który na tym etapie zdawał się już tylko moderować dyskusję.

– W tej chwili to już nie sugestia. To fakt.

– Czyli…

– On nie chciał zabić tej dziewczyny. Zrobił to, bo wedle swojej pokrętnej logiki nie miał innego wyjścia. Sprawca zamordował Oliwię Malinowską, bo nie mógł zemścić się na jej zmarłym ojcu.

Takiego finału nikt się nie spodziewał. Nawet Czarnecki wyglądał jak człowiek, który właśnie zobaczył ducha. Przez chwilę wszyscy próbowali sobie to jakoś poukładać.

– Czy ja dobrze usłyszałem? Powiedziałaś, że to już nie sugestia, tylko fakt? – zapytał nieśmiało Czarnecki.

– Tak, Romek. To fakt. Godzinę temu sprawdziłam kartotekę zmarłego trzy lata temu Stanisława Malinowskiego, zleciłam też naszym ludziom krótki wywiad z sąsiadami ofiary. Ojciec Oliwii też nie był przykładem modelowej głowy rodziny. Żonę tłukł, a córkę gwałcił. A po wszystkim chlał i łaził na ryby. Jak myślicie z kim?

– Nieeee… – Prokurator stał się głosem całej grupy.

– Tak. Z dwójką naszych nicponi. Zdzichem i Zenkiem.

Rozdział 26

Droga do Nietkowa wiła się pośród pól i lasów otaczających Zieloną Górę. Brudny nigdy wcześniej o tej wsi nie słyszał, dlatego musiał poratować się nawigacją. Właśnie opuszczał podzielonogórski Przylep, gdy wepchnął do ust końcówkę bułki z parówką, które wspólnie z Zawadzką zakupili na jednej ze stacji benzynowych. Przeżuł ostatni kęs i popił wodą z butelki, po czym nieco ściszył radio, w którym leciał jakiś nowy polski hit.

– I powiedział ci, że nie miał kontaktu z moimi rodzicami? – zapytał.

– Twierdził, że nigdy ich nie widział. Nie dostał nawet oryginalnego aktu urodzenia. Matka podobno zostawiła cię nocą pod drzwiami zakrystii i zniknęła na zawsze. Wtedy proboszczem był niejaki Bogumił Wilczek, który wziął cię w opiekę.

Brudny zacisnął dłonie na kierownicy z taką siłą, że zatrzeszczała skórzana osłona. Nie umknęło to uwadze Zawadzkiej.

– To nazwisko nie jest ci obce…? – zapytała.

– Owszem… – syknął przez zęby.

– Powiesz mi czy będziesz to w sobie dusił?

Zawadzka wyciągnęła z jego paczki papierosa i przypaliła go, a następnie wsunęła mu w usta. Szczerość była jedną z cech, które cenił u niej najbardziej, ale w sumie była to broń obosieczna. Teraz jej ostrze skierowało się wprost w niego.

– On był najgorszy. – Brudny zaciągnął się mocno i wydmuchnął dym przez uchylone okno. – Przychodził co kilka czy kilkanaście dni i brał, co

chciał. Czasem chłopaki wracali z siniakami. I srali krwią.

– Chryste… Nigdy mi o nim nie mówiłeś.

– Chyba cię to nie dziwi. Zresztą wtedy i tak za dużo ci powiedziałem.

– Ale ty chyba nie…

– Nie. Po tym, co zrobiłem, dali mi spokój. Żaden z tych skurwysynów mnie nie tknął. Przynajmniej w tym sensie…

– Chyba powinniśmy się cieszyć, że facet już nie żyje.

– Na samą myśl, że nigdy nie odpowiedział za swoje czyny, krew mnie zalewa. I to, że ta kobieta zostawiła mnie pod jego opieką. Kurwa mać…

– Przykro mi, Igor.

– On mnie karmił, mył, dotykał. Ja pierdolę…

Brudny uderzył w kierownicę i zacisnął palce, aż zbielały mu knykcie. Fakt, że matka mogła oddać go takiemu zwyrodnialcowi i skazać go na takie, a nie inne życie, wzbudzał w nim absolutnie skrajne uczucia. Między innymi dlatego bronił się przed wizytą u kobiety, która wychowała Trochana. Jej wiedza mogłaby wnieść do sprawy bardzo dużo, ale świadomość, że rzeczywiście może być jego biologiczną matką, sprawiała, że nie potrafił zdobyć się na odwagę, aby stanąć z nią twarzą w twarz. Wybaczyć? Wątpił w to…

– Sorry, Julka, ale nie chcę o tym gadać – rzekł po chwili zadumy.

– Jasne. Spoko, Igor.

Przez chwilę jechali w milczeniu, paląc papierosy i słuchając muzyki.

– I co dalej z tym Wilczkiem? – zagaił ponownie Brudny, Zawadzka rzuciła mu zaczepne spojrzenie i kontynuowała:

– Po dwóch tygodniach skontaktował się z hieronimkami i poinformował je, że nie ma co z tobą zrobić. Wtedy do Nietkowa przyjechała siostra Gwidona i cię zabrała.

– A to stara wiedźma. Ukryła to… – W Brudnym znów wezbrała złość, tym razem na siebie, że nie zdołał wydobyć z niej tak istotnej informacji. – Jaki miał w tym udział Albert?

– Na początku żaden. Ale Gwidona zaczęła kombinować, a ponieważ w świetle prawa nie istniałeś, pomyślała, że można na tobie nieźle zarobić.

– Chcieli mnie sprzedać…?

– Właśnie, na przykład jakiejś bogatej parce z Zachodu. Ponieważ sama nie miała dojść i kontaktów, wspomniała o pomyśle biskupowi Albertowi, który często zaglądał do placówki w wiadomym celu. Zaczęli szukać zainteresowanych, ale w tamtych czasach, bez internetu i komórek, nie było to takie proste. Ty dodatkowo byłeś, ja to ujął Albert, niesfornym dzieckiem. Wiecznie płakałeś i krzyczałeś, rzucałeś się nocami, jakby opętał cię demon.

– To słowa Alberta czy sama to wymyśliłaś?

– Cytuję go. – Zawadzka posłała Brudnemu słaby uśmiech. – Plułeś, gryzłeś, atakowałeś. Lekarze rozkładali ręce i nie potrafili podać jednoznacznej diagnozy. Twierdzili, że jesteś po prostu nadwrażliwy. Albert twierdzi, że nawet odprawił na tobie egzorcyzmy…

– Powiedział ci to?

– Ze szczegółami.

– Chyba mu nie poszło… – Brudny rzucił przyjaciółce zaczepne spojrzenie.

– I dobrze. Takiego cię lubię. – Puściła do niego oko. – W każdym razie zrezygnowali z wcześniejszych planów, bo i tak nikt by cię nie zechciał. A skoro już tam byłeś, to zostałeś. Hieronimki nie miały wyjścia. Musiały się tobą zaopiekować.

– Polemizowałbym, czy można to nazwać opieką.

– Wiesz, o co mi chodzi. Potem podrosłeś i… no wiesz… narobiłeś tego bigosu.

– A więc wiesz…

Brudny otworzył szerzej okno i wyrzucił papierosa na pobocze. Zwolnił przed przejazdem kolejowym, którego rogatki właśnie zaczęły opadać. Zawadzka milczała.

– Nic więcej nie powiesz? – zagadnął, nie odrywając wzroku od przedniej szyby.

– A co tu komentować? Na twoim miejscu pewnie zrobiłabym to samo. I nie miałabym wyrzutów sumienia.

Nadjechał pociąg. Towarzyszący mu szum zagłuszył muzykę i uniemożliwił rozmowę. Brudny i Zawadzka trwali przez chwilę w milczeniu. Po chwili charakterystyczny dźwięk ustał.

– Dzięki, Julka…

Rogatki się uniosły. Brudny rozejrzał się na boki i spokojnie wcisnął pedał gazu. Za torami znajdowało się skrzyżowanie i ostatnia prosta do Nietkowa.

– Jesteś pewna, że ten Klich jest czysty?

– Wiem tyle, co ty. Podobno to facet spoza układu. Zwykły młody ksiądz.

– Lepiej, żeby tak było.

Trzydzieści sekund później nissan patrol minął tablicę z napisem Nietków. Gdy zaparkował obok kościoła, proboszcz Klich właśnie zakończył poranną mszę świętą. Brudny patrzył, jak ze środka wysypują się kolejni parafianie, głównie starsi mieszkańcy w bezbarwnych ubraniach. Zwykle w ciszy, z opuszczonymi głowami i masą nierozwiązanych problemów. Nie rozumiał tego kultu. Smutnego i ponurego, a zarazem wypełnionego oceanem nieskończonej hipokryzji, której ci stłamszeni

ludzie w niezrozumiały sposób nie dostrzegali. Albo po prostu dostrzec nie chcieli.

Niewielka świątynia prezentowała się dumnie, jak każda podobna z mijanych wsi. Strzelista wieża wznosiła się przynajmniej na trzydzieści metrów i górowała nad pozostałymi zabudowaniami oraz słusznych rozmiarów kasztanowcami, których opadłe liście skomponowały złoto-czerwony dywan u jej fundamentów. Pokryty niebieską dachówką ostry, spadzisty dach dodawał jej wyjątkowości, podobnie jak kilka innych rozwiązań architektonicznych, od dodatkowych wież przypominających średniowieczne baszty, przez zębate blanki, po wąskie i wysokie na kilka metrów witraże. Brudny omiótł kościół wzrokiem, próbując odkurzyć pamięć. To było nierealne, mimo to poczuł się dziwnie, gdy wyobraził sobie, że w tym miejscu spędził pierwsze dni swojego życia.

Wzdrygnął się na myśl, że był pod opieką sadysty, gwałciciela i pedofila, który przez lata bezkarnie krzywdził nie wiadomo ile dzieci. A dzięki protekcji i kumoterstwu instytucji, której jednym z głównych haseł była pomoc tymże dzieciom, dożył sędziwego wieku, nie ponosząc kary za popełnione grzechy.

Postanowił dalej się nie nakręcać i po prostu wszedł do środka. Powiało chłodem i dostrzegł, jak z każdym oddechem z jego ust wydobywa się biały obłoczek. I ten specyficzny zapach. Znał go. Zanim się zorientował, zrozumiał, że czuje się, jakby wrócił do domu.

* * *

Ksiądz Adam Klich był wysokim blondynem o pociągłej twarzy, w której najbardziej rzucał się w oczy wielki rzymski nos. Od najmłodszych lat miał z jego powodu kompleksy, zwłaszcza że nie należał ani do odważnych, ani do silnych. Ponieważ dodatkowo wychowała go

kobieta o osobowości skrajnie neurotycznej, już w przedszkolu zaczął przejawiać rozchwianie emocjonalne, co w szkole podstawowej tylko przybrało na sile. Nadopiekuńczość matki i brak męskiego wzorca sprawiły, że młody Klich nie potrafił nawiązywać normalnych stosunków z rówieśnikami, przez co zwykle kończył zapłakany w kącie. Upokorzenia znosił długie lata, a jego orli nos do piętnastego roku koledzy przestawili mu cztery razy, mimo to Klich nie przestał wierzyć w człowieka. W każdym widział dzieło Boga, który od pierwszych chwil był bardzo ważny w jego życiu. Przynajmniej tak mówiła mu matka, a on, wobec braku alternatywy, wierzył jej bezgranicznie. Znosił więc kolejne obelgi i kuksańce kolegów, nawet jednego, którego – bez wzajemności – polubił trochę bardziej niż pozostałych. Andrzej co prawda nie należał do jego przyjaciół, ale w przeciwieństwie do większości rówieśników nie delektował się ubliżaniem mu. Do czasu, gdy koledzy nie dali mu wyboru. W obawie przed ostracyzmem Andrzej uległ, w szatni, tuż przed zajęciami z wychowania fizycznego. Chwycił Adama za włosy, po czym kazał mu uklęknąć i udawać, że robi mu laskę, następnie rzucił na ziemię i zaczął pozorować gwałt. Wszyscy śmiali się do rozpuku, a Klich, wbrew logice i wszystkiemu, czego nauczyła go matka i Bóg, poczuł silne podniecenie. Po raz pierwszy przeżył orgazm i zmoczył spodenki, czym wśród obserwatorów tego żenującego spektaklu wzbudził jeszcze większą odrazę.

Młody Adam uciekł i już nigdy więcej nie przyszedł na WF. Bał się tego, co mu się przydarzyło. To gwałtowne, obezwładniające i zarazem upokarzające uczucie przeraziło go na tyle, że zamknął się na dwa tygodnie w pokoju i z niego nie wychodził. Modlił się, dużo czytał i myślał. W końcu zrozumiał, że Bóg go wybrał, wystawił na próbę, następnie wskazał drogę. Wkroczył więc na nią świadomie i przeniósł się do liceum katolickiego, a po zdaniu matury poszedł do seminarium. Tam już nikt nie

śmiał się z jego wielkiego nosa, nikt go nie obrażał i nikt nie wsadzał mu głowy do klozetu. Blisko trzy lata zajęło mu zrozumienie, że większość jego nowych kolegów też „zostało wybranych” przez Boga, w ten czy inny sposób. Rozumiał się z nimi bez słów, ale co drugim gardził. W jego oczach byli hipokrytami. Przyjęli dar, ale nie potrafili go wykorzystać. Nie mógł na to patrzeć. To obrażało Boga. I jego.

Młody ksiądz krótko po wyświęceniu został poddany kolejnej próbie, ale nie zrobił tego, czego oczekiwał od niego jeden z biskupów. I dlatego został zesłany na drugi koniec Polski, do liczącego nieco ponad tysiąc mieszkańców Nietkowa, z niewielkimi szansami na jakąkolwiek zmianę w najbliższej przyszłości. Ale po chwilowym rozczarowaniu zaczął szanować nowe miejsce pracy i doceniać spokój, jaki oferuje. Nawiązał kontakt z lokalną społecznością, dla której mógł przygotowywać luźniejsze i bardziej spersonalizowane kazania. Szybko zyskał sympatię mieszkańców i z każdym kolejnym dniem czuł, że zapuszcza korzenie coraz głębiej. Po roku znał imię i nazwisko każdego ze swoich parafian, ich problemy i radości, grzechy i dobre uczynki, może z wyjątkiem kilku rodzin, które nie wykazywały najmniejszej ochoty na jakikolwiek kontakt. On nie naciskał. Wiedział, że prędzej czy później sami się do niego zgłoszą. Gdy ludzie czują na karku zimny oddech kostuchy, prawie zawsze chcą porozmawiać z Bogiem. Tak na wszelki wypadek…

Dziś w kościele było wyjątkowo chłodno.

Klich właśnie krzątał się wokół ołtarza w towarzystwie jednego z ministrantów, gdy usłyszał kroki. Zwykle po mszy mieszkańcy udawali się do domów, dlatego z zaciekawieniem spojrzał w kierunku drzwi. W półmroku dostrzegł dwie postaci. Z ich ust wydobywały się białe obłoczki.

– Szczęść Boże – przywitał ich, a jego donośny głos poniósł się echem po wnętrzu świątyni.

– Szczęść Boże – odparł przybysz tonem, w którym dało się odczuć skrzętnie ukrywaną drwinę.

– Czym mogę państwu służyć?

– Ksiądz Adam Klich?

– Tak.

Dwójka nieznajomych zbliżyła się do ołtarza. Klich zobaczył, że przybysze się nie przeżegnali. Było w nich coś, co sprawiło, że poczuł niepokój. Szepnął pomocnikowi, aby zostawił ich samych. Młody chłopak o pucułowatej twarzy posłusznie opuścił główną salę i zniknął za drzwiami zakrystii.

– Chcemy porozmawiać – oznajmiła kobieta.

– Zwykle nie spowiadam w piątki, ale…

– A czy ja wspomniałam o spowiedzi?

– Proszę wybaczyć, ale nie kojarzę państwa i… – Głos uwiązł Klichowi w gardle. Znał mężczyznę w płaszczu. W wieczornych wiadomościach jego twarz pojawiała się regularnie. Odruchowo cofnął kościstą dłoń, ale po chwili zreflektował się i przywitał.

– Proszę się nie obawiać – rzekł Brudny. – Nie jestem mężczyzną, którego szuka policja. Nazywam się Igor Brudny i jestem komisarzem stołecznej policji.

Brudny wyciągnął odznakę i legitymację służbową. Klich omiótł ją wzrokiem.

– Przepraszam, komisarzu. Ale jakim cudem…?

– Jestem bratem bliźniakiem poszukiwanego Filipa Trochana. Przed tą całą sytuacją nie wiedzieliśmy o swoim istnieniu.

– Rozumiem. – Klich pokiwał głową, która wydała się Brudnemu ledwo przytwierdzona do długiej i chudej szyi. Ksiądz w ogóle wyglądał na niedożywionego, był blady, miał zapadnięte policzki i sine usta, palce zaś jak anorektyczny pianista. – Jeszcze raz przepraszam za swoją ignorancję. Nie było moim celem pana obrazić. Czy w ramach przeprosin mogę zaprosić państwa do zakrystii na kawę i ciasto?

– Z przyjemnością – odparł Brudny i zdobył się nawet na słaby uśmiech.

Ruszyli na zaplecze kościoła. Brudny bacznie obserwował kapłana, ale pomimo swojego wyraźnie negatywnego stosunku do mężczyzn i kobiet parających się wciskaniem prostym ludziom kitu o Bogu, Duchu Świętym i zmartwychwstaniu nie mógł zarzucić Klichowi braku swoistej charyzmy. Ten młody facet miał w sobie coś, co już podczas pierwszego kontaktu przyciągało. Nie w negatywnym tego słowa znaczeniu. Po prostu emanował pozytywną energią, nawet jeśli wyglądał jak skrajny przypadek anorektyka. I do tego ta naturalna, okrągła łysina, która sprawiała, że przypominał trochę poczciwego średniowiecznego franciszkanina.

Klich wprowadził gości do niewielkiego pomieszczenia i wskazał im starą kanapę. Wnętrze okazało się bardzo skromne. Nie było nawet telewizora, jedynie kilka kwiatków i obrazków z Maryją bądź Chrystusem. Otwarte drzwi po drugiej stronie zdradzały, że za nimi znajduje się kuchnia. Równie mała i skromna jak pokój, do którego ich zaprosił.

– Proszę się rozgościć. Zaparzę kawy i przyniosę ciasto.

Klich lekko skłonił głowę i opuścił pomieszczenie. Wrócił po kilku minutach. Postawił na stole tacę, filiżanki z kawą oraz talerzyki z ciastem owocowym.

– To wypiek jednej z parafianek. Pani Przygodzkiej. To wytrawna pani domu i ufam, że ciasto państwu posmakuje.

– Wygląda wspaniale – skomentowała Zawadzka, a jej oczy błysnęły na widok słodkości, których zwykła sobie nie odmawiać.

Klich usiadł w fotelu. Miał na sobie skromną sutannę i wyglądał trochę jak zbity pies.

– Zatem co mogę dla państwa zrobić? – zapytał.

– Potrzebuję informacji, które mogą być niezwykle ważne w kontekście prowadzonego śledztwa.

Ksiądz ściągnął brwi i upił łyk kawy.

– Proszę wybaczyć, komisarzu, ale tu? W Nietkowie? – Był wyraźnie zaskoczony.

– Badamy wiele tropów i jeden zaprowadził nas właśnie tutaj.

– Oczywiście, rozumiem. Czy chodzi o któregoś z moich parafian?

– Nie do końca, choć nie wykluczamy żadnej możliwości. Zależy nam na przejrzeniu archiwów sprzed trzydziestu ośmiu lat. Wtedy proboszczem był tu Bogumił Wilczek.

– Tak. Zastąpiłem go w posłudze – świeć Panie nad jego duszą – po jego śmierci przed trzema laty. Był bardzo zżyty z lokalną społecznością. Zrobił w Nietkowie wiele dobrego.

Brudny nie był pewny, czy Klich konfabuluje i kryje kolegę po fachu, czy rzeczywiście nie ma pojęcia o jego plugawym życiu. Postanowił, że na wszelki wypadek wyprowadzi go z błędu, a przy okazji trochę przykręci śrubę.

– Wilczek był starym pedofilem, który zgwałcił dziesiątki dzieci – oznajmił. – I nigdy nie poniósł kary za swoje czyny.

Klich zdębiał. Otworzył szeroko oczy i zastygł z filiżanką, którą podnosił do ust. Owszem, dochodziły do niego sygnały od mieszkańców Nietkowa – zwykle rzucane mimochodem bądź przekazywane jakimś wymownym gestem – że coś było na rzeczy, ale nikt nigdy Wilczka o nic

nie oskarżył. Bo choć nowy proboszcz kilkakrotnie próbował nawiązać do tabu, nigdy nie przebił się przez zmowę milczenia.

– Jeśli ksiądz tego nie wiedział, to już ksiądz wie. Ale nie przyszedłem tu rozmawiać o starym zboczeńcu. Przyszedłem tu, bo muszę przejrzeć archiwum. Mam nadzieję, że ksiądz nie będzie miał nic przeciwko i nie będę zmuszony korzystać z oficjalnej drogi.

Klich spuścił głowę. Zrobiło mu się potwornie wstyd. Zawsze czuł zażenowanie, gdy ktoś w jego obecności wspominał o pedofilii w Kościele, temacie trudnym i hańbiącym nie tylko samą instytucję, lecz także każdego jej członka z osobna. On sam był wybrańcem Boga i – choć nie czuł popędu seksualnego względem dzieci – niósł własny krzyż z podniesionym czołem.

– Oczywiście, komisarzu – odparł, gdy opanował emocje. – Dam panu pełen dostęp, ale przyznam, że sam raczej nie zdołam pomóc. Poza kilkoma wyjątkami jakoś nigdy nie odczuwałem potrzeby, aby grzebać w przeszłości. Zwłaszcza w dokumentach sprzed tak wielu lat.

– A jakie to wyjątki?

– Drobne sprawy. Wie pan, komisarzu. Trudne rodziny. Ale naprawdę nie sądzę, żeby te przypadki mogły pana zainteresować.

– Mimo wszystko chciałbym, aby pokazał mi pan te sprawy.

Klich się zmartwił. Nie potrafił ukrywać emocji i chyba mu na tym nawet specjalnie nie zależało, przez co można było w nim czytać jak w otwartej księdze.

– Chciałbym, ale część z nich jest chroniona tajemnicą spowiedzi. Jak pan wie, komisarzu, nikt nie jest…

– Tak, wiem.

Nie pierwszy raz Brudny spotkał się z tym problemem. Nawet sędziowie nie byli w stanie zmusić księdza do jej złamania. Jeśli duchowny uparł się, mógł milczeć jak grób i nie groziła mu za to żadna kara.

– Dobra. Wrócimy do tego. W tej chwili wystarczy mi klucz do archiwum.

– Znajdę go.

– To świetnie. Może ksiądz znaleźć go dla mnie już teraz?

– Teraz?

– Tak. Teraz.

– Ale nawet pan nie spróbował ciasta…

– Zjem w archiwum.

– To może dołożę pana partnerce? – Klich postanowił nieco złagodzić atmosferę, która w jego ocenie stała się zbyt szorstka. Puścił oko do Zawadzkiej, która właśnie odłożyła widelczyk na pusty talerzyk.

– Rzeczywiście, pyszne. Jeśli ksiądz jeszcze ma…

Kilka minut później Brudny i Zawadzka schodzili mrocznymi, krętymi schodami. Na samym końcu piwnic znajdowało się kościelne archiwum. Nie było w nim pajęczyn ani starych oprawionych w skóry ksiąg, stała za to masa szafek z rozpadającymi się segregatorami.

– Zejdzie nam pewnie kilka godzin – skomentowała Zawadzka.

– Może ksiądz zostawić nas samych? – Brudny jak zwykle nie owijał w bawełnę.

– Oczywiście.

– Dziękuję.

Klich odwrócił się i ruszył do wyjścia. W pewnym momencie zawahał się i przystanął. Odwrócił się w kierunku swoich gości.

– Komisarzu Brudny?

– Tak?

– Czy my aby na pewno już wcześniej się nie spotkaliśmy?

– Nie sądzę.

– Tak wiem… telewizja telewizją, ale mam wrażenie, że… ech… – Klich spuścił głowę i machnął ręką. – Przepraszam, chyba gadam bez sensu.

Po tych słowach proboszcz opuścił piwnicę i przymknął drzwi do archiwum. Brudny przez moment wpatrywał się w tamto miejsce, po czym ugryzł pierwszy kęs ciasta i zabrał się do pracy.

Rozdział 27

– Miałaś rację, Ela. Facet przeciął jej nawet struny głosowe. – Czarnecki stał zasępiony w korytarzu prosektorium. – Mało tego, Grzegorz doniósł, że zmarły ojciec Oliwii Malinowskiej przez blisko dwadzieścia lat był stajennym.

– Stąd ten koń. To by się zgadzało…

– W końcu mamy motyw. Naprawdę jestem pod wrażeniem. Doskonała robota.

Z sali sekcyjnej wyszedł Krzywicki. Przetarł wierzchem dłoni spocone czoło. Miał dość.

– Nie znoszę, gdy wszyscy patrzą mi się na ręce. No, kurwa, nienawidzę… – mruknął, ściągając lateksowe rękawiczki.

Dochodziła trzecia po południu. Zielonogórskie prosektorium już opustoszało, choć jeszcze godzinę temu roiło się w nim od wszelkiej maści specjalistów. Chęć obserwowania sekcji zgłosiło dwanaście osób, od komendanta zielonogórskiej policji po przedstawicieli Biura Spraw Wewnętrznych. Ustawiono cztery kamery, rozstawiono sprzęt naświetlający, a Krzywicki musiał doprowadzić pomieszczenie do błysku, w tym fugi między kafelkami. Nie było też mowy, żeby w trakcie pracy palił papierosy, jak miał w zwyczaju.

– To było do przewidzenia, Robert. Cały kraj będzie teraz śledził każdy nasz ruch – skomentował Lis. – Widziałeś, co dzieje się na parkingu za bramą? Zjechały się chyba wszystkie hieny cmentarne z kraju.

– Ech. Akurat ich mam w dupie. To wasz problem.

– Owszem, nasz… – Lis wymownie zerknął na Czarneckiego, ale w odpowiedzi otrzymał spojrzenie, które można by porównać jedynie do pikującego na ofiarę jastrzębia.

– Krzysztof… Jeśli chcesz coś dodać, to mów. Otwarcie.

– Romek… – Lis się zreflektował. – Nie wściekaj się, ale coraz bardziej męczy mnie ten Brudny. Czuję, że to kwestia godzin, gdy jego istnienie wyjdzie na jaw. Musimy w końcu poinformować o tym dziennikarzy, bo jak dokopią się do tego sami, to rozerwą nas na strzępy.

Czarnecki zmarszczył brwi, ale zachował stoicki spokój.

– Masz rację, Krzysztof. Na dzisiejszej konferencji prasowej. – Inspektor zerknął na zegarek. Konferencję zaplanowano na siedemnastą. Nie miał wiele czasu. Wtedy w kieszeni jego marynarki zabrzęczała komórka. Spojrzał na ekran. To była Borucka. Czekał na ten telefon. Odebrał.

– Romek.

– Mów, Aniu.

– Zacznę od ofiary. DNA oczywiście potwierdzone. To Oliwia Malinowska. Z nowości… Wymaz z okolic pochwy denatki wykazał ślady środka nawilżającego, którym pokrywane są prezerwatywy.

– O… to rzeczywiście novum.

– I jak doskonale wiesz, niezwykle rzadko spotykana sytuacja w takich śledztwach. Wyniki toksykologiczne potwierdziły też, podobnie jak w przypadku tamtej dwójki, obecność w organizmie ofiary barbituranów.

– Czyli ich znieczulał…

– Możliwe.

– Jakieś konkretne specyfiki? To może być kolejny trop?

– Pewnie tak, ale nie ekscytowałabym się zbytnio. Leki znanych firm i można je dostać w sieci bez najmniejszych problemów.

Czarnecki odwrócił się od swoich rozmówców w korytarzu prosektorium.

– Aaa…

– Tak, Romek – ucięła Borucka. – Miałeś rację. DNA Trochana i Brudnego też było na miejscu porzucenia zwłok. To oznacza, że Brudny jest niewinny i ktoś go ewidentnie wrabia.

– Dzięki, Anka.

– Zawsze do usług, Romek. I mam nadzieję, że w związku z tym nie wyślesz mi tu tych cwaniaczków z wewnętrznego.

– To twoi ludzie. Sama oceń ryzyko.

– Ręczę za nich, ale już wykonałam pewne ruchy, aby się upewnić.

– Nie wątpię. Ania. Świetna robota. Raz jeszcze dzięki.

– Nie ma za co.

Czarnecki schował telefon do kieszeni marynarki. Poczuł ulgę. Temat Brudnego zaczynał mu ciążyć coraz bardziej. Przez tego upartego glinę kilkakrotnie wyszedł przed swoimi ludźmi na amatora i o mało nie skłócił własnego zespołu. Fakt, że znów miał rację, mocno go podbudował.

Inspektor odwrócił się w stronę Lisa i Pałki.

– Brudnego mamy z głowy.

– Czyżby? – Prokurator uniósł brwi.

– Tak, Krzysztof. Przy Palmiarni technicy odnaleźli ślady jego DNA. Wierzę, że to ostatecznie zamyka temat.

– Jak zwykle masz nosa. Ale to i tak nie zmienia faktu, że media muszą się o nim dowiedzieć.

– Zgadzam się. Ela… – Inspektor skierował swoją uwagę na profilerkę. – Wyniki z laboratorium wykazały, że wokół pochwy ofiary znajdował się środek nawilżający stosowany w prezerwatywach. Co to twoim zdaniem może znaczyć?

– To zależy, czy doszło do głębokiej penetracji. Bo moim zdaniem nie, a to by tłumaczyło tak brutalne potraktowanie krocza ofiary.

– Anka mówiła o „okolicach pochwy”…

– Zatem do głębszej penetracji na pewno nie doszło. Sprawca może nie być do niej zdolny. Zmasakrowanie okolic krocza denatki to wyraz jego bezsilności, a co za tym idzie, gniewu. Nie mógł odbyć stosunku, więc ją za to ukarał.

– Popracujesz nad szczegółami?

– Oczywiście.

– Krzysztof… – Czarnecki odwrócił się do Lisa. – Skoro temat Brudnego jest już zamknięty… Mam do ciebie prośbę. W komendzie na przesłuchanie czeka kilku świadków. To właściciel pizzerii Koloseum oraz jego pracownicy. Mógłbyś z nimi pogadać?

– Jasne. Ale jaki to ma związek z Brudnym?

– Jadł w tym lokalu w dzień przyjazdu do Zielonej Góry. To stamtąd pochodziły butelka i resztki po pizzy, które znaleziono nad rzeką.

– O cholera… dlatego tak się upierałeś.

– Próbowałem to jakoś poskładać do kupy.

– Dobra. – Lis uniósł dłoń w geście kapitulacji. – Rozumiem, że według twojej teorii ktoś zabrał te resztki z jego talerza i podrzucił je na miejsce, gdzie znaleziono ciała Zdzicha i Zenka. Dobrze kombinuję?

– Coś w ten deseń.

– A kamery?

– Akurat nie obejmowały drzwi wejściowych, a w środku lokalu zamontowana jest tylko jedna, którą właściciel ustawił na kasę. Ale od wczoraj technicy przeszukują nagrania z kamer miejskiego monitoringu. Jeśli ten facet tam był, to go znajdziemy.

– Romek. To brzmi, jakbyśmy byli na tropie samego mordercy…

– Niewykluczone.

– To co w tej chwili może być dla ciebie ważniejsze, że zostawiasz to mnie?

– Jeszcze przed konferencją prasową muszę odwiedzić pewną osobę, do której powinienem wybrać się już dawno temu.

– Do kogo, jeśli mogę spytać?

– Do matki Trochana. Czuję, że wie coś, co regularnie nam umyka. Ona może być kluczem do rozwiązania tej zagadki.

* * *

Joanna Trochan nie należała do silnych kobiet, dlatego piąty dzień z rzędu leżała w łóżku i użalała się nad tragicznym losem swoim i ukochanego syna. Prawie nic nie jadła, przez co schudła niemal sześć kilogramów i choć doskonale zdawała sobie sprawę, że w jej wieku takie wahania masy ciała mogą być niebezpieczne, mogła w siebie jedynie wcisnąć małe opakowanie jogurtu, ewentualnie kromkę ciemnego chleba. Myśli o Filipie całkowicie wyprowadzały ją z równowagi.

Gdy trzy dni temu przyszła do niej ta młoda kobieta z policji, puściły jej nerwy i powiedziała coś, czego nie powinna. Dopiero po fakcie zdała sobie sprawę, że ujawniając od lat skrzętnie ukrywaną historię choroby syna, tylko pogorszyła i tak już fatalną sytuację, w jakiej się znajdował. Później, po przeanalizowaniu wszystkich możliwości, zdała też sobie sprawę, że policja nie miała prawa wiedzieć o jego młodzieńczych problemach, a kobieta posłużyła się fortelem. Joanna Trochan zawsze mierzyła wysoko i choć wielokrotnie sama się okłamywała, nie należała do osób o umyśle analitycznym i ponadprzeciętnej inteligencji. Owszem, potrafiła być życiowo wyrachowana, ale w kontaktach międzyludzkich tylko traciła, zwykle reagowała nerwowo i z nikim nie umiała wejść w głębszą relację.

Czasem obwiniała o to męża, który zdominował ją w każdym aspekcie życia, czasem siebie, że na to pozwoliła. Nawet jeśli on miał powody, aby ją znienawidzić.

Dziś to ona miała prawo nienawidzić. Nienawidziła sąsiadów za zawiść i wieczne, pokątne obgadywanie, dziennikarzy za to, że zamienili Filipa w bestię, a policję za to, że zamiast szukać zaginionego syna, oskarżyła go o tak okrutne i plugawe czyny. Nienawidziła też siebie, bo zamiast walczyć o swoją jedyną prawdziwą miłość, leżała całe dnie w łóżku i rozczulała się nad swoim losem. Joanna Trochan zawsze była słaba. I doskonale o tym wiedziała.

Z letargu wyrwało ją donośne pukanie do drzwi frontowych. Najpierw chciała to zlekceważyć, ale gdy nie ustawało, podniosła się, aby przegonić intruza. Podeszła do wizjera i ujrzała twarz dojrzałego mężczyzny. Miał szlachetne rysy i emanował naturalnym spokojem.

– Dzień dobry, pani Trochan. Nazywam się Romuald Czarnecki i jestem inspektorem prowadzącym grupę dochodzeniowo-śledczą zajmującą się sprawą ostatnich morderstw. Czy możemy porozmawiać?

– Proszę opuścić teren mojej posesji, bo wezwę policję.

Czarnecki pomyślał, jak absurdalnie w tej sytuacji zabrzmiała groźba Joanny Trochan, tym bardziej nie zraził się i spróbował ponownie.

– Pani Trochan. Jestem tu, aby pani pomóc. Pani i panu Filipowi.

– Jak pan nie odejdzie, to złożę oficjalną skargę. Proszę zostawić mnie w spokoju i więcej nie nachodzić.

– Pani Trochan. Być może mam informacje, które potencjalnie oczyszczą pani syna z zarzutów. Ale potrzebuję pani pomocy, aby potwierdzić własne przypuszczenia.

Czarnecki nie lubił kłamać, ale czasem, jak każdy glina, był do tego zmuszony. Tak naprawdę, oprócz tego, że osobiście wątpił w winę

Trochana, nie miał na to żadnych dowodów. Fortel najwyraźniej zadziałał, bo kobieta zamilkła. Dał jej chwilę, aby dotarł do niej pełen przekaz. Po chwili zamek szczęknął i drzwi się uchyliły. W szparze ukazała się zmęczona twarz kobiety z podkrążonymi oczami, które kontrastowały z bladą cerą.

– Była już tutaj taka gówniara, co to miała pomóc… – rzekła Trochan, wciąż trzymając uchylone drzwi.

– To moja podwładna, doktor Elżbieta Pałka. I dobrze, że pani powiedziała jej prawdę. To bardzo nam pomogło w śledztwie. Czy mogę wejść?

– Niech pan nie liczy na kawę. Ma pan pięć minut, aby mnie przekonać, że nie powinnam już teraz wyrzucić pana z posesji. I proszę nie ściągać butów. To wyjątkowo durny zwyczaj.

Czarnecki wszedł do środka. Już w przedsionku było widać, że w tym domu nie oszczędzano na wystroju. Po prawej stronie znajdowało się ogromne przesuwne lustro, za którym kryła się przestronna garderoba, po lewej kilka wieszaków, szafek i gadżetów na klucze, parasolki bądź nakrycia głowy. Wszystko to nienagannie ze sobą współgrało i było widać, że zostało starannie zaplanowane przez projektanta wnętrz. Korytarz, a następnie przestronny, stylowo urządzony salon potwierdziły pierwsze wrażenie.

Inspektor usiadł na obitej skórą kanapie. Starał się nie być nachalny, aby już na starcie nie zniechęcić gospodyni, ale stopniowo planował nadać ton dyskusji i w odpowiednim momencie przykręcić śrubę na tyle, aby Trochan zrozumiała, że nie ma innego wyjścia, jak tylko powiedzieć całą prawdę. Nie chciała rozmawiać z policją – a jako matka oskarżonego miała do tego pełne prawo – więc z pewnością coś było na rzeczy. Miała wymówkę,

owszem, ale nie współpracowała, tylko coś ukrywała. Pytanie brzmiało co. I to inspektor musiał z niej dziś wyciągnąć bez względu na wszystko.

– Tak jak powiedziałam, ma pan pięć minut – rzekła, gdy usiadła w fotelu naprzeciwko inspektora.

– Filip Trochan w moim odczuciu nie odpowiada za morderstwa, ale większość kolegów po fachu i przede wszystkim kreujące światopogląd media widzą to zupełnie odwrotnie.

– Pan chyba nie myśli, że jestem tak głupia i dam się nabrać na te policyjne sztuczki…

– Ma pani prawo myśleć, co pani chce, ale zaraz zrozumie pani, że nie przyszedłem tu w złej wierze.

– Ależ proszę. Czekam…

Czarnecki poprawił okulary i wbił w rozmówczynię swoje rozbrajające spojrzenie, coś pomiędzy wyrazem oczu wyrozumiałego ojca i gotowego do ataku drapieżcy.

– W dniu, kiedy opublikowano materiały z nagrań monitoringu, na których pani syn poukładał na deptaku te wszystkie narządy, przydarzyła mi się dość niespodziewana historia. Akurat prowadziłem w przydzielonej mi sali komendy miejskiej pierwsze spotkanie zebranej przeze mnie grupy dochodzeniowo-śledczej, gdy w drzwiach pojawił się jeden z miejscowych nadkomisarzy z informacją, że ktoś chce ze mną porozmawiać. Potraktowałem go dość oschle, bo nie znoszę, gdy przeszkadza mi się w pracy, zwłaszcza że tym razem sprawa wyglądała na wyjątkowo skomplikowaną. Poprosiłem go więc o opuszczenie pomieszczenia i poinformowanie przybysza, aby poczekał na swoją kolej. Nadkomisarz Czaputowicz nalegał, abym jednak przyjął tajemniczego nieznajomego. Zgodziłem się, ponieważ obiecał, że jego wizyta może mieć dość istotny wpływ na tok prowadzonego śledztwa.

Inspektor na chwilę zawiesił głos, ale nie stracił kontaktu wzrokowego z Joanną Trochan. Stara sztuczka, aby nieco zbudować napięcie i rozbudzić ciekawość rozmówcy. Następnie, aby skrócić dystans i wzbudzić większe zaufanie, pochylił się w kierunku gospodyni, oparł łokcie na ławie i splótł palce.

– Okazało się, że pojawienie się tego mężczyzny jeszcze bardziej skomplikowało prowadzone śledztwo. Rzekłbym, że liczba pytań, jakie zwykle stawiamy sobie w takich sytuacjach, nagle wzrosła wykładniczo. Mężczyzna ten postawił mnie w wyjątkowo nieciekawej sytuacji przed moimi ludźmi, dodatkowo sprawił, że w grupie niemal od razu nastąpiły podziały. Ten człowiek też jest policjantem i jeszcze tego samego dnia poszedł do Anny Trochan i bez większego problemu wkupił się w jej łaski.

Matka Trochana wpatrywała się w inspektora bez emocji. Przeciętny obserwator mógłby ocenić, że jest tym monologiem znudzona nie mniej niż student pierwszego roku na koniec dwugodzinnego wykładu z filozofii. Ale Czarnecki grał słowem i bacznie analizował reakcję rozmówczyni. Z każdym kolejnym wypowiedzianym zdaniem utwierdzał się w swoim przypuszczeniu. Trochan wymownie spojrzała na zegarek.

– Zostały panu dwie minuty, inspektorze…

Czarneckiego to nie zdeprymowało. Tak naprawdę czekał na podobną reakcję. To był sygnał, że właśnie należało przykręcić śrubę.

– Mężczyzna przyjechał z Warszawy, ale jak się okazało, młodość spędził w okolicach Zielonej Góry. A dokładnie w nieodległym Zaborze, w Placówce Opiekuńczo-Wychowawczej Hieronimek Zielonogórskich. Ten fakt próbował przede mną ukryć, ale jestem policjantem od blisko trzydziestu lat i potrafię wyczuć kłamstwo na kilometr. Wybrałem się więc do tego sierocińca i porozmawiałem z siostrą przełożoną. Gwidona… – Czarnecki na ułamek sekundy wstrzymał oddech, ale rozmówczyni nawet

nie drgnęła powieka – …opowiedziała mi o tym człowieku, o jego młodości, zdradziła nawet jego prawdziwe imię…

– Została panu minuta…

– Krzysztof. Tak brzmiało jego prawdziwe imię. Nazywał się Krzysztof Nowak.

Wyraz twarzy Trochan wciąż pozostał bez zmian. To było jak szczera odpowiedź na pierwsze z pytań. Jej reakcja postawiła jednak kolejne, a czas nieubłaganie się kończył. Pozostała opcja atomowa. Czarnecki wyciągnął telefon i poszukał zdjęcia Brudnego. Przysunął smartfon przed oczy znudzonej rozmówczyni.

– Teraz nazywa się Igor Brudny i jest komisarzem stołecznej policji.

Joanna Trochan zastygła niczym posąg. Patrzyła w ekran w milczeniu. W jej jasnoniebieskich źrenicach drgało zdjęcie Brudnego o oczach ciemnych niczym heban.

– To nie jest mój syn. – W jej tonie dało się wyczuć przenikający chłód.

– Tak samo jak Filip, prawda?

Zmarszczki w kącikach oczu kobiety zarysowały się mocniej niż zwykle. Czarnecki trafił w punkt.

– Kim jest ten człowiek? – zapytała.

– To brat bliźniak Filipa.

– Mój Boże…

Trochan uniosła drżącą dłoń do ust. Nie była w stanie dłużej utrzymać emocji na wodzy. Po policzkach pociekły pierwsze łzy.

– Wiem, że nie jest pani biologiczną matką żadnego z nich. Ale wiem też, że kocha pani Filipa jak własnego syna. I jeśli chce pani jego dobra, od teraz musi być pani ze mną całkowicie szczera.

W ciągu następnej godziny Joanna Trochan opowiedziała Romualdowi Czarneckiemu wszystko, co wiedziała i pamiętała. Tym razem nie ukryła

niczego.

Rozdział 28

Mijała trzecia godzina, a Brudny i Zawadzka przeszukiwali archiwum. Najpierw skupili się na czerwcu 1982 roku. W tym miesiącu urodziło się w Nietkowie trzech nowych obywateli: czwartego czerwca Jędrzej Bugusławski, piętnastego Jan Jasina i dwudziestego pierwszego Przemysław Kozik. Każdy z nich wkrótce został ochrzczony, następnie dostąpił komunii świętej i bierzmowania. Pierwszy dziesięć lat temu także ożenił się w tej parafii. Oczywiście tak skąpa ilość informacji żadnemu z wytrawnych policjantów by nie wystarczyła, dlatego Zawadzka zamierzała pogrzebać na temat każdego z nich zaraz po powrocie do hotelu.

Brudny rozszerzył poszukiwania o kolejne miesiące, a nawet lata, ale nie dokopał się do niczego, co mogłoby przybliżyć go do rozwiązania sprawy. Jego nazwisko Nowak, które odnalazł na zdjęciu w albumie z dzieciństwa Filipa Trochana, nie pojawiło się w segregatorach ani razu. Mimo to od czasu do czasu zapisywał pewne szczegóły, które jego zdaniem mogłyby mieć w końcowym rozrachunku jakieś znaczenie. W pewnym momencie poczuł, że zaczyna tracić koncentrację. Odłożył kolejny segregator i odchylił się na krześle.

– Muszę napić się kawy – powiedział, ziewając.

– Ja też – stwierdziła Zawadzka. – Znalazłeś coś interesującego?

– Na razie nic konkretnego. Na pewno sprawdzimy tamtych trzech i… – Brudny otworzył swój notes i szybko omiótł swoje najświeższe zapiski – … o, tego faceta.

Zawadzka nachyliła się nad niewielkim czarnym bloczkiem. Na jednej ze stron zabazgranych paskudnym pismem Brudnego wyróżniało się zapisane większymi literami i wyraźnie podkreślone nazwisko GŁUSZEK, imię JACEK.

– Kto to? – zapytała.

– Nie wiem, ale w okresie pomiędzy lutym osiemdziesiątego a kwietniem osiemdziesiątego czwartego najwyraźniej miał upoważnienie Wilczka do odbierania listów, przesyłek i tym podobnych. Jego podpisów nawet na dokumentach kościelnych jest całkiem sporo.

– Myślisz o tym samym co ja?

– To prawdopodobne. Ministranci często wyręczają swoich szefów w tego typu przyziemnych sprawach, zwłaszcza w takich parafiach na końcu świata. A Wilczek często bywał nieobecny…

– Facet może sporo wiedzieć. Jeśli jest uchwytny i w ogóle jeszcze żyje.

– To akurat da się sprawdzić. Zorganizuj jakąś kawę, a ja przejrzę akta zgonów z ostatnich trzydziestu lat. W tej wsi nie powinno ich być zbyt wiele, więc pójdzie raczej szybko.

– Brzmi dobrze.

Zawadzka zniknęła za drzwiami, a Brudny przeciągnął się i skierował do wcześniej namierzonych szuflad z aktami zgonów. W ciągu dziesięciu minut przejrzał wszystkie, ale nie natknął się na nikogo o nazwisku Głuszek. Jego uwagę zwrócił natomiast przedostatni akt zgonu z maja bieżącego roku. Zmarła nazywała się Teresa Jasina. Zerknął w swoje notatki. Teresa Jasina była matką urodzonego w czerwcu 1982 roku Jana Jasiny. Zaznaczył jako „ważne/do wyjaśnienia”.

Gdy tylko odłożył długopis, do archiwum pewnie wkroczyła Zawadzka. Niosła dwa kubki z parującą kawą.

– W kuchni zakrystii natknęłam się na Klicha – oznajmiła, wręczając partnerowi naczynie.

– No i…? – Brudny pociągnął solidny łyk kawy.

– Niepotrzebnie szukałeś tego Głuszka. Po prostu zapytałam o to nazwisko proboszcza. Głuszek żyje i mieszka w Nietkowie. Piechotą góra trzy minuty stąd.

– Dobra robota, Julka.

– Spoko, tylko musimy nastawić się na to, że raczej nie będziemy mile widzianymi gośćmi.

– Niech zgadnę. To jedna z tych rodzin?

– Właśnie. Podobno mocno patologiczna. A sam Jacuś to bardzo niesforny obywatel.

– Żywy okaz spuścizny po Wilczku?

– Klasyka.

– Zadzwoń do Bibuły. Niech sprawdzą w bazie jego kartotekę. Zanim powiem mu „dzień dobry”, chcę wiedzieć o tym facecie absolutnie wszystko.

Zawadzka upiła łyk kawy i wstukała numer do bazy w Warszawie. Wtedy Brudny poczuł w kieszeni wibrowanie. Jego smartfon po raz enty domagał się uwagi. Nie odebrał już dwudziestu trzech połączeń z rzędu – wszystkich z jednego numeru. Westchnął, ale nie miał wyboru. Chciał mieć tę rozmowę za sobą.

– Cześć, Oka, przepraszam, że się nie odzywałem, ale…

– Igor! Dlaczego!? Ja się tu tak bałam o ciebie. Nie oddzwaniałeś, nie odpisywałeś. Wszystko w porządku?

– Oka, spokojnie. Taką mam pracę. Spotkały mnie tu małe problemy, ale ogólnie wszystko pod kontrolą.

– To dlaczego od trzech dni nie odbierałeś ani nie oddzwaniałeś?

– Oka, ja cię proszę. Zaparz sobie rumianku i się uspokój. Niedługo wrócę do domu.

– Nie miałam zamiaru na ciebie czekać…

– Słucham? – Akurat ta odpowiedź go dość mocno zaskoczyła. Brudny zawsze traktował Oksanę średnio poważnie, ale nie spodziewał się takiej reakcji.

– To znaczy… Igor… to nie tak miało zabrzmieć. Wiesz, że cię kocham. Ja nie chciałam na ciebie czekać, bo chciałam być z tobą. I… – Szczypenko zawiesiła głos niczym niesforny malec, który boi się przyznać, co przeskrobał. – I przyjechałam do ciebie.

Przez kilka kolejnych sekund Brudny usiłował w pełni przyswoić tę informację.

– Jak to przyjechałaś do mnie?

– No od trzech godzin czekam na tym zapyziałym dworcu w Zielonej Górze. I nie wiem, dokąd mam pójść…

– Nie żartujesz, prawda?

– Przyjedziesz po mnie…? Proooszę?

– Chryste, kobieto… – Brudnego ogarnęła kompletna bezsilność. Przez chwilę zbierał myśli. – Jestem teraz w kościele w Nietkowie. To kilkanaście kilometrów poza miastem. Załatwię jeszcze jedną sprawę i przyjadę.

– Mam tu na ciebie czekać?

– Oczywiście, że nie. Oka… Weź taksówkę i jedź do hotelu Pod Dębem. Zamów sobie kawę albo drinka i poczekaj na mnie na miejscu.

– Dobrze, Igor. A kiedy będziesz?

– Oka, proszę cię. Nie wiem. Za godzinę, dwie, może trzy. Muszę kończyć. Pa.

– Kocham cię, Igor.

Brudny się rozłączył. Był zły. Nigdy w życiu by mu przez myśl nie przeszło, że Oksana wsiądzie do pociągu i bez pytania o pozwolenie przyjedzie do niego, gdy on akurat pracuje. Popatrzył na Julkę. Chyba tylko ona go rozumiała. I tylko na niej jednej mógł polegać. Właśnie skończyła rozmawiać z centralą w Warszawie.

– Są zawaleni robotą, ale za kwadrans będziemy mieli kartotekę Głuszka.

– To świetnie.

– Rozmawiałeś z nią… – Zawadzka rzuciła mu szelmowski uśmiech.

– Tak. Nie masz pojęcia, na jaki wpadła pomysł.

– Słyszałam.

– No tak. Zapomniałem, że masz dobry słuch i podzielność uwagi.

– Cóż… – Zawadzka prychnęła i jeszcze raz zerknęła na Brudnego. – Widziały gały, co brały. Teraz masz za swoje.

– Ech, daj spokój.

– Nic już nie mówię. – Zawadzka podniosła dłoń i udała, że zamyka kluczykiem usta. Brudny zrobił skwaszoną minę.

– Nie drażnij się z mną, Julka.

– Nie zamierzałam.

– Ty naprawdę potrafisz… – Brudny zawiesił głos, w końcu zrezygnowany machnął ręką. – Dobra. Olać to. Idziemy do tego Głuszka.

Kilka minut później stali w cieniu kasztanowców, palili papierosy i patrzyli, jak nad Nietków nadciągają z zachodu kolejne burzowe chmury. W tym samym czasie pewien mężczyzna stał przed lustrem i ciężko dyszał. Podziwiał swoje dzieło. Efekt doprawdy był piorunujący.

* * *

Dom Jacka Głuszka przypominał ruderę przeznaczoną do rozbiórki i pewnie w każdym mieście z automatu trafiłby na pierwsze miejsce na liście. Wyglądał na zbudowany dobre pół wieku temu i przynajmniej równie długo nieremontowany. Przez pęknięcia na ścianach sprawiał wrażenie, że trzyma się na słowo honoru, a dziurawy dach falował nie gorzej niż te w fawelach Rio de Janeiro. Wszystko tu było zaniedbane, poczynając od zniszczonego płotu, przez chlew, oborę i rozpadającą się szopę. Nawet krzątający się po obejściu kundel wyglądał, jakby szukał wygodnego miejsca ostatniego spoczynku.

Brudny rozejrzał się po podwórzu. Pomijając psa i kilka leniwie człapiących kur, świeciło pustkami. Spojrzał na wiszącą na płocie tabliczkę informacyjną z grafiką wilczura i ostrzeżeniem: „Ja tu pilnuję, wchodzisz na własną odpowiedzialność”. Powiódł wzrokiem na wychudzonego kundla, który dostrzegłszy ich obecność, zbliżył się do furtki i pomerdał ogonem.

– Nie wygląda na takiego, co ma w planach rozerwać nas na strzępy – mruknął Brudny i schylił się, aby wybadać intencje zwierzęcia.

– Ja bym uważała… – skomentowała Zawadzka, kręcąc głową.

– Chodź tu, chudzielcu – zachęcił Brudny i wystawił rękę w kierunku zwierzęcia. Gdy tylko zbliżył palce do płotu, nastąpiło gwałtowne kłapnięcie, a kundel w jednej chwili zmienił się nie do poznania. Zaczął szczekać, warczeć i toczyć pianę z pyska. Brakowało centymetra, aby Igor miał poharatane palce.

– A nie mówiłam? – zagadnęła triumfalnie Zawadzka.

– Sukinsyn… Mało brakowało. – Brudny wyprostował się i wymownie pomachał dłonią.

– Myślisz, że bierze przykład ze swojego pana?

– Oby nie, bo w przeciwieństwie do psa pan może się przeliczyć.

– O, chyba o wilku mowa…

Brudny zauważył, jak z szopy wychodzi wysoka, wychudzona postać. Mężczyzna miał na sobie wytarte dżinsy, poplamiony podkoszulek, a z kącika ust niedbale zwisał mu papieros. W jednej ręce ściskał widły, a w drugiej jakieś konopne liny. Gdy dostrzegł niezapowiedzianych gości, puścił liny i osłonił dłonią oczy.

– Jak jesteście z windykacji, to radzę wypierdalać, bo psem poszczuję! – krzyknął i zrobił kilka kroków w kierunku płotu.

– Nie jesteśmy z windykacji – odparł Brudny.

– To czego tu chcecie? Do nogi Wiarus! – Mężczyzna ryknął, a pies potulnie doskoczył do niego i wyrównał krok ze swoim panem. Tymczasem na ganek wyszła pani domu. Wyglądała na dobre sto dwadzieścia kilogramów i miała podbite oko. Skrzyżowała ręce na pokaźnym brzuchu i obrzuciła przybyłych pogardliwym spojrzeniem. Gospodarz zbliżył się do furtki i splunął paskudnie.

– Pan Jacek Głuszek?

– A kto pyta?

– Nazywam się Igor Brudny i jestem…

– O kurwa! – Głuszek gwałtownie wycelował widły w kierunku komisarza. – O kurwa mać! To ty jesteś ten z telewizji! O kurwa! Wypierdalaj, bo zakłuję! Oboje wypierdalać! – krzyczał jak w amoku, następnie zaczął się wycofywać w stronę drzwi do chałupy.

– Nie jestem…

– Zamknij mordę! Baśka, kurwa, dzwoń na milicję! Mamy tu tego mordercę, co wypruwa ludziom flaki.

Pies rzucił się na furtkę i zaczął ujadać. Kobieta, zamiast chwycić telefon, w panice sięgnęła po miotłę. Brudny i Zawadzka spojrzeli po sobie, po czym wyciągnęli pistolety i wycelowali prosto w pierś Głuszka.

– To ty się zamknij, człowieku, i daj mi coś powiedzieć – zażądał Brudny.

– O Boże! Proszę, nie zabijajcie mnie. Ja nic nie zrobiłem, ja nic… – Ton gospodarza gwałtownie się zmienił.

– Stul pysk i daj mi coś powiedzieć.

– Dobrze, ja przepraszam… – Głuszek rzucił widły, padł na kolana i wyciągnął ręce w błagalnym geście. – Tylko mnie nie zabijajcie, proszę, nie zabijajcie – jęczał.

– Teraz schowam pistolet, a ty uspokoisz tego kundla i zamkniesz go w tamtej komórce. – Brudny wskazał lufą jakąś drewnianą konstrukcję, o którą oparty był biały, zdezelowany rower. – Potem powiem ci, co dalej. Zrozumiałeś?

– Tak, tak… – Głuszek pokiwał głową i chwycił psa za kolczatkę, po czym posłusznie zaprowadził do drewutni. Jego żona stała jak wryta, wciąż z miotłą w dłoni.

– A teraz podejdź tu – rozkazał Brudny i schował broń. Głuszek zbliżył się nieśmiało. – Nie jestem tym facetem z telewizji, choć wyglądam podobnie. Nie jestem też mordercą i nie mam zamiaru zrobić krzywdy ani tobie, ani twojej żonie. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Głuszek podniósł głowę, był wyraźnie skołowany. Zmrużył oczy, jakby chciał sobie wyostrzyć obraz.

– Rzeczywiście wygląda pan jakoś inaczej… – mruknął. – To jak pan nie jesteś morderca, to kto?

– Jestem bratem bliźniakiem poszukiwanego Filipa Trochana.

– O cholera, Baśka, słyszałaś? – Głuszek splunął na ziemię, znów poczuł się pewniej. – Toś mnie pan nastraszył jak cholera. Ale w takim razie… – wzrok gospodarza na ułamek sekundy powędrował na kaburę pod rozpiętą kurtką Zawadzkiej – …czego ode mnie chcecie?

– Chcemy porozmawiać.

Głuszek zrobił szpetną minę i zmierzył intruzów pełnym wyższości spojrzeniem.

– Jesteście z milicji?

– Z Warszawy. To podkomisarz Julia Zawadzka, a ja nazywam się Igor Brudny. Komisarz Igor Brudny. – Wyciągnął legitymację i przystawił ją do oczu gospodarza.

– Fiu, fiu… – Głuszek złapał wiatr w żagle. – To nas zaszczyt kopnął, Baśka. Komisary z Warszawy do nas przyjechały.

– Chcemy tylko porozmawiać.

– Taaak? To teraz coś wam powiem. Znam swoje prawa. I sugeruję wypierdalać mi stąd, psy jeb…

Głuszek nie dokończył, gdy na jego brodzie wylądował błyskawiczny, nokautujący prosty. Światło mu zgasło, kobieta krzyknęła, a z nieba spadły pierwsze kule gradu. Brudny otworzył furtkę, chwycił starego pod pachy i zaciągnął do chałupy.

Rozdział 29

Przed Komendą Miejską Policji w Zielonej Górze tłum dziennikarzy z niecierpliwością czekał na wystąpienie prowadzącego śledztwo inspektora Romualda Czarneckiego. Z racji niespotykanego dotąd zainteresowania postanowiono zrobić konferencję prasową na zewnątrz, gdyż pomieszczenie blisko dwustu osób w jakiejkolwiek dostępnej w budynku sali okazało się fizycznie niewykonalne. Dlatego na placu wygrodzono specjalną strefę dla mediów, a przed wejściem postawiono trzy mikrofony dla biorących udział w konferencji: Czarneckiego, prokuratora Lisa oraz komendanta Wacława Niemca. Na parkingu można było odnaleźć wozy transmisyjne wszystkich liczących się polskich stacji telewizyjnych, a nawet kilku europejskich potentatów. W tłumie słyszało się języki angielski, niemiecki, francuski i czeski.

Niebo wciąż było bezchmurne, ale daleko na horyzoncie zbierały się kłębiaste, granatowo-czarne cumulonimbusy. Powietrze było ciężkie i nasiąknięte niezdrową fascynacją jak podczas średniowiecznych publicznych egzekucji. Ludzie pragnęli kawału soczystego, podlanego krwią mięcha. Dosłownie i w przenośni.

Czarnecki był już spóźniony blisko siedem minut, a dopiero zawiązywał w toalecie krawat. Rozmowa z Joanną Trochan pozwoliła mu zrozumieć więcej, niż się spodziewał, rozwiać szereg wątpliwości i spojrzeć na śledztwo oczami Brudnego i Trochana. Wiele rzeczy nagle poukładało się w jeden logiczny związek przyczynowo-skutkowy i choć wciąż był daleki

od wytypowania, a następnie schwytania mordercy, to czuł, że w końcu złapał trop. Najchętniej podążyłby za nim już teraz, niestety, najpierw musiał stawić czoło hordzie rozjuszonych i głodnych hien, które przynajmniej od pół godziny ostrzyły pazury, aby publicznie rozerwać go na strzępy.

– Robię się na to za stary – mruknął do swojego odbicia i po raz ostatni poprawiwszy krawat, wyszedł z toalety.

Przez przeszklone drzwi wejściowe dostrzegł, że komendant Niemiec i prokurator Lis stoją już na podwyższeniu przy mikrofonach. Nieco niżej, na placu, tłum zaczynał się niecierpliwić. Czarnecki przetarł chusteczką okulary, założył je i wyszedł na zewnątrz.

Jakiś nieznajomy mu z imienia policjant podbiegł i ustawił mikrofon, aby inspektor był lepiej słyszany. Powietrze przeszył nieprzyjemny pisk sygnalizujący jakieś spięcie, ale po chwili wszystko wróciło do normy.

– Raz, dwa, raz, dwa, trzy.

Czarnecki popukał w mikrofon, nie mając pewności, czy wszystko gra. Chociaż brał udział w dziesiątkach konferencji prasowych, dziś czuł się jak debiutant rzucony na głęboką wodę. Kątem oka dostrzegł, jak jakiś dźwiękowiec pokazał, że może zaczynać.

– Dzień dobry państwu – zaczął niepewnie i zamilkł. Nie mógł się skoncentrować. Jego myśli krążyły wokół Brudnego, Trochana i mordercy. Gdy cisza zaczęła robić się niezręczna, poprawił okulary i omiótł wzrokiem tłum. Kontynuował: – To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni w naszym mieście, wielu z mieszkańców zapewne dotknęło do żywego. Wśród nas pojawił się człowiek nierespektujący żadnych praw, ani ludzkich, ani boskich. Z pełną premedytacją, w sposób okrutny i bezlitosny pozbawił życia trzy osoby, dwóch mężczyzn w kwiecie wieku oraz młodą, niewinną

dziewczynę. To niewyobrażalne tragedie nie tylko dla samych ofiar i ich rodzin, ale także dla każdego z nas.

Czarnecki zawiesił głos i rozejrzał się po tłumie dziennikarzy. Poprawił okulary.

– Ale każdy, kto sieje wiatr, w końcu zbiera burzę. I ten, kto stoi za śmiercią tych ludzi, już wkrótce poniesie zasłużoną karę. Nie ukrywam, że to jedno z najtrudniejszych śledztw, jakie kiedykolwiek przyszło mi prowadzić, ale zapewniam państwa, że dopadniemy sprawcę tych odrażających czynów i z każdym dniem, każdą godziną i minutą jesteśmy bliżej rozwiązania zagadki. Ale proszę was o jedno. – Czarnecki podniósł głos. – Proszę was, abyście nie ferowali wyroków i nie skazywali ludzi, dopóki śledztwo nie zostanie zakończone. Jesteście dziennikarzami, ludźmi światłymi i znającymi siłę słowa, słowa, które czasem potrafi zranić i zniszczyć komuś życie bardziej niż cokolwiek innego. Dlatego raz jeszcze proszę, nie ferujcie wyroków!

Tłum słuchał inspektora w ciszy i skupieniu. W parku po drugiej stronie ulicy w większości bezlistne korony drzew zaczęły się uginać pod naporem silnych podmuchów z zachodu. Nagły trzask jednego z konarów sprawił, że kilkadziesiąt głów się odwróciło.

– Apeluję również do wszystkich o ostrożność i zgłaszanie wszelkich podejrzanych zdarzeń na specjalnie uruchomionej linii pod bezpłatnym numerem 9009. Każda, nawet najdrobniejsza i wydawałoby się nieistotna z punktu widzenia przeciętnego mieszkańca miasta, informacja dla nas, dla policji, może być niezwykle cenna. Bądźcie czujni i nie bójcie się zareagować, gdy tego będzie wymagać sytuacja. Morderca już czuje nasz oddech na karku i wkrótce wyląduje tam, gdzie jego miejsce. Za kratkami. Dziękuję.

Czarnecki zakończył bez przesadnej ekspresji. Nie chciał robić z siebie gwiazdy wieczoru, zwłaszcza że przemowa i tak wyszła dość pompatycznie. Głos zabrał rzecznik prasowy, urodziwa blondynka w pełnym umundurowaniu, która poinformowała, że teraz czas na pytania. W jednej chwili na placu wyrósł las rąk. Zrobiło się małe zamieszanie, ale Małgorzata Staśkiewicz wybrała jednego z mężczyzn stojących najbliżej.

– Łukasz Wąsik, telewizja Polsat. Podczas przemowy nie wspomniał pan o poszukiwanym doktorze Filipie Trochanie. Dlaczego? Czy macie innych podejrzanych?

– Filip Trochan jest jednym z podejrzanych, ale w toku śledztwa pojawiły się tropy sugerujące, że nie jedynym. Niestety, dla dobra śledztwa nie mogę podać szczegółów.

Za plecami zgromadzonych rozległ się kolejny trzask pękającej gałęzi. Chwilę później plac połknął ponury cień. Kolejne głowy zaczęły spoglądać w niebo.

– Czy możemy już oficjalnie mówić o seryjnym mordercy? – Kolejne pytanie padło z ust rudej reporterki z burzą loków na głowie.

– Tak. Zdecydowanie możemy użyć takiego wyrażenia.

– Czy to prawda, że współpracujecie z jasnowidzem?

– Nie. Ale nie wykluczamy takiej współpracy w przyszłości.

– Czy to prawda, że współpracujecie z sobowtórem Filipa Trochana?

Czarnecki usłyszał za plecami narastający szum. Grad bił już o dach komendy. Spojrzał w niebo. Kolejni dziennikarze zaczęli opuszczać plac, inni nerwowo grzebali w torbach w poszukiwaniu jakiejkolwiek ochrony na swój specjalistyczny sprzęt. Wciąż, zupełnie niedorzecznie, mieli jednak nadzieję, że zdołają stawić czoło potędze natury. Inspektor poczuł delikatnego kuksańca od Lisa.

– Przepraszam, ale… drodzy państwo, chyba musimy zakończyć konferencję przed czasem, bo…

Nie zdążył dokończyć, gdy nawałnica uderzyła z pełną mocą. Czarna chmura chlusnęła gradem, który w jednej chwili wzbudził popłoch w zebranym tłumie. Kolejne pytania już nie padły, a lodowe kule wielkości grochu zasypały plac i rozgoniły wszystkich gości.

Gdy Czarnecki krył się przed gradobiciem, czuł ulgę. Co innego Lis. Prokurator pieklił się niczym wściekły szerszeń.

* * *

Lis trzasnął drzwiami od gabinetu Czarneckiego. On jedyny mógł sobie pozwolić na takie zachowanie, każdego innego inspektor wyrzuciłby z hukiem.

– Dlaczego nie wspomniałeś o Brudnym? – zaczął, gdy zostali sami.

– Uznałem, że w obecnej chwili nie ma już takiej potrzeby – odparł bez cienia emocji Czarnecki.

– Jak mnie wkurwia ten twój stoicki spokój, Romek! Przecież umawialiśmy się, że o nim powiemy. Sam widzisz, że te hieny już coś zwęszyły. Do jasnej cholery…

– Ale coś ty taki cięty na tego faceta? Zrobił ci coś?

Lis był wściekły. Na skroniach nabrzmiały mu żyły, a twarz przypominała kolorem dojrzewającą czereśnię. Mrugnął nerwowo, podniósł dłonie na wysokość głowy i machnął nimi w geście bezradności.

– Tam od razu zrobił… – mruknął pod nosem, a Czarnecki popatrzył na niego podejrzliwie. – Słuchaj, Romek, ja wszystko rozumiem. Jesteś przekonany, że to nie on. Ostatnie wyniki z laboratorium tylko potwierdziły twoją hipotezę. Ale ja sądzę, że on coś knuje i nie jest z nami do końca szczery. Mało tego, ty też to wiesz. Toteż nie rozumiem, dlaczego skoro od

nas wszystkich wymagasz pełnego zaufania i transparentności, jemu pozwalasz bawić się z nami w kotka i myszkę. Wyjaśnij mi to, proszę, bo ta sytuacja wkurwia nie tylko mnie, ale i przynajmniej połowę naszego zespołu.

– Zanim zaczniesz mnie oceniać… Dziś po sekcji poprosiłem cię, abyś zajął się przesłuchaniem świadków z pizzerii. Zdążyłeś pogadać tylko z właścicielem, który akurat miał najmniej do powiedzenia. Zdążyłeś za to zadzwonić do Anki i wypytywać o DNA Brudnego. Możesz mi powiedzieć po co?

Czarnecki wbił spojrzenie w prokuratora z taką siłą, jakby wbijał gwoździe.

– To, że ty lekceważysz Brudnego, nie znaczy, że nie będzie czuł mojego oddechu na plecach.

– Konkretnie. Po co ci to było?

– Chciałem wiedzieć.

– Co chciałeś wiedzieć?

– Romek… co ty chcesz osiągnąć, bo ta rozmowa robi się nieprzyjemna. Masz do mnie jakieś pretensje, to mów otwarcie.

– Co chciałeś wiedzieć?

– Co, kurwa, chciałem wiedzieć?! – Lis zaczął przypominać pitbulla chorego na wściekliznę, brakowało tylko, aby zaczął toczyć pianę z pyska. – Ano to, skąd wyciągnięto to jego pieprzone DNA. I wiesz co? Dowiedziałem się. Z pierdolonego włosa. A teraz mam dość tej dyskusji. Wiele razy mnie w życiu wkurwiłeś, ale tym razem przegiąłeś pałę. Wychodzę.

– Wróć, jak ochłoniesz. Jeszcze nie skończyliśmy.

Chwilę później drzwi zamknęły się z trzaskiem. Czarnecki został sam ze swoimi myślami. Po tej sprzeczce stały się ponure jak nigdy wcześniej.

Tyle lat…

Odsunął je. Nie miał czasu. Morderca szykował się do kolejnego ataku. Wyczuwał to. Chwycił notes i ruszył do pokoju przesłuchań. W korytarzu odebrał telefon od Zimnego. W tle było słychać jakiś ciężki sprzęt.

– Cześć, Romek.

– Cześć. Powiedz, że masz jakieś dobre wieści.

– Jesteśmy na tropie. – W tonie podinspektora dało się wyczuć wyraźną satysfakcję.

– No mów…

– Znaleźliśmy tego passata, o którym mówił chłopak.

– I to jest znakomita wiadomość. Skąd pewność, że to ten?

– Po tym, jak mi to zleciłeś, sprawdziłem wszystkie podobne wozy w województwie. W Lubuskiem zarejestrowano sześćdziesiąt osiem takich pojazdów. Jeden z nich, zarejestrowany na niejakiego Alfonsa Andruszkiewicza z Drzonowa, figurował w systemie od dwóch tygodni jako kradziony. Od razu się nim zainteresowałem i podrzuciłem temat chłopakom z drogówki. Kazałem im trochę pohulać po lasach na zachód od miasta, wysłałem też ludzi, aby znów pognębili mieszkańców okolicznych wsi, gdzie znaleziono ciała Zdzicha i Zenka. I mieliśmy fart, bo jedna z mieszkanek Zaboru wygadała się, że jej synowie poprzynosili do domu jakieś części samochodowe. Okazało się, że w drodze na ryby, na trzęsawiskach wokół jezior, znaleźli porzuconego granatowego passata kombi. I jak to dzieciaki, od razu się do niego dobrały. Natychmiast kazałem to sprawdzić i bingo. To nasz samochód.

– Zabezpieczyłeś teren?

– Jasna sprawa, ale ci gówniarze strasznie zanieczyścili okolicę. Do tego samochód był na wpół zatopiony w bagnie. Technicy zebrali, co mogli. Teraz go wyciągają.

– Znakomita robota, Grzegorz. Te kradzione wozy to dobry trop. Skoro ukradł raz, to może zrobił to ponownie. Sprawdzisz to?

– Już to zrobiłem. W systemie mamy siedemdziesiąt siedem zgłoszeń o skradzionych samochodach. W tym trzy dostawczaki, siedem terenówek i dwanaście kombi.

– Najpierw sprawdź starsze modele.

– Wysłałem już ludzi pod cztery wytypowane adresy. Drogówka też wie, na co ma zwracać uwagę.

– Co ja bym bez ciebie zrobił, Grzegorz?

– A jak u ciebie?

– Rozmawiałem z matką Trochana. Mam kilka nowych tropów. Czuję, że jesteśmy blisko.

– Dopadniemy sukinsyna.

– Jeszcze raz dzięki, Grzegorz. Aha, Grzegorz…

– Tak?

– Pospieszcie się, bo w waszym kierunku sunie potężna nawałnica.

– Wiem. Ale dzięki. Jesteśmy w kontakcie.

Zimny się rozłączył. Inspektor przystanął przed drzwiami i przez moment trzymał telefon w garści. Następnie nacisnął klamkę i wszedł do pokoju przesłuchań. W nim siedziała już Balbina Frycz, studentka trzeciego roku kosmetologii i kierowniczka pizzerii Koloseum. Gdy Czarnecki zadawał jej pierwsze pytanie, pewien mężczyzna po raz ostatni przeglądał się w lusterku wstecznym kradzionego dostawczaka. Z dumą pogratulował sobie pomysłowości. Chwilę później wysiadł i ruszył pod drzwi domu Anny Trochan.

Rozdział 30

W chałupie unosił się trudny do wytrzymania smród. Mieszanka stęchlizny, przetrawionego alkoholu, niemytego psa i dymu papierosowego była odpychająca i nie tylko Zawadzkiej w pierwszej chwili zebrało się na wymioty. Brudny zwykle ignorował tak przyziemne sprawy, bądź co bądź nie pierwszy raz znalazł się na melinie, mimo to domostwo Głuszków śmiało mogło rywalizować przynajmniej o TOP3 na jego liście najbardziej zapuszczonych i odstręczających miejsc.

Brudny poklepał gospodarza po policzkach. Jego żona siedziała zadowolona na krześle obok. Paliła papierosa i popijała tanie wino prosto z butelki.

– Ocknij się wreszcie, człowieku – zachęcał Brudny. – Powiesz, co chcemy usłyszeć, i już nas więcej nie zobaczysz. No, stary, dawaj…

– Chyba za mocno mu przyłożyłeś – rzuciła Zawadzka.

– Zasłużył sobie. Pieprzony damski bokser.

Barbara Głuszek chrząknęła, ale nie skomentowała. Na jej twarzy widać było liczne ślady po działalności męża. Świeżo podbite oko, zniekształcone wargi, stare blizny na łukach brwiowych i policzkach.

– Wlej mu do gardła trochę wódki, to może się ocknie.

– Mam lepszy pomysł.

Brudny poszedł do kuchni i przyniósł garnek z zimną wodą. Wylał całość na głowę Głuszka.

– Co jest, kurwa? Baśka? – rozbudził się gwałtownie, w końcu załapał, co się dzieje. – To znowu ty, psie pierdolony?

– Zamknij się, Jacek! – ryknęła pani domu. – Państwo zapłacili za nasz czas. Chcą tylko porozmawiać.

Głuszek zmarszczył brwi i usiadł. Kaszlnął kilka razy, a potem odchrząknął paskudny kawał flegmy, który tym razem miłosiernie wypluł do znalezionej pod ręką szmaty.

– Ile? – wymamrotał i dotknął obolałej szczęki.

– Dwieście złotych dali. I powiesz im wszystko, co chcą wiedzieć. Zrozumiałeś, ty stary chuju?

Brudny pomyślał, że obraz zniszczeń na twarzy gospodyni mógł fałszować rzeczywistość. Zwłaszcza że jej gabaryty predestynowały ją przynajmniej do stawiania twardego oporu.

– Czego chcecie? – zapytał gospodarz i spojrzał na Brudnego spode łba.

– Potrzebuję informacji na temat tego, co wydarzyło się w parafii w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Byłeś wtedy ministrantem u proboszcza Wilczka. Czy to prawda?

– Daj pięćset, to powiem.

Brudny pomachał palcem przed nosem Głuszka, ale ostatecznie sięgnął do portfela i wyciągnął jeszcze trzysta złotych. Nie zdążył się zorientować, gdy pani domu błyskawicznie wyrwała mu z dłoni banknoty i schowała do kieszeni znoszonych dresowych spodni. Komisarz skierował wzrok z powrotem na gospodarza.

– Teraz, Jacuś, jak na spowiedzi… – rzucił ostrzegawczym tonem. – Byłeś wtedy ministrantem u Wilczka?

– No byłem… No i co z tego.

– Pewnej czerwcowej nocy przyszła do was kobieta i zostawiła pod drzwiami kołyskę z dzieckiem.

– Ooo, panie. – Głuszek zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć. – Żebym to ja pamiętał…

– Skup się, Jacek. Miałeś wtedy trzynaście lat. Dziecko przebywało pod opieką Wilczka około dwóch tygodni.

– A tak. Pamiętam tego bachora. Od początku darł mordę jak opętany. Mleka nie chciał pić, tylko w kółko wył. Mały demon, nie dzieciak.

– Opowiedz dokładnie wszystko, co pamiętasz. Byłeś w zakrystii, gdy ksiądz odnalazł kołyskę?

– Nie, ale po przyjściu od razu kazał mi się nimi zająć. Bo wiesz… w sumie to na początku było ich dwóch. Ale krótko i…

– Dwóch?

– No dwóch. Dwóch bliźniaków. Panie, jakie to diabły były!

– Jak się nazywali?

– Nijak. Nie mieli imion, to razem z księdzem proboszczem wymyśliliśmy jednemu Marek, a drugiemu Krzysztof. Tak jakoś po ostatnim kazaniu, w którym ksiądz proboszcz mówił o tych świętych właśnie.

– Co się stało z pierwszym z nich?

– Pamiętam, że dwa albo trzy dni po pojawieniu się tych niemowlaków ksiądz proboszcz wyjechał gdzieś w delegację do miasta i kazał mi się nimi zająć. Na rany Chrystusa, jak ja to sobie przypomnę… Te kupy, pranie pieluch. Raz, gdy przebierałem jednego z nich, to mnie nawet… no wiesz… osrał i…

– Kiedy wrócił Wilczek?

– Wieczorem chyba, a już następnego dnia przyszedł jakiś facet, który zabrał jednego z nich.

– Jak wyglądał ten facet?

– Postawny, elegancki, w garniturze. Jak jakiś dyrektor albo partyjniak.

– Czy to on? – Brudny wyciągnął z kieszeni płaszcza czarno-białe zdjęcie, które wyrwał z albumu Trochana. Na fotografii z chrztu znajdował się Olgierd Trochan w towarzystwie żony Joanny, która trzymała na rękach małego Filipa.

– Tak. To na pewno ten facet. Pamiętam go, bo miał taką dużą głowę i wielkie bary.

Burza gradowa właśnie wkroczyła w szczytową fazę bombardowania dachu chałupy Głuszków. Brudny omiótł spojrzeniem sufit. Nie jawił się jako konstrukcja, którą można było obdarzyć pełnym zaufaniem. Komisarz wyciągnął z kieszeni płaszcza paczkę papierosów, poczęstował gospodarza i oba przypalił. Zaciągnął się kilka razy w milczeniu.

– I co było dalej? – zapytał po dłuższej chwili.

– Nic takiego. Ten facet na pewno coś księdzu proboszczowi zapłacił, bo niedługo później ksiądz kupił sobie nowiutkiego poloneza. Takiego czerwonego. Woził się nim później jak panisko, a ja musiałem opiekować się tym drugim bachorem. A był tak głośny, że czasem nie szło z nim wytrzymać. A ja cierpliwości nie miałem i czasem mu w dupę dałem, bo…

– Wystarczy. – Brudny uniósł dłoń na znak, że gospodarz ma zamilknąć. Myśl, że ten obszczymur nosił go na rękach i lał po tyłku, sprawiała, że zaczynał się gotować z wściekłości. Przez chwilę próbował opanować narastający gniew. – Powiedz mi, jak długo ten drugi przebywał pod waszą opieką?

– Ooo panie… żebym to ja pamiętał… Chyba ze dwa tygodnie czy jakoś tak.

– Ktoś o tym wiedział?

– A skąd. To była tajemnica i ksiądz proboszcz kazał mi położyć jedną rękę na sercu, a drugą na Biblii i przysiąc, że nikomu o tym nie powiem. – Głuszek machnął ręką. – Teraz to już, ech, panie…

– I co dalej? Kto zabrał to niemowlę?

– Przyszła jakaś siostra zakonna, ale nie pamiętam jej imienia. Zresztą chyba nawet mi się nie przedstawiła. Wygląd miała nieprzyjemny i była szorstka w obyciu. Przyszła, wypiła na osobności kawę z księdzem proboszczem i zabrała malucha. Pamiętam, że nawet mi się trochę żal zrobiło i…

– Gwidona? Tak się nazywała?

– Nie wiem. Nie pamiętam. A może…?

Brudny pożałował, że nie ma przy sobie zdjęcia ze swojego chrztu, na którym leżał w ramionach siostry przełożonej. Wszystko jednak wskazywało na to, że to była ona.

– Skup się, Jacuś. A może pamiętasz z jakiego zakonu?

– Nie, naprawdę. Jej wizyta trwała krótko, a mnie ksiądz proboszcz zakazał słuchać, o czym rozmawiają.

Brudny zgasił papierosa w jednej z pustych butelek po tanim winie i spotkał się wzrokiem z Zawadzką. Zgodnie myśleli to samo. Głuszek nie zmyślał.

– A czy Wilczek prowadził jakieś notatki w przypadku takich spraw? Mógł to gdzieś zapisać?

– Wątpię. To miała być tajemnica aż po grób.

Coś zaskrzypiało, następnie trzasnęło. W najsłabszym, łatanym już punkcie dachu w rogu izby nagle zrobiła się dziura i do środka zaczęła wlewać się woda.

– Kurwa mać! – zaklęła Głuszkowa. – Znów to samo. Żadnego pożytku z tego starego pierdziela.

Pani domu z wysiłkiem podniosła się z krzesła i wyszła z pokoju, aby chwilę później przytargać wygniecione wiadro. Ustawiła je w punkcie, gdzie woda ciekła najmocniej.

– W takim razie my już podziękujemy. – Brudny się wyprostował. – Gdybym miał jeszcze jakieś pytania, to się do ciebie zgłoszę. I dla jasności, Jacuś. Jakby przeszło ci przez myśl, aby dzwonić na policję, to od razu poproś prowadzącego śledztwo inspektora Romualda Czarneckiego. On ci wszystko opowie. Co do reszty, radzę nie rozpowiadać o naszej rozmowie po wsi, bo oskarżę cię o utrudnianie śledztwa, a przy tym, co masz w aktach, możesz być pewny, że pójdziesz siedzieć.

– Dobra już, dobra. Rozumiem. Gęba na kłódkę. – Głuszek wykonał gest, jakby zamykał usta na klucz.

– I tego się trzymaj, Jacek.

Brudny wycelował palec wskazujący w twarz gospodarza, po czym subtelnie ukłonił się pani domu i przepuściwszy przodem Zawadzką, skierował się do wyjścia.

– Jedno pytanie… – Głuszek wstał i oparł się o ścianę, jakby wciąż odczuwał jeszcze skutki prawego prostego. Brudny odwrócił się bez słowa. – Ten niemowlak, co to się nim opiekowałem u księdza proboszcza, toś pan był, no nie?

Atmosfera zgęstniała, ale tym razem Brudny nie poczuł kolejnej fali gniewu. Wręcz przeciwnie.

– Pytam, bo… tak naprawdę wspominam tamten czas bardzo… dobrze. Dał mi pan wtedy dwa tygodnie świętego spokoju…

Brudny przez moment patrzył w oczy Jacka Głuszka, po czym odwrócił się i opuścił chałupę. Pomyślał, że świat to jedno wielkie bagno.

* * *

Zmierzchało. Oksana Szczypenko od ponad dwóch godzin siedziała z bagażami w hotelowej restauracji, bo niemiła i nadęta portierka nie miała zamiaru wydać jej kluczy do pokoju Brudnego. Sześciokrotnie próbowała

dodzwonić się w tej sprawie do swojego faceta, ale za każdym razem odpowiadała jej automatyczna sekretarka.

Niechętnie pogodziła się ze swoim losem, bo zrozumiała, że nie ma innego wyjścia. Zdążyła więc wypić kawę latte i trzy kieliszki martini, zjeść dwa kawałki ciasta czekoladowego z malinami oraz odgonić trzech natarczywych hotelowych klientów, którzy w niewyszukany sposób próbowali ją poderwać. Do tego typu lichych umizgów była przyzwyczajona i potrafiła sobie z nimi radzić, nie mogła pogodzić się jedynie z faktem, że w hotelu był absolutny zakaz palenia papierosów, których ona, zwłaszcza w takich momentach jak ten, zwykle potrzebowała, aby ukoić nerwy. Niestety, jak na złość, daszek przy głównym wejściu został akurat zdemontowany, a na dworze rozpętała się burza gradowa. Szczypenko siedziała więc przy barze i co dwie minuty spoglądała na zegarek, a gdy krótko po szóstej w końcu przestało padać, wyszła na zewnątrz i z ulgą zapaliła cienkiego mentolowego LM-a.

Burza okazała się zbawienna dla miejskiego powietrza, przegoniła smog i przyniosła świeżość. Szczypenko bardzo lubiła powietrze po burzy i postanowiła, że przespaceruje się po przyhotelowym parku. Pod koniec przechadzki zorientowała się, że właśnie wyciągnęła z paczki ostatniego papierosa, postanowiła więc, że wyskoczy do sklepiku, który widziała, gdy dojeżdżała do celu taksówką. Nie czekała długo i już minutę później maszerowała na swoich wysokich obcasach wzdłuż płotu oddzielającego hotel od ulicy.

Oksana należała do dość bojaźliwych kobiet, zwłaszcza gdy była zmuszona chodzić sama po zmierzchu. Nauczyła się więc wystrzegać podejrzanych typów, których zdaniem mogła uchodzić za wyjątkowo smakowity kąsek. Tym razem też miała się na baczności. Gdy przechodziła obok jednego z zaparkowanych na parkingu samochodów, jej uwagę

zwrócił kierowca, który właśnie zapalał papierosa. W świetle płomienia dostrzegła jednak znajomą twarz i bardzo się z tego powodu ucieszyła. Bez namysłu podbiegła do otwartego okna. Tym samym Oksana Szczypenko nieświadomie popełniła bardzo duży błąd.

Rozdział 31

Pierwsza z przesłuchiwanych, kierowniczka pizzerii Balbina Frycz, nie była w stanie pomóc, bo nie widziała ani Brudnego, ani nikogo, kto pojawił się tuż po jego wyjściu. W tym czasie siedziała na zapleczu i zamiast zajmować się pracą, przeglądała Facebooka i Instagrama. Oczywiście do tego się nie przyznała, tłumacząc, że próbowała rozpisać godzinówkę na najbliższe dni dla szeregowych pracowników. Dla Czarneckiego nie miało to jednak żadnego znaczenia. W obu wypadkach jej zeznania były bezwartościowe.

Większą nadzieję inspektor wiązał z przesłuchaniem Kacpra Klimka, który pracował tego dnia na zmianie jako jeden z kelnerów. Niestety, jego spowiedź również nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, gdyż młody student anglistyki odpowiadał akurat za stoły znajdujące się w części piwnicznej. Pozostała Katarzyna Wielowiejska, studentka pierwszego roku pedagogiki, której obowiązkiem było dbanie o klientów w pomieszczeniu na parterze.

Czarnecki zauważył, że dziewczyna była zdenerwowana. Siedziała naprzeciw niego z dłońmi na udach, jakby chciała uspokoić drżenie nóg. Miała regularne piękne rysy, a długi blond warkocz sięgał jej aż do pośladków. Drugą cechą charakterystyczną były bardzo duże, niezwykle niebieskie oczy, które zdawały się jeszcze większe niż w rzeczywistości za sprawą noszonych przez nią okularów.

Inspektor przedstawił się z imienia i nazwiska, a ponieważ w takich sytuacjach dodatkowo przekazywał pełną informację na temat swojego

stopnia i pełnionej funkcji, niektórzy przesłuchiwani już na starcie zaczynali panikować. Oczywiście zwykle nie mieli powodu, ale nazwy „wydział dochodzeniowo-śledczy” czy „kryminalny” brzmiały wystarczająco srogo, aby większość z nich natychmiast rezygnowała z ewentualnych myśli o naginaniu prawdy, a tym bardziej celowym kłamstwie.

– Widzę, że jest pani zdenerwowana, ale zapewniam, że niepotrzebnie – zaczął Czarnecki.

– Może trochę – odparła nieśmiało Wielowiejska. – Jeszcze nigdy nie byłam w takim miejscu – dodała niepewnie, rozglądając się po pokoju przesłuchań.

– Nie będzie tak strasznie, jak by się mogło wydawać. To nie potrwa długo. Zadam pani tylko kilka pytań i będzie pani wolna.

Dziewczyna kiwnęła nieznacznie głową. Najwyraźniej zaschło jej w gardle, bo głośno przełknęła ślinę.

– Chce pani pić? – Czarnecki chwycił plastikową butelkę z wodą niegazowaną.

– Nie trzeba.

– Pani Katarzyno. Naprawdę proszę się nie obawiać. Naleję pani, bo samemu pić mi niezręcznie.

– Dobrze.

Inspektor napełnił szklankę Wielowiejskiej, a następnie swoją. Dziewczyna od razu skorzystała z okazji i upiła łyk.

– Pani Katarzyno, najpierw zadam kilka pytań do kwestionariusza osobowego. Pani imię i nazwisko?

– Katarzyna Agata Wielowiejska.

– Urodzona?

– Siódmego stycznia dwutysięcznego roku.

– Zamieszkała?

– Ulica Pierwszego Maja siedem przez dwadzieścia jeden.

– Czy tam jest pani zameldowana?

– Nie, pochodzę z Dąbia. Ulica Szkolna siedemdziesiąt dwa.

– Imiona rodziców?

– Marcin i Magdalena.

– Co pani studiuje?

– Pedagogikę.

– Długo pani pracuje w pizzerii Koloseum?

– Zaczęłam pod koniec wakacji. Dokładnie dwudziestego szóstego sierpnia.

– Domyślam się, że to niełatwa praca.

– Nie jest tak źle. Choć w weekendy bywa ciężko.

– A w dni powszednie?

– Różnie. Zwykle ruch zaczyna się dopiero po osiemnastej. Oczywiście mam na myśli sam lokal, bo zamówienia na dowóz zaczynają się już koło trzynastej.

– Czyli jak dobrze rozumiem, do tego czasu w lokalu nie jest zbyt tłoczno?

– Tak jak mówiłam. Bywa różnie, ale zwykle jest spokojniej.

– Ilu klientów bywa w godzinach pomiędzy trzynastą a piętnastą?

– W dzień powszedni czy w weekend?

– Rozmawiamy teraz o dniach powszednich. A dokładnie o poniedziałku.

– Zwykle to spokojny okres. Zdarza się, że wręcz martwy.

– Czyli byłaby szansa, że zapamiętałaby pani klienta, który przyszedłby tego dnia coś zjeść?

– Nie wiem, proszę pana. To zależy od klienta. Wie pan, w tej pracy ludzie zwykle wyłączają się na jakieś ocenianie czy coś w tym stylu. Ale czasem pojawiają się charakterystyczni klienci, którzy zapadają w pamięć. Zwykle w negatywnym tego słowa znaczeniu.

Wielowiejska najwyraźniej poczuła się trochę pewniej. Otworzyła się, zaczęła mówić sama z siebie. To zawsze ułatwiało przesłuchanie świadka.

– A czy mężczyzna w czarnym płaszczu, ciemnych okularach i czapce mógłby znaleźć się w gronie klientów, którzy zwróciliby pani uwagę?

– Rzeczywiście, pamiętam takiego mężczyznę. Obsługiwałam go. Był trochę dziwny, po wejściu do środka nawet nie ściągnął czapki i ciemnych okularów. Miał jednak w sobie coś… – dziewczyna zarumieniła się nieco – …takiego męskiego. Przystojny był, no…

– Czy w tym czasie do lokalu przyszło więcej klientów?

– Tak, ale nie pamiętam dokładnie. Musiałam obsłużyć ze trzy albo cztery stoliki. Pamiętam, że jak na tę godzinę ludzi było całkiem sporo.

– Dobrze… – Czarnecki zapisał kilka wniosków. – A zwykle jak dużo czasu zajmuje pani posprzątanie po kliencie, który opuścił lokal?

– To zależy, proszę pana. Szef zawsze nas ciśnie, aby robić to jak najszybciej, ale wie pan… różnie bywa. To zależy od tego, ilu akurat mamy gości, ilu przy danym stoliku i od zamówienia, które złożyli.

– W tamten poniedziałek pomiędzy trzynastą a piętnastą była pani bardzo zapracowana?

– Średnio, ale w wolnych chwilach zajmuję się też innymi rzeczami. Akurat wtedy czyściłam szkło. Pamiętam, bo gdy ten mężczyzna w płaszczu wychodził z lokalu, stłukłam jedną ze szklanek i musiałam zająć się sprzątaniem.

– Upadła z tacki czy…?

– Wyślizgnęła mi się z dłoni, gdy czyściłam ją za ladą.

– Gdzie upadła?

– No za ladą. Rozbiła się na podłodze.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Zajęłam się sprzątaniem rozbitego szkła. Wie pan, w tego typu lokalach to normalka. Śmiejemy się, że dzień bez rozbitej szklanki czy butelki to dzień stracony.

– Ile pani zajęło sprzątanie?

– Może ze trzy minuty.

– Czy w tym czasie ktoś wchodził do lokalu?

– Tak. Mamy przy drzwiach wejściowych dzwoneczek informujący nas o tym, gdy są otwierane. Przydaje się zwłaszcza wtedy, gdy jest naprawdę spokojnie i wobec braku gości czasem przesiadujemy na zapleczu.

– Widziała pani, kto wszedł?

– Tak, wychyliłam się. To też był jakiś mężczyzna.

– Może go pani dokładnie opisać?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo. Widziałam go tylko przez chwilę. Chciałam skończyć sprzątać, zanim go obsłużę. Zresztą wie pan, gościowi zawsze trzeba dać kilka minut, aby zapoznał się z menu.

– Jak długo przebywał w lokalu?

– Nie wiem, może minutę, bo gdy drugi raz wychyliłam głowę zza lady, to on właśnie wychodził. Tak trochę w pośpiechu.

Inspektor pomyślał, że ma pecha.

– Proszę zatem opowiedzieć wszystko, co pani pamięta. Jak wyglądał, gdzie usiadł, jak się zachowywał?

Wielowiejska zmarszczyła elegancko wyregulowane brwi i ściągnęła usta. Próbowała odszukać w pamięci szczegóły, o które poprosił ją inspektor.

– No, zajął stolik na lewo od wejścia. Jakoś tak koło miejsca, gdzie tamten mężczyzna w płaszczu i czapce. Wyglądał na eleganckiego faceta i nosił kapelusz z rondem. Taki trochę jak kowboje w filmach o Dzikim Zachodzie, tylko bardziej gustowny. No i nosił ciemne okulary.

– Coś szczególnego jeszcze pani zapamiętała?

– Hmmm… no, oprócz tego kapelusza to nie bardzo, przepraszam, ale naprawdę widziałam go tylko przez chwilę.

– Czy jeśli przyślę do pani specjalistę od portretów pamięciowych, to będzie pani w stanie stworzyć profil tego mężczyzny?

– Nie wiem… Nigdy czegoś takiego nie robiłam…

– To nie będzie trudne. Będzie musiała pani po prostu odpowiadać na pytania. I ewentualnie korygować to, co narysuje. Bez obaw. Tylko to, co pani pamięta. Zgodzi się pani to dla mnie zrobić?

– Chyba tak. Mogę spróbować.

– W takim razie w ciągu godziny przyślę do pani mojego człowieka. A na razie przyjdzie do pani policjantka, która zaoferuje coś do picia i jedzenia. Jeśli jest pani bardzo głodna, może pani zamówić coś z miasta. Na nasz koszt oczywiście.

– To chyba nie będzie konieczne i…

– Pani Katarzyno, proszę się nie krępować. Pani pomoc jest dla nas bezcenna. – Czarnecki podniósł się z krzesła i podał dłoń rozmówczyni. – Dziękuję, pani Katarzyno. Proszę tu chwilę zaczekać. Zaraz przyjdzie do pani starszy sierżant Kamila Bilska, która poinstruuje panią co dalej. Jeszcze raz bardzo pani dziękuję.

Czarnecki ukłonił się nisko i opuścił nieco zmieszaną zaistniałą sytuacją studentkę. W korytarzu zadzwonił do podkomisarza Aleksandra Rafalskiego, który był odpowiedzialny za tworzenie portretów pamięciowych. Rozkazał mu natychmiast stawić się na komendzie, pomimo

że Rafalski miał wolne i właśnie kończył szklaneczkę whisky. Następnie poszedł do swojego gabinetu i zrobił sobie mocną kawę. Chwycił szklankę, upił łyk i stanął przy oknie. Przez moment obserwował skąpane w świetle księżyca drzewa w pobliskim parku. Burza ostatecznie pozbawiła je resztek liści, przez co wyglądały bardziej drapieżnie. I upiornie.

Morderca znów planował uderzyć. Wkrótce. Może właśnie zaczynał polowanie. Czarnecki czuł to. Intuicja rzadko go zawodziła.

Chwycił smartfon i odszukał na liście kontaktów komisarza Igora Brudnego. Uznał, że najwyższy czas, aby połączyć siły.

– Dobry wieczór, komisarzu.

– Dobry wieczór, inspektorze. Czym mogę służyć?

W tle dało się słyszeć charakterystyczny warkot potężnego silnika nissana patrola Brudnego. Komisarz był w drodze.

– Chciałbym się z panem spotkać i porozmawiać.

– To pilne?

– Prawdę mówiąc, konieczne. Dla dobra nas wszystkich.

– Co wykazały próbki DNA z Palmiarni?

– Że pan tam był.

– Czyli nie chce mnie pan znów aresztować?

– Proszę nie żartować, komisarzu. Naprawdę zależy mi, aby przeprowadzić tę rozmowę jeszcze dzisiejszego wieczoru. Mam złe przeczucie.

Spotkanie z Czarneckim nie było Brudnemu na rękę. Miał inne plany, które co prawda zostały wymuszone przez nieoczekiwaną wizytę kochanki, ale ostatecznie wyglądały zachęcająco. Najpierw najbliższy monopolowy, jameson i miły wieczór w towarzystwie pięknej i seksownej kobiety. Szklaneczka whisky, gorąca kąpiel, dobry seks. Potrzebował chwili wytchnienia od tego obłędu. I wiedział, że gdy dobrze naładuje

akumulatory, o poranku da radę spojrzeć na problem z szerszej perspektywy, może dostrzeże rzeczy, które wcześniej mu umykały. Czarneckiemu odmawiać jednak nie wypadało. Zresztą inspektor nie dzwoniłby, gdyby nie miał ważnej sprawy.

– Dobra. Przyjadę.

– Dziękuję. Będę na pana czekał w gabinecie.

– Najpierw jednak muszę podskoczyć do hotelu. Zejdzie mi do godziny.

– Do zobaczenia, komisarzu Brudny.

– Do widzenia, inspektorze Czarnecki.

Brudny się rozłączył. Kątem oka dostrzegł, że właśnie minęli tablicę z napisem Zielona Góra.

– Zmiana planów? – spytała Zawadzka.

– Czarnecki chce się ze mną zobaczyć.

– Może ma coś nowego…

– Inaczej by nie dzwonił.

– Czyli nici z miłego wieczoru. Oksana nie będzie zadowolona…

– Oka jest przyzwyczajona. Zresztą to… ech… – Brudny machnął ręką.

– Ona do ciebie nie pasuje, Igor. I dla jasności. Mówię ci to jako przyjaciółka, a nie dupa, z którą kiedyś tam spędziłeś noc.

– Julka…

– No co? Po prostu mówię ci szczerze, co myślę. Chyba na tym polega przyjaźń, prawda?

– Tak, ale wolałbym, abyś nie wtrącała się w moje życie… – Brudny przez moment szukał właściwego słowa – …życie seksualne. Bez urazy, Julka.

– Jasne. Nie chcesz o niej gadać, to nie. Ale moim zdaniem to zła kobieta jest.

– Julka! Koniec tematu.

– Dobra już, dobra.

Resztę drogi Brudny i Zawadzka przebyli w milczeniu. Towarzyszyła im cicha muzyka dobiegająca z radia, warkot sześciolitrowego benzyniaka i klaksony pozostałych uczestników ruchu drogowego. Gdy do celu pozostało nie więcej niż pięć minut drogi, Igor wykręcił numer do Oksany. Zdziwił się, gdy okazało się, że numer jest poza zasięgiem. Oka nigdy nie rozstawała się ze swoim smartfonem.

Kiedy dojeżdżał do hotelu, coś go tknęło. Instynkt. Emocje. Poczuł się źle, rozbolał go brzuch. Zaparkował i zapalił papierosa. Nie pomogło, nagły atak kolki sprawił, że z bólu aż zgiął się wpół. Gdy w końcu podniósł głowę i spojrzał w boczną szybę, w oparach dymu dostrzegł nieco rozmazaną, ale uśmiechniętą twarz Oksany Szczypenko.

Tylko na chwilę. Oksana rozpłynęła się niczym pustynny miraż, a w jej miejsce uformowała się inna twarz. Też była rozmazana i też ją znał.

Igor Brudny zrozumiał, że koszmar powrócił.

Rozdział 32

– Inspektorze Czarnecki.

– Komisarzu Brudny.

– Czy postawił pan jakąś czujkę przed hotelem Pod Dębem? – Czarnecki wychwycił w tonie Brudnego nienaturalne emocje.

– Skąd to pytanie? Coś się stało?

– Proszę odpowiedzieć.

– Nie. Uznałem, że nie ma już takiej potrzeby.

– Kurwa mać… – Brudny nie zaklął wprost do słuchawki, ale Czarnecki miał doskonały słuch.

– Komisarzu, czy coś się stało?

– Zniknęła moja… Zniknęła Oksana Szczypenko. Moja przyjaciółka, która przyjechała z Warszawy.

Czarnecki w mig ocenił, że sprawa nie jest błaha. Zdążył poznać Brudnego na tyle, aby wyłapać, że jest wyjątkowo podenerwowany.

– Jak mogę pomóc, komisarzu?

– Gdyby mógł pan namierzyć sygnał z jej telefonu?

– Nie odpowiada?

– Gdy zadzwoniłem za pierwszym razem, odrzuciła połączenie i od tamtej chwili jest poza zasięgiem. Do tego zostawiła wszystkie swoje bagaże w hotelowym holu. Znam ją dobrze. To do niej niepodobne.

– Proszę podać numer. Zlecę namierzenie sygnału.

– Dziękuję. Jest pan na komendzie?

– Tak jak się umawialiśmy.

– Zaraz do pana przyjadę. Mógłby pan też wysłać tu jakiś ogarnięty patrol? Tak żeby mieli na oku ten hotel. Mam złe przeczucie.

– Da się zrobić. Czekam na pana u siebie w gabinecie.

– Do zobaczenia.

Brudny rozłączył się i nastała cisza. Czarnecki przez moment patrzył w ekran smartfona. Też miał złe przeczucie i jak zwykle intuicja go nie zawiodła. Pomyślał, że szykuje się kolejna nieprzespana noc. Wybrał numer do żony i powiedział jej, że prawdopodobnie dziś nie wróci do domu.

* * *

Czarnecki przywitał Brudnego i Zawadzką aromatyczną i mocną kawą. Od razu dostrzegł zmianę u tego pierwszego. Jeśli do tej pory komisarz ukrywał emocje w sposób, jakiego nie powstydziłby się doświadczony szpieg, to teraz można w nim było czytać jak w otwartej księdze. Rzucały się w oczy napięcie i niepokój, rozdrażnienie i poirytowanie. Wniosek nasuwał się jasny. Zaginiona kobieta musiała być mu bliska.

– Udało się namierzyć ten telefon? – spytał Brudny, odbierając kubek z kawą.

– Ostatnie logowanie do sieci odnotowano w Przylepie.

– O której godzinie?

– O dwudziestej trzydzieści trzy.

Brudny odblokował swojego smartfona i zerknął w historię połączeń.

– O dwudziestej trzydzieści dwie zadzwoniłem do niej po raz pierwszy. Wtedy mnie odrzuciła. Kurwa mać! – Brudny zaklął pod nosem. – I potem co? Co z tym sygnałem?

– O tej porze po raz ostatni doszło do logowania. Następnie pana przyjaciółka musiała…

– Dobra, wiem. – Czarnecki nie musiał tłumaczyć Brudnemu podstaw telekomunikacji. Wszystkie szczegóły miał w małym palcu. Po prostu trudno mu było opanować zdenerwowanie.

Inspektor podszedł do parapetu i przystanął przy powoli więdnącej paprotce. Przez moment patrzył w mrok za oknem. Pomyślał, że to jest ta noc. Albo morderca, albo on.

Obrócił się w kierunku Brudnego, chwycił popielniczkę i postawił ją na stole.

– Myślę, że już czas – rzekł, mierząc go wyzywająco wzrokiem. – Albo odkryje pan w końcu karty i połączymy siły, albo morderca znów uderzy.

Brudny spojrzał na inspektora, następnie na Zawadzką, znów na niego. W głowie miał mętlik, wszystkie jego plany runęły w momencie, gdy zaginęła Oksana. A był pewny, że to nie przelewki. Oka nie wykręciłaby mu takiego numeru.

Oparł dłonie o blat stołu, spuścił głowę i przez moment milczał. To zaszło za daleko. Musiał w końcu komuś zaufać. Komu, jak nie Czarneckiemu? Facetowi, który od początku wierzył w jego niewinność i nawet mając niezbite dowody, trzymał jego stronę.

Brudny podniósł wzrok i napotkał spojrzenie byłej partnerki z patrolu. Do tej pory ufał tylko sobie i jej. Wyczuła jego intencje. Wiedziała, że oczekuje rady, może nawet swoistego pozwolenia. Mrugnęła wymownie.

Komisarz usiadł, przysunął do siebie popielniczkę i zapalił papierosa. Zaciągnął się mocno i pochwycił spojrzenie siedzącego naprzeciw Czarneckiego.

– Wygrał pan. Proszę pytać.

– Wygram, jak złapiemy mordercę. Ale teraz skupmy się na tym, jak to zrobić.

– Co chce pan wiedzieć?

– Wszystko.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć…

– Od początku, komisarzu. Wiem, że te morderstwa mają jakiś związek z panem i pana bratem. Jeszcze nie wiem jaki, ale jestem prawie stuprocentowo przekonany, że istnieje zależność.

Brudny upił łyk kawy i przez moment znów milczał. W końcu westchnął głęboko i odchylił się na krześle, które wydało dyskretne skrzypnięcie. Spojrzenia komisarza i inspektora ponownie się spotkały.

– Pierwsze, co pamiętam, to widok rozjuszonej siostry Gwidony, która właśnie dała mi wycisk kablem od żelazka – zaczął. – U hieronimek życie nie było łatwe. Od najmłodszych lat. Nie można było zasikać prześcieradła albo nie zjeść znienawidzonej brukselki. Nauczyłem się tego bardzo szybko. Siostra Gwidona była wtedy matką przełożoną. Zajmowała się planowaniem czasu podopiecznych, organizowaniem nauki, ogólnie zarządzała życiem całej placówki. Przyjmowała też gości. Przychodziły głównie siostry z innych zakonów, czasem, choć rzadko, potencjalni rodzice zainteresowani adopcją, co zwykle wywoływało spore poruszenie. Przychodzili też księża.

Brudny zawiesił głos i na moment odpłynął gdzieś daleko. Albo już mu nie zależało, albo po prostu odpuścił. Kipiały w nim emocje i wcale nie miał zamiaru ich ukrywać.

– Do siódmego roku życia nie byłem niczego świadom. Przychodzili, posiedzieli, wychodzili. Czasem siostra Gwidona zabierała jakiegoś chłopca w nagrodę za dobre zachowanie, aby zjadł trochę ciasta i cukierków, które księża przynosili. Zawsze dziwiłem się tylko, gdy taki wybraniec wracał do sali. Zwykle wyglądał, jakby wcale nie bawił się tak dobrze albo te cukierki nie były do końca takie słodkie. I zawsze milczał jak grób. Tuż przed moimi

ósmymi urodzinami siostra Gwidona stwierdziła, że tym razem to mnie należy się nagroda.

Brudny strzepnął popiół i upił łyk kawy. Czarnecki widział, że to nie było dla niego proste. Podejrzewał, że łatwiej przyszłoby mu zaplanować i wspiąć się na Mount Everest, niż opowiedzieć tę historię.

– Poszedłem z księdzem Andrzejem do jednego z pokoi. Znałem go, bo był częstym gościem u hieronimek. Stosunkowo młody, z przyjazną aparycją. Lubił grać z dzieciakami w ping-ponga, badmintona czy piłkę nożną. A do tego przynosił pomarańcze i cukierki. Można by rzec, że taki spoko ksiądz, co to dzieciaki same za nim ganiały. W każdym razie zabrał mnie do pokoju. Byłem podekscytowany, bo zostałem wybrany. Zaczęliśmy rozmawiać. O Bogu, o miłości, o moim samopoczuciu i życiu w sierocińcu. Był miły i elokwentny. Imponował mi. W pewnym momencie dostrzegłem jednak w jego oczach coś, co mi się do końca nie spodobało. Nie potrafiłem tego nazwać, zresztą jeszcze nie rozumiałem. Być może to dostrzegł, bo zmienił temat i zaproponował, że obejrzy ze mną film dla dorosłych. Ucieszyłem się, bo siostry rzadko kiedy puszczały nam jakiekolwiek filmy, a już żeby dla dorosłych… Mało tego, pozwolił mi wybrać z kolekcji kaset ustawionych pod telewizorem. Wybrałem szybko. *Brudnego Harry’ego*.

W gabinecie dało się słyszeć kapanie z kranu i oddechy obecnych. Bzyczenie samotnej muchy, która usilnie próbowała wydostać się na zewnątrz i bezmyślnie tłukła w szybę, w głuchej ciszy brzmiało niczym szum nadciągającego roju szerszeni.

– Zaczęliśmy oglądać i wydawało się, że to będzie superwieczór. W połowie filmu czar prysł. Z początku tego nie dostrzegłem, ale Andrzej włożył swoją rękę pod sutannę i zaczął się masturbować. Zorientowałem się dopiero wtedy, gdy chwycił moją i wcisnął sobie między nogi. Zacisnął ją na swoim penisie i zaczął się trzepać. – Na twarzy Brudnego pojawił się

pełen odrazy grymas. – No tak, kurwa. Jęczał i walił gruchę moją dłonią. Stał się brutalny i mimo że próbowałem się wyrwać, nie przestawał. Wtedy, gdy już dochodził, drugą ręką chwycił mnie za głowę i próbował wcisnąć ją sobie pod sutannę. Obroniłem się, nie dał rady. Chwilę później spuścił się, a ja poczułem na dłoni jego gorącą spermę.

Brudny wyciągnął kolejnego papierosa. Drżącą dłonią zapalił go i znów mocno się zaciągnął. Czarnecki nie odrywał od niego wzroku. Słuchał uważnie.

– W końcu wyrwałem się i wybiegłem. On też chyba spanikował, bo ruszył za mną. Złapał mnie przy schodach i próbował uspokoić, a następnie wciągnąć z powrotem do pokoju. Wtedy znów się wyrwałem i będąc w jakimś amoku, rzuciłem się na niego. Popchnąłem go z taką siłą, że stracił równowagę i runął z tych krętych i stromych schodów. Pamiętam, że turlał się jak jakaś lalka i od czasu do czasu słychać było, jak pękają kolejne kości. Na końcu jeden głuchy trzask łamanego kręgosłupa. Gdy przybiegła Gwidona z resztą sióstr, ksiądz Andrzej już nie żył.

Znów nastała cisza, którą przerywało jedynie bzyczenie upierdliwej muchy. Czarnecki siedział jak skamieniały, oddychał równo, wciąż nie spuszczał wzroku ze swojego rozmówcy. To był jego pierwszy rok w policji. Pamiętał tamten wypadek. Przynajmniej tak zakończyło się śledztwo. Jako nieszczęśliwy wypadek. Ksiądz potknął się i spadł ze schodów. Skręcił sobie kark. Śmierć na miejscu. Sprawę prowadził zmarły przed pięcioma laty inspektor Józef Szydło. Cuchnęła na kilometr, ale szybko przyklepał wersję sióstr hieronimek. Śledztwo zamknięto. Życie toczyło się dalej.

– Pamiętam tę sprawę. Nie prowadziłem jej, ale słyszałem rozmowy starszych kolegów. Opowiadali o różnych nieprawidłowościach…

– Nieprawidłowościach… – Brudny parsknął. – Ten sierociniec to piekło, a hieronimki to zwykłe sutenerki. Mógłbym wskazać ze dwudziestu zwyrodnialców, którzy używali sobie na wychowankach. Przynajmniej połowa z nich wciąż… – Brudny wykonał dłonią ironiczny gest – …pełni posługę.

– Czy pan też…?

– Nie. – Brudny nie dał dokończyć pytania. – Sam nie wiem dlaczego, ale po tym, jak zabiłem tego księdza – a nie bójmy się użyć tego słowa – wcale tego nie żałowałem i do dziś nie żałuję. Gwidona już nigdy nie wysłała mnie do pokoju z żadnym innym. Chyba nawet zaczęła się mnie bać. W każdym razie wspólnie z pilnującym „interesu” biskupem Albertem Kozinogą – zresztą też pedofilem – zatuszowali sprawę, ale później Gwidona zaczęła się mścić. Tłukła mnie, dawała surowe kary, a gdy dostrzegła, że nie jest w stanie mnie złamać, zagoniła do roboty innych wychowanków. Czysta patologia. Nie mieli litości.

– Dlaczego więc nie próbował pan tego ujawnić?

– Odciąłem się. Dlatego zmieniłem nazwisko, wyprowadziłem się do Warszawy i zostałem policjantem. Chciałem ścigać bandytów, choć chyba nie miałbym odwagi stanąć twarzą w twarz z tymi sukinsynami, których widywałem, gdy przychodzili gwałcić te dzieciaki. Niektóre miały po siedem, osiem lat. Nie wiem, czy po prostu nie zatłukłbym ich przy pierwszej okazji gołymi rękami.

Woda z kranu nie przestawała kapać, paprotka wciąż błagała o odrobinę wilgoci, a mucha uparcie bzyczała i uderzała w szybę. Brudny zgasił papierosa i dopił kawę.

– Teraz zna już pan moją historię, inspektorze – rzekł Brudny i odchylił się na krześle.

– Dziękuję za szczerość. Bardzo ją doceniam.

– Tylko co my teraz z tym zrobimy? Albo zadam pytanie inaczej: Jak to może pomóc w odnalezieniu mojej kobiety?

Czarnecki wychwycił gwałtowną reakcję Zawadzkiej. To było tylko spojrzenie, ale bardzo wymowne, niby ledwo zauważalny tik w kąciku prawego oka, ale zdradzał więcej niż tysiąc słów.

– Czy skrzywdził pan kogoś w tym sierocińcu? Czy ktoś mógłby żywić jakąś urazę?

– Myślałem nad tym, ale nikt nie przychodzi mi do głowy. Zresztą zwykle to oni znęcali się nade mną.

– A fakt, że pan nie był molestowany? Może ktoś zajął pana miejsce i teraz pana o to obwinia?

– Nawet nie próbowałem sprawdzić tych wszystkich chłopaków, ale oczywiście było kilku, którym zalazłem za skórę. Zrobiłem, co mogłem, ale, niestety, większość po opuszczeniu placówki pozmieniała imiona i nazwiska. Ślad prawie zawsze się urywa.

– O tym rozmawiał pan z siostrą Gwidoną?

– Tak, ale nie tylko. Pytałem też o moją historię, w skrócie, skąd się wziąłem. Na to nie udzieliła mi odpowiedzi, choć już wiem, że kłamała. Jakby była przygotowana. Jakby wiedziała, że przyjdę i będę rozpytywał.

– Pewnie oglądała wiadomości…

– Ale to coś innego. Zwykle potrafię rozpoznać, gdy ktoś kłamie. Podczas rozmowy z Gwidoną nie miałem tej pewności. Nie zastanawiała się, nie szukała odpowiedzi, nie kluczyła. Łgała jak profesjonalistka.

– Co pan chce przez to powiedzieć, komisarzu?

– Wyglądało na to, jakby ktoś ją przygotował. Jakby ktoś był u niej wcześniej i przećwiczył z nią wszystkie odpowiedzi. Stara zawsze była przebiegła i wyrachowana, ale nie na tyle, aby tak łatwo mnie zwieść. Myślę, że ktoś jej pomógł.

– Profesjonalista?

– To jedyne wytłumaczenie.

– Sugeruje pan, że mogę mieć w zespole kreta? Albo…

– Mordercę? Nie wiem. W tym śledztwie nic już mnie nie zdziwi.

Czarnecki pogładził się po podbródku i zamyślił. Do tej pory nie brał takiej możliwości pod uwagę. Dobierał ludzi bardzo skrupulatnie i ufał im bezgranicznie. Większość znał od lat, pracował z nimi przy dziesiątkach spraw, razem przeżywali wzloty i upadki. Ale w ciągu trzydziestu lat pracy w tym zawodzie nauczył się jednego – nigdy nie zamykać się w kokonie własnych idei, pomysłów i koncepcji. Nie wykluczać choćby najbardziej absurdalnych i niedorzecznych tropów. I przynajmniej wysłuchać, zastanowić się, rozważyć.

Ta możliwość też wymagała rozważenia. Bezwzględnie. Nawet jeśli mu się to bardzo nie podobało.

– Załóżmy, że ma pan rację, komisarzu, i mam w zespole kreta. To by wyjaśniało podrzucane dowody, ale komu mogłoby zależeć na tym, aby pana wrobić? Jak to ma się do doktora Trochana i gdzie tu motyw?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale uważam, że warto się temu przyjrzeć.

– Sprawdzę to. Ma pan moje słowo. W związku z tym, co mi pan powiedział, nie uważa pan jednak, że mordercy należy szukać wśród byłych wychowanków sierocińca?

– A czy nie możemy połączyć obu tych spraw?

– To znaczy… – Czarnecki poczuł się jak ignorant. – Że jeden z moich ludzi mógł wychować się w tej placówce…?

– A czy jest pan to w stanie wykluczyć, inspektorze?

– Cholera jasna…

Czarnecki znał dobrze swoich ludzi, ale nigdy nie wchodził w bliskie relacje poza miejscem pracy. Był profesjonalistą i jak profesjonalista

prowadził każde śledztwo. Nie przywiązywał się, nie chodził z podwładnymi na piwo, nie opowiadał o swoich problemach z żoną. Wybierał ich, biorąc pod uwagę dziesiątki rzeczy, ale nigdy nie sięgał do dzieciństwa. Polegał na wywiadzie sporządzonym przez ludzi, którzy kiedyś uznali, że dany obywatel może zostać policjantem, technikiem, profilerem czy prokuratorem. Każdy z nich musiał zostać prześwietlony, ale rzadko kiedy służby zgłębiały temat wnikliwie. Częstokroć jeśli dany kandydat nie był karany, nie miał rozbudowanej kartoteki, a jego rodzina nie należała do półświatka, to gdy zdał egzaminy, miał chęci i był na tyle głupi, aby z pełną premedytacją pchać się w to gówno, po prostu zostawał przyjęty do rodziny.

Jego zespół liczył siedem osób. Kobiety mógł wyeliminować. Pozostało pięciu mężczyzn, z racji wieku wykluczył kolejnych trzech: protokolanta Janusza Kosińskiego, lat dwadzieścia siedem, starszego sierżanta Łukasza Warszawskiego, lat trzydzieści jeden, oraz młodszego aspiranta Jakuba Wichę, lat trzydzieści dwa. Najstarszy z nich był młodszy od Brudnego o sześć lat, wątpliwe więc, aby mógł mieć z nim jakiś kontakt w sierocińcu. Pozostało dwóch. Dwóch, których znał najdłużej i którym ufał najbardziej: podinspektor Grzegorz Zimny, lat czterdzieści pięć, i prokurator Krzysztof Lis, lat czterdzieści dwa. Pomyślał o dzisiejszej rozmowie z tym ostatnim. Przez głowę przeleciała mu wizja prokuratora zdzierającego skórę z twarzy Oliwii Malinowskiej. Wzdrygnął się. To było niedorzeczne.

Wtedy w kieszeni marynarki odezwała się jego komórka. Dzwonił podinspektor Zimny. Czarnecki przeprosił i odebrał.

– Chyba coś mamy, Romek…

– Cześć. A konkretnie?

– Sprawdziłem adresy tych kradzionych wozów. Wyselekcjonowałem trzy, które mogą nas zainteresować. Dwa dostawczaki i jeden SUV.

– Mów dalej, Grzegorz…

– Pierwszy, renault kangoo, został skradziony przedwczoraj w Dąbiu, drugi citroën berlingo cztery dni temu w Łagowie, a volvo XC90 w Czerwieńsku przed tygodniem. Biorąc pod uwagę, że tamten passat został rąbnięty w Drzonowie, a ofiary pochodziły z Krosna Odrzańskiego, to myślę, że możemy wstępnie określić miejsce zamieszkania sprawcy.

– Analizowałeś to dokładnie?

– Promień nie większy niż dwadzieścia pięć kilometrów, od północy ograniczony przez rzekę. I to właśnie wzdłuż Odry szukałbym jego nory.

– Konkretnie. Jakie miejscowości, Grzegorz?

– Połupin, Suchy Młyn, Szczawno, Ciemnice, Laski, Nietków… – Czarnecki chwycił długopis i w swoim notesie zapisał kolejne nazwy. – Romek, tych miejscowości jest całkiem sporo i trzeba to jakoś zsynchronizować.

– Co zsynchronizować?

– Nie dzwonili do ciebie z „zaginionych”?

– Nie.

– W ciągu ostatnich trzech miesięcy zaginęło jeszcze czterech mężczyzn. W wieku od pięćdziesięciu sześciu do sześćdziesięciu ośmiu lat. Profil każdego z nich jest bardzo podobny do naszych Zdzicha i Zenka. Wszyscy nie wylewali za kołnierz, dwóch to bezrobotni, jeden emeryt, trzech z nich karanych: jeden za gwałt, drugi za dwa gwałty i kradzieże, trzeci za molestowanie młodego chłopaka.

– I ja, do jasnej cholery, dowiaduję się o tym dopiero teraz?!

– Przepraszam, Romek. Myślałem, że wiesz. Mariolka miała do ciebie zadzwonić.

– Nie zadzwoniła. Dobra. Policzę się z nią później. Gdzie oni mieszkali?

– Dwóch w Leśniowie Wielkim, jeden w Nowogrodzie Bobrzańskim i jeden w Pomorsku.

– Posłałeś ludzi do tych miejscowości?

– Tak. Rodziny i sąsiedzi zostali przesłuchani. Raporty powinieneś mieć już w skrzynce.

Czarnecki pomyślał, że nie zaglądał do poczty od paru godzin. Miał poważniejsze rzeczy na głowie. Nie mógł się rozdwoić.

– A do tych wytypowanych wiosek?

– Jeszcze nie. Tylko pod adresy tych kradzionych wozów.

– To dobrze. Wstrzymaj się. Nie chcę przestraszyć mordercy. Dopóki nie przygotujemy porządnego planu, niech dalej myśli, że może z nami pogrywać.

– W porządku. W takim razie jeśli nie masz nic przeciwko, pojadę do domu trochę się przespać. Jestem wykończony.

– Ale bądź po telefonem.

– Jasne.

– Dzięki, Grzegorz. Znakomita robota.

– Nie ma za co, Romek. I przepraszam za tych zaginionych. Naprawdę byłem przekonany, że…

– Wiem. Nie przejmuj się. To nie twoja wina.

– Czuję się z tym kiepsko.

– Odpocznij. Należy ci się. Na razie.

Czarnecki rozłączył się, schował smartfona i spojrzał na zapisaną kartkę. Przez chwilę wpatrywał się w nazwy kolejnych miejscowości, po czym położył notes na stole i obrócił go w stronę Brudnego i Zawadzkiej.

– Czy te nazwy coś wam mówią?

Oboje pochylili się nad kawałkiem papieru. Spojrzeli na siebie wymownie.

– Nietków – rzucili jednocześnie. – To tam spędziliśmy dziś pół dnia – dodał Brudny.

– Bo stamtąd pan pochodzi, komisarzu. Czyż nie?

– Tak, ale skąd pan…

– Rozmawiałem z matką Filipa Trochana. A raczej macochą. Wyjawiła mi prawdę o swoim synu.

– To by się zgadzało z wersją Głuszka – włączyła się do rozmowy Zawadzka.

– Kim jest Głuszek? – spytał inspektor.

– Jacek Głuszek, były ministrant w parafii w Nietkowie. Jedna z ofiar księdza Wilczka, który sprzedał Filipa państwu Trochanom, a Igora, wobec braku chętnych, oddał do hieronimek.

– Czyli wracamy do Nietkowa… – Brudny potarł skronie.

– Jest jeszcze coś – rzucił Czarnecki. – Mamy kolejnych czterech zaginionych. Wszyscy pokroju Kowalskiego i Borucha. Zniknęli w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Trzech z nich było karanych za przestępstwa seksualne. Wszyscy pochodzą z bliższych bądź dalszych okolic Nietkowa.

– Czy nie jechaliśmy tam przez Przylep? – spytała Zawadzka.

– W istocie. – Brudny poniósł się z krzesła i chwycił płaszcz. – Tam ostatni raz Oka logowała się do sieci. Minęliśmy się. Ona jest teraz w Nietkowie.

– Co pan zamierza, komisarzu? – Czarnecki wyraźnie zaniepokoił się gwałtowną reakcją Brudnego.

– Pojadę tam i ją znajdę. A jak pod lufę nawinie mi się ten popierdoleniec, to odstrzelę mu łeb.

Rozdział 33

Ksiądz Adam Klich właśnie kończył oglądać taneczny reality show, gdy poczuł wilczy głód. Rzadko jadał o tej porze, ale zwykle poukładany grafik zakłóciła tym razem wizyta dwójki policjantów. Tak go poruszyła, że stracił apetyt i nie zjadł obiadu ani żadnego innego posiłku. Nie był w stanie myśleć o jedzeniu, bo jego głowę zaprzątało zupełnie co innego. Coś, co wprowadziło w jego spokojną i harmonijną egzystencję dokuczliwy ferment. Nie mógł opędzić się od wrażenia, że już gdzieś widział inspektora Brudnego. I wcale nie było to związane z zalewem informacji w mediach, w kółko wałkujących temat morderstw i podejrzanego o ich popełnienie Filipa Trochana, który wyglądał jak komisarz. Z każdą kolejną minutą Klich czuł to coraz mocniej, w końcu podejrzenie zaczęło graniczyć z pewnością. On już widział te oczy. Tę mroczną, hebanową, złowrogą głębię.

W budynku przykościelnej plebanii było chłodniej niż zwykle. Klich nie lubił włączać ogrzewania na cały regulator. Nie z powodu oszczędności, po prostu lepiej czuł się w temperaturze oscylującej w okolicach siedemnastu, osiemnastu stopni. Aby o tej porze roku taka się utrzymała, w ogóle nie trzeba było uruchamiać pieca. Dziś Klich zaczął jednak odczuwać nieprzyjemny chłód. Inny, niespotykany, jakby jego odczuwanie nie było związane jedynie z temperaturą otoczenia.

Najchętniej nie ruszałby się z kanapy, ale głód nie odpuszczał. Do tego od dłuższego czasu kubek z ciepłą herbatą stał już pusty, Klich wziął się

więc w garść, ściągnął z nóg ciepły koc i poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę, zlustrował jej zawartość i pomyślał, że jutro trzeba będzie zajść do Żurkowskiej na zakupy. Na szczęście zostało jeszcze kilka plastrów żółtego sera i kawałek szynki drobiowej, które ksiądz położył na pajdę chleba i obficie polał keczupem. Od razu ugryzł kęs, niestety, tak nieporadnie, że ketchup upaćkał mu biały podkoszulek. Odłożył kanapkę na deskę do krojenia, wziął ścierkę i przetarł plamę. Wezwał imię Boga nadaremno, za co od razu skarcił się w myślach. W końcu uznał, że dziś już nic z tym nie zrobi, i machnął ręką. Z powrotem wziął kanapkę, a drugą ręką włączył gaz i nastawił czajnik. Wyjął torebkę z earl greyem i spojrzał na znajdujący się w rogu termometr. Wskazywał piętnaście i pół stopnia.

Z kanapką w dłoni poszedł do przedsionka, w którym znajdował się elektroniczny czujnik ciepła. Ustawił temperaturę na osiemnaście stopni i wrócił do salonu. Program w telewizji jeszcze się nie skończył. Ostatni taniec tego odcinka miał należeć do jednej z lichych celebrytek, która słynęła ze swojej niewiarygodnej głupoty.

Klich rozsiadł się wygodnie i szczelnie przykrył kocem. Wtedy usłyszał pukanie. Nie należał do tych hipokrytów, którzy na kazaniu mówią jedno, a po mszy robią drugie. Zwykle pomagał parafianom o każdej porze dnia i nocy, jeśli zachodziła taka potrzeba. Tym razem najchętniej udałby jednak, że nikogo nie ma w domu. Znów skarcił się za grzeszne myśli. To mógł być każdy: człowiek potrzebujący pomocy, umierający albo matka, która właśnie podrzuciła niemowlę. Zrzucił z siebie koc i podszedł do drzwi. Nie miał wizjera.

– Kto tam? – zapytał.

– Proszę otworzyć, ojcze.

Klich znał ten głos. Może zdawał się trochę bardziej zachrypnięty niż w oryginale, ale od kilku dni pogoda nie rozpieszczała i człowiek mógł się

przeziębić. On też miał wrażenie, że zaczyna brać go jakieś choróbsko.

– Chwileczkę. Nie spodziewałem się gości o tej porze.

Po minucie Klich był gotowy. Otworzył drzwi. Gdy tylko to zrobił, szerokie ostrze wbiło się z impetem u podstawy szyi i zatrzymało dopiero, gdy zaryło w obojczyk. Ponury cień wyciągnął tasak i zamachnął się po raz drugi. Tym razem celniej. Ostrze weszło głębiej i bardziej płasko. Przecięło tętnicę, mięśnie gnykowe, przełyk i naruszyło kręgi C4 i C5. Wtedy Klich po raz ostatni ujrzał znajomą twarz. Była zbryzgana jego własną krwią. Nawet oczy. Ciemne, hebanowe, w których próżno było szukać jakichkolwiek emocji. Uderzeń numer trzy i cztery już nie zarejestrował, a jego głowa zaraz wylądowała w worku po ziemniakach.

Rozdział 34

Brudny właśnie uruchomił silnik patrola, gdy poczuł wibrowanie swojego smartfona. Zdziwił się, gdy na ekranie wyświetliło się zdjęcie uśmiechniętej blond piękności. Wyłączył silnik i przez chwilę zastanawiał się, jak zareagować. Lekko oszołomiony niespodziewanym połączeniem w końcu odebrał.

– Igor… – Głos Oksany nie był naturalny. Szlochała.

– Oka, gdzie jesteś? Co się stało?

– Igor… on mnie zabije, jeśli… – Szczypenko nie zdążyła dokończyć, coś trzasnęło i po drugiej stronie dało się słyszeć ciężkie dyszenie.

– Jeśli ją, kurwa, tkniesz, to żywcem wyrwę ci serce, skurwysynu – syknął przez zęby Brudny.

Po drugiej stronie ktoś słuchał, ale nie odpowiadał. Dyszał.

– Czego chcesz, gnoju? – Wciąż tylko dyszenie. – No mów czego, skurwysynu! – Brudny podniósł głos, ale Zawadzka gwałtownym gestem ostudziła wzbierającą furię.

– Ciebie – odparł mężczyzna po drugiej stronie. Głos był zniekształcony przez modulator, ale i tak można było wychwycić, że jest mocno zachrypnięty.

– Będziesz mnie miał. Tylko nic jej nie rób.

– To zależy od ciebie… glino… – Ostatnie słowa mężczyzna po drugiej tronie wypluł w skrajnej pogardzie.

– Powiedz, dokąd mam przyjechać. Dostaniesz mnie i wypuścisz kobietę. Umowa stoi? – Brudny zmienił ton, stał się chłodny i opanowany.

– Nie ty będziesz stawiał warunki, glino. Pojedziesz do starego mostu przy rzece. Wiesz już gdzie…

– Nie jestem pewien, co masz na myśli. Skąd mam to wiedzieć?

– Wiesz, wiesz… – Mężczyzna po drugiej stronie zarechotał. – Tam otrzymasz kolejne instrukcje.

– Kiedy mam tam…?

– O północy. Sam. Jeśli powiadomisz policję, wiesz, co czeka twoją kobietę…

Brudny zaklął w myślach. Miał nadzieję, że Czarnecki jeszcze nie uruchomił procedur i cała machina nie ruszyła. W innym razie Oksana była zgubiona.

– Muszę dostać dowód, że nic jej nie jest.

– Dostaniesz…

Połączenie zostało przerwane, ale zaledwie sekundę później przyszła wiadomość. Brudny ją otworzył. To było zdjęcie. Już wiedział, gdzie szukać starego mostu na rzece.

* * *

Czarnecki nie był w stanie zatrzymać Brudnego. Nie mógł też z nim jechać, co było wyjątkowo nierozsądne i w razie jakichkolwiek perturbacji z pewnością surowo zostałoby ocenione przez przełożonych. Spotkanie z komisarzem dało jednak odpowiedź na jedno z kluczowych pytań. Wciąż nie wiedzieli „kto” i „dlaczego”, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa mogli określić „gdzie”. A to była połowa sukcesu.

Pozostawała jeszcze jedna sprawa, która nie dawała inspektorowi spokoju. Pomyślał, że już czas. Zarzucił na ramię marynarkę i wyszedł

z gabinetu. Korytarz o tej porze był całkiem pusty. W połowie drogi usłyszał echo kroków od strony północnego skrzydła, w którym znajdował się pokój przesłuchań. Po chwili zza rogu wychylił się podkomisarz Aleksander Rafalski, facet od portretów pamięciowych. W dłoni niósł aktówkę.

– Udało się? – spytał Czarnecki.

– Młoda na początku trochę się denerwowała, ale potem współpracowała. Mamy tyle, że chyba warto puścić to w eter.

– Pokaż.

Rafalski otworzył aktówkę i wyciągnął jedną z kartek. Czarnecki omiótł wzrokiem portret mężczyzny w kapeluszu. Rzeczywiście był podobny. Człowiek z ulicy mógłby mieć problem, aby to dostrzec, ale on widział podobieństwo. Poczuł pulsowanie w skroniach i zamknął na chwilę oczy. Gdy je otworzył, zrozumiał, że wciąż tkwi w tym koszmarze.

– A drugie?

– Nie wiem, czy coś z tego wyszło… – Rafalski znów sięgnął do aktówki i wyciągnął kolejny portret. Czarnecki obejrzał wnikliwie dzieło swojego szkicownika.

– Na moje oko wygląda naturalnie. Znakomita robota.

– Sam nie wiem. Nigdy czegoś takiego nie robiłem, Romek. Nie jestem programem komputerowym, a pierwszy portret to nie zdjęcie. No i te włosy. Założyłem, że były krótkie.

– Dobrze założyłeś. Naprawdę superrobota. Dzięki.

– Nie ma za co.

– Ta dziewczyna jeszcze tam siedzi?

– Jest w poczekalni. Chciała już pójść, ale użyłem swojego niezaprzeczalnego uroku, aby ją jeszcze uprosić. – Rafalski mrugnął i głupkowato się uśmiechnął. – Potrzebujesz jeszcze mojej pomocy?

– W tej chwili nie. Dzięki, Olek.

– To spadam. Na razie.

Rafalski obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku wyjścia. Po drodze mignęło mu dwoje rozgorączkowanych policjantów, którzy najwyraźniej bardzo się dokądś spieszyli. Nie byli stąd, ale nosili przewieszone na szyi odznaki obwieszczające wszem wobec, że należą do rodziny. Nie przejął się ich obecnością, bo myślał już o ponętnym tyłku czekającej na jego powrót narzeczonej.

Po drugiej stronie korytarza przejął się za to inspektor Czarnecki. Dostrzegłszy zbliżającą się parę, pomyślał, że wbrew pozorom to raczej kiepski znak.

– Komisarzu? – przywitał się ponownie w swoim oficjalnym stylu.

– Czy ktoś jeszcze wie o naszej rozmowie? – Brudny nie bawił się w konwenanse.

– Jeszcze nie.

– Czyli nie zaczął pan działać?

– Nie. Może mi pan powiedzieć, co się dzieje, komisarzu?

– Ma Oksanę. Morderca ma moją Oksanę – wykrztusił Brudny.

Czarnecki spiorunował go wzrokiem.

– Kontaktował się z panem? – Ton inspektora zmienił się diametralnie.

– Zadzwonił z jej telefonu. Chce się spotkać. Powiedział, że to o mnie mu chodzi.

– Groził panu?

– Jeśli nie przyjadę sam, to ją zabije. I na koniec przysłał to.

Brudny podsunął smartfon pod nos inspektora. Czarnecki „odczytał” wiadomość. Na zdjęciu widać było leżącą na boku blondynkę. Miała skrępowane dłonie, a w ustach szmatę, ale niewątpliwie krzyczała na całe gardło. Rozmazany makijaż i zakrwawiona twarz napawały grozą. Główne

przesłanie wiadomości znajdowało się jednak tuż obok kobiety. Dokładnie naprzeciwko, niemal stykając się z jej twarzą, leżała odrąbana głowa jakiegoś mężczyzny. Czarnecki z trudem zachował zimną krew.

– Wie pan, kto jest ofiarą?

– To proboszcz z Nietkowa. Jeszcze dziś rozmawialiśmy z nim w tamtejszym kościele. Pomógł nam dokopać się prawdy o Trochanie.

– Sprawca chyba chce to zakończyć. Mordując księdza ze swojej parafii, w zasadzie zupełnie odkrywa karty.

– Chce mnie. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie powiedział.

– A potem?

– Nie wiem. Jest szalony. Może mu wszystko jedno.

– Co pan w takim razie zamierza?

– Pojadę tam i zrobię co w mojej mocy, aby uratować Oksanę. Ale warunek jest jeden… – Brudny wycelował palec w Czarneckiego, lecz po chwili zreflektował się i zacisnął nerwowo pięść. – Pan nie może o tym nikomu wspomnieć. Ten facet jest kompletnie nieobliczalny. I nie będzie się wahał, jeśli nawalę.

Czarnecki rozejrzał się po korytarzu. Był pusty.

– Chodźmy do mojego gabinetu. Tu ściany mają uszy – polecił.

Cała trójka szybkim krokiem ruszyła w kierunku schodów, następnie do biura tymczasowo przeznaczonego dla inspektora. Gdy tylko drzwi się za nimi zatrzasnęły, Czarnecki wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę i położył ją na blacie.

– Kojarzy pan tego młodzieńca?

– Młodzieńca? Nie ma teraz czasu na…

– Proszę się przyjrzeć. To ważne.

Brudny pochylił się nad szkicem. Portret pamięciowy przedstawiał kilkunastoletniego chłopaka. Miał przystojną twarz i regularne rysy, choć

fryzura na krótkiego jeża i dość surowa mina dodawały mu nieco awanturniczego charakteru. Komisarz zmarszczył brwi, a kącik jego ust ledwo zauważalnie drgnął. Zacisnął nerwowo szczęki, a na jego skroniach wystąpiły niebieskie żyły.

– No, kojarzę go…

– Skąd pan go zna, komisarzu?

– To jeden z tych skurwysynów, którzy tak mnie nękali w sierocińcu.

– Jest pan tego pewien?

Brudny spojrzał w oczy Czarneckiego, jakby to pytanie było co najmniej nie na miejscu.

– W takim razie chyba mamy mordercę… – oznajmił Czarnecki, ale zdecydowanie nie był to triumfalny ton człowieka, który właśnie rozwiązał największą zagadkę polskiej kryminalistyki dwudziestego pierwszego wieku.

– On będzie teraz jakoś po czterdziestce…

– Jest. Ma dokładnie czterdzieści dwa lata, nazywa się Krzysztof Lis i jest prokuratorem okręgowym zaangażowanym w to śledztwo.

– O kurwa… – wymsknęło się Zawadzkiej.

Brudny zamknął oczy. Pamiętał, że coś go tknęło, gdy po raz pierwszy wszedł do gabinetu Czarneckiego. Po drugiej stronie długiego stołu siedział Lis. Ich spojrzenia spotkały się wtedy tylko na chwilę, ale coś zaiskrzyło. Poczuł do tego faceta gwałtowną niechęć, lecz to zlekceważył. Owszem, Krzysztof zmienił się nie do poznania, ale te ciemne oczy pozostały takie same. Powinien to wychwycić, jakoś zareagować, a tego nie zrobił.

– Wtedy nazywał się Kwiczoł… – syknął przez zęby. – Był jednym z kundli Gwidony. Agresywny, brutalny, bezwzględny. Ale kiedyś przesadził. Połamał mi żebra i odbił płuca, za co stara, chyba po to, aby trochę spokorniał, regularnie zaczęła oddawać go Wilczkowi.

– Temu księdzu z Nietkowa?

– Jakiemu księdzu? Zwykłemu pedofilowi, a do tego skrajnemu sadyście. Tłukł wychowanków rzemieniem i mówił, że to pokuta za grzechy. A potem gwałcił. Gdy chłopaki od niego wracali, to srali krwią. On też…

– Chryste… – Czarnecki ukrył twarz w dłoniach. – Jak mogłem to przeoczyć?

– Jeśli chciał zostać prokuratorem, to pewnie postarał się, aby przeszłość nie wyszła na jaw.

– Motyw jest oczywisty. Jak mogłem być taki ślepy. Nie dość, że gnojek podrzucił te dowody, to regularnie naciskał, aby pana przymknąć. Gdyby ruszył proces, nie miałby pan żadnych szans.

– Jest pan w stanie namierzyć jego telefon służbowy?

– Pewnie tak. Ale… – Czarnecki zawiesił głos i przez moment intensywnie nad czymś się zastanawiał. – Wciąż coś mi tu nie pasuje. Dlaczego akurat te ofiary? I czy to mu się po ludzku opłacało?

– Zemsta to bardzo kreatywna suka…

– Ale to zachowanie nie pasuje do Lisa. Znam Krzysztofa wiele lat i wiem, co mówię. Zresztą… – Inspektor odwrócił się i zrobił kilka kroków, znów głęboko kopiąc w zakamarkach swojego umysłu. – Jasna cholera… Krzysztof przecież wiedział, że jest pan w celi i ma mocne alibi. I mimo to podrzucił pański włos na miejsce pozostawienia ciała Oliwii Malinowskiej? Przecież to kompletnie bez sensu. – Czarnecki chodził od ściany do ściany, jakby szczerze liczył, że to pomoże mu w rozwiązaniu kolejnej, niepasującej do całej układanki zagadki.

– Może się pomylił, zdał sobie z tego sprawę i postanowił pójść na całość? A może jest po prostu pierdolonym socjopatą. Nie wiem. Teraz

najważniejsza jest Oksana. Do północy pozostały dwie godziny i piętnaście minut. Załatwi pan wysokiej klasy nadajnik?

– Tak, dopilnuję tego.

– Taki, który… jasna cholera… czyścił pan swoje biuro?

Czarnecki uspokoił Brudnego ruchem ręki.

– Tak, dziś po południu. Krótko po rozmowie z Lisem. Jego zachowanie wydało mi się podejrzane i… – inspektor otworzył szufladę, z której wyciągnął wykrywacz podsłuchów – …na wszelki wypadek przeleciałem biuro wzdłuż i wszerz. Na szczęście jest czysto.

– W takim razie, wracając do tematu. Jest pan w stanie zorganizować porządny nadajnik, którego nie wyłapie byle wykrywacz?

– W ciągu pół godziny mogę tu ściągnąć specjalistę z odpowiednim sprzętem. Dobry podsłuch…

– Nie. Żadnych podsłuchów – urwał kategorycznie Brudny. – Są zbyt łatwe do wykrycia, a to za duże ryzyko.

– Czyli tylko nadajnik?

– Niech zorganizuje dwa. – Brudny spojrzał na swoją byłą partnerkę z patrolu. – Julka. Tylko tobie mogę zaufać w trakcie akcji. Zaczekasz w odwodzie, ale nie będziesz się angażować. Ma pan jakieś mapy tych terenów? Zwłaszcza przy rzece?

– Google maps?

Brudny poczuł się jak kretyn. Wbił w telefonie nazwę miejscowości i wybrał mapę satelitarną. Przez chwilę analizował okolicę.

– To będzie tu. – Wskazał palcem punkt, w którym rzekę przecinały tory. – O północy mam zjawić się przy starym moście. Kojarzy pan to miejsce, inspektorze?

– Tak. To most kolejowy. Pociągi wciąż tamtędy jeżdżą. Kiedyś regularnie podróżowałem tą trasą do Gorzowa i Szczecina.

– Dużo otwartej przestrzeni. Prawie same pola.

– Przedzielone wałem – zauważyła Zawadzka.

– Widać, że chce mieć pewność, że przybędę sam.

– Nie sądzę też, aby tam na ciebie czekał. Sam nie miałby się gdzie ukryć w razie nieprzewidzianych problemów.

– Słuszna uwaga. Powiedział, że tam „otrzymam kolejne instrukcje". Przekaże mi je, gdy będzie pewny, że jestem sam.

Czarnecki przysłuchiwał się dyskusji obu młodych policjantów. Miał mętlik w głowie. Z jednej strony był bliski złapania mordercy, z drugiej miał wrażenie, że to śledztwo, jakkolwiek się zakończy, stanie się jego największą życiową porażką. Najpierw kolejne wpadki, potem zdrada jednego z najbliższych współpracowników, w końcu seria błędnych ocen, które mogły sprawić, że zginęło tylu niewinnych ludzi. I teraz ta decyzja, którą podjąć musiał. Wybór pomiędzy większym i mniejszym złem. Ulegając prośbie Brudnego, ryzykował nie tylko życie komisarza, ale i to, że morderca ucieknie. Wybierając wszczęcie odpowiednich procedur, skazywał na śmierć niewinną kobietę. Reperkusje każdej z decyzji zdawały się trudne do przewidzenia. Ale bez wątpienia nastąpią.

Brudny dostrzegł, że inspektor wciąż się waha. Pomyślał, że nie jest przyzwyczajony do sytuacji, w której traci kontrolę, wybór, jaki miał, był jedynie iluzją. W tej chwili sytuację kontrolował przeciwnik. Morderca. Człowiek, który żywej bezbronnej dziewczynie zerwał skórę z twarzy. To musiało go skrajnie deprymować.

– Mogę na pana liczyć, inspektorze? – Brudny pomyślał, że warto pomóc koledze po fachu w podjęciu ostatecznej decyzji.

Przez chwilę w gabinecie panowała cisza. Powietrze zdawało się naładowane elektrycznością niczym w pobliżu okładek kondensatora.

Czarnecki patrzył w mrok za oknem, jakby liczył, że znajdzie tam odpowiedź na wszystkie nurtujące go pytania.

– Inspektorze? – Brudny ponowił pytanie.

Czarnecki się odwrócił. Posłał komisarzowi wyzywające spojrzenie i przez moment mierzyli się wzrokiem niczym pięściarze przed pierwszym gongiem. Obaj szukali tego samego. Cząstki siebie.

– Wykonam telefon do specjalisty od podsłuchów i zlecę namierzenie telefonu służbowego prokuratora Lisa – oznajmił po dłuższej chwili inspektor i podszedł do czajnika elektrycznego. – Chyba wszystkim nam przyda się jeszcze mocna kawa.

Brudny odetchnął z ulgą. Wtedy przeszył go dreszcz. Nie powiedział tego na głos, ale pomyślał, że zmierzy się z kimś dużo bardziej niebezpiecznym niż prokurator Krzysztof Lis. Zrozumiał, że już wkrótce spotka tego, który prześladował go przez całe dzieciństwo. Nie w murach sierocińca. I nie za dnia.

Cień przychodził w nocy. Gdy on spał i śnił koszmary.

Rozdział 35

Krzysztof Lis był gejem i za to się nienawidził. Podejrzewał, że jego orientacja to skutek ponurego dzieciństwa, które w jego przypadku okazało się splotem wyjątkowo niefortunnych zdarzeń. Wypadku, w którym zginęli jego rodzice, nie pamiętał, bo pamiętać nie mógł. Miał dopiero półtora roku, a ojciec, podobno całkiem dobry mechanik samochodowy, podczas słynnej zimy stulecia z przełomu lat 1978 i 1979 w drodze do Wrocławia wbił się pod tira swoim nowym fiatem 126p. Nie była to wina ojca, który jechał swoim pasem z prędkością dostosowaną do warunków pogodowych. Gęsto sypiący śnieg, widoczność ograniczona do dwudziestu metrów i błyskawicznie sunąca z naprzeciwka naczepa ciężarówki z panicznie kwiczącą trzodą chlewną nie dały mu jednak szans na ucieczkę. Bogdan Kwiczoł nie zdążył umknąć, a pędząca w poprzek jezdni naczepa z dzikim chrzęstem ścięła dach malucha, jakby był papieru, razem z głowami mamy i taty małego Krzysia. Mały Krzyś, który akurat ssał pierś ukochanej matki, nie odniósł prawie żadnych obrażeń prócz kilku zadrapań i siniaków. Znaleziono go owiniętego w kocyk pośród biegających po jezdni prosiaków.

Mężczyzna z ciężarówki dostał dwa lata odsiadki, bo choć w tamtych czasach nikt nie słyszał o takim urządzeniu jak tachograf, oczywiste było, że facet zasnął za kierownicą i zjechał na pobocze, następnie wpadł w poślizg i stracił panowanie nad pojazdem. Ale to już nie miało wpływu na dalszy los Krzysia, który zanim kierowca morderca jego rodziny usłyszał

wyrok, sam został skazany. Dosłownie i w przenośni. Nie miał babci ani dziadków, a jedyny wujek, górnik z Lubina i zdegenerowany alkoholik, stwierdził, że prędzej „wielbłąd przez ucho igielne przejdzie, niż on bachora nadętej siostrzyczki przygarnie”. Krzyś nie był tego świadom, podobnie gdy patrzył w mocno umalowane oczy podstarzałej urzędniczki, która beznamiętnie ogłaszając decyzję o umieszczeniu go w Placówce Opiekuńczo-Wychowawczej Hieronimek Zielonogórskich, żuła gumę i paliła papierosa.

Szybko okazało się, że nowy dom z prawdziwym domem nie ma wiele wspólnego, o czym mały Krzyś przekonał się już pierwszego dnia. Na własnej skórze posmakował gniewu siostry Gwidony tuż po tym, jak podczas zmiany pieluchy zrobił kupę na jej rękę. Jego paniczny lament nie pomógł i nie pomagał przez następny rok, do czasu gdy zaczął zdawać sobie sprawę z otaczającego go świata. Był pojętnym chłopcem i szybko zrozumiał, że w sierocińcu płaczem wskóra niewiele, a co najwyżej narobi sobie dodatkowych kłopotów. Dlatego już w wieku trzech lat wiedział, że najlepszymi sposobami na przetrwanie są pokorna modlitwa i całkowite posłuszeństwo wobec sióstr zakonnych. Czasem uśmiechnięta buzia potrafiła dodatkowo zaskarbić sobie życzliwość odwiedzających placówkę księży, co zwykle skutkowało słodkim poczęstunkiem w postaci cukierka lub kawałka czekolady.

Mijały lata, a mały Krzyś rósł jak na drożdżach. W wieku ośmiu lat był wyższy od rówieśników o głowę i siostra Gwidona uznała, że przyszedł czas na inicjację. Krzyś nie oponował, nawet się ucieszył, bo bardzo pragnął miłości i bliskości. Do tej pory nie zaznał tych uczuć, nie licząc sporadycznych gestów księży po strzeleniu gola lub wygranej w biegu w workach. Czasem któryś zmierzwił mu czuprynę, inny przybił piątkę albo przytulił do brzuszka. Ale Krzyś chciał więcej, więc do pokoju poszedł

podekscytowany jak nigdy wcześniej. Wrócił z bagażem ambiwalentnych uczuć oraz świadomością, że siusiak nie służy tylko do siusiania, a pupa nie tylko do robienia kupy. Jego wyobrażenia o fajnych księżach runęły jak domek z kart, zwłaszcza gdy pewnego dnia został zaprowadzony do pokoju księdza Wilczka. Po minach kolegów spodziewał się, że nie będzie przyjemnie, ale to, czego zaznał, złamało go na zawsze.

Krzyś dorastał i wkrótce zmienił się w Krzysztofa. W tym czasie nauczył się, jak przetrwać. Lawirował, manipulował, robił wszystko, co musiał. Stał się brutalny i bezwzględny, a ból i frustrację wywołane przez regularne gwałty odreagowywał na młodszych wychowankach. Jego potencjał dostrzegła siostra Gwidona, która była zmęczona i rozczarowana brakiem dyscypliny u dorastających dzieciaków oraz coraz trudniejszym utrzymywaniem w tajemnicy tego, co działo się za murami sierocińca. Dlatego nieoficjalnie mianowała go swoją prawą ręką w kwestii rygoru, zwłaszcza podczas jej nieobecności. Krzysztof znalazł sposób na przetrwanie, ale szybko się zorientował, że karanie nieposłusznych kolegów sprawia mu niekłamaną przyjemność. Podczas ostatnich lat regularnego molestowania jego organizm wypracował jedyną możliwą reakcję obronną – poddał się, pogodził z okrutnym losem, a w pewnym momencie zaczął nawet czerpać lubieżną przyjemność. Z tą różnicą, że tym razem to nie on był gwałcony. To on gwałcił. I to uczucie, świadomość pełnej władzy i kontroli nad drugim mężczyzną, sprawiało, że czuł się jak sam Bóg.

Po opuszczeniu placówki pojechał nad morze, gdzie przez dwa lata imał się różnych zajęć. Sprzedawał lody, miód i jagodzianki, próbował sił jako ratownik, najwięcej zarabiał jednak jako chłopak do towarzystwa. W tym czasie poznał wielu mężczyzn, którzy uświadomili mu, że znalazł się na samym dole drabiny społecznej, że został męską prostytutką, dosadniej mówiąc, zwykłą, podłą kurwą. Krzysztof wpadł w depresję i mało

brakowało, a po jednym z hotelowych spotkań popełniłby samobójstwo. Uratował go klient, który po wyjściu spod prysznica zauważył przy kaloryferze nieruchomego chłopaka z zaciśniętymi pończochami na szyi. Bogusław Urban był starym prokuratorem, a do tego znanym i na Pomorzu bardzo szanowanym. Niestety, był też człowiekiem bardzo nieszczęśliwym, bo chociaż miał żonę i spłodził syna, którego w przeciwieństwie do żony kochał ponad życie, był gejem. Z trudem nosił ten ciężar, ale przyzwyczaił się do ciągłego okłamywania rodziny i sporadycznych wyjazdów w „delegacje", podczas których mógł w tajemnicy posmakować od czasu do czasu prawdziwej „miłości". Niestety, pół roku przed spotkaniem z Krzysztofem w życiu Bogusława wydarzyła się tragedia. Jego ukochany syn w wieku lat dwudziestu jeden wybrał się na spacer po plaży w Międzyzdrojach, a nad ranem tuż przy molu morze wyrzuciło na brzeg jego zwłoki. Świat Bogusława runął, podobnie wszystkie marzenia o tym, że Mateusz, świetnie zapowiadający się prawnik, kiedyś pójdzie w jego ślady. Samobójstwo żony, która przedawkowała lekarstwa krótko po śmierci syna, nie wzbudziło w nim już takich emocji. Bogusław nie musiał już przynajmniej udawać.

Kiedy ujrzał umierającego chłopaka, który przecież mógłby być jego synem, coś w nim drgnęło. Poluzował pończochy i spojrzał na niego ojcowskim wzrokiem, zupełnie jakby kilkadziesiąt minut wcześniej wcale nie wypełnił jego gardła, a następnie odbytu własną spermą. Ocucił go, przeprosił i gdy jedli śniadanie, zaproponował mu, że zapłaci za cały tydzień z góry. Po tygodniu mieszkali już razem w Szczecinie, a Bogusław nie płacił młodemu podopiecznemu za seks. Postawił sobie za punkt honoru, że zrobi wszystko, by Krzysztof wyszedł na ludzi i nigdy więcej nie musiał robić laski ani dawać dupy takim starym, żałosnym pierdzielom jak on sam. Szybko się okazało, że Krzysztof miał niezwykle przenikliwy

umysł i wręcz wybitne predyspozycje do tego, aby zostać znakomitym prokuratorem. Jego kariera rozwinęła się błyskawicznie – choć na początku była mocno wspierana przez znanego i szanowanego w światku patrona, to jednak już sześć lat później Krzysztof trafił na staż, a następnie poprowadził pierwszą sprawę. Niestety, po kolejnych sześciu miesiącach Bogusław zmarł na wylew, a Krzysztof, w związku z tym, że nie łączyły ich żadne koligacje rodzinne, nie otrzymał w spadku ani grosza, wyłączywszy mieszkanie na Niebuszewie, które Bogusław kupił mu w ramach prezentu za zdanie egzaminu na aplikację. Krzysztof bardzo przeżył śmierć swojego patrona, a bez jego protekcji trudno mu było rozpychać się łokciami w zamkniętej społeczności prawników. Krążące w kuluarach plotki o łączących ich dziwnych relacjach również nie pomagały, w związku z czym Krzysztof postanowił opuścić Szczecin. A że pierwszy wakat znalazł się akurat w mieście, w którym się urodził, wyruszył do Zielonej Góry.

Wcześniej zmieniwszy nazwisko, rozpoczął pracę w prokuraturze rejonowej, a następnie okręgowej. Znalazł sobie partnerkę, bo za wszelką cenę chciał żyć normalnie. Pani adwokat o imieniu Ilona była wysoką brunetką chodzącą w jasnych żakietach i spiętych włosach, które rozpuszczała tylko wieczorami. Większość facetów całowałaby ją po nogach tylko za to, że zechciała na nich spojrzeć, ale Krzysztof nie potrafił zmusić się do tego, aby pożądać jej tak, jak by tego oczekiwała. A ponieważ dodatkowo zaczęła rozpytywać o jego przeszłość i następnie w niej grzebać, pewnego dnia powiedział jej, żeby się wyprowadziła. Tak skończył się jego jedyny związek z osobą płci przeciwnej, a Krzysztof, zdegustowany i rozczarowany samym sobą, rzucił się w wir pracy. Nie szukał partnera, zaspokajał się podczas licznych wyjazdów zagranicznych,

z których najbardziej upodobał sobie Tajlandię i Filipiny. Tam mógł puszczać wodze fantazji bez obaw, że tajemnica wyjdzie na jaw.

W pracy Krzysztof był niezwykle skuteczny. Zdolności i predyspozycje poparł wykutym przez lata gehenny charakterem, dzięki czemu jego potencjał szybko dostrzegł inspektor Romuald Czarnecki. Etyka pracy, silna osobowość i umiejętność logicznego myślenia sprawiły, że pomimo sporych różnic stworzyli świetny team i razem prowadzili najtrudniejsze i najbardziej zagmatwane sprawy w zachodniej Polsce. Nie liczył, ile z nich rozwiązali wspólnie, ale przynajmniej kilkadziesiąt. Rozumieli się doskonale, bo Czarnecki nigdy nie wnikał w życie prywatne Krzysztofa i vice versa. Razem pracowali, ale „po robocie" nawet do siebie nie dzwonili. Układ wydawałoby się idealny. Do czasu. Do czasu gdy Krzysztof Nowak aka Igor Brudny nie wparował do gabinetu i nie zaczął węszyć wokół śledztwa.

Prokurator poznał go od razu. Spodziewał się go, ale nawet nie przeszło mu przez myśl, że pojawi się w roli komisarza stołecznej policji. Wiedział, że jest bratem Trochana, którego poznał już cztery lata temu, krótko po tym, jak doktor zaczął odnosić pierwsze sukcesy na polu podologii. Nawet zaaranżował spotkanie przy kawie, aby upewnić się, że to nie ten sam chłopak, którego katował w przeszłości i tak szczerze nienawidził.

Kiedy Lis był już w połowie drogi do celu, w jego błyszczącym audi s5 zabrzmiał sygnał telefonu ustawionego na tryb głośnomówiący. Dzwonił Czarnecki. Prokurator przez moment zastanawiał się, czy odebrać. Po ostatniej rozmowie z inspektorem wpadł w panikę. Wiedział, że stary zwęszył trop. A był cholernie dobrym psem…

– Cześć, Romek. – Lis uznał, że gdyby nie odebrał, tylko pogorszyłby swoją sytuację.

– Cześć, Krzysztof. Dzwonię, aby cię przeprosić. Nie powinienem cię tak zaatakować.

– To ja przepraszam. Jak zwykle mnie poniosło. – Tak naprawdę Lis nie wiedział, co odpowiedzieć, więc powiedział to, co zawsze, gdy się pokłócili. Owszem, oficjalne przeprosiny jak najbardziej pasowały do eleganckiego stylu Romualda Czarneckiego, ale tak naprawdę Lis jeszcze nigdy nie słyszał, aby inspektor kogokolwiek przepraszał. Z prostej przyczyny. Nigdy nie musiał tego robić.

– Mamy nowy mocny trop. Gdzie jesteś?

– W domu – skłamał, choć przygotował się na taką ewentualność. Służbowy smartfon zostawił w salonie i poprzez specjalną aplikację przekierował rozmowę na zakupiony aparat na kartę. Dzisiejsza technika pozwalała z łatwością oszukać najnowocześniejsze systemy telekomunikacji, oczywiście pod warunkiem, że urządzenia, z których korzystał, nie wpadłyby w ręce specjalistów. W skrócie, gdyby technik sprawdził logowania jego telefonu, żeby go namierzyć, uznałby, że jego właściciel odebrał rozmowę w domu.

– To zbieraj się z powrotem. Organizuję spotkanie zespołu na dwudziestą trzecią. Obecność obowiązkowa.

– To już za niecałą godzinę…

– Zdążysz?

– Tak. Będę.

– Na razie, Krzysztof.

Gdy tylko Czarnecki się rozłączył, Lis zaklął jak szewc i kilkakrotnie grzmotnął dłońmi w kierownicę. W końcu złapał ją mocno i wcisnął hamulec. Opony zapiszczały, a samochód przywarł do jezdni, jakby ktoś posmarował ją klejem. Do celu miał jeszcze tylko trzy kilometry.

Przetarł drżącą dłonią spoconą twarz i utkwił spojrzenie gdzieś w oddali. W świetle reflektorów bezlistne konary posadzonych wzdłuż drogi drzew zdawały się wyciągać po niego szponiaste gałęzie. Zamknął oczy. Przez natłok myśli miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje. Jeszcze przez chwilę próbował analizować możliwe posunięcia i wybrać najlepsze, ale z każdą mijającą sekundą uświadamiał sobie, że tym razem zabrnął za daleko. Nie było już dobrego wyjścia. Albo on, albo oni.

Czarnecki już wiedział. I robił wszystko, aby go powstrzymać.

Rozdział 36

Mrok był gęsty niczym zupa. Efekt potęgowały wyrastające po obu stronach drogi ściany lasu i brak jakichkolwiek oznak cywilizacji. Pomiędzy drzewami od czasu do czasu migały czerwone punkty. Tak jakby zwierzyna śledziła każdy ich ruch, jakby była oczami i uszami mordercy. Głupia i irracjonalna myśl, która nie chciała go opuścić. Brudny miał bardzo złe przeczucie. To było silniejsze od niego.

Do Nietkowa pozostało jeszcze siedem kilometrów.

– Co cię tak przeraża? – wypaliła znienacka Zawadzka.

– Co…? – Brudny był wyraźnie zaskoczony.

– Widzę, że nie jesteś sobą. Ja rozumiem, że ma Oksanę i…

– To nie ten prokurator. Nie wiem, nie potrafię tego wyjaśnić, ale wiem, że to nie on. Może z nim współpracuje, może jakoś to zaplanowali wspólnie. Ale tam nie czeka na mnie Kwiczoł.

– Masz na myśli Lisa?

– Dla mnie zawsze będzie Kwiczołem.

– Nie obraź się, ale po tym, co mówiłeś… jak on cię tak katował, to może…

– Kilka razy dostałem od niego solidny wpierdol, ale ten gnojek był zwykłym tchórzem. Nie bałem się go ani trochę. Może trudno w to uwierzyć, ale zawsze miałem wrażenie, że to on boi się mnie.

– Bo zabiłeś tego księdza?

– Bo miałem odwagę postawić się temu całemu choremu systemowi. A on nie. Jak wszyscy inni, którzy chodzili na smyczy Gwidony. Robili wszystko, co im kazała, aby tylko przetrwać, uniknąć lania czy innej bolesnej kary.

– Ale kogoś się boisz, Igor. Znam cię nie od dziś i widzę to w twoich oczach. Ty wiesz, kim jest morderca? To ktoś z twojej przeszłości?

– Nie wiem. Ale… – Brudny rzucił Zawadzkiej niepewne spojrzenie.

– Ale…

– Nieważne.

– Nieważne?

– No nieważne. To głupota. Nie ma o czym gadać.

– Igor. Nie traktuj mnie jak idiotki. Wiesz, że w takiej sytuacji najdrobniejszy szczegół może mieć ogromne znaczenie. Tu nic nie jest nieważne. Zwłaszcza jeśli ta „głupota” budzi w tobie takie przerażenie.

– Żadne przerażenie. Odpuść.

– Igor… – Zawadzka nie miała zamiaru rezygnować, a jeśli na coś się uparła, oczywiste było, że w końcu dopnie swego i wyciągnie z delikwenta absolutnie wszystko.

Brudny trochę mocniej zacisnął palce na kierownicy. W pewnym momencie bez ostrzeżenia skręcił w leśną ścieżkę i zatrzymał się. Zgasił silnik i reflektory. Odetchnął głęboko. Zawsze tak robił, gdy bił się z myślami. W końcu przełknął ślinę i spojrzał na nią dokładnie w taki sam sposób jak przed trzema laty, gdy opowiedział jej o traumie z dzieciństwa.

– Jest coś, czego nie potrafię wytłumaczyć – zaczął i z powrotem wbił wzrok w przednią szybę. – Nigdy nikomu tego nie mówiłem. Wiedziały o tym tylko siostry, które się mną opiekowały, gdy miałem trzy, cztery lata. W tym Gwidona.

Brudny spojrzał na zegarek. Do deadline’u mieli jeszcze ponad godzinę. Nie musiał się spieszyć. Wyciągnął paczkę papierosów, poczęstował przyjaciółkę i oba przypalił.

– Kiedyś miewałem sny. Albo inaczej, to nie były sny, ale koszmary. Nie różniły się od siebie jakoś specjalnie i sprowadzały się do tego, że widywałem w nich rozmazane twarze. Trochę przypominały ludzkie cienie, ale było w nich coś tak mrocznego, upiornego i po prostu złego, że gdy o nich opowiadałem, to nawet hieronimki robiły znak krzyża. Pamiętam też, że te senne istoty – bo nie wiem, jak je inaczej nazwać – wydawały przy tym okropne odgłosy, jakby w połowie zwierzęce, jak… no cholera, nie wiem… jak z jakiegoś innego wymiaru. Zbliżały się do mnie, wąchały, lizały, dotykały. Nie mogłem przez to spać i wiecznie sprawiałem z tego powodu problemy, a Gwidona nie lubiła problemów. I kiedyś… to naprawdę idiotyczne… Na pewno chcesz tego słuchać?

Zawadzka nic nie odpowiedziała, ale oboje rozumieli się bez słów. Brak reakcji oznaczał, że ma kontynuować.

– Jak chcesz… – Brudny otworzył szerzej okno. – A więc gdy moje problemy dotarły do biskupa Alberta, ten poprosił mnie, abym narysował te nawiedzające mnie istoty. Gdy to zrobiłem, to ten zabobonny palant – zresztą już o tym wiesz, bo stary ci powiedział – odprawił na mnie egzorcyzmy. Naprawdę myślał, że jestem opętany. Wiesz… dla czteroletniego dzieciaka to była trauma i nie dość, że „egzorcyzmy” nie pomogły, to koszmary stały się jeszcze częstsze. I jakby bardziej realne. Prawie nie mogłem spać. Budziłem się z krzykiem, przez co Gwidona zamykała mnie w izolatce, bo inne dzieciaki nie mogły przeze mnie spać. A ja śniłem te koszmary, ponure cienie nachodziły mnie prawie każdej nocy. Ale był taki jeden, który wyróżniał się najbardziej. Wyglądał jak… kojarzysz ten obraz *Krzyk*… chyba Muncha. Dobrze mówię?

Zawadzka kiwnęła głową.

– On tak wyglądał i wiecznie się darł. Ten jego wrzask, jakby jakieś zawodzenie czy skowyt, nie pozwalał mi spać, był strasznie przenikliwy i… taki realny. Cholernie realny.

Za oknem trzasnęła gałązka. Brudny odruchowo wyciągnął ze schowka niewielką latarkę i wycelował strumień światła w miejsce, skąd dobiegł dźwięk. Mignęła mu para czerwonych oczu i całkiem okazałe poroże. Chwilę później jeleń zniknął w ciemności. Brudny jeszcze przez chwilę penetrował mrok, po czym wyłączył latarkę i odłożył ją. Skierował spojrzenie na partnerkę.

– Do tej pory nie wiem, kto się krył za tymi widziadłami. One w końcu odeszły, jakoś krótko przed tym, jak opuściłem sierociniec. Przez lata nie wracały, a ja jakoś je sobie wytłumaczyłem. Wiesz… trauma z dzieciństwa i te sprawy.

Zawadzka zmarszczyła brwi i odgarnęła niesforny kosmyk. Zaciągnęła się papierosem.

– Nigdy mi o tych snach nie mówiłeś…

– Nie było o czym. Zresztą znasz mnie, nie należę do wylewnych. Dla mnie to była głupota. Imaginacje chorego, przerażonego dziecięcego umysłu. A przynajmniej tak mi się wydawało.

– Co masz na myśli?

– Te sny wróciły, Julka. Miewam je od momentu przyjazdu do Zielonej Góry.

Brudny spuścił wzrok, jakby wstydził się swego wyznania. Zawadzka wiedziała, że nie jest to dla niego łatwe. Igor zawsze grał zimnego sukinsyna, ale pod płaszczem twardego i nieczułego gliny, gdzieś w odmętach jego pokręconego jestestwa, wciąż krył się tamten przerażony, zahukany malec.

– To pewnie da się jakoś wytłumaczyć. – Zawadzka nie chciała zabrzmieć jak policyjny psychiatra. – Nie byłeś tu od wyjazdu z sierocińca, czyż nie? Może ten powrót na stare śmieci jakoś wpłynął na twoją podświadomość?

– Normalnie też bym tak pomyślał. Nie wierzę w takie bzdury. Ale… – Głos uwiązł Brudnemu w gardle. Zacisnął zęby i głośno przełknął ślinę.

– Ale… – naciskała Zawadzka.

– Ale gdy po raz pierwszy zbliżyłem się do tego bachusika, poczułem, jakby wszystko wróciło ze zdwojoną siłą. To było cholernie intensywne, niesamowicie realistyczne. Dosłownie poczułem obecność tego czegoś. Jakby było we mnie. Jakby przejęło nade mną kontrolę. – Brudny przetarł twarz dłonią i ścisnął skronie. – Nie wiem, cholera jasna. Mówię bez sensu, wiem, brzmi idiotycznie i już nawet sam zastanawiałem się, czy nie mam jakiegoś rozdwojenia jaźni. To wszystko jest takie popieprzone…

– Zdarzało ci się to częściej?

– Tak. Kilka razy. W snach również.

– Domyślasz się, kim może być ta postać?

Brudny zagryzł dolną wargę i pokiwał przecząco głową.

– Nie wiem. Ale jest pełna gniewu, jak nigdy wcześniej. I czuję, że gdzieś tam na mnie czeka.

Zawadzka zaciągnęła się po raz ostatni i wyrzuciła niedopałek za okno. Spojrzała w oczy byłego partnera z patrolu, ekskochanka, a zarazem przyjaciela i jedynego faceta, który potrafił wzbudzić w niej prawdziwe emocje.

– Wierzę ci, Igor – oznajmiła po dłuższej chwili. – Ale to i tak nic nie zmienia. Pojedziemy do tego Nietkowa, uratujemy twoją Okę, a tego sukinsyna, choćby miał rogi i spojrzeniem palił krzyże, dopadniemy i zakujemy w kajdanki.

Brudny przekręcił kluczyk i leśne ostępy wypełnił ponury warkot sześciolitrowego potwora. Wycofał na asfaltówkę, ale nie ruszył od razu.

– Wiedziałem, że lepiej trzymać język za zębami… – burknął, gdy wrzucił jedynkę.

– Nie, Igor. Dobrze, że mi to powiedziałeś.

– Ma, kurwa, rogi i spojrzeniem pali krzyże…?

– Kimkolwiek jest, nie powstydziłby się takiego porównania.

Brudny skrzywił się wymownie i puścił sprzęgło. Nissan patrol powoli zaczął sunąć po opustoszałej drodze, na której końcu można było dostrzec światła pierwszych zabudowań.

Nietków tonął w głuchej ciszy i gęstej mgle. Pełnych mrocznych tajemnic i czających się cieni.

* * *

Gdy Igor Brudny i Julia Zawadzka mijali tablicę z nazwą wsi, Filip Trochan klęczał na zimnej podłodze i modlił się, aby to wszystko okazało się tylko złym snem. Cień właśnie go odwiedził. Poszeptał mu do ucha. I obiecał morze bólu i cierpienia.

Rozdział 37

Dochodziła dwudziesta trzecia. W biurze Czarneckiego wciąż było pusto i cicho. Inspektor stał w półmroku ze szklanką parującej kawy w dłoni i patrzył na ulicę przed komendą. Uchylił okno, aby nieco przewietrzyć gabinet. Powiew delikatnej bryzy wstrząsnął podsuszonymi liśćmi dogorywającej paprotki. Inspektor odetchnął głęboko i po chwili zastanowienia postanowił, że zlituje się nad niczemu winną rośliną. Poszedł do pokoju socjalnego, napełnił szklankę wodą i podlał kwiatek. Znów spojrzał w mrok za oknem.

Miasto zasypiało. Nikły ruch o tej porze w ostatnich dniach praktycznie zupełnie zanikł. Mało kto decydował się opuszczać bezpieczne mury, a w lokalnych mediach właściciele restauracji i barów już żalili się na spadek obrotów. „Wampir”, „Rzeźnik”, a po ostatnim wyczynie nawet „Leatherface”, czyli „Skórzana twarz”, stał się głównym tematem przy każdym rodzinnym stole, barowym piwie czy osiedlowym blancie. Miasto żyło w strachu i strachem oddychało. Po zmierzchu aktywność niemal zamierała, a ci, co musieli przemieścić się z punktu „A” do „B”, robili to w pośpiechu, trzymając się głównych arterii i unikając ciemniejszych zaułków czy zalesionych skwerów.

Czarnecki usłyszał stukot obcasów. Pierwsza do biura wkroczyła ekspertka kryminalistyki Anna Borucka. Chwilę później pojawił się młodszy inspektor Grzegorz Zimny, a następnie trójka niższych stopniem policjantów: Łukasz Warszawski, Jakub Wicha i Janusz Kosiński. Wszyscy

mieli podkrążone oczy, a ich twarze wyglądały na zmęczone. Dwie minuty przed czasem w korytarzu ponownie dało się słyszeć odgłos stukających szpilek i za chwilę do gabinetu zawitała psycholog policyjna Elżbieta Pałka. Każdy zrobił sobie mocną kawę i usiadł na swoim miejscu. Zwykle w takich momentach członkowie zespołu mieli chwilę, aby podyskutować o sprawach trzeciorzędnych, czasem pożartować. Tego wieczoru nikomu nie było do śmiechu, a na twarzach rysowały się napięcie i niepokój. Pięć po jedenastej Czarnecki wstał i położył dłonie na oparciu swojego krzesła.

– Dziękuję, że przyszliście – powiedział swoim ludziom. – Nie wzywałbym was wszystkich, gdyby nie fakt, że pojawiły się nowe okoliczności związane z prowadzonym śledztwem. – Czarnecki zawiesił głos, co niemal natychmiast wykorzystała Elżbieta Pałka.

– Nie poczekamy na prokuratora Lisa? – zapytała bez owijania w bawełnę.

– Jest pięć minut po czasie. Prokurator nie jest dzieckiem.

– Nic nie sugeruję, ale ponoć obecność miała być obowiązkowa.

– Owszem, jest i… – W korytarzu dało się słyszeć kroki. Czarnecki znał ten chód. To był Lis. Po chwili drzwi się otwarły.

– Przepraszam za spóźnienie – prokurator pokajał się przed wszystkimi i zajął swoje miejsce.

Czarnecki zmierzył go podejrzliwym wzrokiem. Sam nie wiedział, co o tym myśleć. Nie spodziewał się, że przybędzie, a celem zebrania miało być między innymi przekazanie pozostałym członkom zespołu informacji, jakie udało się zdobyć na temat prokuratora. I oficjalne uznanie go za jednego z podejrzanych. W związku z nieoczekiwanym pojawieniem się bohatera wieczoru, inspektor musiał skorzystać z planu B. Plan B był prosty. Nie wypuścić nikogo z biura, zwłaszcza zaś Lisa, przynajmniej do północy.

Inspektor poprawił okulary.

– Skoro jesteśmy w komplecie, to powtórzę. Spotkaliśmy się tutaj, ponieważ pojawiły się nowe okoliczności i uznałem, że jak najszybciej muszę je wam przedstawić. Poza tym mam prawo sądzić, że morderca uderzy ponownie dziś w nocy.

W salce nastąpiło lekkie poruszenie. Atmosfera zgęstniała.

– Skąd to przypuszczenie? – zapytała Pałka.

– Jestem prawie pewny, że udało mi się znaleźć źródło, z którego sprawca czerpie swój gniew i potrzebę mordowania. Ma to dość istotny związek z komisarzem Igorem Brudnym.

– Czyli jednak… – wtrącił Lis, ale w jego tonie nie było już pewności siebie. Słabo wyszkolony policjant mógłby tego nie wyczuć, ale wysokiej klasy profesjonalista musiał to dostrzec.

– W pewnym sensie. Ale to nie jedyna nowość. Aby zrozumieć motyw działania sprawcy, trzeba zacząć od Trochana.

Zebrani w skupieniu słuchali inspektora. Czekali na przełom, bo wedle wszystkich znaków taki miał zaraz nastąpić.

– Dziś, jeszcze przed konferencją prasową, odwiedziłem matkę podejrzanego Filipa Trochana. Nie pytajcie, jak udało mi się namówić ją na rozmowę, w każdym razie nie dość, że otworzyła mi drzwi, to jeszcze odpowiedziała na każde moje pytanie zgodnie z prawdą. – Czarnecki z powrotem usiadł na krześle. – Zacznę od tego, że Joanna Trochan nie jest biologiczną matką Filipa Trochana, a jedynie kobietą, która do spółki z mężem Olgierdem Trochanem kupiła dziecko kilka dni po urodzeniu.

Przez pomieszczenie przebiegł lekki szmer. Borucka założyła nogę na nogę, a Pałka, mimo że siedziała najbliżej inspektora, nachyliła się jeszcze bardziej.

– Nie udało mi się dotrzeć do prawdziwej matki Trochana, ale ustaliłem osobę odpowiedzialną za sprzedanie Filipa państwu Trochanom. To były proboszcz parafii w podzielonogórskim Nietkowie, niejaki Bogumił Wilczek. Niestety, nie żyje od ponad trzech lat.

– Jaki to ma związek z Brudnym? – zapytał Zimny.

– Brudny jest bratem bliźniakiem Trochana. Ale w przeciwieństwie do Filipa jego życie nie było usłane różami. Brudny, zamiast do bogatej rodziny zastępczej, trafił do sierocińca, a dokładnie – mam nadzieję znanej wam wszystkim – Placówki Opiekuńczo-Wychowawczej Hieronimek Zielonogórskich w pobliskim Zaborze.

Większość zebranych pokiwała głowami. Placówka od lat miała raczej kiepską opinię, chociaż nikt nigdy oficjalnie nie oskarżył pracowników o zaniedbywanie wychowanków. Zarazem każdy ze wstydem mógł też przyznać, że sierociniec, dodatkowo prowadzony przez siostry zakonne, to miejsce, którego oceniać nie wypadało.

– Przepraszam, ale ja nie kojarzę – wtrąciła się Pałka. Czarnecki skarcił się w myślach, gdyż jego ulubiona profilerka do Zielonej Góry przyjechała gościnnie i trudno było od niej oczekiwać, że będzie orientowała się w lokalnych sprawach.

– To sierociniec o… powiedzmy, nie najlepszej opinii – wytłumaczyła Borucka. – Hieronimki są trochę jak psia kupa na parkowej ścieżce dla biegaczy. Wszyscy ją widzą i najchętniej by ją usunęli, ale nikt tego nie robi, licząc, że zajmie się tym ktoś inny.

– A konkretnie? Pytam, bo to może być niezwykle ważne w kontekście motywu zbrodni.

– Ech… słyszało się różne rzeczy i ja jestem w stanie uwierzyć, że dochodziło tam do poważnych zaniedbań. Kilkanaście lat temu plotkowano

nawet o czynach pedofilskich, ale jak to w naszym pięknym kraju, sprawę zamieciono pod dywan.

– Okej, dzięki. Chyba przypuszczam, do czego dążysz, Romek, ale… – Pałka machnęła dłonią. – Dobra, za wcześnie. Przepraszam. Kontynuuj, proszę.

Czarnecki przysłuchiwał się dyskusji obu pań, ale kątem oka obserwował reakcje Lisa. Prokurator zachowywał kamienną twarz, choć w momencie, gdy Borucka wspomniała o „czynach pedofilskich", ledwo zauważalnie się wzdrygnął.

– A jak udało ci się to ustalić? – spytał znienacka.

– To znaczy?

– No skąd wiesz, że Brudny wychował się w tym sierocińcu? – Lis był nerwowy, a jego pytania napastliwe. Pozostali członkowie grupy mogli tego nie dostrzec, ponieważ bez informacji, jakie posiadał Czarnecki, rozpracowanie zachowań prokuratora wydawało się wręcz niemożliwe. Ale inspektor wychwytywał każdą, nawet najdrobniejszą zmianę tonacji głosu czy mimiki twarzy. I czytał w prokuratorze jak w otwartej księdze.

– Po prostu dobrze wykonałem swoją robotę – skłamał inspektor. – W placówce matka przełożona potwierdziła, że Brudny był ich wychowankiem.

– Dlaczego zatem nie zgłosiła tego wkrótce po opublikowaniu nagrań z deptaku?

– Tłumaczyła się, że nie ogląda telewizji, a zdecydowana większość personelu placówki to młode siostry, które nie mogły pamiętać Brudnego. Nie wspominając, że dość mocno się zmienił przez ostatnie dwadzieścia lat.

– Mało to wiarygodne…

– Masz protokół z przesłuchania tej kobiety? – wtrąciła się Pałka.

– Nie, na razie to była tylko luźna rozmowa. Nie chciała za dużo mówić. I widać, że raczej zdania nie zmieni.

– Trzeba będzie ją przycisnąć – do rozmowy włączył się Zimny. – Jeśli Brudny był tam molestowany – a chyba do tego tu dążymy – to takie doświadczenie mogło poważnie wpłynąć na jego psychikę. Może szukać zemsty i ludziom pracującym w tej placówce należy to uzmysłowić.

– Przychylam się – skomentowała Pałka, a zebrani zgodnie pokiwali głowami.

– Ja rozumiem, że warto podjąć ten temat, ale – i tu nie chciałbym znów ci dokuczyć, Romek – czy ktoś w takim razie wie, gdzie obecnie znajduje się Brudny? – Prokurator sprawił, że wszyscy zwrócili się w jego stronę, a następnie skierowali spojrzenia na swojego szefa.

Na inspektorze nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Bez pośpiechu zdołał złapać krótki kontakt wzrokowy z każdym ze swoich podwładnych. Zastanawiał się, czy mieliby tyle odwagi co prokurator, aby w końcu zadać to pytanie, przecież każdy wiedział, że dziś rano to właśnie on zdecydował się wypuścić Brudnego z celi.

– Zanim odpowiem, sam muszę zadać wam pytanie. – Czarnecki podrapał się po brodzie i ponownie popatrzył po członkach zespołu. – Powiedzcie mi, proszę, skąd pomysł, że to Brudny jest mordercą, skoro przy Palmiarni znaleziono jego DNA, chociaż tej nocy siedział w celi?

W gabinecie zapadła kłopotliwa cisza. Czarnecki trafił w sedno. Brudny od początku znalazł się w skrajnie niekorzystnej sytuacji. Wszyscy członkowie zespołu jakby uparli się, aby na siłę udowodnić mu winę za popełnione zbrodnie, zamiast skupić się na szukaniu mordercy. Dlaczego tak się stało? Dlaczego tacy zawodowcy dali się zmanipulować?

Lis próbował zachować kamienną twarz, ale panowanie nad emocjami szło mu coraz gorzej. Członkowie zespołu wreszcie przejrzeli na oczy.

Czarnecki kontynuował:

– Nikt z was nie pomyślał, że Brudny może być ofiarą? Że przecież w sierocińcu nie wychował się sam? Że w placówce znajdowało się wtedy blisko dwustu chłopców, z których każdy może być mordercą?

Mina prokuratora mówiła wszystko. Przestał udawać i uśmiechnął się głupio. Czarnecki mógł mieć co najwyżej podejrzenia, ale z pewnością brakowało mu dowodu, w przeciwnym razie już dawno by go aresztował. Lis pomyślał, że dobrze zrobił, uciszając Gwidonę i pozbywając się z archiwum wszystkich materiałów świadczących o jego obecności w ośrodku. Dlatego się spóźnił. Stara wiedźma powinna była odejść już dawno temu.

Pozostał Brudny. On też musiał odejść…

– Chcesz powiedzieć, że musimy teraz sprawdzić blisko dwustu byłych wychowanków tej placówki? – Pałka już zrozumiała swój błąd.

– Z dużą dozą prawdopodobieństwa można uznać, że mordercą jest jeden z nich.

– To czeka nas sporo roboty – skwitował Zimny.

– Owszem, ale ograniczymy się do mieszkańców Nietkowa i kilku pobliskich wiosek. To tam, według danych, które kilka godzin temu zebrał Grzegorz, prawdopodobnie zamieszkuje bądź ukrywa się morderca. Naszym zadaniem będzie ostateczne wytypowanie dwóch najbardziej prawdopodobnych adresów. Tak aby zaatakować z całkowitego zaskoczenia.

– Jeśli mamy pewność co do rejonu działania, to może warto zastanowić się nad szeroko zakrojoną obławą? – zasugerował prokurator, który swoim milczeniem nie chciał wzbudzać podejrzeń pozostałych członków grupy. – Gdy zaczniemy zaciskać pętlę, to na pewno nam się nie wymknie.

– Niestety. Dziś otrzymałem spóźnioną informację z zaginionych. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że sprawca może przetrzymywać kolejne potencjalne ofiary.

– Kogo?

– Przynajmniej czterech mężczyzn o profilu zbliżonym do Kowalskiego i Borucha, którzy zaginęli w ciągu ostatnich trzech miesięcy. W związku ze śmiercią Malinowskiej, a co za tym idzie, ze zmianą modus operandi sprawcy lista jeszcze się wydłuża. W chwili obecnej mamy aż siedemnaście niewyjaśnionych zniknięć młodych kobiet, w tym sześć od początku wakacji.

– Czyli precyzyjne uderzenie? – mruknął Lis.

– Wyłącznie. Dwa zespoły antyterrorystów będą gotowe w ciągu pół godziny. Liczę, że do północy uda nam się namierzyć miejsce przebywania tego sukinsyna.

– To mało czasu – rzucił Warszawski.

– Więc lepiej bierzcie się do roboty.

– Jeszcze jedno… – Lis nie kalkulował i postanowił iść na konfrontację. – Nie odpowiedziałeś na pytanie, Romek…

– Igor Brudny jest wolnym człowiekiem i może robić, co chce.

– Ostatecznie wyłączyłeś go z kręgu podejrzanych?

– Nie ma świętych ani ludzi poza podejrzeniem. Ty, Krzysztof, powinieneś to wiedzieć najlepiej.

Lis zamilkł. Chwilę później w gabinecie Czarneckiego rozpoczęła się burza mózgów.

Rozdział 38

Nietków przywitał gości martwą ciszą. Domostwa spowijała gęsta mgła, która leniwie przelewała się przez dachy chałup i otulała je białym całunem. Skąpane w żółtawym, rozproszonym przez mgłę blasku latarni, zdawały się kołysać i falować, jakby pragnęły zahipnotyzować potencjalnych wędrowców.

Terenowy nissan patrol sunął powoli wzdłuż rozpadających się chałup. Brudny bacznie obserwował okolicę. Gdzieś zaszczekał pies, w domu na lewo zgasło światło. Panowała niemal kompletna cisza. Na ganku jednej z posesji postawny mężczyzna o sumiastych wąsach palił papierosa. Stał nieruchomo, powiódł wzrokiem za samochodem, ale nie zareagował. Na płocie następnej posesji siedział kot i świecił oczami, a zgarbiony cień za oknem groźnie wymachiwał palcem. Gdzieś z oddali dochodziły pijackie przyśpiewki w stylu „kto z nami nie wypije”. Serce wsi biło powolnym, starczym tempem, nic sobie nie robiąc z wizyty komisarza stołecznej policji i jego terenowego smoka.

Gdy z zawiesistego oparu wyłoniła się wieża kościoła, Brudny nacisnął hamulec. Pomyślał o proboszczu Klichu, ale na płot, przy którym przystanął, rzucił się słusznych rozmiarów wilczur. Zaczął warczeć, toczyć pianę z pyska i szarpać drucianym ogrodzeniem. Wtedy odezwał się kolejny pies. I następny. Po chwili ujadały już w całej wsi, a gdy księżyc na chwilę przebił się przez chmury i rzucił blask na skąpane we mgle chałupy,

gdzieś w oddali jeden z kundli zawył jak wilk. Jakby nawoływał resztę stada, jakby zwęszył ofiarę, jakby ruszył na łowy.

Brudny wzdrygnął się i puścił sprzęgło. Nawet gdyby chciał zajrzeć do kościoła lub na plebanię, nie starczyłoby mu czasu. Spojrzał na zegarek. Do spotkania pozostały dwadzieścia dwie minuty.

Nawigacja pokierowała go na drugi koniec wsi, następnie wąską asfaltówką w dół, w kierunku rzeki. Gdy minął ostatnie zabudowania, jego oczom ukazał się niezwykły widok. Przystanął, aby ocenić sytuację. Pola poniżej dosłownie tonęły w gęstej jak mleko mgle. Wszystko wyglądało prawie tak samo i o zgubienie drogi nie było trudno. Pomyślał, że na własne życzenie pcha się prosto w pułapkę. Mimo to puścił sprzęgło, zostawił za plecami cywilizację i powoli zanurzył się w mlecznej zawiesinie. W jednej chwili widoczność spadła do maksymalnie dziesięciu metrów. Nie pamiętał tak gęstej mgły. Przez blisko minutę poruszał się wzdłuż zalesionego obszaru, starając się unikać nisko zawieszonych konarów, które od czasu do czasu stukały w szyby i dach. Po kolejnych stu metrach dziurawy asfalt zmienił się w rozmiękłe po ulewie grzęzawisko. Wtedy skontrolował GPS. To, co widział przed maską, nie przypominało już drogi, ale nawigacja jasno wskazywała, że ma jechać dalej.

W duchu podziękował, że ma taki, a nie inny gust i przez kolejnych kilkadziesiąt metrów jego nissan patrol przedzierał się przez pełne głębokich kolein błocko, aż dotarł do wysokiego na pięć metrów wału. Brudny delikatnie podkręcił obroty i choć nie bez problemów, ostatecznie wdrapał się na górę. Odetchnął i przetarł dłonią spocone czoło. Znalazł się na szczycie wału, tuż ponad mlecznym oparem. Otworzył okno. Powietrze niemal stało. Nie grały świerszcze, nie szumiały trawy. Czarne niebo. Paraliżująca umysł cisza. I upiorny, biały ocean, który rozciągał się aż po horyzont.

Brudny spojrzał na ekran nawigacji. Do celu pozostało pięćset metrów. Droga prowadziła po szczycie wału. Na jej końcu znajdowały się tory i unoszący się nad morzem bieli stary most kolejowy. Wyglądał, jakby lewitował niczym w jakiejś fantasmagorycznej przestrzeni obcej planety. Z jednej strony widok zapierał dech w piersiach, z drugiej wzbudzał niepokój, mimo to kusił i przyciągał.

Brudny poczuł mrowienie w palcach stóp. Chwilę później przeszedł go gwałtowny dreszcz, po którym nieoczekiwanie spłynęły na niego spokój i ulga. Niezwykle intensywne. Takie, jakich nie doświadczył od lat. A może nigdy w życiu. Jak w ciepłym domu. Jak w rodzinie.

Wzdrygnął się i wysiadł z samochodu. Wyciągnął z płaszcza zmiętą paczkę papierosów i zapalił jednego. Pragnął oczyścić umysł z nieproszonych myśli i niechcianych doznań. Miał jeszcze dwanaście minut. Na szczycie wału był doskonale widoczny, ale nie miał zamiaru się ukrywać. Chciał, aby przeciwnik go zobaczył. Oparł się o maskę i raz jeszcze przeanalizował sytuację. Plan był bardzo ogólny, więc Brudny wiedział, że będzie musiał improwizować. Zdać się na instynkt. I liczyć, że Julka go nie zawiedzie.

Pomyślał o Oksanie. Uświadomił sobie, że znaczy dla niego więcej, niż przypuszczał. Nigdy nie chciał tego przyznać nawet przed samym sobą, ale ta Ukrainka wprowadziła w jego życie coś, czego – chyba nawet nie zdając sobie z tego sprawy – szukał przez całe życie. Ofiarowała mu uczucia. Masę silnych i dobrych emocji i to właśnie dzięki nim powoli zaczęła rozbijać kokon, w którym zamknął się przed laty. Nie był głupi. Wiedział, że sam zbudował ten mur, i nikt nie musiał mu tego uświadamiać. Nie potrzebował do tego psychoanalityka ani wujka Google’a.

Oka gdzieś tu była. Zapewne w promieniu kilku kilometrów. Uwięziona, spętana, przerażona. Czekała na niego. On był jej jedyną szansą na ratunek.

I nie mógł jej zawieść.

Brudny zaciągnął się po raz ostatni i pstryknął niedopałek w mleczną toń. Wsiadł z powrotem za kierownicę i przekręcił kluczyk. Silnik wydał groźny pomruk i po chwili samochód ruszył po szczycie wału, kołysząc się w głębokich koleinach. Do celu dotarł po minucie. Pokonał jeszcze coś na wzór miniprzełęczy spowitej gęstą mgłą. W końcu zatrzymał się pięć metrów przed torami. Spojrzał na zegarek. Trzy minuty do północy.

Nie był pewny, czy opuszczać pojazd, ale uznał, że lepiej będzie zorientować się w topografii terenu. Dobre rozpoznanie należało do absolutnie kluczowych elementów składowych każdej starannie zaplanowanej akcji. On nie miał komfortu, aby się przygotować. Nie znał okolicy, był bez wsparcia. Przeciwnik zaś znał jego największą słabość i trzymał go w garści, dlatego musiał tańczyć tak, jak tamten mu zagra. Komisarz uznał więc, że wobec całego tego szajsu nie zaszkodzi choćby rzucić okiem na najbliższe otoczenie.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Ze zdumieniem stwierdził, że gęsta mgła sięga mu prawie do kolan. Zrobił kilka kroków w stronę torów, które znajdowały się nieco wyżej niż opony zaparkowanego patrola. Z ulgą przyjął fakt, że uwolnił stopy od zawiesistego oparu, który sprawiał wrażenie, że za wszelką cenę pragnie go wchłonąć.

Wtedy w kieszeni jego płaszcza odezwał się smartfon. Odebrał.

– Witaj… bracie. – Zachrypnięty głos przywitał się w dość zaskakujący sposób.

– Nie jestem twoim bratem – odwarknął Brudny, choć naszła go oczywista myśl. Filip Trochan był jego bratem…

Głos cicho zarechotał.

– Jesteś sam?

– Tak.

– Średnio ci ufam.

– To chyba jest nas dwóch.

Zachrypnięty głos zarechotał jeszcze bardziej zjadliwie.

– Odwróć się w stronę mostu i spójrz na lewo. Powinieneś widzieć opadającą na pole ścieżkę.

Brudny dostrzegł coś, co przypominało niknącą we mgle drogę.

– Widzę.

– Ustawisz samochód w tym kierunku i wrzucisz luz. Następnie popchniesz go tak, aby się zsunął. Poniżej są mokradła i gdy usłyszysz chlupot wody, odczekasz minutę i pójdziesz w kierunku torów.

– Mam utopić samochód? – Brudny poczuł, że traci grunt pod nogami.

– A masz z tym jakiś problem? – Ton mężczyzny się zmienił. – Jeśli zechcę, to zaraz każę ci wsadzić sobie konar w dupę i się nim wyruchać.

– Dobrze. Ty tu jesteś szefem. Utopię samochód i pójdę w kierunku torów.

– Tak lepiej… A więc pójdziesz w stronę torów. Tam znajdziesz kajdanki, które sobie założysz. Potem uklękniesz i będziesz czekał na dalsze instrukcje. Aha… bym zapomniał… – Mężczyzna po drugiej stronie cmoknął paskudnie. – I jeśli masz ze sobą jakąś broń, wyrzuć ją. Nie muszę ci mówić, co zrobię z tą ślicznotką, gdy dowiem się, że próbowałeś mnie okłamać…

Połączenie zostało przerwane. Brudny ledwo się powstrzymał, aby nie zakląć. Na pace patrola leżała Julka. We wnęce podwozia, dodatkowo przykryta grubą warstwą koców, zdawała się bezpieczna i – póki ktoś osobiście nie zacząłby grzebać w środku – niewykrywalna. Jej obecność była oczywiście ryzykownym posunięciem, ale jedynym dającym gwarancję, że komisarz nie zostanie sam. Przeciwnik nie był jednak głupi. Utopienie samochodu pozwalało pozbyć się wszystkich ewentualnych

problemów, od potencjalnych pomocników po wszelką elektronikę, która miała to do siebie, że z wodą wybitnie się nie lubiła.

Brudny skarcił się w myślach. Przecież byli nad rzeką. Mógł przewidzieć taki ruch przeciwnika. A teraz na poczekaniu musiał wykombinować, jak utopić samochód, nie topiąc Julki.

Rozejrzał się wokół. Ten facet gdzieś tu był. Krył się we mgle. Znał teren, każdy pagórek, krzak i drzewo. Wiedział, gdzie jest naprawdę grząsko, ale potrafiłby też bez problemu znaleźć ścieżkę przez mokradła z opaską na oczach. Tak, on był stąd. Tu się wychował i tu jako dzieciak kroił pierwsze ofiary. Najpierw żaby, potem gryzonie, koty, psy. Te pola były jednym wielkim cmentarzyskiem. Pola śmierci. Jego królestwo. Jego dom.

Brudny poczuł jego obecność. Jego gniewny wzrok dosłownie palił go w plecy. Odwrócił się, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Żadnego ciemniejszego punktu, który gwałtownie znika we mgle. Najmniejszego ruchu mlecznego oparu. Tylko upiorna cisza.

Otworzył drzwi samochodu i wsiadł do środka. Czuł na sobie wzrok mordercy, dlatego nie czekał. Włączył silnik i zaczął cofać.

– Muszę utopić samochód – szepnął. – Wytrzymaj tak długo, jak się da, a potem wyjdź przez okno. W ostateczności masz pod ręką saperkę.

Nie doczekał się odpowiedzi, ale też jej nie oczekiwał. Julka wiedziała, na co się pisze. Nie z takich tarapatów wychodziła. To była silna i twarda kobieta.

Brudny ustawił samochód w taki sposób, aby bez użycia siły spokojnie spuścić go ze wzniesienia. Teren był grząski, a patrol ciężki jak czołg, dlatego taka operacja wcale nie była tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Gdy wrzucił luz, terenówka stoczyła się jednak ze skarpy z niezwykłą łatwością. W pewnym momencie po prostu zniknęła we mgle. Znikającemu

cieniowi towarzyszyły trzaski łamanych gałęzi oraz szuranie o podwozie krzaków i traw. Potem rozległ się plusk i chluśnięcie wdzierającej się do wnętrza wody. Chlupot, bulgotanie, znowu chlupot. Gdzieś w oddali jakiś wodny ptak zerwał się do lotu. I cisza.

Głucha, niepokojąca, obezwładniająca. Brudny omiótł spojrzeniem mleczny ocean. Żadnego ruchu. Mimo to wyciągnął zza paska walthera i cisnął nim jak najdalej. Pistolet też zniknął w bieli. Gdzieś z oddali dobiegł kolejny plusk. Brudny poczuł się nagi bez broni, ale nie mógł ryzykować. Musiał wykonywać polecenia.

Ruszył w kierunku torów. Pomiędzy szynami rzeczywiście leżały kajdanki. Błysnęły w świetle księżyca, który na chwilę przedarł się przez chmury i skąpał okolicę w bladej poświacie. Dopiero co kupione, pomyślał. Morderca wszystko bardzo dokładnie zaplanował. Nie zastanawiając się długo, zapiął obejmy najpierw na jednym, a następnie drugim nadgarstku. Wcześniej czuł się nagi, teraz stał się bezbronny. Nie ruszał się przez chwilę w nadziei, że wykombinuje coś na poczekaniu, ale wtedy ogarnął go strach. Prawdziwy, pierwotny lęk. Tylko jedna rzecz wzbudzała w nim takie przerażenie.

Cień.

Zacisnął zęby i pięści, aby się opanować. Bzdura, pomyślał. We mgle nie krył się żaden cień. Żadna rozmazana twarz. To były tylko imaginacje dziecięcego umysłu. Teraz wróciły, ale wciąż były złudzeniem, efektem traumy sprzed lat.

W tej ciszy cień słyszy mój strach. Słyszy bicie mojego serca, pomyślał. Tracił panowanie nad sobą. Ile jeszcze miał czekać?

W kieszeni płaszcza znów zabrzmiał dzwonek telefonu. Wibrujący dźwięk przyjął z ulgą. Nie bez problemów wyciągnął komórkę i przyłożył do ucha.

– A teraz uklęknij metr przed torami i załóż ręce za kark. Zamknij oczy i czekaj – rozkazał głos.

Brudny posłuchał polecenia. Gdy tylko ukląkł, w oddali usłyszał przeciągłą syrenę. Obrócił się w tym kierunku. Daleko na horyzoncie, pomiędzy drzewami posępnego lasu, nieśmiało migotało niewielkie światełko. Z każdą kolejną sekundą stawało się coraz większe, a wraz z nim wzbierał charakterystyczny szum. Nadciągający pociąg wyglądał, jakby unosił się w powietrzu, jakby sunął wśród chmur. Było w tym coś niepokojącego i złowieszczego. Następna syrena sprawiła, że Brudny poczuł, jak drżą mu bębenki. Chwilę później lokomotywa, a następnie kolejne wagony zaczęły migać mu przed oczami niczym klatki starego czarno-białego filmu.

Zza chmur znów wyłonił się księżyc i posrebrzył mleczną otchłań. Sprawił też, że na wagonach mignął czyjś cień. Raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty. Z każdym kolejnym wagonem kształt rósł, a jego kontur się wyostrzał. Gdy znalazł się tuż za plecami Brudnego, komisarz pomyślał, że bez sensu się oszukiwał. Zanim otrzymał cios w potylicę, zrozumiał, że cień mordercy wygląda dokładnie tak samo, jak postać z jego najgorszych koszmarów.

* * *

Szum nadciągającego pociągu zamienił się w charakterystyczny łoskot, gdy tylko lokomotywa wjechała na stary most. W tym czasie nissan patrol osiadł na mulistym dnie sadzawki. Z tafli wystawał tylko kawałek dachu, a kabina wypełniła się lodowatą wodą.

Zawadzka trzymała usta przyciśnięte do tapicerki. Oddychała płytko i szybko. Niewielka bańka powietrza tuż przy dachu pozwoliła jej przetrwać, ale czasu zostało niewiele. Temperatura wody wynosiła tylko

kilka stopni i dłuższe przebywanie pod powierzchnią groziło hipotermią. Julka doskonale to rozumiała. Widziała ludzi po wypadkach, którzy ledwo uchodzili z życiem z tonącego pojazdu. Albo i nie.

Wiedziała, że w tej ciszy każdy gwałtowny ruch mógł zdradzić jej obecność, ale hałas wywołany przez przejeżdżający pociąg dawał szansę opuszczenia samochodu bez ryzyka wykrycia. Dlatego chwyciła się przedniego fotela i zanurkowała w kierunku deski rozdzielczej. Spróbowała otworzyć masywne drzwi, ale napór wody jej to uniemożliwił. Wynurzyła usta, aby nabrać powietrza. Do dachu brakowało nie więcej niż pięć centymetrów. Poczuła wzbierającą adrenalinę. Była przekonana, że samochód osiadł na dnie, ale najwyraźniej wciąż powoli osuwał się w głębię. Spróbowała przecisnąć się przez uchylone okno po stronie pasażera, lecz i to okazało się niemożliwe. Pomyślała, że robi się naprawdę nieciekawie, bo mętna woda dodatkowo utrudniała orientację. Zanurkowała ponownie i namierzyła uchwyt do otwierania szyb, w duchu dziękując Brudnemu za jego surowy sznyt. Zaczęła kręcić, ale ze zdumieniem stwierdziła, że nie ma tyle siły. Mechanizm musiał się zaciąć albo…

Odwróciła się gwałtownie i raz jeszcze przyłożyła usta do tapicerki dachu. Dwa centymetry. Nabrała powietrza i zanurkowała, żeby po omacku poszukać saperki. Znalazła ją, chwyciła i grzmotnęła nią w na wpół otwarte okno. Bez skutku. Uderzyła kolejny raz. Szyba pękła, a przy następnym walnięciu posypała się. Poprawiła raz jeszcze, by pozbyć się resztek szkła, i wsunęła się w otwór. Tym razem zmieściła się, choć podczas przeciskania rozcięła sobie z tyłu udo. Gdy wynurzyła się na powierzchnię, nie myślała jednak o bólu. Była zbyt zdezorientowana i przerażona, widząc wokół siebie jedynie gęsty jak mleko opar. Pociąg właśnie niknął gdzieś w oddali, a szum, jaki za sobą pozostawiał, cichł z każdą kolejną sekundą. Gdy poczuła grunt pod nogami, znów zapadła głucha cisza.

Trzęsła się jak osika i miała wrażenie, że zaczyna tracić czucie w palcach. Mimo to jak najciszej wyczołgała się na brzeg. Szelest traw mógł ją zdradzić, dlatego położyła się na plecach i próbując zapanować nad zgrzytaniem zębami, wsłuchiwała się w odgłosy ze wzniesienia. Po raz ostatni nad polami poniosła się syrena pociągu, który musiał być już gdzieś daleko za mostem.

Wtedy usłyszała kroki. Ktoś do niej schodził. Stopy przybysza zagłębiały się w grząski grunt, a następnie z chlupotem wyrywały się z jego objęć, ugniatały i łamały trawy, płosząc drobne gryzonie. Przez moment pomyślała, żeby poinformować Brudnego, gdzie się znajduje, ale szybko dotarło do niej, że zrobiłaby najgłupszą rzecz, jaką tylko można sobie wyobrazić. Bo przez nadrzeczne chaszcze nie przedzierał się Brudny. Do Julki zbliżał się psychopata, który kobietom na żywca zrywał skórę z twarzy.

Zatrzymał się w odległości, z której mogła dostrzec w bieli jego falujący cień. Stanął na brzegu i omiótł wzrokiem miejsce, gdzie zatonął patrol Brudnego, następnie przykucnął i przyjrzał się śladom opon prowadzącym do wody. Zawadzka wstrzymała oddech i błagała w myślach, aby zaraz intruz nie pochylił się nad nią i nie wyszczerzył zębów w paskudnym, triumfalnym grymasie. Znajdował się trzy metry od niej i tylko fakt, że leżała plackiem w gęstej mgle, sprawiał, że mogła być dla niego niedostrzegalna. Strach ją paraliżował, mimo to drżącą dłonią sięgnęła do kabury.

Wtedy mężczyzna zamachnął się, a w oddali rozległ się plusk. Coś wyrzucił. Co takiego? Nie dbała o to. Próbowała odpiąć zamek kabury, ale nie czuła palców. Cień jeszcze przez moment stał nad brzegiem rzeki, w końcu chrząknął paskudnie, splunął i odszedł. Zanim się zorientowała, szelest traw stał się ledwo słyszalny i odgłos kroków umilkł. Zamknęła

oczy i wzięła kilka głębszych wdechów. Gdy uniosła powieki, omal nie wrzasnęła. Tuż przed jej twarzą siedziała żaba i patrzyła się na nią, jakby kobieta była co najmniej istotą z innej planety. Po chwili zarechotała jej do ucha i odskoczyła w sobie tylko znanym kierunku.

Zawadzka patrzyła w ciemne niebo i cała drżała. Miała wrażenie, że chłód wdziera się w każdą komórkę ciała, a jej oczy zaraz zamienią się w dwa kryształki lodu. Przestała myśleć, skupiła się na przetrwaniu. Gdy jednak zrozumiała, że zaczyna tracić czucie w palcach stóp, opamiętała się. Nie była pewna, ile czasu minęło od momentu, gdy wyszła z tonącego samochodu, ale podejrzewała, że niewiele. Góra pięć minut. Dwie, może trzy od momentu, w którym widziała mordercę.

Morderca. Właśnie. Po niego tu była. Aby go dopaść i zakuć w kajdanki.

Poza tym ktoś bardzo na nią liczył.

– Wstawaj, Zawadzka – szepnęła, dodając sobie animuszu i podpierając się łokciami. – Jesteś twardą suką i sobie poradzisz.

Usiadła. Była mokra, ubłocona i z trudem panowała nad emocjami. W butach chlupotała jej woda. Ściągnęła je, następnie kurtkę i bluzę. Ze stanika wyciągnęła nadajnik, w tej chwili już bezużyteczny. Drugi utonął w samochodzie, więc zostali sami. Dotknęła palcem policzka. Twarz miała pokrytą śliską i wyjątkowo nieprzyjemną w dotyku mazią, która dodatkowo strasznie cuchnęła. Wstała. Spróbowała rozejrzeć się, ale widoczność była fatalna. Otulała ją mgła. Gęsta jak mleko. Jakby chciała ją zatrzymać raz na zawsze, jakby Zawadzka znalazła się po drugiej stronie lustra. Mimo to ruszyła w górę wzniesienia, momentami na kolanach, wpijając palce w grząski grunt. W końcu wyłoniła się ponad biały opar i dotarła na szczyt wału.

Rozejrzała się po okolicy. Było pusto i cicho. Tylko baśniowy, choć w swej naturze złowieszczy pejzaż nadodrzańskich pól skąpanych

w oceanie niekończącej się bieli. Daleko na horyzoncie kilka migoczących punktów sygnalizowało obecność cywilizacji, a gdzieś w oddali poniósł się przeciągły dźwięk klaksonu.

Zawadzka się skupiła. Musiała działać. Potarła zmarznięte dłonie i dotknęła skroni. Na jednej wyczuła paskudne zgrubienie i natychmiast zerwała pijawkę, która na szczęście nie zdołała przyssać się na dobre. Gdy pozbywała się kolejnej przyklejonej do karku, księżyc znów przebił się przez chmury i rzucił blade światło na okoliczne pola. Wtedy jej spojrzenie przykuł jakiś ruch. Daleko na wale.

To był mężczyzna. Poruszał się ciężko, jakby niósł na plecach spory ciężar. Zmrużyła oczy, wyostrzając wzrok. Dostrzegła, że przez ramię ma przerzucone ludzkie ciało.

Wyszczerzyła zęby. Odkleiła trzecią pijawkę, która przylgnęła u nasady szyi. Wyrzuciła ją w mleczną toń, następnie sięgnęła do kabury i sprawdziła broń. Pistolet był mokry i trochę brudny, ale wyglądał na sprawny. Przeładowała go. Wtedy poczuła, jak spływa na nią wulkan endorfin.

Została sama, bez wsparcia. Ale morderca jej się nie spodziewał. Był pewny swego. I nie miał pojęcia, że od teraz to on stał się zwierzyną. Chwilę później ruszyła wałem w ślad za upatrzoną ofiarą.

Rozdział 39

Oksana Szczypenko ocknęła się. Poczuła, jak w jej nozdrza z impetem wdziera się odrażający odór gnijącego mięsa, uryny i kału. Ledwo opanowała odruch wymiotny.

Nie miała zamiaru się oszukiwać. Od pierwszej sekundy wiedziała, że jej sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Pamiętała wszystko, także moment, gdy ten potwór przyniósł odrąbaną głowę kolejnej ofiary i wrzucił ją na pakę, gdzie ona leżała związana obok jakiejś nieprzytomnej kobiety. Wciąż sącząca się z szyi krew spryskała jej oczy, a ona miała wrażenie, że ten bezimienny nieszczęśnik wpatruje się w nią martwymi ślepiami. Była przerażona, ale wiedziała, że musi być silna. Tylko siła mogła sprawić, że przetrwa. Tak jak kiedyś, gdy po raz pierwszy przyjechała do Polski. Wtedy też została ubezwłasnowolniona. I gdyby nie wykazała się sprytem, zimną krwią i wolą przetrwania, dziś pewnie już by nie żyła, w najlepszym wypadku zostałaby tanią prostytutką dla kierowców ciężarówek przemieszczających się na wschód od Polski. Wtedy uciekła, zanim nieuczciwi pośrednicy pracy sprzedali ją sutenerom. Przez trzy dni błąkała się po lasach i okolicznych wsiach bez pieniędzy, ale w końcu udało jej się skontaktować z przyjaciółką, która pół roku wcześniej wyjechała do Warszawy. Pomógł jej młody człowiek o gołębim sercu, który na plakietce przytwierdzonej do piersi miał napisane Adam i był bardzo nieśmiały. Pracował na jednej ze stacji benzynowych w województwie podkarpackim, choć marzył mu się wyjazd do Anglii. Widząc młodą dziewczynę w takiej

sytuacji, zlitował się nad nią i pozwolił zadzwonić pod jedyny numer, jaki pamiętała. Lena Sirotkina odebrała i zorganizowała jej przyjazd do Warszawy. Na miejscu ją nakarmiła, dała jej dach nad głową i ponieważ poza obowiązkami stricte wynikającymi z umowy o pracę co wieczór obciągała głównemu kierownikowi, z łatwością załatwiła Oksanie zajęcie w jednym z magazynów na obrzeżach stolicy. Nieco później Oksana poznała pewnego przystojnego i tajemniczego policjanta, który przesłuchiwał personel w związku z zabójstwem właściciela zakładu. Zakochała się w nim bez pamięci i choć doskonale zdawała sobie sprawę, że łatwego życia mieć z nim nie będzie, czuła, że Igor Brudny to uczciwy i prawy mężczyzna, a przy tym po prostu dobry człowiek.

Czyżby się pomyliła? Czy to w ogóle miało jakikolwiek sens? Jej głowa pękała od natłoku informacji, których za nic w świecie nie mogła zrozumieć. Dlaczego się tu znalazła? Dlaczego była taka naiwna? Przecież znała prawdę i mogła być ostrożniejsza…

Oddychała ustami szybko i płytko. Postanowiła się rozejrzeć, ale mrok był nieprzenikniony. Ciemność zawsze ją przerażała, zwłaszcza że wtedy zwykle widziała gorzej. Obrazy stawały się niewyraźne, twarze znajomych rozmazywały się, a niegroźne cienie przyjmowały złowieszcze kształty. Wtedy nie pomagały nawet soczewki kontaktowe, które nosiła od osiemnastego roku życia.

Poruszyła obolałą nogą i usłyszała ponury brzęk. Dotknęła okolic kostki, na której wyczuła gruby skórzany rzemień z wmontowanym stalowym oczkiem. Do niego przytwierdzony był łańcuch. Powiodła po nim palcami. Był stary i zardzewiały. Zimny i odstręczający.

Chwytała kolejne ogniwa w napięciu i niepewności. Bała się, co może znaleźć na końcu łańcucha, mimo to brnęła dalej w mrok. W pewnym momencie jej oczy przyzwyczaiły się do braku światła i przestrzeń

wypełniły nieoczywiste kontury. Pełzła wzdłuż łańcucha, aż dotarła do wilgotnej ściany. Dotknęła jej i zahaczyła kolanem o coś na podłodze. Pisnęła lękliwie i odskoczyła od niewiadomego obiektu. Dopiero po kilku głębszych wdechach odważyła się sprawdzić, z czym ma do czynienia. Widziała jakiś zarys w mroku, ale i tak działała po omacku. Dotknęła czyjejś łydki. Była smukła i raczej kobieca. Szczypenko pomyślała o nieprzytomnej nieznajomej z samochodu. Była już tam, gdy ten potwór wrzucił ją do środka. Powiodła dłonią wzdłuż uda, bioder. W pewnym momencie cofnęła rękę. Pomyślała, że może nie powinna. Wyobraziła sobie najgorsze. Ciekawość jednak zwyciężyła i ponownie wyciągnęła smukłe palce w kierunku kobiety. Natknęła się na jej przedramię. W akompaniamencie brzęków łańcucha poczłapała na kolanach w stronę głowy. Dotknęła jej. Twarz pokrywała pajęczyna rozrzuconych i posklejanych włosów, do tego była lepka i Szczypenko od razu pomyślała, że jest ubabrana we krwi. Ale kobieta oddychała. Słyszała cichy świst, jaki wydobywał się z jej ust. Na szyi wyczuła tętno.

– Proszę pani… – zaryzykowała.

Nic. Zero reakcji.

– Proszę pani… – powtórzyła i potrząsnęła jej bezwładnym ciałem. – Czy pani mnie słyszy?

Wciąż tylko cichy świst wydychanego powietrza. Kobieta albo była nieprzytomna, albo głęboko spała. Szczypenko pomyślała, że porywacz musiał ją mocno uderzyć i dlatego nie reagowała. Potężny guz przy lewej skroni i lepka krew pokrywająca większą część twarzy świadczyły, że taki rozwój wypadków był bardzo prawdopodobny. Raz jeszcze spróbowała szczęścia i potrząsnęła ciałem kobiety. Ale nie doczekała się reakcji.

Wtem usłyszała jakiś dźwięk. Na plecach poczuła lodowaty dreszcz. Nie krzyknęła, tylko doskoczyła do ściany i przykleiła się plecami do

wilgotnych cegieł. Zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

Szuranie. Brzęk łańcucha. Ktoś czołgał się w jej kierunku. Pełznął jak robal wiedziony instynktem przetrwania. Otworzyła oczy i dostrzegła zarys czegoś okropnego i skrajnie przerażającego. Dokładnie tak wyglądał strach na wróble w gospodarstwie wuja Aleksieja. Pełzający strach na wróble. Czy na świecie istniało coś bardziej upiornego?

I teraz ten strach na wróble sunął w jej stronę. Słyszała, jak dyszy. Był coraz bliżej. Widziała zarys raszlowego worka, który miał na głowie. W pewnym momencie wyciągnął przed siebie dłoń, rozczapierzył palce i zastygł w bezruchu. Trwał tak przez chwilę, sapiąc jak ranny zwierz.

– Błagam, pomóż mi… – wycharczał i osunął się na betonową podłogę.

Szczypenko patrzyła, jak postać kuli się, słabnie, w końcu opada z sił, a jakikolwiek ruch zamiera. Miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Była skrajnie przerażona, Przez następnych kilkanaście sekund z zaciśniętymi powiekami modliła się, aby strach na wróble nie ocknął się i ponownie nie ruszył w jej kierunku. Nie chciała otworzyć oczu. Bała się, że gdy tylko to zrobi, worek po ziemniakach znajdzie się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy, a ponury żniwiarz wgryzie się w jej tętnicę albo po prostu rozedrze ją na strzępy. W końcu jednak uniosła powieki. Strach na wróble leżał w pozycji embrionalnej niecałe dwa metry od jej nogi. Widziała tylko jego zarys, co jeszcze bardziej napawało ją lękiem. Mimo to postanowiła, że musi zacząć trzeźwo myśleć. Potrafiła być silna i o siebie zadbać. Taka była Oksana Szczypenko.

Jeszcze przez chwilę w myślach dodawała sobie animuszu, po czym wbiła wzrok w mroczną postać skuloną na betonowej podłodze. Jeśli chciała się stąd wydostać, musiała działać nieszablonowo. Przeszukała w ciszy kieszenie nieprzytomnej kobiety, ale nic konkretnego nie znalazła.

Szanse, że klucz znajduje się przy mężczyźnie w worku po ziemniakach na głowie, były minimalne, ale musiała spróbować.

Jak najciszej podkradła się do zwiniętego w kłębek mężczyzny. Głos nie pozostawiał złudzeń, że miała do czynienia z mężczyzną. Była tego całkowicie pewna. Wzrok przyzwyczaił się do mroku na tyle, że zdołała dostrzec za strachem na wróble naciągnięty łańcuch. Wywnioskowała, że nie dopadł do niej tylko dlatego, że zasięg łańcucha mu nie pozwolił. Nie chciała zastanawiać się, co by się stało, gdyby łańcuch miał kilkanaście oczek więcej. Z duszą na ramieniu zbliżyła się do mężczyzny na odległość wyciągniętej ręki. Dotknęła jego koszuli, następnie pomacała okolice kieszeni. Nic nie wyczuła. Uznała, że musi pomyśleć, i już chciała wrócić poza zasięg jego łańcucha, gdy zrozumiała, że pragnie sprawdzić, co kryje się pod workiem. Jeszcze przez chwilę wahała się, ale w końcu ciekawość znów zwyciężyła. Chwyciła włóknisty materiał i zaczęła ciągnąć. Coś go trzymało, odnalazła zatem zawiązany na wysokości szyi sznurek i rozsupłała go. Raz jeszcze chwyciła materiał i zsunęła z głowy nieznajomego.

Gdy tylko to zrobiła, zrozumiała, że to żaden strach na wróble. Jej wzrok przyzwyczaił się wystarczająco do ciemności, aby rozpoznać rysy człowieka, który krył twarz pod raszlowym workiem.

Szczypenko poczuła, jak każdy włosek na ciele unosi się, a jelita skręcają się w supeł.

Wtedy mężczyzna gwałtownie otworzył oczy i usta. W tak głębokim mroku wydawały się czarne jak smoła.

Krzyknęła, ale głos uwiązł jej w gardle. To było szaleństwo. Miała omamy. Wpadała w obłęd.

Chwilę później Oksana Szczypenko zaatakowała.

Rozdział 40

Zawadzka poruszała się po zboczu wału na granicy mglistej tafli. Starała się nie spuszczać wzroku z mordercy kroczącego około stu metrów przed nią, ale nie zawsze było to możliwe. Nie pierwszy raz kogoś śledziła i wiedziała, że musi się pilnować. Nawet jeśli ten facet był przekonany, że nic mu nie grozi, w obecnej sytuacji z pewnością miał się na baczności.

Szedł lekko przygarbiony, ale trudno było jednoznacznie ocenić, czy jego postawa była skutkiem jakiejś kontuzji lub wady w rozwoju, czy po prostu przewieszony przez ramię Brudny coraz bardziej mu ciążył. Jego długi płaszcz sięgał ziemi i Zawadzka mogłaby przysiąc, że wygląda dokładnie tak samo jak ten, który nosił Igor. Z tej odległości nie była w stanie dostrzec jego twarzy, ale miała dziwne wrażenie, że już gdzieś go widziała. Nie potrafiła jednoznacznie określić tego uczucia, ale nie mogła się go pozbyć. Jakby go znała. Jakby to był…

Odrzuciła te idiotyczne hipotezy. Zawstydziła się. One naprawdę zakrawały na absurd.

W pewnym momencie mężczyzna w płaszczu przystanął i gwałtownie obejrzał się za siebie. Zawadzka w ułamku sekundy schowała głowę pod taflą bieli. Z takiej odległości i w takim mroku ryzyko, że ją dostrzeże, było bliskie zeru, nawet jeśli nie zniknęłaby w mlecznym oparze. Musiałby mieć sokoli wzrok, mimo to należało zachować maksymalną ostrożność. Gdy z powrotem wychyliła głowę, zobaczyła, że mężczyzna zniknął z pola widzenia. Zaklęła pod nosem. Mógł się zorientować, że za nim podąża,

i ukryć się, albo po prostu zejść z wału i kontynuować wędrówkę jedną z polnych dróg. Opcja numer jeden brzmiała fatalnie, bo straciłaby przewagę, a do tego w przeciwieństwie do mordercy nie znała terenu. Z łatwością mógłby się na nią zaczaić i zaatakować z zaskoczenia. Opcja numer dwa wydawała się łatwiejsza do przełknięcia, choć zgubienie śledzonego też generowało poważny problem, zwłaszcza że warunki w tropieniu nie pomagały.

Zawadzka przylgnęła plecami do mokrej ziemi. Przyłożyła pistolet do klatki piersiowej i wzięła kilka głębokich wdechów. Musiała zaryzykować. Wątpiła, aby mógł ją dostrzec. Znała się na tej robocie i gdy trzeba było, potrafiła stać się niewidzialna. Ruszyła przed siebie w przeświadczeniu, że morderca po prostu zszedł z wału. Gdy dotarła do miejsca, w którym zniknął jej z oczu, tylko utwierdziła się w tym przekonaniu. Znalazła się na rozdrożu. Mogła iść prosto szczytem wzniesienia albo błotnistą drogą zejść niżej. Prosto w mgłę.

Serce waliło jej jak oszalałe, ale nie zastanawiała się dłużej, niż powinna. Ostrożnie, aby nie stracić przyczepności z grząskim i śliskim gruntem, zsunęła się na dół. W pewnym momencie straciła równowagę i podparła się rękami, które zaryły w gliniaste podłoże. Zaklęła szpetnie. Zdała sobie sprawę, że ogarnęła ją biel. Gdy się podniosła, gdzieś w oddali zawył pies. Odpowiedziały mu inne. Dostała gęsiej skórki. I to nie z powodu zimna, które tak bardzo jej doskwierało.

Mgła opadła i przy gruncie zrobiła się jeszcze gęstsza niż kilkadziesiąt minut wcześniej. Teraz sięgała co najwyżej do piersi, w związku z czym Zawadzka musiała się poruszać pochylona, żeby jej nie zobaczył. Rozejrzała się. Ciemne chmury znów przysłoniły księżyc i ograniczyły widzenie. Ponownie zrobiło się cicho. I ciemno.

Postanowiła, że ruszy wzdłuż drogi, na której końcu ponurą czernią odcinała się ściana lasu. Jeśli morderca dokądś zmierzał, to na pewno wybrał jakąś ścieżkę, bo przedzieranie się przez grząskie pola, które po burzy bardziej przypominały mokradła, dodatkowo z dziewięćdziesięciokilogramowym balastem na plecach, zakrawało na absurd. Poruszała się niemal po omacku, ale wolała nie ryzykować wykrycia. Gdy w końcu dotarła do pierwszych drzew, w głębi łęgu dostrzegła jakiś błysk. Gdzieś w gąszczu pni i konarów przebijało się żółtawe światło. Od razu pomyślała, że to idealne miejsce na norę dla takiego psychopaty. Samotna chałupa, z dala od innych zabudowań, w pobliżu rzeki i lasu. W takim miejscu nikt nie słyszałby krzyków bestialsko mordowanych ofiar.

Kiedy już chciała ruszyć w obranym kierunku, usłyszała wyjątkowo nieprzyjemny zgrzyt. Podobny wydawały stare cmentarne bramy albo nienaoliwione zawiasy. Nasłuchiwała. Odgłos dobiegał zza drzew. Skupiła wzrok. Wtedy go dostrzegła. A w zasadzie tylko jego zarys.

Tylko cień.

Gdy morderca zamknął za sobą drzwi, kurczowo ścisnęła rękojeść pistoletu. Miała sukinsyna. Chwilę później ruszyła w kierunku ponurego domostwa.

* * *

To był odruch bezwarunkowy. Odezwał się instynkt. Oksana Szczypenko biła na oślep, szarpała, drapała i krzyczała. Filip Trochan nie miał sił, aby się bronić, jedynie odruchowo uniósł ręce, aby zasłonić głowę. Grad ciosów go oszołomił, ale w pewnym momencie udało mu się chwycić przedramię napastniczki. Ścisnął je i przyciągnął do siebie, wyhamowując impet ciosów.

– Przestań, kobieto! – syknął, gdy poczuł przypływ adrenaliny.

– Potwór! Jesteś potworem! – krzyczała w amoku Szczypenko.

– O co ci chodzi? – Trochan ścisnął ją za nadgarstki i unieruchomił.

Spojrzał jej w oczy. Na skrytej pod rozczochranymi włosami twarzy malowała się cała paleta uczuć: przerażenie, gniew, zdumienie, szok, niezrozumienie, zawód.

– Dlaczego to robisz, Igor? – zapytała zrezygnowanym tonem po chwili wahania. Spuściła głowę, łkając.

– Igor?

– Dlaczego mnie tak męczysz? Dlaczego mi to robisz?

Trochan zmarszczył brwi. Ciekawość przezwyciężyła strach. Lęk przed tym, co mógłby mu zrobić cień, gdyby dowiedział się, że ściągnął z głowy worek, był ogromny, ale wola życia silniejsza. A teraz oprawcy nie było. Trochan potrafił już wyczuwać jego obecność. Nawet wtedy, gdy siedział w najmroczniejszym zakątku piwnicy. Roztaczał wyjątkową aurę, aż kipiał złą energią.

– Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Jestem tu uwięziony tak samo jak ty. I póki nie ma tego… – Trochan przez chwilę szukał dobrego określenia – …psychopaty, możemy zastanowić się, co zrobić, aby się stąd wydostać.

Szczypenko wybuchnęła płaczem.

– Ty jesteś chory, człowieku! – wymamrotała przez łzy. – Kochałam cię, a ty… Boże, nie rozumiem. Dlaczego, Igor? Dlaczego?

– Jaki Igor? Nazywam się Filip Trochan i jestem ofiarą. Też zostałem porwany. O jakim Igorze mówisz?

– Trochan…? – Szczypenko przypomniała sobie nazwisko, które przez ostatnie dni odmieniano w mediach przez wszystkie przypadki. Igor wiele jej o sprawie nie mówił, ale zdołała od niego wyciągnąć kilka rzeczy. Jedną

z nich było przekonanie, że brat bliźniak nie był mordercą. Odgarnęła z twarzy posklejane strąki.

– Tak się nazywam. Siedzę tu od dobrych kilku dni, może nawet tygodni. Już dawno straciłem rachubę czasu…

– A gdzie jest Igor?

– Nie znam żadnego Igora. Chyba że masz na myśli tego zwyrodnialca.

– Igor nie jest zwyrodnialcem. To policjant i twój brat bliźniak. Kocham go.

– Co? – Trochan zupełnie się pogubił i zaczął tracić cierpliwość. Ta kobieta bredziła.

– A ty jak się tu znalazłeś? – spytała znienacka.

– Ja…

Trochan nie zdążył dokończyć. Usłyszał coś, co sprawiło, że adrenalina chlusnęła do jego żył z siłą tsunami. Strop nad nimi zaskrzypiał ponownie. I znowu. Odgłosy starych desek zawsze były jasnym sygnałem, że cień wrócił. I prędzej czy później zejdzie do piwnicy.

Puścił przedramiona nieznajomej i przyłożył palec do ust na znak, aby zachowała absolutną ciszę, następnie chwycił worek i szybko podczołgał się do przeciwległej ściany. Założył go na głowę i związał sznur na wysokości szyi.

Wtedy usłyszał szczęk zamka i odgłos odsuwanego rygla.

Pomyślał, że jego najgorszy koszmar powraca. Nie miał pojęcia, że jeszcze nawet nie posmakował słowa „koszmar”. Ten miał dopiero nadejść.

Rozdział 41

W biurze Czarneckiego wrzało jak w ulu. Ludzie wymieniali się spostrzeżeniami, dyskutowali, analizowali zdjęcia satelitarne Nietkowa i okolicznych wsi. Porównywali nazwiska z listy wychowanków sierocińca z nazwiskami mieszkańców, dzwonili i odbierali telefony od swoich kontaktów w terenie. Od czasu do czasu ktoś rzucał jakieś nazwisko lub adres. Problemem była natomiast późna godzina, która nie pozwalała na kontakt z pracownikami urzędu cywilnego odpowiedzialnymi za ewentualne zmiany danych osobowych, ale i tak w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Dla Czarneckiego najważniejsze były dwie kwestie. Obserwacja poczynań Lisa i śledzenie nadajnika, w który wyposażył Julię Zawadzką. Ona miała doprowadzić go do mordercy, którego tożsamość znów stanęła pod znakiem zapytania, bo wszystko wskazywało na to, że to jednak nie prokurator, który jak gdyby nigdy nic siedział sobie naprzeciwko i udawał, że zależy mu na rozwiązaniu tej sprawy.

Może Lis miał wspólnika?

Może, ale jego obecność w biurze znów wszystko zagmatwała i inspektor intensywnie zastanawiał się nad tym, czy aby na pewno podjął najlepszą decyzję. W grę wchodziło jednak ludzkie życie. I należało wziąć pod uwagę ewentualność, że do spotkania Brudnego z mordercą jednak nie dojdzie, gdyż prokurator mógł się zorientować, że został namierzony, i podjąć decyzję o nieangażowaniu się w zaplanowaną akcję. Ale i ten kij miał dwa końce. Taka decyzja nie odsuwała od niego podejrzeń, mało tego,

tylko utwierdzała w przypuszczeniach, że może być mordercą. Nikt jednak, nawet Czarnecki, nie odważyłby się aresztować go bez twardych dowodów. Zarówno inspektor, jak i prokurator mieli tego pełną świadomość.

Czarnecki obserwował swoich ludzi. Przyłapał się na tym, że nie ufa już nikomu. Chodził od laptopa do laptopa, analizując postępy w działaniach, stale zerkając na ekran swojego smartfona, który wskazywał bieżącą pozycję Zawadzkiej.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ, a do tej pory jeszcze nikt nie odważył się wskazać choćby jednego adresu mogącego uchodzić za przynajmniej prawdopodobne miejsce nory mordercy. Irytowała go ta sytuacja, bo dwie ekipy uderzeniowe czekały już w pełnej gotowości na rozkazy. Potrzebował przełomu.

– Co ustaliliście, Grzegorz? – zapytał w końcu Zimnego, który wspólnie z Warszawskim nanosił kolejne punkty na mapy satelitarne.

– W promieniu dwudziestu pięciu kilometrów od Nietkowa mieszka prawdopodobnie tylko jeden wychowanek hieronimek, niejaki Bartłomiej Grzęda.

– Gdzie dokładnie?

– W jednym z bloków w Krośnie Odrzańskim. – Zimny zrobił skwaszoną minę.

– Kiepska miejscówka na norę dla psychopaty patroszącego ofiary.

– No… Mało tego, przed chwilą dostałem informację, że to jakiś podrzędny urzędnik. Mąż i ojciec trójki dzieci. Niekarany. Płaci podatki. Nie ma nawet cholernego mandatu za parkowanie.

– A jakieś dodatkowe mieszkanie? Wynajmuje coś? Może jakiś garaż na uboczu?

– Nic z tych rzeczy.

– Jasna cholera! – zaklął Czarnecki, to mu się nie zdarzało w towarzystwie i świadczyło, że zaczynają mu puszczać nerwy.

– Przykro mi, Romek. Gdybyśmy mieli kontakt z urzędasami z cywilnego, to może byśmy jeszcze coś wymyślili, ale bez nich jesteśmy bezradni. Zresztą to i tak by potrwało. Podejrzewam, że większość wychowanków po wyjściu z sierocińca pozmieniała dane osobowe.

– Dobra. Wyślij pod blok tego… – Czarnecki zakręcił nerwowo palcem.

– Grzędy – pomógł Zimny.

– Wyślij do niego kilku tajniaków, ale niech nie wchodzą bez wyraźnego rozkazu. Na razie niech prowadzą obserwację.

– Załatwione.

– I skupmy się na tym Nietkowie. Ogranicz promień poszukiwań do pięciu kilometrów i wskaż mi dwie lokalizacje.

– Czego dokładnie szukamy?

– Domów na uboczu, porzuconych ferm, starych zakładów, podejrzanych gospodarstw. Nie wiem, cholera, miejsca, gdzie swobodnie można kobiecie zerwać skórę z twarzy bez obaw, że ktoś usłyszy jej wrzaski. Zdaj się na policyjnego nosa.

– To będzie… – Zimny powiększył na ekranie mapę satelitarną – … jakieś sześć miejscowości.

– Nie marudź. Przekaż ludziom i bierzcie się do roboty. Ja idę do toalety.

Czarnecki czuł coraz większą presję. Wyszedł z biura i chociaż bardzo mu się chciało, z trudem opróżnił pęcherz. Nie był pewien, czy to efekt stresu, czy przerostu prostaty. Od dłuższego czasu obiecywał sobie, że w końcu uda się do lekarza. Zrobię to, gdy tylko złapię mordercę, pomyślał.

Umył ręce i spojrzał na zegarek. Właśnie wybiła godzina spotkania przy torach. Wychodząc z toalety, zerknął na ekran smartfona. Czerwone punkty znajdowały się dokładnie w umówionym miejscu. Gdy otworzył drzwi do

biura, nagle zniknął jeden z nich. Czarneckiego w jednej chwili zalała fala gorąca. Wtedy zgasł drugi.

Inspektor poczuł, że zaczyna tracić grunt pod nogami. Spotkanie z mordercą musiało jednak dojść do skutku. Mało tego, najwyraźniej Brudny i Zawadzka znaleźli się w niebezpieczeństwie. Z trudem opanował nagły przypływ paniki. Zawsze w krytycznych sytuacjach potrafił zachować zimną krew, ale te okoliczności go przerastały. Spojrzał na Lisa, który prowadził ożywioną dyskusję z Wichą. Jeśli nie on był mordercą, to kim, kurwa jego mać, był?

– Proszę o uwagę! – Czarnecki rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Jego ludzie wiedzieli, co to oznacza. Zamilkli i skupili uwagę na swoim szefie. – Czas się skończył. Morderca wkrótce znów zabije. Mamy w gotowości dwie grupy uderzeniowe i musimy zagrać va banque. Chcę usłyszeć dwa adresy. Gdy wrócę, chcę mieć propozycje na biurku.

– Romek… – wyrwał się Zimny.

– Bez dyskusji. Działamy na bazie tego, co mamy. Krzysztof?

– Mam pewne sugestie, ale… – Prokurator zaczął kluczyć.

– Będę cię potrzebował na dole. – Inspektor chwycił leżące na stole papiery. – Dostałem wiadomość, że na komendę dotarł naczelnik wydziału i może podpisać rozkazy.

– Ale ja przecież nie muszę…

– Krzysztof, chodź, proszę. Nie mam teraz czasu na dyskusje.

Czarnecki chwycił marynarkę i zarzucił ją na siebie, opuszczając biuro. Lis podążył za nim. W ulu znów zawrzało.

Rozdział 42

Zawadzka czuła, że grabieją jej palce. Chuchnęła kilkakrotnie w dłonie i rozmasowała je. Z powrotem wyciągnęła pistolet z kabury.

Zdążyła obejść gospodarstwo, które przypominało popadły w ruinę PGR. Otoczone starym drewnianym płotem, wyglądało w świetle księżyca jak wyjęte z najbardziej ponurej baśni braci Grimm. Naliczyła cztery budynki z czerwonej cegły, w tym dwa podłużne, typowo gospodarcze. One były najbardziej zaniedbane, wszędzie odpadał tynk, a roztrzaskane okna i dziury w dachu przypominały, że ich lata świetności minęły co najmniej dwie dekady temu. Od frontu znajdował się dom, który prezentował się nieco lepiej, a trochę dalej, w północno-wschodniej części, coś, co przypominało oborę. Właśnie obok niej znalazła dziurę w płocie i nie zastanawiając się dłużej, niż to było konieczne, weszła na teren gospodarstwa. Z ulgą przyjęła fakt, że wewnątrz nie kręcił się żaden pies. Skradając się wzdłuż ściany, próbowała znaleźć najdogodniejsze miejsce, aby po cichu wślizgnąć się do chałupy.

Od tylnego wyjścia dzieliło ją dobre pięćdziesiąt metrów otwartego terenu. Niestety, w obrębie posesji mgła była mocno rozrzedzona i nie dało się jej wykorzystać jako osłony. Zawadzka wolała zatem nie ryzykować, zwłaszcza że jak na złość chmury znów się rozstąpiły i podwórze oświetlił blady księżyc. Uznała, że wykorzysta nieużywany budynek gospodarczy, którego południowa ściana sąsiadowała z tylnym wejściem domu. Gdy weszła do środka, uderzył ją potworny smród. Kojarzyła go z chlewu,

w którym jako dziecko karmiła świnie. Nie znosiła tego, tym bardziej zareagowała na odór, który wypełniał wnętrze hali. Był jeszcze intensywniejszy niż ten, który pamiętała. Jakby wszystko wokół gniło.

Wtedy usłyszała chrumkanie. Błyskawicznie odwróciła się i wycelowała w tym kierunku pistolet. Przez moment mierzyła do niewielkiego celu. Pod ścianą stał prosiak i patrzył na nią chwilę, po czym pociesznie pokwikując, zniknął za jakąś konstrukcją. Zawadzka pomyślała, że jeszcze tego brakowało. Wytarła pot ze skroni i ruszyła dalej.

Smród był obrzydliwy i zaczęła mieć obawy, że jej żołądek tego nie wytrzyma. Co gorsza, z każdym kolejnym krokiem wzmagał się, w pewnym momencie osiągając taki poziom intensywności, że Zawadzka przystawiła przedramię do nosa, aby nie zwymiotować. Wtedy coś trzasnęło pod jej prawym butem. Wstrętny dźwięk poniósł się echem po przestronnym wnętrzu. Schyliła się, aby sprawdzić, na co nadepnęła. Chwyciła podłużny przedmiot i wyciągnęła z grząskiej brei, po czym skierowała go w strumień księżycowego światła sączący się przez dziurę w dachu. Gdy tylko zrozumiała, co trzyma w dłoni, jej ciałem targnęły silne torsje. Puściła znalezisko, które z powrotem wylądowało w błotnistym podłożu. Skupiła się na oddychaniu. Nie pomogło i po chwili zwymiotowała.

Fragment ludzkiego kręgosłupa był jeszcze świeży i gdzieniegdzie przywierały do niego resztki mięśni i innych tkanek. Krok dalej leżał mostek z żebrami, metr od nich do połowy obgryziona z mięsa głowa, gdzie indziej ręka lub noga. Zanim Zawadzka się zorientowała, wokół krążyło już kilka prosiaków. Gdy przecinały srebrzystą smugę, można było dostrzec ich czarne ślepia i umorusane ryje. Nie zwracały na nią uwagi, skupiały się na jedzeniu. Ledwo powstrzymała atak paniki i ponownie zwymiotowała. Gdy

dostrzegła, że fragmentów ciał i kości jest znacznie więcej, poczuła niepohamowany przypływ gniewu. Musiała działać.

Odbezpieczyła broń i rozpychając się pomiędzy zwierzętami, ruszyła przed siebie. Starała się nie patrzeć na ludzkie szczątki, które w najróżniejszym stopniu rozkładu walały się po chlewie, udało jej się też zignorować odrażający fetor. Brnęła w mrok z nadzieją, że już wkrótce dopadnie tego, kto za to odpowiada. I zrobi to, co należy. Odstrzeli sukinsynowi ten chory, psychopatyczny łeb.

Gdy dotarła do południowej ściany i namierzyła drzwi wyjściowe, morderca właśnie kończył przygotowania.

Spektakl, na który tak długo czekał, był już prawie gotowy.

Rozdział 43

– Co my, do jasnej cholery, robimy w kiblu? – spytał z wyrzutem prokurator.

– Nie udawaj, Krzysztof. Nie chcę ci robić wstydu przy ludziach.

– Romek, kurwa… – Lis się zaperzył.

– Nie „kurwa”, tylko mów mi prawdę. I dla jasności, nie tylko ja wiem o tym, co ukrywasz, więc jeśli przyjdzie ci jakiś głupi pomysł do głowy, to wiedz, że na pewno się z tego nie wywiniesz.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Wychodzę, bo nie będę brał udziału w tej farsie – warknął prokurator i odwrócił się na pięcie.

– Stój! – Czarnecki ryknął tonem, jakiego przez poprzednie piętnaście lat Lis ani nikt z jego współpracowników na komendzie nie słyszał.

Lis zatrzymał się w pół kroku. Puścił klamkę i powoli się odwrócił. Czarnecki w rękach trzymał pistolet wycelowany prosto w klatkę piersiową prokuratora.

– Teraz będziesz we mnie celował? Zupełnie ci odbiło?

– Mam wystarczająco dowodów na to, aby cię aresztować, choćby za utrudnianie śledztwa.

– Ty naprawdę masz poważny problem, Romek. Odłóż broń i podaj się do dymisji, jeśli ta sprawa cię przerasta.

– Utrudnianie śledztwa, preparowanie dowodów, zatajenie cennych z punktu widzenia śledztwa informacji na temat Brudnego i przeszłości, jaka was łączy. Wolę nie myśleć, co jeszcze…

Tym razem Lis nie skomentował. Rzucił Czarneckiemu wyniosłe spojrzenie i wykrzywił usta w pogardliwym grymasie. Zrozumiał, że to koniec.

– Od jak dawna znasz prawdę? – zapytał mrukliwie.

– Od jakiegoś czasu.

– Brudny ci powiedział czy sam do tego doszedłeś?

– To najmniej istotne. Teraz liczy się to, czy jesteś zamieszany w te morderstwa.

– Nie jestem.

– Krzysztof…

– Nie mam z nimi nic wspólnego. Moja przeszłość to jedno, ale nie jestem mordercą.

– Podrzuciłeś te dowody przeciwko Brudnemu?

Lis z trudem starał się opanować wściekłość. Nie miał jednak wyjścia. Musiał jakoś z tego wybrnąć.

– Czy myślisz, że jestem aż takim idiotą, aby podrzucać dowody świadczące na niekorzyść Brudnego, skoro ten siedział w celi?

– To mnie właśnie w tym wszystkim najbardziej zastanawia. Jestem w stanie zrozumieć, że podrzuciłeś nad rzeką te resztki pizzy i inne śmieci, które zabrałeś z Koloseum, ale do tej pory nie mogę pojąć, dlaczego tak samo postąpiłeś przy Palmiarni.

– Bo to nie ja, Romek. Pamiętasz, jak ostatnio się do mnie przypierdalałeś, że dzwoniłem do Boruckiej w sprawie tych śladów DNA Brudnego?

– No, dzwoniłeś.

– Jak myślisz dlaczego?

– Ty mi powiedz.

– To chyba oczywiste. Chciałem wiedzieć, co to za próbka. Okazało się, że to jakiś pierdolony włos. Takie same znaleźli przy bachusikach i nad rzeką. Nie wydaje ci się to podejrzane?

– Owszem, nawet bardzo. Nie rozumiem tylko, jakim cudem popełniłeś tak szkolny błąd. To amatorszczyzna w…

– Jasna cholera, Romek! – krzyknął Lis. – Nie ja podrzuciłem te pieprzone włosy. Bo niby skąd miałbym je wziąć! Nie wiem, kto to zrobił, i odpierdol się w końcu ode mnie. Nie mam z tymi morderstwami nic wspólnego!

Czarnecki wbił swoje jastrzębie spojrzenie w prokuratora. Analizował nowe informacje, ale z trudem przyswajał kolejne tłumaczenia starego współpracownika. Lis miał naprawdę silną kartę przetargową i umiejętnie się nią posługiwał. Trudno było uwierzyć, że podrzucając dowody nad rzeką, najpierw chciał udupić Brudnego, aby potem strzelić sobie w kolano, podrzucając kolejne, gdy ten już siedział w celi. To nie miało żadnego sensu.

Co najgorsze, inspektor zaczynał mu wierzyć. Lis, wbrew pozorom, nie potrafił kłamać. Kto zatem mógł dysponować takimi dowodami? Kto byłby w stanie dyskretnie zdobyć włosy Brudnego?

Kobieta. Ta myśl przyszła nagle, ale nie zdążyła się nawet rozwinąć. Czy Zawadzka albo Szczypenko mogły brać w tym udział? To zakrawało na absurd. Ale obsługa hotelowa? Czarnecki pomyślał, że zaraz musi wydać rozkaz i wysłać tam ludzi. To jednak nie tłumaczyłoby obecności włosów przy bachusikach, przecież wtedy Brudny przebywał jeszcze w Warszawie.

Mętlik w głowie. Tysiące pytań, które pączkowały jak najbardziej zjadliwy wirus. I stawiały kolejne. Bez odpowiedzi. Kompletny zamęt.

– Przestaniesz w końcu we mnie celować? – spytał prokurator.

Czarnecki opuścił broń, ale nie schował jej do kabury.

– Kim ty, do cholery, jesteś, Krzysztof?

– Nie tym, za kogo mnie bierzesz.

– Wiesz, kim jest morderca?

– Nie, ale chętnie pomogę ci go dorwać, jeśli przestaniesz świrować.

Czarnecki zabezpieczył broń i schował do skórzanej kabury. Poprawił okulary.

– Zanim wrócimy, wiedz, że nie wyrzucam cię z grupy tylko dlatego, że nie mam w tej chwili na to czasu. W grze jest ludzkie życie i tylko to się teraz liczy. Ale gdy wszystko się skończy, możesz być pewny, że wrócimy do tematu.

Lis nie odpowiedział. Chwycił klamkę i wyszedł z toalety. Pomyślał, że ma tylko jedną szansę, aby się z tego wykaraskać. Musi zabić Brudnego.

Rozdział 44

Zawadzka przylgnęła plecami do ściany domu i nadstawiła uszu. Żadnych odgłosów. Okolica zdawała się martwa.

Bezszelestnie przemknęła wzdłuż muru i przykucnęła pod oknem. Obok znajdowały się stare taczki, w których pływała jakaś paskudna breja, metr dalej grabie, łopata, kilka wiader i sterta rozrzuconych cegieł. Na parapecie poustawiano różnej wielkości słoiki, których przeznaczenie pozostawało dla Zawadzkiej zagadką. Każdy był wypełniony ciemnym płynem i potwornie cuchnął.

Zawadzka przycisnęła rękojeść glocka do piersi i dyskretnie zajrzała przez okno. W szybie dostrzegła jedynie własne odbicie. Zaklęła pod nosem. Póki w środku było ciemno, nie była w stanie zorientować się w sytuacji. Musiała zaryzykować. Z niechęcią spojrzała na tylne drzwi chałupy. Nie wyglądały na zaporę nie do pokonania, zwłaszcza że nie miały klamki, po której zionęła dziura. Zakradła się w ich kierunku. Tak jak założyła, były otwarte.

Wzdrygnęła się na myśl, że za nimi może czaić się morderca. Potwór, który z wielką przyjemnością na żywca zdarłby jej skórę z twarzy, a potem po kolei wycinał poszczególne narządy do czasu, aż w nieopisanych męczarniach wyzionęłaby ducha. Potrzeba wykonania policyjnej roboty była jednak silniejsza. To ją charakteryzowało i dlatego nikt ze stołecznych nie śmiał podważać jej kultu pracy. I tego, że miała jaja jak arbuzy, bo

zawsze pierwsza pchała się tam, gdzie wątpliwości miałby zespół uzbrojonych po zęby antyterrorystów.

Wsadziła dwa palce w dziurę po klamce i lekko pociągnęła drzwi do siebie. Wyszczerzyła zęby w grymasie niezadowolenia, gdy zaskrzypiały paskudnie. Nienawidziła tego odgłosu, bo kojarzył jej się z bohaterem najstraszniejszego horroru jej dzieciństwa – Freddym Kruegerem. To dlatego po obejrzeniu *Koszmaru z ulicy Wiązów* zmusiła ojca, aby naoliwił wszystkie drzwi w gospodarstwie, i dlatego, gdy zamieszkała sama, sprawdzała zawiasy przynajmniej raz w tygodniu.

Przystanęła w oczekiwaniu na jakikolwiek znak sugerujący, że gospodarz przybytku dowiedział się o jej obecności. Z wnętrza nie dobiegł jednak żaden niepokojący odgłos. Ciszę wypełnił natomiast jazgot dochodzący z chlewu, gdzie najwyraźniej między zwierzętami doszło do jakiegoś nieporozumienia, bo po serii donośnych chrumknięć i kwików kilka świń w popłochu wybiegło na podwórze. Zawadzka cofnęła się i znów przykucnęła pod ścianą z pistoletem przyciśniętym do piersi. Gdyby zaalarmowany zachowaniem trzody morderca wyszedł teraz tylnymi drzwiami sprawdzić sytuację, mogłaby wycelować mu prosto w plecy.

Morderca się nie pokazał. Może stanął w oknie i obrzucił spojrzeniem podwórze, ale uznał, że to zwykła bójka o smaczniejszy kawałek mięsa? A może był zbyt zajęty oprawianiem kolejnej ofiary? Wariant numer dwa zdopingował Zawadzką do działania. Brudny potrzebował jej wsparcia. I nie mogła go zawieść, tak jak on nigdy nie zawiódł jej. Zacisnęła mocniej palce na rękojeści glocka, z powrotem podeszła do uchylonych już drzwi i pociągnęła je nieco gwałtowniej. Tym razem nie wydały z siebie tak żałosnego jęku. Wślizgnęła się do ponurej sieni i ponownie zastygła w bezruchu. Nasłuchiwała.

Pomyślała, że dobrze jej idzie, ale gdy tylko zrobiła kolejny krok, natknęła się na jakiś przedmiot, który prawie przewróciła. Znów przykucnęła i zdecydowała, że pozbędzie się butów, w których niemal straciła czucie w palcach. Gdy ściągnęła wysokie sztyblety, pozbyła się skarpet i rozmasowała odrętwiałe stopy. Poczuła nagły przypływ chłodu. Nie zimna. Właśnie chłodu. Tak jakby to miejsce od zawsze było pozbawione ciepła. Jakichkolwiek emocji i uczuć. Wszystkiego, co dobre i ludzkie.

Wtedy usłyszała kroki. Dochodziły z głębi domu i nieuchronnie się zbliżały. Pod ich naporem skrzypiały deski. Nabrała powietrza w płuca i wycelowała pistolet w mrok. Zdawał się niezgłębiony, prastary, czarny niczym najbardziej łakoma materii czarna dziura. Na skroniach wystąpiły jej krople potu.

Zawadzka wyostrzyła wszystkie zmysły. Podjęła decyzję, że nie będzie kombinować i gdy tylko nadarzy się okazja, wpakuje cały magazynek w pierś mordercy. Kolejna deska zaskrzypiała tuż za rogiem. Morderca znajdował się za cienką ścianą, dzieliło ich niewiele więcej niż kilka centymetrów zaprawy, cegieł i tynku. Wtedy usłyszała pstryknięcie i ciemność zniknęła. Zamarła, gdy do sieni wpadła smuga światła z głębi domu. Zapadła cisza. Zawadzka położyła palec na spuście i z duszą na ramieniu wychyliła się zza rogu.

To, co ujrzała, sprawiło, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Cofnęła się, bo nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Pojęła koszmar Brudnego. Cień istniał naprawdę. I był nieskończenie zły.

Rozdział 45

Świadomość wróciła.

Brudny gwałtownie zaczerpnął powietrza. Miał wrażenie, że się dusi. Otworzył szeroko oczy, ale ujrzał tylko nieprzenikniony mrok. Od razu pomyślał o Oksanie.

Poruszył się. Na skórze czuł swędzenie powodowane przez gryzący materiał, który ktoś założył mu na głowę. Pamiętał szczegóły śledztwa. Na miejscach porzucenia zwłok zawsze walało się pełno włókien po workach na ziemniaki. On też miał na głowie taki raszlowy worek.

Czuł mrowienie w palcach, ale zorientował się, że nadgarstki nie są skute kajdankami. Zaskoczony uniósł prawą rękę i poruszył nogą. Wtedy usłyszał metaliczny odgłos ciągniętego po betonie łańcucha. Zdał też sobie sprawę, że nie jest sam. Wyczuł czyjąś obecność. Morderca? Trochan? Brat? Cień…?

Musiał wziąć się w garść. Dotknął potylicy. To było bolesne doświadczenie, bo guz, jaki wyrósł mu z tyłu głowy, zdawał się niewiarygodnie wielki. Dodatkowo worek był w tym miejscu mokry i przyklejał się do ciała. Musiał krwawić. I to dość mocno.

Poruszył rękami i nogami. Chciał ocenić skalę szkód, ale na szczęście był w pełni sprawny. Zero złamań, skręceń, brak poważnych uszkodzeń, wyjąwszy prawdopodobne wstrząśnienie mózgu. Uznał, że musi pozbyć się tego cholernego worka i zmierzyć się z rzeczywistością, póki jeszcze ma na to siłę. Wciąż czuł na sobie czyjś wzrok. Z jednej strony to go

deprymowało i sprawiało, że serce przyspieszało, z drugiej – pragnął w końcu poznać prawdę.

Wymacał na szyi konopny sznurek zawiązany na supeł i zaczął go rozplątywać. Chwilę mu to zajęło, ale w końcu dopiął swego. Wtedy zastygł w bezruchu.

– On nie będzie zadowolony, gdy zdejmiesz worek z głowy.

Głos dochodził z naprzeciwka. Był przygaszony, jakby zrezygnowany. Z pewnością nie należał do kogoś, kto chciałby wzbudzić w swojej ofierze strach. Brudny już gdzieś go słyszał, ale w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

– Myślę, że „on” i tak mnie nie lubi – odparł po chwili zastanowienia, starając się, by jego głos brzmiał śmielej niż towarzysza skrytego w mroku.

– Jeśli zdejmiesz ten worek, a on się o tym dowie, to wypruje ci na żywca flaki. Wiem, co mówię.

– A jeśli nie zdejmę, to pozwoli mi żyć?

– Nie wiem. Ja go słucham i żyję. Inni nie słuchali…

– Skąd mam pewność, że to nie ty?

– Nie masz. Ja cię tylko ostrzegłem. Zrobisz, jak chcesz.

Brudny miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje. Ciśnienie w czaszce zdawało się rosnąć z każdym wypowiedzianym słowem, a guz na głowie z każdym uderzeniem serca. Z trudem skupiał się na tym, co mówi nieznajomy. Czuł, jakby nagle ktoś wyciął mu kilka płatów mózgu odpowiedzialnych za odbieranie bodźców i łączenie kolejnych faktów w logiczne związki przyczynowo-skutkowe. To było dla niego nowe doświadczenie, bo zwykle myślał i działał błyskawicznie.

Uznał, że nie może dłużej czekać. Czas zdecydowanie nie działał na jego korzyść. Mimo to jego notowania wciąż nie stały tak nisko, jak mogłoby na to wskazywać obecne położenie. Julka radziła sobie w gorszych sytuacjach.

– Jak długo tu jestem? – zapytał.

– Niedługo.

– Godzinę?

– Mniej niż pół. Chyba. Już dawno straciłem rachubę czasu.

– Widziałeś młodą dziewczynę? Wysoka blondynka. Zaciąga ze wschodnim akcentem.

– On ją zabrał. Całkiem niedawno. Ty jesteś Igor?

Brudny poczuł potężny zastrzyk adrenaliny. Zwykle szybciej połączyłby fakty, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę, skąd zna ten głos.

– Rozmawiałeś z nią?

– Trudno nazwać to rozmową. Rzuciła się na mnie z pazurami i wciąż wymawiała to imię. Igor, Igor, Igor. Tutaj łatwo popaść w obłęd.

– Wiesz, dokąd ją zabrał?

– Zabrał obie.

– Obie?

– Wyciągnął je z celi. Chyba tam gdzie zwykle. Wkrótce je zabije.

Ton mężczyzny przywodził na myśl człowieka, który jest już pogodzony ze śmiercią. To nie mieściło się Brudnemu w głowie. Nigdy nie skapitulował, nigdy nie wywiesił białej flagi. I nie miał zamiaru zrobić tego teraz.

– Nikt już nikogo nie zabije. Nie pozwolimy na to – oznajmił stanowczo.

– Nic nie zrobisz, człowieku.

Brudny uznał, że najwyższy czas skończyć tę absurdalną polemikę. Poluzował konopną linkę i ściągnął z głowy raszlowy worek. Następnie poczłapał na kolanach w kierunku, z którego dobiegał głos. Piwnicę wypełnił szczęk łańcucha.

– Zrobię, a właściwie my zrobimy – odparł, gdy zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki. Wzrok przyzwyczaił się do ciemności na tyle, że był

w stanie dostrzec zarys postaci z workiem na głowie.

– Nie zbliżaj się, człowieku. Nie chcę cię słuchać – wzbraniał się.

– Zamknij się i weź się w garść! – warknął Brudny mocno poirytowany. – Jestem policjantem i…

Nie zdążył dokończyć, gdy otwarły się drzwi do piwnicy, a do wnętrza wdarła się smuga żółtawego światła. Na szczycie schodów stał gospodarz, a jego cień rozciągał się aż na przeciwległą ścianę.

Nienaturalnie wielki i wydłużony. Niekształtny, koślawy, pokraczny. Jak w złych snach.

Ten sam.

Cień bez twarzy.

Ich największy koszmar.

* * *

Mężczyzna z powrotem zaryglował wejście i piwnica znów utonęła w mroku. Pokonał schody w milczeniu. Dyszał ciężko, jakby dopiero co skończył rąbać drwa na zimę. Z każdym oddechem z otworu wyrżniętego w worku na ziemniaki unosiła się mgiełka, w dwóch mniejszych kryły się ciemne, głęboko osadzone oczy.

Brudnemu serce podeszło do gardła. Jeszcze nigdy nie bał się tak bardzo. Śledził kolejne kroki człowieka w raszlowym worku na głowie, ale nie zdobył się na odwagę, aby wypowiedzieć choćby słowo. Żaden dźwięk w tej chwili nie przeszedłby mu przez gardło. Zastygł zupełnie, gdy cień stanął przy kratach i objął je swoimi nieforemnymi, rachitycznymi palcami. Dostrzegał tylko jego zarys, kontur postaci, co było tym bardziej przerażające, że odnosiło się wrażenie, iż mężczyzna widział w ciemności nie gorzej niż kot. Stał i patrzył. Bez słowa. Jakby napawał się strachem obu facetów, którzy na sam jego widok srali pod siebie.

Brudny nie był pewny, jak długo to trwało, ale wzdrygnął się w momencie, gdy mężczyzna nagle puścił kraty i odszedł w kierunku najciemniejszego piwnicznego kąta. Pomimo usilnych starań Brudny nie zdołał utrzymać z nim kontaktu wzrokowego. Cień rozpłynął się w mroku. Pozostawił po sobie jedynie drażniący nozdrza zapach amoniaku.

Przez najbliższą minutę z ciemnego kąta dochodziły przeróżne odgłosy. Każdy z nich w obecnej sytuacji wydawał się skrajnie upiorny i przerażający. Tu coś zastukało, tam zabrzęczało, gdzie indziej plasnęło. Mężczyzna zaczął coś szorować, ale naprawdę strasznie zrobiło się wtedy, gdy z głębi poleciały pierwsze iskry. Piwnicę wypełnił ostry, świdrujący uszy odgłos tarcia metalu o metal.

Morderca przygotowywał się do pracy. W pełnym skupieniu wecował kolejne ostrza. Bez pośpiechu. W milczeniu.

W pewnym momencie przestał. Wilgotne mury wchłonęły ostatnie dźwięki i zapadła głucha cisza. Brudny pomyślał, że nie może dalej zachowywać się jak dziecko. Czuł się zawstydzony. Już dużo wcześniej powinien otworzyć usta.

– Czego ode mnie chcesz? – rzucił w mrok. Odpowiedziała mu cisza. – Chciałeś mnie, to masz. Wypuść kobietę i powiedz, kim jesteś – dodał bardziej stanowczo.

Ciemność odpowiedziała cichym, szyderczym rechotem.

– Nie zasłużyliście…

I chrypiący oddech.

Brudny wstał i zbliżył się do krat. Musiał przełamać lęk, w innym razie był już zgubiony. Chwycił zimne pręty.

– Jeśli kiedykolwiek coś ci zrobiłem, postaram się ci to wynagrodzić. – Brudny nie liczył na wiele, ale pomyślał, że warto spróbować. Nigdy nie

wiadomo, jak zareaguje psychopata. – Ale najpierw wypuść kobietę. Inaczej…

– Nie masz nic do gadania, glino… – wychrypiała ciemność. – Jeśli zechcę, to zaraz obedrę ją ze skóry i wypruję jej na twoich oczach wszystkie flaki. I nic nie będziesz mógł zrobić.

Brudny zacisnął zęby i palce na prętach. Pierwsze podejście nie wypaliło. Co gorsza, cień miał rację. Nic nie mógłby zrobić. Ale zanotował jedną, niezwykle ważną rzecz. O ile kilka minut temu mało brakowało, aby ze strachu przed dziecięcym koszmarem puściły mu zwieracze, o tyle teraz cień nabrał ludzkiego wymiaru. To był człowiek z krwi i kości. I można go było zranić, a następnie zabić.

– Dobrze. Masz rację. Przepraszam. – Brudny postanowił spróbować inaczej. Musiał grać na czas. – Czy masz jakieś imię? Jeśli już rozmawiamy, jak mam się do ciebie zwracać?

Przez chwilę ciemność milczała.

– Przez lata nadawano mi wiele imion. Gdy wy… argh! – wyrzęził nerwowo człowiek w mroku. – Nie zasłużyliście na to wszystko. Ta kurwa wszystko zniszczyła. Ta kurwa… ta stara, podła kurwa…

Mężczyzna nie dokończył. Brudny wyczuł w mroku delikatny ruch powietrza. Przełknął ślinę, gdy zrozumiał, że rozmówca w jednej chwili znalazł się na wyciągnięcie ręki. Poczuł smród kapusty i przetrawionego bimbru. Instynktownie cofnął się, ale szybko skarcił się za takie zachowanie. Raz jeszcze zacisnął palce na kratach i zbliżył twarz do stalowych prętów.

– Nie znam cię. Nie wiem, kim jesteś. A ty zwracasz się do mnie, jakbyś znał mnie od lat. Przedstaw się i pokaż twarz. Chcę wiedzieć, co zrobiłem, że mnie tak nienawidzisz…

– Zaraz się dowiesz, glino. Zaraz dowiecie się wszyscy…– wychrypiał cień, po czym znów zniknął w mroku.

Brudny przez moment wytężał wzrok, ale ciemność była nieprzenikniona. Kurwa mać, zaklął w myślach. Zaczynał tracić panowanie. Krew pulsowała mu w żyłach, jakby napędzało ją nie serce, a komplet tłoków z jego sześciolitrowego patrola. Odżył ból w czaszce. Komisarz zamknął oczy i skupił się na tym, aby zachować kontrolę nad własnym ciałem. Wtedy coś błysnęło.

Najpierw raz, potem parokrotnie w krótkich odstępach czasu. W końcu żarówka rozbłysła na dobre, rozświetlając najmroczniejszą część piwnicy.

Człowiek z cienia stał nad na wpół nagim ciałem kobiety i napawał się jego widokiem. Leżała na plecach, z twarzą zwróconą w stronę Brudnego i Trochana, częściowo przykrytą przez posklejane włosy, które bezwładnie opadały ku betonowej podłodze. Wyglądała, jakby już nie żyła, ale to była tylko iluzja. Ona żyła. Morderca o to zadbał.

Gdy uznał, że nadszedł już czas, przyłożył nasączoną amoniakiem chusteczkę do jej twarzy. Kobieta gwałtownie nabrała powietrza w płuca i szeroko otworzyła oczy. Szybko zrozumiała zgrozę sytuacji. Wtedy krzyknęła.

Na wysokości kolan, kilkadziesiąt centymetrów od krocza Anny Trochan, wyrastała słusznych rozmiarów piła tarczowa. Jej zębata tarcza złowieszczo błyszczała, jakby dopiero co została wypolerowana.

Oksanę Szczypenko Brudny dostrzegł chwilę później. Wisiała na haku do mięsa jak świńska tusza.

Rozdział 46

Czarnecki wrócił do biura w towarzystwie naczelnika wydziału Marka Kotowicza. Był to wysoki mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu i przesadnie długich ramionach, przez które dostał na komendzie ksywkę „Goryl”. Nie lubił jej, bo na punkcie swojego wyglądu od zawsze miał kompleksy, dlatego gdy tylko podsłuchał, że któryś z policjantów tak o nim mówi, potrafił utrudnić mu życie nie gorzej niż najbardziej wredna była żona. Do Czarneckiego miał stosunek neutralny, ale go szanował jak wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli okazję z nim pracować.

Gdy obaj mężczyźni weszli do biura, pracujący w pocie czoła ludzie inspektora przerwali czynności i skierowali uwagę na przybyłych.

– Dochodzi pierwsza – zaczął Czarnecki. – Jesteśmy już prawie godzinę po terminie. Nie możemy dłużej czekać. Potrzebuję dwóch lokalizacji, do których zostaną wysłane grupy uderzeniowe.

Podinspektor Zimny chwycił wydruki satelitarne i położył je na stole obok Czarneckiego i Kotowicza. Na kilku zdjęciach odręcznie zaznaczono czarnym flamastrem dwa miejsca.

– Pierwszym celem jest stara leśniczówka znajdująca się przy zakolu Odry, około pięciu kilometrów na północny zachód od Nietkowa, w pobliżu wsi Laski. – Zimny wskazał palcem pierwszy oznaczony punkt. – Na szybko udało się ustalić, że jest od lat nieużywana. Ma też wyjątkowo kiepską reputację wśród mieszkańców. Podobno swego czasu było to miejsce spotkań okolicznych ćpunów i ludzi z szeroko pojętego marginesu

społecznego. Według relacji wykorzystywana także do orgii, a nawet tajemniczych zgromadzeń młodocianych satanistów. Ostatnich dwóch informacji nie zdążyliśmy potwierdzić.

– Brzmi nieźle. Dobra robota. To będzie cel dla grupy A – oznajmił Czarnecki, a Kotowicz jedynie potwierdził kiwnięciem głowy. – A druga lokalizacja?

– To stara chlewnia na uboczu Nietkowa. – Zimny ponownie powiódł palcem po zdjęciu i zatrzymał się na zakreślonym kółku. – Z dala od zabudowań, za niewielkim łęgiem, blisko rzeki. Od blisko trzydziestu lat nie funkcjonuje masowo, choć okoliczni mieszkańcy podobno mogli liczyć od czasu do czasu na jakieś tusze od gospodarza.

– Mogli? – Czarnecki zmarszczył brwi.

– Mogli, bo już nie mogą. Adres wciąż jest zarejestrowany na niejaką Zofię Jasinę, która zmarła w czerwcu tego roku. Od tamtego momentu gospodarstwo wygląda na opuszczone.

– I nikt się tym nie zainteresował? Elektrociepłownia, wodociągi?

– Sprawdzamy to, ale o tej porze…

– Dobra. Coś więcej?

– Podobno patologia, ale rodziny nie ma w systemie. W ciągu pół godziny powinniśmy wiedzieć więcej.

– Nie mamy tyle czasu. – Inspektor chwycił wydruki i przekazał je Kotowiczowi. Ponownie skierował uwagę na podinspektora. – Ty i Ela pojedziecie z pierwszą grupą do tej leśniczówki, ja i prokurator z drugą do chlewni. Reszta nieoznakowanymi radiowozami. Będziemy w ciągłym kontakcie.

– Naprawdę nie chcesz helikoptera? – Głęboki bas naczelnika wydziału zabrzmiał niczym sygnał nadciągającego tankowca.

– Nie. To ma być cicha, precyzyjna akcja, a nie scena z hollywoodzkiego filmu akcji. Ale niech będzie w pogotowiu. W razie problemów może być przydatny.

– Jak sobie chcesz. To twoja robota. Daj, podpiszę te papiery – mruknął Kotowicz i przyjął z rąk inspektora komplet rozkazów. Złożył podpisy i rzucił długopis na dokumenty. – Mam nadzieję, że nos znów cię nie zawiedzie. Nie chcemy wyjść na durniów przed całą Polską.

Czarnecki spojrzał na niego z politowaniem. Nie skomentował ostatnich słów naczelnika wydziału, bo uznał, że tylko zmarnuje cenny czas. Nie przepadał za tym smętnym typem, ale cenił go za dawniejsze dokonania. Kiedyś był dobrym gliną, ale dziś bardziej przypominał przyspawanego do stołka tłustego kota, który stracił kontakt z rzeczywistością i bardziej dbał o wizerunek niż sprawy płacących na jego utrzymanie obywateli.

– Czy są jakieś pytania?

– Co z Brudnym? – zapytał prowokacyjnie Lis.

Czarnecki obawiał się tego pytania. Jakkolwiek ta operacja miała się zakończyć, z pewnością czekały go tygodnie walki z Biurem Spraw Wewnętrznych, następnie dyscyplinarka, kto wie, może nawet proces. Zgoda na nieautoryzowaną akcję i ukrycie tego faktu przed przełożonymi i swoimi ludźmi mogły mieć katastrofalne konsekwencje. Lis był jego jedyną deską ratunku. Tylko udowodnienie mu prób mataczenia i utrudniania śledztwa mogło w jakiś sposób usprawiedliwić taką, a nie inną decyzję Czarneckiego. Ale nawet to nie dawało gwarancji, że inspektor zdoła się wytłumaczyć. Pytanie prokuratora stawiało go natomiast w fatalnej sytuacji, bo przy wszystkich, w tym przy naczelniku wydziału, z pełną premedytacją musiał skłamać. To, co miał teraz powiedzieć, z pewnością będzie powtarzane i cytowane przez kolejne miesiące setki razy.

– Brudny jest wolnym człowiekiem i prowadzi swoje śledztwo. Jest też dobrym gliną i nie można go nie doceniać. Dlatego zachowajmy czujność i miejmy oczy dookoła głowy.

– Mamy się go tam spodziewać czy nie? – Ton prokuratora był wyraźnie konfrontacyjny.

– Nigdy nie wykluczyłem go z kręgu podejrzanych. Tak jak żadnego z wychowanków hieronimek.

Atmosfera zgęstniała na tyle, że tylko kompletny ignorant mógłby nie dostrzec, że na linii Czarnecki–Lis iskrzy jak w kondensatorze. Pałka rzuciła inspektorowi pytające spojrzenie, ale nie doczekała się odpowiedzi.

– Jeśli nie ma więcej pytań, to za pięć minut widzimy się na tyłach komendy. Oczekuję pełnego zaangażowania. Do roboty!

Przez kolejnych kilkanaście sekund Czarnecki obserwował, jak jego ludzie pakują się i po kolei opuszczają biuro. Pomyślał, że jeśli akcja się nie powiedzie, straci emeryturę, a żona wywali go z domu na zbity pysk.

Gdy chwilę później inspektor maszerował do tylnego wyjścia, morderca właśnie kładł palec wskazujący na przycisku włączającym piłę tarczową, która na oczach męża miała rozerżnąć Annę Trochan na pół.

Rozdział 47

Wiiiizzzzzzzzzzzzzzz…

Szorstki, chropowaty, kłujący w uszy świst rozkręcającej się piły tarczowej zabrzmiał w ponurej piwnicy i zlał się z panicznymi wrzaskami kobiet oraz histerycznymi groźbami ich mężczyzn w jedną, mefistofeliczną symfonię grozy.

Anna Trochan obsesyjnie patrzyła na lśniącą zębatą tarczę, która z każdą kolejną sekundą powoli zbliżała się do jej krocza. Na przemian darła się w niebogłosy, błagała o litość i obiecywała, że zrobi wszystko, czego człowiek z palcem na przycisku tylko zapragnie, ale jej krzyk nie mógł się przebić przez przeraźliwy wizg pracującej na pełnych obrotach piły. Szokującą scenę zza krat oglądał jej mąż i wraz z bratem, którego nigdy wcześniej nie miał okazji poznać, nadaremno szarpał pręty krat, jakby rzeczywiście wierzył, że zdoła je wygiąć lub wyłamać.

Wtedy świdrujący dźwięk zaczął zmieniać tonację, w końcu ze zgrzytem ucichł. Ruchomy blat zatrzymał się, zębata tarcza przestała się kręcić, dając wszystkim chwilę oddechu. Oprawca najpierw przyłożył palec do dziury w worku, nakazując zachować kobietom ciszę, a następnie nachylił się nad niedoszłą ofiarą i nie zważając na jej cichy szloch, pogładził ją po skroni i policzku. Chwilę później wybuchł niepohamowanym, szyderczym rechotem.

– Czego chcesz, pieprzony sukinsynu!?

Brudny zaciskał palce na kratach z taką siłą, że pozdzierał sobie skórę. Starał się zachować kontrolę i wykorzystać moment, ale nie był w stanie zapanować nad językiem. Morderca żachnął się tylko i znów zaczął się śmiać. W pewnym momencie nagle urwał i skierował uwagę na komisarza.

– Można by rzec, że rodzina w komplecie – rzekł z drwiną w głosie.

– Pierdol się, popaprańcu! – odwarknął wściekle Brudny.

Mimowolnie spojrzał na brata, który wpatrywał się teraz w niego obłąkańczym wzrokiem. Dla Filipa to musiał być absolutny szok. Do tej pory nie miał o niczym pojęcia.

– Brat z bratem. Doprawdy wyglądacie zjawiskowo… – drwił mężczyzna z workiem na głowie. – A teraz zobaczycie, jak rżnę wasze kobiety. Potnę je, obedrę ze skóry i wypruję flaki, a potem na waszych oczach wymaluję nimi ściany. I nic nie będziecie mogli zrobić. Nic, kurwa! Nic a nic!

Ten facet na pewno nie był normalny. Psychopatycznych umysłów nie można było kontrolować, ale czasami udawało się je zmanipulować. Brudny uznał, że musi spróbować. Nie mógł liczyć na wsparcie Filipa, który wyglądał, jakby ktoś wyciął mu fragment mózgu odpowiedzialny za samoświadomość, musiał też pilnować kobiet, zwłaszcza Oksany, której histeryczne krzyki mogły przynieść zgubę szybciej, niż ten świr sobie zaplanował. To była jedyna szansa dla nich wszystkich. Musieli grać na czas.

– Kimkolwiek jesteś, nie obchodzi mnie, co robisz i co już zrobiłeś – zaczął swoją grę. – Przysięgam ci, że jeśli nas wypuścisz, to zapomnimy o wszystkim i…

– Zamknij mordę, glino! – warknął morderca. – Nie kłam. Znam takich jak ty. Ugrzecznionych cwaniaków. Wiem, jacy jesteście.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz, ale chętnie posłucham. Może gdy mi wytłumaczysz, to zrozumiem twoje motywy i…

– Nie powinieneś żyć! Nie zasłużyłeś! Jesteś takim samym śmieciem jak ten pierdolony doktorek. Jesteście siebie warci.

Brudny pomyślał, że pojawiła się szansa. Psychopaci mieli to do siebie, że zwykle każdy z nich miał jakiś słaby punkt, na którym był kompletnie zafiksowany. Należało go tylko odnaleźć i umiejętnie wykorzystać. Wtedy tracili kontakt z rzeczywistością i skupiali się na tym jednym jedynym problemie, który tak im ciążył. Zwykle można było zyskać sporo czasu, czasem ocalić zdrowie i życie. Ten psychol zaczynał gadać, jakby właśnie chciał się otworzyć.

– Dlaczego uważasz, że nie zasłużyłem?

– Nic nie rozumiesz, glino. To wina tej starej kurwy. Ona wybierała.

– Chciałbym zrozumieć. Wytłumacz mi. Wytłumacz nam wszystkim.

Morderca zaczął nierówno oddychać. Kręcił się w miejscu, kiwał głową i przestępował z nogi na nogę, jakby nie mógł się ostatecznie zdecydować, co ma w tej chwili zrobić.

W pewnym momencie podszedł do krat i zachowawszy bezpieczną odległość, przykucnął naprzeciwko Trochana. Wbił swoje czarne, głęboko osadzone oczy w źrenice doktora i przez moment świdrował je wzrokiem. Nerwowo zacharczał jak dziki zwierz. W pewnym momencie powstał.

– Chcesz wiedzieć, doktorku? Mam ci to wytłumaczyć? – zapytał Trochana.

Filip milczał. Spuścił głowę. Był skrajnie przerażony, ale, co gorsza, niczego nie rozumiał. To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku minut, było zaprzeczeniem wszystkiego, co znał i w co wierzył. Znajdował się w głębokim szoku.

– Mam ci, kurwa, wytłumaczyć czy nie? – naciskał morderca.

Trochan milczał.

– Dobra. Wytłumaczę ci, jak już poczujesz prawdziwy ból… Będziesz pierwszy.

Mężczyzna wstał, odwrócił się i pewnym krokiem ruszył w stronę Anny Trochan. Wygrzebał z szuflady lśniący nóż i przeciągnął po nim kciukiem, na którym od razu pojawiła się cienka strużka krwi. Uśmiechnął się szyderczo, a Brudny pomyślał, że czas właśnie się skończył. Wtedy jednak kątem oka dostrzegł na schodach jakiś ruch.

Chwilę później sytuacja potoczyła się bardzo dynamicznie.

Rozdział 48

Gdy do Zawadzkiej dotarło to, co ujrzała, wycofała się. Zwykle potrafiła reagować szybko i skutecznie, ale tym razem instynkt po prostu nie zadziałał. Nie miała pojęcia, jak się zachować, dlatego schowała się w sieni. Musiała mieć pewność.

Z wycelowanym na wprost pistoletem czekała za ścianą na kolejny ruch mordercy, który chwilę później otworzył drzwi do piwnicy i zszedł na dół. Nasłuchując, cierpliwie czekała, a gdy tylko ciszę rozdarł dźwięk pracującej piły tarczowej, wykorzystała okazję i wślizgnęła się w ślad za mężczyzną. Zaczaiła się, obserwowała, analizowała. Przychodziło jej to z coraz większym trudem, bo organizm pracował na oparach adrenaliny. Temperatura ciała spadła już poniżej trzydziestu pięciu stopni, groziła jej hipotermia. Jeszcze nigdy podjęcie prostej decyzji nie było dla niej tak nieoczywiste.

W końcu powzięła ostatni wysiłek i wycelowała.

– Policja! Stój, bo strzelam! – ryknęła, choć z jej gardła wydobył się jedynie cienki pisk.

Mężczyzna z workiem na głowie odwrócił się w jej kierunku i mocniej zacisnął palce na rękojeści noża. Był zaskoczony, ale jednocześnie zdeterminowany. Zawadzka pomyślała, że jej żałosna komenda mogła odnieść odwrotny skutek i tylko rozsierdzić tego szaleńca. Brudny coś krzyczał, ale już go nie słyszała. Ostatni zastrzyk adrenaliny okazał się za słaby. Wyziębione do granic możliwości ciało powoli zaczynało odmawiać

posłuszeństwa. Poczuła, że nie może zapanować nad drżeniem rąk. Obraz zaczął bujać się i falować. Pojawiły się mroczki.

– Strzelaj, Julka! Zabij sukinsyna! – Brudny dostrzegł, że jego była partnerka jest na skraju wyczerpania. Blada jak ściana, z mętnym i błędnym spojrzeniem, zdawała się z wolna tracić kontakt z otaczającą rzeczywistością. Morderca też musiał to widzieć.

Zrobił krok do przodu, a wobec braku reakcji policjantki wykonał następny. I jeszcze jeden.

– Naciśnij spust! Zawadzka, strzelaj, do kurwy nędzy! – Brudny darł się jak opętany. Przewaga, jaką stworzyła, umykała im z każdą kolejną sekundą.

Gdy mężczyzna był już w połowie drogi, w końcu padł pierwszy strzał. Nabój kalibru dziewięciu milimetrów wbił się w lewy bark mężczyzny, rozrywając mięśnie i gruchocząc obojczyk. Siła uderzenia obróciła napastnika o kilka stopni, ale nie na tyle, aby zatrzymać jego dziką szarżę.

Kolejne dwa strzały sprawiły, że morderca już nie zdołał utrzymać się na nogach. Pierwszy co prawda ledwie prześlizgnął się po jednym z żeber, ale drugi trafił w klatkę piersiową w okolicy prawego sutka. Mężczyzna przyklęknął i chwycił się za prawy bok, który obficie krwawił. Zawadzka oddała kolejne dwa strzały, ale tym razem kule utkwiły w ścianie. Próbowała namierzyć cel, który panicznie zaczął się wycofywać. Znów nacisnęła spust, ale pocisk trafił w jeden z prętów krat i niebezpiecznie zrykoszetował tuż obok Brudnego.

– Rzuć mi pistolet, Julka! – krzyknął do przyjaciółki.

Zawadzka przyklękła i oparła się dłonią o jeden z drewnianych filarów. Już nie widziała, a głos Brudnego docierał do niej zniekształconym echem, jakby komisarz znajdował się w głębi rozległych katakumb. Miała nie więcej niż kilkanaście sekund, po których na pewno straciłaby

przytomność. Ostatkiem sił pchnęła pistolet w kierunku Brudnego, który pomiędzy kratami wyciągnął się jak długi i końcówkami palców zdołał chwycić rozgrzanego glocka.

Wtedy przestrzeń ponownie rozdarł przerażający gwizd błyskawicznie rozkręcającej się piły. Ruchomy blat centymetr po centymetrze zaczął zbliżać się do wirującej tarczy, a wraz z nim panicznie wrzeszcząca Anna Trochan.

Brudny wycelował w miejsce, gdzie spodziewał się mordercy, ale mężczyzna wyparował. Wyparowała też Oksana Szczypenko. Nie wyparowały za to Anna Trochan i piła tarczowa.

* * *

Czas się kończył.

Brudny przestrzelił łańcuch, do którego był przypięty, następnie zamek w drzwiach do zaimprowizowanej celi. Wybiegł i dopadł do piły, która właśnie musnęła i rozerwała dżinsy na wysokości pachwiny szarpiącej się Anny Trochan. Gdy wcisnął czerwony przycisk, zamknął oczy w nadziei, że zębata tarcza zdąży wyhamować, zanim dokona nieodwracalnych zniszczeń. Po chwili, która trwała wieczność, z paskudnym zgrzytem w końcu zatrzymała się na szwie łączącym obie nogawki obcisłych wranglerów bratowej.

Zanim do kobiety dotarło, co się wydarzyło, Brudny był już z powrotem w celi. Chwycił brata pod brodę i na pobudzenie kilka razy spoliczkował.

– Weź się w garść, człowieku! – warknął poirytowany, gdy nie zauważył spodziewanego efektu. Trochan wciąż zachowywał się, jakby ktoś podał mu podwójną dawkę morfiny, i dopiero w momencie, gdy kolejna kula rozerwała łańcuch, odrobinę oprzytomniał. Spojrzał na brata mętnym wzrokiem.

– Dziękuję… – Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Nie dziękuj, tylko zajmij się żoną i Julką. Znajdź telefon, zadzwoń po karetkę, a następnie na policję i proś o inspektora Czarneckiego. Niech cię namierzą.

– Ty…

– Nie teraz. Jak to się skończy, wszystko ci wytłumaczę.

Trochan pokiwał głową na znak, że przyjmuje słowa Brudnego do wiadomości. Komisarz, chwyciwszy stary koc, doskoczył do Zawadzkiej. Julka leżała na betonowym podłożu i wyglądała jak świeży trup, którego ktoś właśnie wykopał z ziemi. Blada, ubłocona, z posklejanymi strąkami zamiast włosów i nabrzmiałymi ustami w kolorze kredy, leżała bez przytomności jak porzucony manekin. Miała zamknięte oczy i słaby puls.

– Trzymaj się, mała – rzucił Brudny i przykrył ją kocem, po czym doskoczył do tylnych drzwi, którymi uciekł morderca.

Rozdział 49

Brudny popchnął obluzowane drzwi i z pistoletem wycelowanym przed siebie wszedł do drugiego pomieszczenia. Ignorował ból, który rozlewał się po jego czaszce przy każdym kroku. W tej chwili napędzała go adrenalina i coś, co sprawiało, że bez wahania zaryzykowałby własne życie, aby tylko uratować Okę.

Odgłosy z izby tortur jakby ucichły, skupiając jego zmysły na tym, co tu i teraz. Pomieszczenie tonęło w mroku. Wzrok, który przyzwyczaił się do światła żarówki, z trudem wychwytywał kontury przedmiotów znajdujących się w środku. Odruchowo sięgnął ręką w okolice wewnętrznej kieszeni płaszcza w poszukiwaniu latarki, ale błyskawicznie zorientował się, że ma na sobie tylko podkoszulek. Pomyślał o Julce. Ona na pewno nosiła ją przy sobie i skarcił się w myślach, że wcześniej o tym nie pomyślał.

Wtedy jednak usłyszał głuchy trzask dobiegający z głębi mroku. I stłumione przez knebel jęki kobiety. Nie dochodziły z tego pomieszczenia. Morderca musiał umknąć dalej. Na pewno znał każdy zakamarek mrocznych piwnic i nawet w kompletnej ciemności poruszał się bez problemów.

Brudny się zawahał. Wtedy do jego uszu doszły paskudne odgłosy szurania. Zaskrzypiały drzwi. Nie było czasu, aby wracać po latarkę. Liczyła się każda sekunda, a gospodarz najwyraźniej właśnie opuścił piwnicę tylnym wyjściem. Brudny ruszył przed siebie. Potknął się o jakiś

przedmiot, ale utrzymał równowagę i zdołał namierzyć kolejne drzwi. Szarpnął za obluzowaną klamkę i ostrożnie przekroczył wysoki próg. Mrok przecinały dwie blade smugi światła. Jedna z niewielkiego okienka przy suficie, druga z uchylonych drzwi. Brudny trzema susami dopadł do schodów, ale w połowie zapadł się w dziurze aż po pachwinę. Szybko zrozumiał skąd ten trzask, potem poczuł przeszywający ból. Zaklął siarczyście. Ścięgno, jeśli nie zostało zerwane, to na pewno mocno naciągnięte. Na szczęście komisarz zdołał wydostać się z pułapki i kulejąc, doczłapał do szczytu schodów. Popchnął uchylone drzwi. Stare zawiasy zaskrzypiały i po chwili w srebrnym blasku księżyca wyłoniło się podwórze, po którym chodziło kilka prosiaków.

Brudny, omiatając pistoletem obie flanki, wyłonił się z budynku. Jeden z prosiaków podniósł ryj i zmierzył go beztroskim spojrzeniem. Gdzieś w oddali zahukała sowa. Komisarz kątem oka dostrzegł na betonowej podbudówce ślady rdzawej w tym świetle krwi. Powiódł wzrokiem po grząskim gruncie. W błocie wyraźnie odznaczały się ślady butów i – znacznie mniejsze – gołych stóp, które prowadziły za róg domostwa. Z zaciśniętymi zębami pokuśtykał w tę stronę. Był na siebie wściekły, bo jeszcze przed chwilą miał nad mordercą przewagę, a przez moment nieuwagi szanse znów się wyrównały. Pachwina przy każdym kroku przypominała o sobie, a ostry ból rozlewał się na biodra i podbrzusze. W połowie drogi usłyszał skrzypnięcie furtki. Przyspieszył, ale gdy wyłonił się zza rogu, nikogo już nie było.

W oddali pomiędzy drzewami przez chwilę zamajaczyły tylko dwa cienie. Zanim zdołał wycelować, wchłonęła je mgła.

* * *

Oksana miała spętane dłonie i z trudem oddychała. Z nosa ciekła jej krew, a głęboko wetknięta w usta cuchnąca, mokra szmata zaczynała ją dusić. Mimo to stawiała kolejne kroki, nie zważając na raniące jej stopy korzenie i kamienie w obawie, że muskające jej szyję ostrze w razie niesubordynacji rozpłata gardło. Rana po haku paliła ją żywym ogniem, zwłaszcza że ten potwór nie przebierał w środkach i po prostu rozerwał skórę na plecach, aby ją z niego ściągnąć i zabrać ze sobą.

Nic już nie rozumiała. Zamęczony umysł zaczynał odmawiać posłuszeństwa, zdała się więc na instynkt przetrwania, który podpowiadał jej, że po prostu musi iść przed siebie. Bez względu na wszystko utrzymać się przy życiu jak najdłużej. Chciała wierzyć, że mężczyzna za kratami był tym, w którym się zakochała, ale po tym, co do tej pory ujrzała i czego doświadczyła, nie była już pewna niczego. Wszystko jej się plątało i nie potrafiła ogarnąć natłoku myśli ani towarzyszących im emocji. Igor? Nie Igor. Filip? Nie Filip. Morderca? Człowiek w worku po ziemniakach na głowie.

Gdy oprawca złapał ją w pasie i ściągnął z haka, kątem oka dostrzegła, że kobieta, która wtargnęła do piwnicy, upadła na podłogę. Nie widziała jej twarzy, bo kryła się w półmroku, ale miała wrażenie, że zna jej głos. Kimkolwiek była, dała jej jednak nadzieję, bo po raz pierwszy w czarnych źrenicach mordercy dostrzegła lęk. Skryte w wyciętych dziurach raszlowego worka błysnęły w odbitym świetle żarówki tylko przez ułamek sekundy. Wtedy ich spojrzenia się spotkały. To wystarczyło. Bał się, krwawił, a teraz, przedzierając się przez chaszcze i brodząc w błotnistym podłożu, dyszał i rzęził jak ranny zwierz.

W pewnym momencie przystanął, aby złapać oddech. Zdjął ostrze z jej szyi i złapał się za broczący krwią bok.

– Kurwa mać! – zaklął pod nosem i zakaszlał. Dotknął rany na piersi i syknął z bólu, po czym wyrzucił z siebie wiązankę szkaradnych przekleństw. Odwrócił się.

Szczypenko przez ułamek sekundy znalazła się poza jego zasięgiem, ale choć w umyśle zaświtała myśl o ucieczce, powstrzymał ją lęk przed niepowodzeniem. Chwila niepewności sprawiła, że szansa uleciała, a na jej ramieniu znów opadła potężna graba potwora.

– Ruszaj się, suko! – warknął i pchnął ją przed siebie. – I nawet nie myśl o ucieczce. Znam te pola jak własną kieszeń. Nie uda ci się.

Szczypenko pomimo palącego bólu parła do przodu, intuicyjnie starając się narzucić własne tempo. Czuła, że jej oprawca słabnie, słyszała jego świszczący oddech, ciepło sączącej się z jego ran krwi. Nie zastanawiała się, nie myślała, zdała się na instynkt. Mówił „idź i nie zatrzymuj się”. Szła więc, ignorując przejmujący chłód, walcząc o każdy oddech. Trzy razy upadała i się podnosiła, za czwartym zupełnie opadła z sił. Błoto zalepiło jej nozdrza i zaczęła się dusić.

– Wstawaj, kurwo! – syknął mężczyzna, ale w odpowiedzi usłyszał tylko kilka charknięć osoby, która histerycznie walczy o powietrze. Oczy kobiety stały się wielkie jak piłeczki pingpongowe, a szyja nabrzmiała, uwypuklając wszystkie żyły. Cienka linia pomiędzy życiem a śmiercią. To była kwestia sekund.

Mężczyzna wyrwał jej z ust szmatę, która utkwiła aż w gardle. Szczypenko nabrała powietrza i odkaszlnęła krwawy śluz.

– Nie próbuj mi tu zdychać – wysyczał oprawca i chwycił kobietę za skołtunione i posklejane włosy. – A teraz ruszaj, bo wyłupię ci oczy.

Na dowód ostrze błysnęło zaledwie kilka milimetrów od prawej gałki, delikatnie nacinając skórę pod powieką. Nawet tego nie poczuła. Zastrzyk życiodajnego tlenu dodał jej sił, dzięki czemu podniosła się i zmusiła do

dalszej drogi. Pokonali jeszcze około stu metrów, gdy z rzednącej mgły wyłonił się ponury most. Widok konstrukcji nie wzbudził w niej żadnych emocji, wiedziała tylko, że musi przeć do przodu bez względu na wszystko.

Wtedy najpierw poczuła specyficzny zapach, a chwilę później usłyszała głosy i dostrzegła żółtą poświatę. Nie tylko ona.

– Nie waż się pisnąć – wycharczał morderca i zasłonił jej ręką usta. – Obejdziemy ich i…

Nie zdążył dokończyć, gdy w ich kierunku wystrzeliła smuga oślepiającego światła.

– Kto idzie?

Cisza.

– Masz omamy, Wiesiek – zabrzmiał z głębi podpity głos.

– Głuchy jesteś, to nie pierdol. Ktoś tam lezie.

– Może dzik albo lis. Olej, do ognia nie podejdzie.

– Potrafię rozpoznać odgłosy dzika, jełopie. To na pewno nie dzik.

– Po litrze to ty swojej baby nie poznajesz, a co dopiero dzika w nocy. – Ciszę wypełnił rubaszny śmiech. – O… masz chyba branie…

Cichy dzwoneczek zasygnalizował, że ryba chwyciła przynętę. Mężczyzna z latarką już chciał zawinąć się na pięcie, gdy snop światła trafił na nienaturalny cień. Był podchmielony, ale dałby sobie rękę uciąć, że ktoś czai się w trawie. Zrobił krok do przodu i zmrużył oczy. Rzednąca mgła nie pozostawiła wątpliwości. Przy wale znajdowali się jacyś ludzie.

– Dasz na luz czy mam zaciąć za ciebie? Bo wiesz, jak zatnę i wyciągnę, to będzie…

– Zamknij się!

– Spierdalaj!

– Tadek, ja nie żartuję. Tam jest jakiś facet z kobitką chyba. Ma coś na głowie. Jakiś worek czy cuś…

Wiesław Burda nie mógł oprzeć się wzbierającej ciekawości i zrobił kilka kolejnych kroków w kierunku oświetlonego celu. Gdy w końcu upewnił się, że stare oczy nie płatają mu figla, było już za późno. Zaniemówił, gdy mężczyzna w rzeźnickim fartuchu i raszlowym worku gwałtownie wstał i ruszył w jego kierunku. Gdy jego kolega zacinał rybę i zaczynał hol, grube ostrze już penetrowało wnętrzności Burdy.

Tadeusz Kozioł nie słyszał, jak jego kumpel rzęzi i pluje krwią, bo rzeczywiście był przygłuchy. Nie słyszał też, jak morderca zakradł się za jego plecami.

– Szlag by to. Poszła w chuj – burknął pod nosem, gdy obiecująca sztuka zerwała się z haka. – Gdybyś nie pajacował i…

Zamilkł, gdy ujrzał przed sobą potężny, drgający w świetle ognia cień. Ostatnie, co pomyślał, to to, że stoi za nim strach na wróble. Kilkanaście sekund później jego głowa z pluskiem wylądowała w Odrze, a po polu poniósł się histeryczny i pełen przerażenia krzyk Oksany Szczypenko.

Rozdział 50

– Spokojnie, kochana. Już po wszystkim, już… – Filip Trochan gładził i całował żonę, próbując ją uspokoić.

– Uwolnij mnie! Błagam, uwolnij mnie! – Anna Trochan nie zważała na jego gesty, szarpiąc rzemienie ze świńskiej skóry, którymi była przytwierdzona do stołu. Raz za razem panicznym wzrokiem zerkała na zębatą tarczę, która zatrzymała się na szwie łączącym obie nogawki jej dżinsów, jakby w obawie, że maszyna zaraz znów ruszy i stalowe ostrze werżnie się w jej ciało.

Trochan dojrzał słusznych rozmiarów nożyce i z niemałym trudem rozciął kolejne obejmy na stopach i przegubach żony. Anna zerwała się ze stołu jak oparzona, przyklękła i rozszlochała się. Światło przypadkiem poruszonej przez męża żarówki kołysało złowieszczo, oświetlając drobną, skuloną na betonowej podłodze postać.

Filip odrzucił błyszczące ostrza i pochylił się nad żoną. Objął ją i zaczął uspokajać.

– Już jesteś bezpieczna. Już nic ci nie grozi.

– Boże… on chciał… – ponownie wybuchnęła niepohamowanym płaczem – …on chciał tą piłą…

– Już dobrze, kochanie. Musimy wyjść z tej piwnicy i powiadomić policję.

– On gdzieś tam może być…

– Musimy stąd uciekać. On… to znaczy ten mój brat… – Trochan sam do końca nie był pewny tego, co mówi. – On mówił, że mamy znaleźć telefon i zadzwonić…

– Nieeeee!!!

Anna Trochan wrzasnęła na całe gardło niczym w obłąkańczym szale. Odepchnęła ręce męża i skuliła się w kłębek. Filip ponownie chciał ją objąć, ale odtrąciła jego ręce.

– Zostaw mnie! – warknęła. – Zostawcie mnie wszyscy!

Trochan pomyślał, że żona jest w głębokim szoku, i doszedł do wniosku, że w tej chwili nic nie wskóra, odwrócił się więc do leżącej pod kocem policjantki. Doskoczył do niej i od razu sprawdził funkcje życiowe. Kobieta była blada i znajdowała się na skraju śmierci.

– Musimy ją zabrać na górę i natychmiast rozgrzać – rzucił stanowczo. – Jest już w ostatnim stadium hipotermii.

Nie doczekał się odpowiedzi ze strony żony. Podbiegł do niej i chwycił ją za nadgarstek.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Jeśli jej nie pomożemy, umrze w ciągu kilku minut. Pomóż mi ją przenieść!

Trochan poczuł przypływ energii. Był lekarzem i musiał ratować zagrożone życie. Bez względu na wszystko. To był jego obowiązek.

– Pomóż mi, Anka, i wynośmy się z tej cholernej piwnicy! – krzyknął tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zadziałało, bo Anna Trochan spojrzała na niego przytomniej. Może poczuła, że powinna pomóc umierającej, jako że poniekąd też była lekarzem, a może po prostu w końcu zaczęła bardziej trzeźwo reagować na zaistniałą sytuację. Nie interesowało go to. Najważniejsze, że wzięła się w garść.

Chwilę później oboje byli już przy Zawadzkiej. Najpierw spróbowali unieść ją wspólnie, ale gdy okazało się, że policjantka waży niewiele, Trochan chwycił ją sam. Jego żona wbiegła po schodach i przytrzymała drzwi, po czym zapaliwszy światło w salonie, przygotowała miejsce na kanapie. Z obrzydzeniem uprzątnęła zalegające ubrania i odsunęła zastawiony resztkami po posiłku stół.

– Poszukaj telefonu. Ja się nią zajmę – polecił Trochan i pobiegł do kuchni.

Nastawił wodę i poszukał jakichś ręczników, po czym wrócił i zaczął rozmasowywać wychłodzone ciało.

– Masz ten telefon? – zapytał nerwowo.

Niemal w tym samym momencie jego żona wypadła zza rogu z dwoma smartfonami w dłoniach. Nietrudno było się domyślić, że zapewne należały do ofiar gospodarza.

– Jeden działa, ale nie znam hasła… – odparła rozdygotana.

– Do numerów alarmowych nie potrzeba hasła. Wybieraj sto dwanaście i powiedz, żeby cię namierzyli.

Anna Trochan posłusznie wykonała polecenie. Po chwili w słuchawce zabrzmiał męski głos nagrany na automatyczną sekretarkę, który nakazywał cierpliwie czekać na zgłoszenie się operatora. Trwało to całą wieczność. Po szóstym razie pojawił się sygnał, następnie telefon odebrała jakaś kobieta.

– Numer czterdzieści siedem, słucham.

– Dzięki Bogu. Jesteśmy w domu mordercy z Zielonej Góry. Czy możecie namierzyć ten numer? On wciąż gdzieś tu jest.

– Proszę o spokój. Pani imię i nazwisko.

– Anna Trochan.

Po drugiej stronie dało się słyszeć stukanie palców po klawiaturze.

– Czy zna pani adres?

– Nie, dlatego proszę namierzyć ten numer.

– Proszę o cierpliwość. Proszę się nie rozłączać.

Mijały kolejne sekundy. Odgłosy stukania w klawiaturę nasiliły się, w tle pojawiło się też kilka innych głosów. Najwyraźniej sprawa została potraktowana poważnie, a co za tym idzie – priorytetowo.

– Pani Anno, czy wciąż jest pani na linii?

– Tak.

– Namierzyliśmy sygnał. Policja jest już w drodze.

– Kiedy przyjedziecie?

– Góra dziesięć minut. Do tego czasu proszę się nie rozłączać i pozostać na linii.

– Dziękuję bardzo.

Anna Trochan stała z komórką przy uchu i przypatrywała się działaniom męża, który próbował rozgrzać wychłodzone do granic możliwości ciało Julii Zawadzkiej. Dopiero teraz z całą mocą dotarło do niej, że ta drobna kobieta uratowała im wszystkim życie, co przypłaciła niewyobrażalnym cierpieniem.

– Czy jest pani ranna? Czy potrzebuje pani…

– Przepraszam, ale muszę na chwilę odłożyć telefon – przerwała operatorce.

– Proszę tego nie robić, pani Anno, pozostać na miejscu i się nie rozłączać.

– Przykro mi, ale muszę pomóc mężowi uratować tę kobietę.

– Proszę… – W tle znów dało się słyszeć jakieś szepty. – Pani Anno, może pani powtórzyć?

– Co powtórzyć?!

– Czy może pani swobodnie mówić?

– Tak.

– Czy ktoś jest z panią?

– Mój mąż Filip Trochan oraz policjantka, która umrze z wychłodzenia, jeśli zaraz nie udzielimy jej pomocy. I dla jasności, mój mąż nie jest mordercą. Wszystko to zaaranżował komisarz Igor Brudny.

Rozdział 51

– Że kiedy się urodził? – Inspektor nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Przycisnął telefon bardziej do ucha, jakby to miało w czymś pomóc. – Jesteś tego absolutnie pewny, Grzegorz?

– Piętnasty czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi.

– Jasna cholera! – Czarnecki był zdruzgotany. Niewiarygodna historia, ale to nie mógł być zbieg okoliczności. Poprawiający kamizelkę kuloodporną prokurator rzucił mu pytające spojrzenie.

– Co się dzieje?

– Panowie! – Czarnecki, nie odkładając telefonu, zwrócił się do grupy zamaskowanych policjantów z grupy uderzeniowej. – Zmiana planów. Wszystkie siły rzucamy do starej chlewni. I chcę tego sukinsyna żywego. Strzelajcie tylko w ostateczności, bo…

Czarnecki poczuł wibrowanie telefonu. Jego smartfon dosłownie grzał się do czerwoności. W czasie niezakończonej rozmowy z Zimnym do inspektora dobijała się centrala. Odebrał.

– Masz nosa. – To był naczelnik Kotowicz. – Właśnie dzwoniła babka, która przedstawiła się jako żona tego całego Trochana. Twierdzi, że jest w domu mordercy.

– Anna Trochan?

– Tak. I ten telefon to nie lipa. Naprawdę masz cholernego nosa.

– Stara chlewnia?

– Stamtąd dzwoniła. Sygnał został namierzony dwie minuty temu.

– Dzięki, Marek. Będziemy tam za pięć.

– Aha… i Romek… ona twierdzi, że to nie ten jej mężuś, ale wiesz, jak to…

– Tak. Wiem. To nie on.

– Więc jak będziesz pociągał za spust, to nie pomyl go z Brudnym. Nie chcę tu mieć na głowie…

– Z Igorem Brudnym? – Czarnecki musiał się upewnić, że dobrze usłyszał.

– Czy ja, kurwa, mówię niewyraźnie? – zirytował się Kotowicz.

– Jakim Brudnym? Co ty wygadujesz?! – Na dźwięk tego nazwiska prokurator aż podskoczył. Wbił pytające spojrzenie w oczy Czarneckiego.

– Romek. Wszystko się zgadza – odparł spokojnie Kotowicz. – Mamy dodatkowe potwierdzenie od świadka z miejsca zbrodni. Mordercą jest Brudny.

Czarneckiego jakby ktoś walnął obuchem. Czyżby od początku się mylił? Czy to, co ustalił zaledwie dwie minuty temu, mogło być jedynie nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności? A może morderca był cholernym geniuszem i zdołał oszukać wszystkich, nawet swoją niedoszłą ofiarę?

– Dobra – mruknął jak niepyszny. – Dojeżdżamy. Muszę kończyć. Dopadniemy gnojka, kimkolwiek jest.

– Tylko tego nie spartol, Romek. Mamy już dość trupów.

– Wyślij ten helikopter.

– A mówiłem…

– Mówiłeś. A teraz wydaj rozkaz. Bez odbioru.

Inspektor wyłączył się, choć gdyby miał inny charakter, zapewne rzuciłby komórką o ścianę furgonetki. Nikt nie irytował go tak, jak

naczelnik Kotowicz. A teraz jeszcze ten Brudny. Czuł na sobie palące spojrzenie prokuratora.

– Jednak Brudny? – rzucił Lis z satysfakcją.

– Nie sądzę – odburknął Czarnecki.

Sekundę później furgonetka gwałtownie się zatrzymała. Zamaskowani i uzbrojeni po zęby policjanci wysypali się z niej i wbiegli pomiędzy drzewa. Stara chlewnia była w zasięgu wzroku. Inspektor ostatni opuścił pojazd. Gdy wdepnął w rozmokły grunt przy łęgu, nie był już taki pewny swego. Nie był już pewny absolutnie niczego.

Rozdział 52

Brudny starał się iść po śladach, ale z coraz większym trudem odnajdywał tropy. Teren był podmokły i odciski butów czy stóp czasem nikły pod taflą wody. Do tego dokuczało jak diabli potężne rozcięcie z tyłu głowy, które spuchło do niebotycznych rozmiarów, a naderwana pachwina jeszcze bardziej. Każdy krok sprawiał mu ból, a gdy od czasu do czasu nachylał się, aby sprawdzić, czy nie zboczył z dobrej drogi, z trudem podnosił się z powrotem. Lepka krew pokrywała mu niemal cały kark, plecy i tors, co najgorsze, wciąż sączyła się z głębokiej rany na potylicy. Głowa dosłownie mu pękała, a obraz momentami falował i rozmazywał niczym po wypiciu litra wódki. Słabł i wyraźnie to czuł. Nawet broń jeszcze nigdy tak bardzo nie ciążyła mu w ręce.

Komisarz przetarł czoło wierzchem dłoni. Mgła powoli zaczynała rzednąć i nie słała się przy ziemi jak jeszcze godzinę temu. Widoczność wciąż była jednak mocno ograniczona i nie przekraczała trzydziestu metrów. Morderca i Oksana mieli nad nim przewagę około stu, do czego z pewnością by nie doszło, gdyby był ostrożniejszy i nie wpadł w tę dziurę w schodach. Nie mógł sobie tego darować. Ten sukinsyn był ranny, dostał przynajmniej dwie kulki i z pewnością dopadłby go, gdyby nie ta cholerna pachwina. Z taką kontuzją poruszał się jak stuletni paralityk.

Usłyszał głosy. Sam nie był pewien, czy są realne, czy pojawiły się tylko w jego głowie. Dochodziły z oddali, z wyraźnym pogłosem, jakby ich właściciele znajdowali się na końcu długiego tunelu albo w głębi

przepastnych katakumb. Jego mózg szwankował i Brudny doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Zmysły zaczynały zawodzić. Gorzej widział i słyszał, miał wrażenie, że stracił węch, bo nie czuł żadnych woni. Bezbłędnie wyczuwał tylko metaliczny smak własnej krwi w ustach. I ból, który rozlewał się już nie tylko na kark, ale też całą obręcz barkową i klatkę piersiową.

Pomyślał o Oksanie. Musiał wziąć się w garść. Była blisko. Skrajnie przerażona, udręczona i wyczerpana. Z trudem przywołał sobie obraz jej uśmiechniętej twarzy, która mignęła mu w głowie tylko przez ułamek sekundy, następnie wbrew jego woli rozmazała się i przeobraziła w czarną, bezkształtną masę, która po chwili uformowała się w znajomy profil. A raczej cień. Chaotyczny, amorficzny, szpetny w swej istocie. I zły do szpiku kości.

Brudny potrząsnął głową, aby odrzucić niechciane obrazy i oczyścić ją z głupich myśli. Raz jeszcze przetarł czoło i pokuśtykał w kierunku, z którego dochodziły głosy. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Księżyc na dobre wyłonił się zza chmur i pola utonęły w srebrzystej poświacie. Ustępująca mgła zaczęła odsłaniać cienie rzucane przez sporadycznie rosnące przy wale dęby. Ich bezlistne konary wyciągały swoje szponiaste gałęzie daleko poza swój naturalny zasięg niczym szkaradne istoty z horrorów klasy B. Kępy gęstych traw czy nienaturalne żłobienia terenu przywodziły na myśl czające się w półmroku postaci, a przelatujące od czasu do czasu nad głową nietoperze sprawiały, że z każdym kolejnym krokiem Brudny stawał się coraz bardziej zdezorientowany.

Gdy już pomyślał, że zgubił trop, znów usłyszał głosy. Tym razem wydawały się bardziej realne. Skupił się i nasłuchiwał, aby zlokalizować, skąd dochodzą. Pokręcił głową, gdy oprócz nich rozległo się ciche dzwonienie. Nie był pewny, czy jest prawdziwe, czy to umysł płata mu

figle. Wtedy głosy stały się donośniejsze. Ale tylko na chwilę. Następnie zamilkły, a Brudny usłyszał odgłosy charczenia i rzężenia. Gdy przez myśl przeszło mu najgorsze, usłyszał plusk, a następnie krzyk pełen niewysłowionej trwogi. Należał do kobiety, a jego źródło było bardzo, bardzo blisko.

Wyrwał do przodu, ignorując dotkliwy ból. W tym czasie Oksana Szczypenko już biegła na oślep w kierunku mostu. Tak jakby stara konstrukcja miała być jej ostatecznym wybawieniem, a nie kolejną pułapką bez wyjścia.

* * *

Jako młoda dziewczyna zawsze była najszybsza w szkole i dzięki swoim długim nogom oraz wrodzonej dynamice wróżono jej znakomitą przyszłość na bieżni. Życie Oksany Szczypenko potoczyło się inaczej, ale młodzieńcza werwa i twardy charakter przetrwały, dzięki czemu pomimo spętanych dłoni, pokaleczonych stóp i braku znajomości terenu teraz mknęła przez pola, nie bacząc na ból i zmęczenie.

Kiedy w pewnym momencie kat puścił ją i skupił uwagę na dwóch bezimiennych mężczyznach, instynkt nakazał jej uciekać. Paniczny strach sprawił, że przez kilka sekund nie mogła ruszyć się z miejsca, ale gdy dostrzegła, jak morderca rozcina pierwszego, a drugiemu bez słowa odrąbuje głowę, hamulec puścił i rzuciła się do ucieczki. Wiedziała, że może liczyć tylko na siebie i że nikt jej nie pomoże. Wszyscy, których kochała i którym ufała, zawodzili ją przez całe życie. Zawsze. Taki był jej marny los.

Szczypenko brnęła więc przez błoto i kłujące trawy, łamała paznokcie na ostrych kamieniach i raniła łydki o wystające korzenie. Czasem zapadała się po kolana w podmokłym terenie, ale się nie poddawała. Wciąż parła do

przodu. Gdy w końcu poczuła pod stopami utwardzony grunt i wspięła się na nasyp, pomyślała, że ma szansę. Mokre tory błyszczały w świetle księżyca, jakby dopiero co zostały wypolerowane. Rozejrzała się. Daleko za polami mrok rozświetlały przykościelne latarnie, po drugiej stronie rzeki pojedyncze światła gospodarstw. Cywilizacja była tuż-tuż, należało tylko wykrzesać z siebie resztki energii i pobiec. Najrozsądniej było poruszać się wzdłuż torów. Od wschodu czekał nieprzenikniony mrok i ściana lasu, od zachodu przeprawa przez most, za którym można było dostrzec pojedyncze zabudowania. Przynajmniej w jednym wciąż paliło się światło.

Szczypenko podjęła decyzję i ruszyła w stronę nadziei. Starała się przeskakiwać po kolejnych drewnianych podkładach, aby jeszcze bardziej nie poranić sobie stóp o kamienie. Krwawiły już wystarczająco, przy każdym kroku zostawiając na spróchniałym drewnie rdzawe ślady. Gdy dotarła do pierwszego przęsła, odwróciła się, aby sprawdzić, co dzieje się za jej plecami. Z ulgą odnotowała, że nikt jej nie goni. Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów, aby dotlenić udręczone, przez co maksymalnie zakwaszone mięśnie. Gdy z powrotem uniosła powieki, potężny dreszcz spłynął jej po kręgosłupie. Dwadzieścia metrów dalej, częściowo ukryty we mgle, stał oprawca. W świetle księżyca jego cień przybrał wręcz gargantuiczne rozmiary. Wciąż z tym przerażającym workiem po ziemniakach na głowie i błyszczącym w świetle księżyca nożem w dłoni.

Wokół dziury w tkaninie miarowo pojawiał się i znikał obłok pary. Mężczyzna ciężko dyszał, ale nadal miał wystarczająco sił. Zanim Szczypenko zdążyła zareagować, ruszył w jej kierunku.

Rozdział 53

– Na ziemię, sukinsynu! – warknął jeden z zamaskowanych antyterrorystów, po czym rzucił się na Trochana i kolanem przygniótł go do podłogi.

Z pomocą przyszło mu dwóch kolejnych. Gdy skuwali go kajdankami, nie zważali na krzyki jego żony, która próbowała ich powstrzymać. Byli zdecydowani i brutalni. Dopiero gdy do środka wkroczyli inspektor Czarnecki i prokurator Lis, odstąpili od leżącego twarzą do ziemi podejrzanego.

Z głębi piwnicy dobiegły okrzyki: „Czysto!”, podobnie z parteru i poddasza. Inspektor zbliżył się do wściekłej Anny Trochan.

– Nic pani nie jest? – spytał.

– Nie – odparła. – Tylko niech ci debile rozkują mojego męża! On nie jest mordercą. Mówiłam, że to Brudny.

Czarnecki skinął do dowódcy oddziału, który chwycił Trochana i posadził na kanapie. Nie rozkuł go jednak. Inspektor przyjrzał się bladej twarzy Julii Zawadzkiej. Leżała pod kocami, a na czole miała okład z kawałka mokrej szmaty.

– Wezwij ratowników. Niech natychmiast zabiorą ją do szpitala – rozkazał drugiemu z zamaskowanych mężczyzn, który powtórzył polecenie przez radio.

– Rozkujcie mojego męża, gnoje! – krzyczała Anna Trochan. – Ile razy mam wam powtarzać, że…

– Proszę się uspokoić, pani Trochan. Pani mężowi nic nie będzie – tonował emocje Czarnecki. – Jest pani pewna, że za wszystkim stoi Igor Brudny?

– Tak. To znaczy tak mi się wydaje. To chyba jakaś chora gra. Uratował mnie, ale… Nie rozumiem, dlaczego to robi. Ale na pewno nie działa sam. Ten facet z workiem na głowie…

– Anka, to nie tak – do rozmowy włączył się nieco otumaniony atakiem policjantów Trochan. – Nie wydaje mi się, że ten… mój brat… Jezu, nie wiem, o co tu chodzi, do jasnej cholery, ale nie sądzę, żeby miał z tym coś wspólnego.

Czarnecki wiedział, że oboje są pod silnym wpływem emocji i chaos, jaki wkradł się w ich wypowiedzi, zdawał się absolutnie zrozumiały. Nie mógł oprzeć się na takich zeznaniach, bo były po prostu niewiarygodne. Mimo to czuł na plecach triumfalne spojrzenie prokuratora.

– Czy wie pani, gdzie jest teraz Igor Brudny?

– Nie. Wybiegł gdzieś za tym psychopatą i dziewczyną.

– Oksaną Szczypenko?

– Nie wiem, ale chyba Ukrainką, bo zaciągała ze wschodnim akcentem.

Trochan potwierdził słowa żony. W przeciwieństwie do niej miał szansę z nią porozmawiać.

– Kiedy to było? – dopytywał inspektor.

– Boże, niedawno. Z piętnaście, może dwadzieścia minut temu.

– Wie pani, w którym kierunku pobiegł?

– Mówiłam, że nie! – warknęła poirytowana. – I czy, do jasnej cholery, możecie w końcu rozkuć mojego męża?

Czarnecki wstał i wziął na bok wielkiego jak tur dowódcę antyterrorystów.

– Zdejmijcie mu kajdanki, ale miejcie go na oku – polecił.

– Szefie…

– Rób, co mówię.

– Tak jest.

– Brudny musi być niedaleko. Skontaktuj się z drugą grupą i niech ludzie przeczesują te pola. W razie czego masz zielone światło na zamówienie helikoptera. Ale to w ostateczności. Chciałbym, abyście działali z zaskoczenia. Odnajdź wszystkich i pamiętaj, że wśród nich jest przynajmniej jeden zakładnik. Ja spróbuję jeszcze coś od tej dwójki wyciągnąć.

– Tak jest, szefie.

– Aha… Mały… – Ksywa, którą przed laty koledzy nadali Rafałowi Kostyrze pasowała jak pięść do nosa, ponieważ dowódca grupy uderzeniowej mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt i był postury słusznych rozmiarów rugbisty. – I nie chcę żadnych trupów. Macie ich aresztować, a nie zabić. Zrozumiano?

– Rozkaz, szefie.

W tym momencie do pomieszczenia wbiegło trzech ratowników medycznych. Mieli ze sobą nosze i podstawowy sprzęt do ratowania życia. Od razu zajęli się nieprzytomną Zawadzką. Czarnecki rozejrzał się w poszukiwaniu prokuratora, ale ze zdziwieniem odkrył, że nie ma go w pokoju.

– Krzysztof!? – krzyknął, ale odpowiedziała mu cisza. – Gdzie jest prokurator? – zapytał zabezpieczającego wejście policjanta.

– Przed chwilą wyszedł.

– Gdzie wyszedł?

– Frontem, szefie.

Czarnecki wybiegł na podwórze. Rozejrzał się. W zasięgu wzroku dostrzegł jedynie dwóch zamaskowanych członków grupy specjalnej,

którzy z opuszczonymi karabinkami lustrowali okolicę gospodarstwa.

– Widzieliście, którędy poszedł prokurator?! – krzyknął w ich stronę.

– W stronę samochodów – odparł jeden z nich. – Coś się stało?

– Nie. – Czarnecki machnął ręką.

Policyjne wozy znajdowały się przy drodze za łęgiem, około stu metrów od gospodarstwa. Widoczność wciąż była kiepska i niemożliwe było dostrzeżenie ludzkiej sylwetki z takiej odległości, zwłaszcza że mgła wciąż spowijała okolicę. Czarnecki poczuł wzbierającą złość. Wściekły, z powrotem poszedł w kierunku drzwi chałupy. W wejściu niemal wpadł na niego dowódca antyterrorystów.

– Szefie…?

– Wyślij dwóch ludzi za prokuratorem – rozkazał inspektor tonem nieznoszącym sprzeciwu. – I lepiej niech go znajdą, zanim on znajdzie Brudnego.

Rozdział 54

Brudny dotarł nad brzeg rzeki w momencie, gdy rozpruty Wiesław Burda po krótkiej i beznadziejnej walce wydał ostatnie tchnienie. Omiótł spojrzeniem drgającego trupa. Jego wnętrzności wylały się z jamy brzusznej i zabarwiły trawę na rdzawy kolor. Kilka metrów dalej bezgłowe ciało jego towarzysza wciąż siedziało na rozkładanym krzesełku. Oparta o stojak wędka właśnie lekko drgnęła. Tadeusz Kozioł miał branie, ale już nigdy nie miał zaciąć, złowić ani zjeść żadnej ryby, bo jego głowa osiadła na dnie Odry, rozbudzając ciekawość ukrytego w mule węgorza.

W szuwarach zaskrzeczał ptak. Brudny odruchowo wycelował w tym kierunku pistolet. Ocenił, że z tej strony nic mu nie grozi. Podniósł wzrok. W oddali dostrzegł znajomy most. Z tego miejsca wyglądał bardziej ponuro i zdawał się lewitować nad taflą wody. Pomyślał, że nie może tracić więcej czasu. Namierzył ślady ciężkich buciorów i ruszył tropem mordercy. Wtedy kątem oka dostrzegł na moście nieznaczny ruch. Przymknął powieki, aby wyostrzyć obraz.

Poznał ją od razu. Oksana Szczypenko poruszała się pomiędzy przęsłami, lekko kulejąc. Była półnaga, musiała być wyczerpana i skrajnie przerażona. Chciał krzyknąć, ale wtedy zniknęła za jednym z elementów konstrukcji, a ruch pojawił się w miejscu, gdzie most osiadał na wale. Jego też poznał.

Gdy cień ruszył w kierunku jego kobiety, Brudny rzucił się we mgłę. Potężny zastrzyk adrenaliny pozwolił mu ignorować ból i kolejnymi susami

pokonywać rozmokły teren. I choć nie zdołał narzucić sobie zadowalającego tempa, na torach stanął niecałe dwie minuty później.

Wycelował broń przed siebie, ale nie był w stanie dostrzec tego, co dzieje się na środku konstrukcji. Przetarł wierzchem dłoni krew z czoła i pokuśtykał wzdłuż torów. Wtedy do jego uszu dotarł krzyk kobiety. Była blisko. Bardzo blisko. Tak jak cień.

Kiedy tylko Brudny ruszył jej na ratunek, usłyszał znajomy szum. Dwa potężne reflektory oślepiły go, gdy pierwszy pociąg wyłonił się zza zakrętu i wdarł się na most od strony północnego brzegu. Zaklął, gdy zorientował się, że to tylko połowa problemów. Drugi tabor właśnie zasygnalizował swoją obecność donośnym gwizdem za jego plecami. Już wkrótce oba miały minąć się na moście.

* * *

Oksana Szczypenko rzuciła się do ucieczki chwilę po tym, jak mężczyzna w worku na głowie ruszył w jej kierunku. Nie przebiegła jednak dziesięciu metrów, gdy jej oczom ukazała się wielka wyrwa w gretingu przeznaczonym dla pieszych. Miała przynajmniej trzy metry długości i próba jej przeskoczenia z góry była skazana na porażkę.

Kobieta odwróciła się i dostrzegła, że kat jest bliżej, niż się spodziewała. Pomimo odniesionych ran wciąż zachował siły. Jak nie człowiek, tylko potwór. Przerażał ją. W tym okropnym fartuchu i raszlowym worku na głowie przypominał monstrum z najgorszych koszmarów. Nie miał w sobie nic ludzkiego. Prócz tego, że krwawił.

Instynktownie przeskoczyła przez murek i znalazła się na torach. Dopiero wtedy dostrzegła nadciągające niebezpieczeństwo. Rozpędzony pociąg pruł wprost na nią, jakby z pełną premedytacją chciał rozmazać ją na przedniej szybie lokomotywy.

Szczypenko nie mogła się wycofać. Uznała, że lepiej umrzeć szybką śmiercią, niż wpaść w łapska tego psychopaty. Szczęśliwie dla niej, gdy huk nadciągającego taboru stał się na tyle głośny, że zagłuszył jej samobójcze myśli, zadziałał instynkt. Kątem oka pomiędzy dwoma torowiskami dostrzegła wnękę w stalowych przęsłach. Na jednej z betonowych nóg, na których oparta była cała konstrukcja, było dość miejsca, aby poszukać tam bezpiecznego schronienia. Bez namysłu zeskoczyła niżej i przylgnęła do zimnego muru. Wtedy metr nad jej głową przemknęła pierwsza lokomotywa. Hałas stał się nie do zniesienia, dlatego zakryła uszy, a gdy z naprzeciwka wdarła się kolejna, Szczypenko zaczęła krzyczeć. Paniczny wrzask uwiązł pomiędzy rozpędzonymi pociągami, a gdy ogłuszający huk nagle umilkł, na wewnętrznych przęsłach dostrzegła pełzający cień.

On wciąż tam był. Przeczekał na gretingu, aż oba pociągi przejadą, i z powrotem wszedł na tory. Szukał swojej ofiary, a ona miała wrażenie, że oprawca zaraz usłyszy szaleńcze bicie jej serca. Przytknęła dłoń do ust, a drugą do piersi. Spojrzała w dół. Kilkanaście metrów pod jej stopami leniwie przelewała się rzeka. Jej ciemna powierzchnia mieniła się odbitym światłem księżyca i setek gwiazd. Kusiła i równie mocno przerażała.

Oksana czuła paniczny strach. Śmierć w czarnej głębi budziła w niej równie wielki lęk, jak ta z rąk oprawcy. Szczypenko chciała żyć. Przesunęła się wzdłuż betonowej podstawy w stronę drugiego torowiska i ukryła za rogiem. Chwilowo zniknęła z oczu prześladowcy, ale musiała być czujna. Zachowując maksymalną ostrożność, po rancie obeszła kwadratowy filar i wślizgnęła się pomiędzy stalowe rygle. Pomyślała, że to najlepsza kryjówka. Przeczeka. Może ją ominie. Może jej nie dostrzeże.

Wtedy poczuła, jak coś chwyta ją za włosy i z brutalną siłą unosi. Skóra zatrzeszczała na czaszce, gdy Oksana próbowała się wyrwać. Bez rezultatu.

Mężczyzna z workiem był zbyt silny. Uniósł ją niczym szmacianą lalkę, przecisnął pomiędzy stalowymi ryglami i przęsłami, a następnie rzucił jak kawałek mięsa na tory i przygniótł własnym ciężarem.

– Teraz cię, kurwo, potnę na kawałki – syknął z wściekłością wprost do jej ucha. – Zacznę od tego cholernego jęzora, a potem oderżnę cycki i wykłuję oczy. Podoba ci się, ukraińskie ścierwo? Podoba ci się…?

– Zostaw ją, sukinsynu. – Brudny stał na torach w odległości nie większej niż dziesięć metrów. W dłoniach trzymał pistolet i celował w ich kierunku, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że nie pociągnie za spust. Odpowiedzialny za widzenie płat potyliczny spuchł już do niewyobrażalnych rozmiarów i Brudny czuł, że zaczyna tracić wzrok. Morderca tego nie wiedział, ale z tej odległości komisarz ledwo był w stanie odróżnić oprawcę od ofiary.

* * *

– W końcu – warknął mężczyzna z workiem na głowie i wyprostował się, zasłaniając się zakładniczką.

– Puść ją i zakończmy tę popapraną historię. Zaraz będzie tu setka gliniarzy. Nie masz szans na ucieczkę.

Morderca zakaszlał krwią, przez co zadrżała mu ręka i przytknięty do szyi kobiety nóż naruszył skórę, tak że pociekła strużka krwi.

– Nie masz nic do gadania, glino! – odwarknął. – Mnie już nie zależy na życiu. Wolę tu zdechnąć z nadzieją, że ty i ten twój pedalski braciszek straciliście wszystko.

Dla Brudnego liczyła się każda sekunda, ale najwyraźniej nadarzyła się okazja, aby poznać motyw. Psychopaci, seryjni mordercy i wszelkiej maści dewianci zwykle w obliczu śmierci bądź pewnego aresztowania wyjawiali

całą prawdę. Co kierowało tym szaleńcem? Komisarz uznał, że musi wiedzieć. Wszystko.

– Okej, porozmawiajmy spokojnie. – Brudny opuścił broń i włożył ją za pasek spodni.

– Spokojnie… – syknął rozmówca. – Tak… wy dwaj wiecie, co to spokojne życie. Spokojne poranki, popołudnia, wieczory. Spokojne i pyszne obiadki, spokojne i radosne wakacje. Z kochającą mamuśką i serdecznym ojczulkiem. Spokojne, kurewsko spokojne i cukierkowe życie…

Brudny próbował analizować słowa mężczyzny, ale nie mógł znaleźć żadnego wspólnego mianownika. To, co mówił, brzmiało zupełnie bez sensu, przynajmniej dla niego.

– Nie wiem, skąd masz takie informacje, ale z twoimi wyobrażeniami nie mam nic wspólnego. Wychowałem się…

– Zamknij mordę! – przerwał mu przeciwnik i jeszcze mocniej pociągnął za włosy Oksanę. Głowa odchyliła się do tyłu, eksponując pulsującą tętnicę. – Wiem, jak wyglądało wasze życie. Słodziutki i spedalony Filipek jest tego najlepszym przykładem.

– Filip może i tak, ale ja wychowałem się w sierocińcu. I moje dzieciństwo nie było usłane różami.

Morderca zakaszlał. Dyszał ciężko. Przez chwilę rozważał to, co usłyszał, i najwyraźniej słowa Brudnego trochę zbiły go z tropu. Splunął krwią, która zatrzymała się na włóknach i szpetnie zawisła na worku.

– Kłamiesz, glino. A nie radzę mnie oszukiwać. Mogę zadać jej niewyobrażalny ból… – zagroził i na dowód jego nóż powędrował wzdłuż tętnicy i musnął usta.

– Wierzę, że skoro znasz historię Trochana, to zgłębiłeś też moją. Powinieneś znać prawdę…

Mężczyzna zacharczał i pokręcił nerwowo głową. W ocenie Brudnego zagalopował się i teraz szukał wyjścia z sytuacji. Kimkolwiek był, pomylił go z kimś innym albo po prostu działał w ciemno.

– Nie zasłużyliście na takie życie. Nie zasłużyliście! – wrzasnął po chwili. – A teraz będziecie cierpieć tak, jak cierpiałem ja – dodał gniewnym tonem. – Poznasz glino, co to prawdziwy ból, przekonasz się, gdy na twoich oczach wypruję jej wszystkie flaki, a ty nic nie będziesz mógł zrobić. Tak jak ja. Ja też nic nie mogłem zrobić! Nic, kurwa!

Brudny uniósł obie ręce w górę, aby tym gestem nieco stonować emocje. Chciał powiedzieć „spokojnie”, ale ugryzł się w język.

– Nie wiem, jakie krzywdy cię spotkały, ale…

– Krzywdy!? Piękne słowo. Krzywdy… – Morderca nerwowo zarechotał. – Od kiedy pamiętam, gwałcili mnie każdego dnia. Bili i gwałcili. Brudni, pijani, obleśni. Przychodzili, płacili tej kurwie i prowadzili mnie do piwnicy. Myślisz, że to było fair? Dlaczego mnie, a nie was? Byłem tak samo niewinny jak ty czy ten pierdolony doktorek.

Ostatnie słowa mężczyzna wypowiedział w sposób, który każdy przeciętny człowiek, nawet nie widząc twarzy rozmówcy, mógł uznać za akt rozpaczy.

– Co my ci zrobiliśmy, człowieku? – zapytał Brudny. – Kim ty jesteś, do cholery?

Morderca wsunął ostrze pod konopną linkę, która zaciskała się na jego szyi, utrzymując raszlowy worek na miejscu. Uległa bez oporów. Z powrotem przyłożył nóż do szyi Szczypenko, po czym drugą ręką ściągnął worek z głowy. Rzucił go pod nogi Brudnego.

– Poznajesz?

Brudny nie był w stanie dostrzec w mroku rysów przeciwnika. Jego twarz wydawała się rozmazana. Dokładnie tak jak w dziecięcych

koszmarach. Czarna, bezkształtna i gniewna. Zmrużył oczy i zrobił krok do przodu. Potem następny.

– No chodź, glino. Podejdź bliżej i przyjrzyj się dobrze.

Brudny pokonał kolejne dwa metry. Oblicze mordercy zaczęło nabierać kształtów. Komisarz zdał sobie sprawę, że zaraz pozna tożsamość tego, który go prześladował od wczesnego dzieciństwa i który odcisnął na nim takie piętno. Przez ułamek sekundy się zawahał. Nie był pewny, czy rzeczywiście tego chce. Wtedy rysy stały się wystarczająco wyraźne.

Twarz komisarza wykrzywiła się w beznadziejnym grymasie. To, co ujrzał, było już ponad jego siły.

Rozdział 55

Czarnecki stał na ganku chałupy i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Trochan i jego żona znajdowali się w zbyt głębokim szoku i tak naprawdę nie byli w stanie już zbytnio pomóc. Oddział specjalny w ciągu kilku minut miał wkroczyć na pola w poszukiwaniu Brudnego i mordercy. Pozostał prokurator, który wykorzystał sytuację i rozpłynął się w powietrzu. Zrobił to w konkretnym celu. Inspektor domyślał się w jakim.

Wtedy zabrzmiał sygnał dzwonka w jego smartfonie. Dzwonili z centrali. Odebrał.

– Grzegorz?

– Romek, wiem, że jesteś zajęty, ale chyba powinieneś o tym wiedzieć.

– O czym?

– Jedna z tych sióstr hieronimek odkryła na terenie sierocińca zwłoki matki przełożonej. Tej, z którą rozmawiałeś i…

– Gwidona nie żyje?

– Na razie nie znamy przyczyny śmierci, ale wygląda, jakby umarła we śnie.

Czarnecki, podobnie jak Brudny, nie wierzył w takie zbiegi okoliczności. Gdyby wierzył, pewnie nigdy nie zostałby policjantem. Tylko jeden człowiek mógł mieć interes w uciszeniu tej starej wiedźmy. Ale skoro nie ruszył się z domu, to jak zdołał ją zabić?

– Poczekaj chwilę, Grzegorz.

Inspektor wszedł do domu i wydał kilka poleceń zamaskowanym antyterrorystom. Następnie wybiegł na zewnątrz i ze smartfonem w dłoni pogonił za dowódcą. Gdy Mały znalazł się w zasięgu wzroku, Czarnecki zawołał, aby na niego poczekał. Maszerując pomiędzy drzewami, wrócił do rozmowy z podinspektorem Zimnym.

– Grzegorz… Ona nie umarła z przyczyn naturalnych. Niech policjanci zabezpieczą teren i spytają wszystkich pracowników tego ośrodka, z kim się widziała przed śmiercią. Podejrzewam, kto za tym stoi, ale potrzebuję dowodu. Ktoś musiał coś widzieć.

– Jasne, przekażę. Zabezpieczyliśmy też nagrania monitoringu.

– Znakomicie. Oddeleguj człowieka albo lepiej kilku, aby wszystkie dokładnie przejrzeli. Na wczoraj.

– Mają szukać kogoś konkretnego?

– Tak. Wysokiego, dobrze zbudowanego i raczej elegancko ubranego mężczyzny około czterdziestki. Być może w kapeluszu z rondem.

– Powiesz, kogo masz na myśli?

– Na razie nie mogę. Rób swoje. Muszę kończyć.

Czarnecki rozłączył się akurat w momencie, gdy doszedł do dowódcy antyterrorystów. On też właśnie wydał ostatnie rozkazy. Za jego plecami widać już było furgonetki, którymi przyjechali.

– Jakiś problem, szefie? – zadudnił głos Małego.

– Ilu masz wolnych ludzi?

– Dwunastu, ale posiłki są w drodze. Za dziesięć minut będę miał trzydziestu. Miejsce zbiórki…

– Wysłałeś już tych dwóch po prokuratora? – Czarnecki wyraźnie się spieszył.

– Porozdzielałem zadania. Jimmy i Ruleta dostali rozkaz minutę temu, więc powinni być jeszcze w okolicy.

– Pytam, bo chcę do nich dołączyć.

– Teren jest bardzo trudny, szefie.

– Poradzę sobie. Dawaj ich.

Mały przywołał przez radio swoich ludzi. Tak jak podejrzewał, zameldowali się tuż obok. Właśnie penetrowali okolicę drogi, przy której zaparkowali.

– Nie wiem, gdzie on się podział. Jakby wyparował – zameldował jeden z nich, gdy dowódca i inspektor doszli na miejsce.

– Znaleźliście już jakiś trop?

– Szukamy – odezwał się drugi.

– Więc ruszcie dupska. A inspektor idzie z wami.

Zamaskowani policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Niańczenie podstarzałego inspektora, który większość czasu spędzał przy biurku, z pewnością nie należało do ulubionych zadań specjalsów. Czarnecki doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział też, że ich spowolni, ale bez pomocy nie miał szans na szybkie odszukanie prokuratora. A miał plan, którego nie mógł zdradzić nikomu.

Policjanci odmeldowali się i wrócili do przerwanych czynności. Inspektor przykucnął i mocniej zawiązał sznurówki. Gdy skończył, jeden z nich wskazał na ślady półbutów sugerujące, że ich właściciel skierował się na północ, a konkretnie w stronę rzeki. Chwilę później cała trójka ruszyła w tym kierunku.

Czarnecki szybko odczuł, że najlepsze lata ma już za sobą. Policjanci szli się szybko pomimo pełnego umundurowania i niesionej broni, przez co imponowali sprawnością. Inspektor z trudem za nimi nadążał, ale się nie poddawał. Choć zostawał w tyle, nadrabiał w momencie, gdy oni w niektórych miejscach zatrzymywali się, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie zboczyli z trasy, którą podążał prokurator.

W pewnym momencie gdzieś w oddali zamajaczyły przęsła mostu. Pomiędzy nimi można było dostrzec jakieś sylwetki. Czarnecki pomyślał, że to tu rozegra się finał. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy sto metrów na prawo od mostu na wał wspięła się jeszcze jedna postać.

Prokurator Lis też miał swój plan. I bez wątpienia zamierzał go zrealizować.

Rozdział 56

– Jesteś zaskoczony, glino? – wysyczał morderca.

Brudny otworzył szeroko oczy. Poczuł, jak drętwieją mu nogi, ręce, a przepona zaciska się, odcinając tlen. Mężczyzna naprzeciwko szczerzył czerwone od krwawej flegmy zęby, dokładnie tak samo jak on to robił, gdy przed laty dostawał napadów furii. Patrzył na niego równie nienawistnie jak on na wszystkich swoich oprawców, a lewą brew przecinała taka sama blizna jaką on nosił od lat. Kolejno nos, usta, kości policzkowe i cały profil twarzy, nawet kolor włosów i fryzura wyglądały identycznie, z tą różnicą, że zdawały się wypaczone i wykoślawione jak w krzywym zwierciadle. W bladym świetle księżyca mężczyzna wyglądał upiornie, niczym jego najmroczniejsze oblicze.

– No jak, Igorek? Nie przywitasz się z bratem? – warknął i obleśnie oblizał policzek drżącej z przerażenia Oksany Szczypenko.

– Bratem…? – wyszeptał z niedowierzaniem Brudny.

– A co myślałeś, debilu? Że jest was tylko dwóch? Ty i ten spedalony Filipek?

Grymas na twarzy Brudnego zmieniał się z każdym wypowiedzianym słowem przeciwnika. Zalała go fala sprzecznych uczuć.

Mężczyzna znów zakaszlał krwią.

– Jestem jeszcze ja. I zawsze byłem – syknął nienawistnie. – Najpierw ja wyszedłem z plugawego łona tej kurwy, potem ty, a na końcu Filip. Was oddała, a mnie sobie zostawiła. Wiesz dlaczego?

Brudny milczał.

– Wiesz, kurwa, dlaczego? – Ostrze niebezpiecznie zbliżyło się do oka Oksany. – Bo ja nie! Ale wiem, jaki los mi zgotowała. Po śmierci ojca, który mnie lał i gwałcił do piątego roku życia, zaczęła oddawać mnie tym obdartusom. Ludzkim śmieciom, cuchnącym zjełczałym potem i gównem zboczeńcom z okolicznych wioch. Za pół litra wódki. Za pół pierdolonego litra jebanej wódy!

Brudny nie był w stanie wykrztusić choćby sylaby. Nigdy nie czuł tak potężnego dysonansu i lawiny skrajnych, niemożliwych do ogarnięcia emocji. Nie potrafił znaleźć słów, ale z każdą kolejną sekundą przyswajał ponurą prawdę.

– Wiesz, co mi robili? Chcesz wiedzieć? – dopytywał morderca, nie zważając na wylewającą się z jego ust krew. Brudny wciąż milczał. – Przykuwali mnie łańcuchem, a potem rżnęli, kwicząc przy tym jak świnie. Bluzgali, katowali i gwałcili bez opamiętania. Byłem dzieckiem. Pieprzonym dzieckiem! – Ton mężczyzny z gniewnego zaczynał przechodzić w rozpaczliwy. – Na początku płakałem i krzyczałem, ale szybko nauczyłem się, że to na nic, a moje błagania jedynie rozjuszają tych starych zboczeńców. Śmiali się do rozpuku i szczali na mnie, gdy ja… – mężczyzna wykrzywił usta w psychopatycznym grymasie, a jego oczy się zaszkliły – …gdy ja leżałem bezbronny i niczemu winny. I… i w myślach błagałem o śmierć.

Po policzku mężczyzny popłynęły łzy. Brudny powoli otrząsał się z letargu. Nie było czasu, aby teraz wszystko poskładać do kupy, ale tysiące znaków zapytania w jednej chwili zniknęły, ustępując pola ponuremu rodzinnemu sekretowi. Instynktownie zamknął oczy, aby oczyścić umysł. Gdy znowu je otworzył, na sytuację patrzył już trzeźwym okiem.

– Jak masz na imię? – zapytał niemal życzliwie.

– Janek… – odparł morderca i zaśmiał się dwuznacznie. Chwilę później otrząsnął się z emocjonalnego dołka i wyszczerzył zęby w gniewnym grymasie.

Brudny od razu przypomniał sobie to imię. Odnalazł je w aktach archiwum proboszcza Klicha. Nawet zaznaczył w notesie jako ważne/do wyjaśnienia. Jan Jasina, urodzony piętnastego czerwca 1982 roku. Cztery dni później od niego, ale któż by zastanawiał się nad konkretną datą. Matka, jeśli rodziła w tajemnicy, tak naprawdę mogła wpisać jakikolwiek dzień miesiąca.

– Jasina? – upewnił się komisarz.

– Tak jak ty, Igor. Nazywasz się Jasina, ale nigdy nie poznałeś, jak to jest być synem Jasinów. Dlatego nie zasłużyłeś, nie zasłużyłeś, żeby…

– Wiem, jak cierpiałeś, bracie – zaryzykował Brudny. – Od dzieciństwa…

– Gówno wiesz, glino! Nie było cię tam, nie czułeś tego co ja, nie musiałeś przez lata każdego dnia błagać o śmierć.

– Zgadza się, bracie. Nie wiem, ale… – Brudny ugryzł się w język. Przez moment chciał powiedzieć o tym, że czuł jego ból i cierpienie, że prawie każdej nocy współdzielił to, co brat, ale czymże były jego dziecięce koszmary, choćby najbardziej realne i przerażające, przy katuszach, jakie przeżywał Jan. Łączyła ich potężna braterska więź.

– Nie ma już żadnego „ale”, braciszku. – Jan wykorzystał zawahanie Brudnego. – Teraz będzie już tylko cierpienie. Nie zasłużyliście na to, żeby cieszyć się życiem. Zostawiliście mnie na pastwę tej podłej suki i teraz obaj za to zapłacicie. Też będziecie cierpieć. Zabiorę wam wszystko. A zacznę od tej słodziutkiej blondyneczki.

– Poczekaj! – Brudny uniósł rękę. – Nie musisz tego robić. Jestem twoim bratem. Nie wiedziałem o twoim istnieniu. Filip też nie. Każdy z nas

myślał, że jest jedynakiem, a teraz… W końcu jesteśmy rodziną, czyż nie?

– Pierdolę taką rodzinę! – warknął Jan i szczerząc zęby, przeciągnął ostrzem po policzku ofiary. – Najpierw oko czy ucho? A może natnę tu i tam i zedrę jej skórę z twarzy jak tamtej gówniarze? Co wybierasz, braciszku?

Szczypenko zwymiotowała, a Brudny błyskawicznie sięgnął po broń i wycelował w głowę brata.

– Jeśli jeszcze raz ją tkniesz, osobiście wyrwę ci serce – rzucił stanowczo.

– Strzelisz w swoją facjatę? – zarechotał Jan i schował się za głowę Szczypenko. Drobnymi kroczkami zaczął wycofywać się w kierunku uszkodzonego gretingu. – Nie sądzę… A może najpierw wypruję jej flaki? Chciałbyś zobaczyć swoją kurwę od środka, braciszku?

Brudny trzymał dystans, ale szedł krok w krok za Janem. Analizował swoje szanse. Dzieliły ich nie więcej niż trzy metry, dlatego z tej odległości mógłby zdecydować się na oddanie strzału, chociaż nie był w formie. Ryzyko jednak istniało, a nigdy nie wybaczyłby sobie, gdyby z jego winy ucierpiała Oksana.

– Czas się kończy, braciszku. Mnie też go chyba wiele nie zostało… – Z ust Jana znów wylała się gęsta, krwawa plwocina. Brudny nie miał jak oddać strzału, bo przeciwnik wciąż chował się za zakładniczką. – Tik-tak, tik-tak, czas na…

Jan nie dokończył, gdy nagle stracił grunt pod nogą. Zamilkł i w panicznej próbie złapania równowagi instynktownie zamachnął się ręką, w której trzymał nóż. To wystarczyło, aby Brudny podjął błyskawiczną decyzję i nacisnął spust. Kula trafiła w wyeksponowaną dłoń brata, wytrącając ostrze i pozbawiając go trzech palców. Jego druga ręka

odruchowo zacisnęła się z siłą imadła na przegubie Oksany, nie dając jej szans na wyrwanie się. Chwilę później oboje runęli w ciemną otchłań.

Brudny nie wahał się ani chwili. Dwoma susami dopadł do wyrwy w gretingu i wskoczył do zimnej Odry. Nawet nie zarejestrował, gdy sekundę wcześniej padły dwa kolejne strzały, a jedna z kul rozerwała mu lewe ramię.

* * *

Prokurator był pewny, że trafił. Jeden pocisk zrykoszetował na stalowym przęśle, ale drugi utkwił w celu. Ścisnął broń i truchtem pobiegł wzdłuż torów.

Gdy dotarł na miejsce, z zaskoczeniem odkrył, że jest całkiem pusto. Trzy postaci dosłownie rozpłynęły się we mgle. Omiótł wzrokiem okolicę. W świetle księżyca na torach błyszczały rdzawe smugi. Pomyślał, że to niemożliwe, aby Brudny tak mocno krwawił. Namierzył przęsło, które najprawdopodobniej trafiła jedna z jego kul. Kilkucentymetrowy, podłużny ślad wyglądał, jakby został świeżo wyszlifowany. Poniżej kilka krwawych kropel spływało po zardzewiałym fragmencie konstrukcji. Wtedy dostrzegł wyrwę w gretingu i leżący na drewnianym podkładzie palec.

Stanął na krawędzi i spojrzał w dół. Lustro wody było czarne, a na powierzchni wciąż rozchodziły się kręgi. Panowała głucha cisza.

To nie tak miało być, pomyślał. Gdy po rzece poniosło się nawoływanie, pojął, że to jeszcze nie koniec. Rozejrzał się w poszukiwaniu drogi w dół. Zaklął, gdy zrozumiał, że musi zawrócić. Upewniwszy się po raz ostatni, że wokół nie ma nikogo, cofnął się i pobiegł w kierunku, z którego przybył. Gdy dotarł do linii brzegu, na skraju mgły dostrzegł falujące cienie. Jedną sylwetkę poznał od razu.

Lis natychmiast doskoczył do barierki. Do porośniętej trawami i trzciną ziemi było nie więcej niż trzy metry. Nie zastanawiając się ani chwili, jednym susem pokonał przeszkodę i zniknął z pola widzenia Czarneckiego i jego ludzi. Gdy inspektor dotarł na most, nie było już na nim żywej duszy.

Rozdział 57

Nagle zgasło światło, a w ciało wbiły się tysiące lodowych igieł. Brudny stracił orientację i przez kilka następnych sekund walczył, aby nie utonąć. Dopiero po chwili poczuł szarpnięcie, które przerodziło się w dojmujące wrażenie, jakby jakaś nieprawdopodobnie zimna siła zaczęła go zasysać na drugą stronę.

Rzeczny prąd był tu dość silny i wirował wokół betonowych filarów, utrudniając jakiekolwiek ruchy. Widok tysięcy szalejących wokół bąbelków dodatkowo utrudniał zadanie i wzmagał dezorientację. W pewnym momencie Brudny wyłonił się jednak na powierzchnię i łakomym haustem nabrał powietrza w płuca.

Starając się utrzymać głowę nad wodą, gwałtownie zaczął rozglądać się wokół w poszukiwaniu Jana i Oksany. Dopiero wtedy zorientował się, że znajduje się już dobre dziesięć metrów od podstawy mostu i wciąż się oddala.

– Oka! – krzyknął histerycznie. – Oka! Oka! Oka, gdzie jesteś!? – powtórzył jeszcze kilka razy, ale odpowiedziało mu tylko niesione po spokojnej tafli echo.

Brzeg i okoliczne rzeczne główki wciąż spowijała gęsta mgła. Mrok tylko potęgował wrażenie osaczenia i bezradności. Brudny pomyślał, że zanurkuje, ale szybko zdał sobie sprawę, że to nie ma najmniejszego sensu. W odrzańskiej wodzie, w nocy, widoczność była zerowa.

Wtem we mgle dostrzegł jakiś ruch, następnie usłyszał plusk i jakby kaszel. Walcząc z prądem, natychmiast skierował się w tamtą stronę. Po chwili z mgły wyłonił się potężny pniak, który utkwił na granicy spokojnego zakola i głównego nurtu. Kawał drewna przypominał upiorny, kolczasty walec, ale mężczyzna ujrzał coś pomiędzy konarami. Gdy zobaczył zaplątane w jeden z nich blond włosy, poczuł uderzenie adrenaliny.

Ignorując ból, lodowate zimno i fakt, że jego lewe ramię zostało rozerwane przez kulę, zdołał dopłynąć i w ostatniej chwili złapać się jednego z wystających konarów.

– Oka! – zawołał. – Oka, jesteś cała? – Tym razem już niemal szepnął, gdy korzystając z pomocy kolejnych gałęzi, w końcu przysunął się do kobiety.

Szczypenko żyła i oddychała, ale wyglądała na skrajnie wyczerpaną. Przez chwilę zdawała się go nie zauważać, dopiero po kilku sekundach z trudem uniosła powieki, a na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

– To ja, Oka. Nic ci już nie grozi – szepnął jej do ucha, zgrzytając zębami. – Spróbuj tylko wykrzesać jeszcze odrobinę siły. Musimy jak najszybciej wyjść z tej lodowatej wody.

Szczypenko nieznacznie kiwnęła głową. Sprawiała wrażenie, jakby już było jej wszystko jedno. Brudny chwycił jej rękę i założył sobie na szyję, gdy chciał chwycić drugą, poczuł za sobą nienaturalny ruch wody, a chwilę później gwałtowne szarpnięcie. Znów znalazł się pod powierzchnią.

Jan pociągnął go w dół, a następnie założył duszenie i uwięził jego szyję w morderczym uścisku. Brudny poczuł, jak w jednej sekundzie odcina mu dopływ tlenu. Instynktownie złapał go za ramię, ale chwyt brata zdawał się nie gorszy od zaciśniętego imadła. W zachowanie komisarza wkradła się panika, bo nie miał żadnej możliwości wyjścia z opresji. Pomyślał, że

tysiące szalejących bąbelków i prześwitujący nad taflą księżyc będą ostatnimi, co zobaczy, zanim pochłonie go mroczna toń.

Kiedy walcząc o życie, rozpaczliwie zaczął machać rękami, natrafił na jeden z odstających konarów. Chwycił go mocno i poczuł, jak ostre krańce z łatwością wrzynają się w ciało, mimo to zacisnął na nim palce z siłą, jakiej nie powstydziłby się rozjuszony goryl. Nie myślał. Zdał się na instynkt. Gdy jego płuca bezpardonowo zaczęły domagać się tlenu, ułamał zaostrzony kawałek drewna i wbił go w szyję napastnika.

W jednej chwili ramię obejmujące jego szyję zwolniło uścisk, a Brudny wystrzelił nad powierzchnię. Wyłaniając się spod wody, z jękiem zaczerpnął życiodajnego tlenu, następnie chwycił bezwładne ramię przeciwnika i zrzucił je z siebie. Obrócił się i spojrzał na oprawcę. Jego wykrzywiona w grymasie wściekłości i kompletnego zdumienia twarz znajdowała się na granicy tafli wody. Z ust i tętnicy chlustała krew. Jego oczy, duże i ciemne, spoglądały na Brudnego, jakby pragnęły wyssać z niego duszę.

To było skrajnie irracjonalne. Powiedzieć, że komisarz czuł się, jakby patrzył w lustro, to nic nie powiedzieć. Intensywność tej chwili zdawała się absolutnie nadzwyczajna. Brudny patrzył, jak jego rodzony brat broczy krwią, a usta wykrzywiają się w ostatnich, żałosnych grymasach. Gdy z szeroko otwartymi powiekami powoli osuwał się w mroczną toń, komisarz poczuł, jakby ktoś wyrwał mu serce.

Chwilę później zarzucił sobie ramiona Oksany Szczypenko na szyję i ostatkami sił oboje wypełzli na brzeg. Skrajnie wycieńczeni, legli w błocie niczym para szpetnych kochanków. Gdy Brudny upewnił się, że kobieta miarowo oddycha, zamknął na chwilę oczy i pomyślał, że dobrze by było już ich nie otworzyć.

* * *

Otworzył je, gdy usłyszał szelest w pobliskich trawach. Z trudem uniósł głowę, instynktownie szukając za paskiem broni. Nie było jej tam. Skupił wzrok w punkcie, który uznał za źródło hałasu. Wtedy spomiędzy rzecznych chaszczy wyłonił się cień, który szybko nabrał wyraźniejszych kształtów. Zanim Brudny zdążył cokolwiek zrobić, ubłocone półbuty znalazły się już kilkadziesiąt centymetrów od jego głowy.

– To nic osobistego – rzekł prokurator, przeładowując broń. – Jesteś mordercą, a ja człowiekiem, który go zabije i…

– Chuj ci w dupę, gnoju – warknął Brudny.

– No teraz to będzie trochę osobiste. Wiesz, że już nie preferuję tego typu zabaw. Zmieniłem się. Tylko ty wiesz, że… – Lis zawiesił na chwilę głos – …kiedyś było inaczej.

– Owszem, zmieniłeś się. Jakoś umknęła mi ta twoja paskudna morda przy pierwszym spotkaniu.

Prokurator nachylił się nad Brudnym.

– Do tej pory masz tę bliznę? – zapytał i dotknął lufą łuku brwiowego rozmówcy. Komisarz szarpnął się nieznacznie. – Z przyjemnością spuszczałem ci wpierdol i…

– Bałeś się mnie i boisz do tej pory – warknął Brudny. – Garnitur i lakierki nie zmienią tego, że wciąż jesteś tchórzem i tym samym cwelem, jakiego zrobił z ciebie Wilczek i reszta tych…

Komisarz nie dokończył, gdy dostał solidnego kopniaka w głowę. Prokurator zaklął pod nosem i cofnął się kilka kroków w stronę wału. W tym czasie Brudny podpełzł jak najbliżej Oksany i zakrył ją własnym ciałem.

– Jej nie zabijaj. Tylko o to cię proszę. – Brudny zmienił ton.

– Niestety. Tego obiecać nie mogę. I wybacz, ale naprawdę nie mam czasu na te jałowe dyskusje. – Wycelował w głowę komisarza.

– Nie wywiniesz się. Czarnecki już wie i…

– Czarnecki może i wie, ale nic mi nie zrobi bez dowodów, a ty i… ta twoja lafirynda jesteście w tej chwili ostatnimi z nich. I do tego jesteś mordercą, prawda? A… zapomniałem. To nie ty. Ty tylko wyglądasz dokładnie jak on, a ja w tych warunkach mogłem się przecież pomylić…

– Pierdol się!

– Nie tym razem.

Brudny zamknął oczy. Nie przejmował się sobą. Mógł zdechnąć tu i teraz. Jeśli całe jego życie miało prowadzić do takiego finału, był gotów do końca patrzeć śmierci w oczy. Ale nie mógł pozwolić, aby ktoś skrzywdził Oksanę. Wtedy usłyszał strzał.

Jego ciało jakby przeszył prąd z paralizatora. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że nie czuje bólu. To było coś nowego, ale może tak właśnie wyglądała śmierć? Może dlatego większość ofiar po postrzałach umierała w ciszy? Otworzył oczy. Zrobił to akurat w momencie, gdy ciało prokuratora runęło tuż obok. Twarz Lisa wykrzywiała się w koszmarnym grymasie bólu i niezrozumienia. Brudny nie czekał ani chwili. Instynktownie przypadł do wijącego się w agonii prokuratora i przygniótł go swoim ciałem, po czym założył dźwignię na zgruchotane przez pocisk ramię. Lis jęknął wściekle, ale nie był w stanie oprzeć się jego sile.

– Nie strzelać! – rozległo się z pobliskich szuwarów. – Trzymajcie go na muszce, ale nie otwierajcie ognia!

Brudny rozpoznał go o razu. Na wszelki wypadek przylgnął do unieruchomionego prokuratora i poczekał na inspektora i jego ludzi. Nie opierał się, gdy jeden z zamaskowanych policjantów powalił go i przygwoździł do ziemi, a następnie kilkoma wprawnymi ruchami skuł mu nadgarstki. Z niekłamaną przyjemnością patrzył, jak drugi robi dokładnie to samo z łapami wściekającego się prokuratora.

– Mam nadzieję, że to pan, komisarzu… – spytał Czarnecki, gdy zbliżył się na wyciągnięcie ręki.

– Igor Brudny we własnej osobie – odparł z ironią w głosie.

– Rozkujcie go – rozkazał inspektor. – I niech przyleci tu ten cholerny śmigłowiec. Mamy trzech rannych, których trzeba natychmiast przetransportować do szpitala.

Zamaskowani policjanci od razu wykonali polecenie. Pozostali zajęli się zapewnieniem opieki Oksanie Szczypenko, zorganizowaniem lądowiska dla helikoptera i innymi niezbędnymi działaniami.

Inspektor wyciągnął rękę w kierunku komisarza i pomógł mu wstać. Brudny natychmiast skierował się w stronę Oksany, ale zajmujący się nią policjant powstrzymał go wymownym gestem.

– Jest wyczerpana, ale przeżyje – rzekł. – Rany nie są głębokie. Oddycha równo, ale potrzebuje spokoju.

Brudny dotknął tylko delikatnie jej policzka i wyprostował się. Poczuł, jak trzeszczą mu wszystkie kości, a ramię pali żywym ogniem. Jęknął, gdy przyłożył dłoń do rany w okolicach tricepsa. Inspektor zignorował ten fakt. Wiedział, że Brudny to twardziel. Przez moment przyglądał mu się jednak uważnie.

– Gdzie ten trzeci? – spytał.

Brudny kiwnął głową w kierunku tkwiącego przy brzegu konaru.

– Zaraz ktoś się tobą zajmie. Twoja głowa naprawdę wygląda kiepsko.

– Bywało gorzej.

Czarnecki pomyślał, że chyba warto dać Brudnemu chwilę spokoju. Potrzebował jej równie mocno, jak on mocnej kawy. Kiwnął nieznacznie głową i już miał obrócić się na pięcie, gdy z powrotem skierował swoją uwagę na komisarza.

– Jeszcze jedna sprawa… – zwrócił się do niego.

– Tylko jedna?

– Tylko jedna.

– A więc słucham.

– Możesz mi zagwarantować, że nie było was czterech?

Brudny wymownie spojrzał inspektorowi w oczy.

– Kiepski żart, inspektorze. Przed chwilą zabiłem brata.

Czarnecki skarcił się w myślach. Chciał odrobinę rozładować napiętą atmosferę, ale trafił kulą w płot.

– Przepraszam. Robię się na to za stary – próbował wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

– Chyba tak. Poza tym wciąż nie przeszliśmy na ty…

– Ja…

– Żartuję. Od teraz możesz mówić mi Igor.

– Romek.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym inspektor odwrócił się do jednego z policjantów, który właśnie podnosił z błota skamlącego i wijącego się prokuratora.

– A ty, Krzysztof, jesteś aresztowany pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia oraz usiłowania dwóch kolejnych – zwrócił się do niego oschłym tonem. – Nikt w całej mojej karierze nie zawiódł mnie tak bardzo jak ty – dodał, po czym rzucił krótkie „zabrać go” i Krzysztof Lis, prowadzony przez dwóch rosłych policjantów, zaraz zniknął gdzieś w szuwarach.

Z oddali dobiegł warkot silników zbliżającego się śmigłowca, a księżyc niepostrzeżenie zniknął za chmurami. Brudny pomyślał, że to jednak chyba jeszcze nie ten czas, i siląc się na słaby uśmiech, odebrał od jednego z policjantów koc termiczny. Przysiadł na kamieniu obok leżącej na noszach i przykrytej podobnym Oksany, po czym zarzucił go sobie na

ramiona. Patrzył na nią, nie dowierzając, że wszystko zakończyło się szczęśliwie. Nawet nie poczuł, gdy na jego twarz spadły pierwsze krople. Do wschodu słońca pozostało jeszcze kilka dobrych godzin, a nad Lubuskie znów nadciągał deszcz.

Rozdział 58

Miesiąc później

– Za powrót do pracy? – Zawadzka uniosła butelkę, spoglądając na Brudnego.

– Trochę lichy ten toast, ale może być – odparł komisarz i posłał przyjaciółce nieco wymuszony uśmiech.

W skromnie urządzonym salonie jednej z setek kamienic na warszawskiej Saskiej Kępie zabrzmiał brzęk stukających się butelek. Chwilę później obie dołączyły do szeregu podobnych, a Brudny poszedł do lodówki po kolejne piwo. Wyciągnął i z charakterystycznym brzękiem otworzył dwa ostatnie, a w szufladzie wyszperał częściowo opróżnioną puszkę orzeszków ziemnych. Wręczył schłodzoną butelkę przyjaciółce, a na środku postawił przekąskę.

– Myślisz, że utworzą nam szpaler i będą śpiewać sto lat? – zapytał, gdy z powrotem zatopił się w miękkim fotelu.

– Mam nadzieję, że nie, chociaż po zastępach tych świeżaków to wszystkiego można się spodziewać.

Brudny odchylił się w fotelu i na chwilę zamknął oczy, po czym znienacka parsknął szczerym śmiechem.

– Już to widzę. Na końcu szpaleru czekający na nas Beryl z kwiatami i orderami. Ja pierdzielę…

Zawadzka też się roześmiała.

– No, to byłby rzadki widok – dorzuciła rozbawiona.

Oboje śmiali się jeszcze przez chwilę. Nie widzieli się blisko dwa tygodnie, które po wyjściu ze szpitala wykorzystali na załatwienie zaległych spraw, zarówno ważnych, jak i bardziej przyziemnych. Zawadzka odwiedziła długo niewidzianych rodziców, a Brudny skupił się na zdruzgotanej ostatnimi wydarzeniami Oksanie. Do tego kolejne wizyty u lekarzy, papierkowa robota, krótka acz budująca wizyta we Lwowie u rodziny partnerki. Wszystko to sprawiło, że mijali się i nie mieli czasu, aby usiąść i po ludzku napić się piwa.

– Wiesz, Igor… – Zawadzka znów spoważniała.

– No…

– Do tej pory nie mogę uwierzyć, że ten Jan tak to sobie wykombinował.

– Masz na myśli DNA?

– No tak. Przecież ta kobieta… Ta… – Zawadzka przez chwilę szukała właściwego słowa.

– Matka – wtrącił Brudny. – Ciągle się hamujesz, a naprawdę nie musisz. Ona była moją matką. Moją, Filipa i Jana.

– Dobra, sorry, jestem już trochę podchmielona i nie chcę walnąć jakiegoś babola, a…

– Wyluzuj, Julka. To już historia.

– Okej. A więc ta twoja matka… Myślisz, że ruszyło ją sumienie i dlatego mu powiedziała?

– Musimy o tym gadać? – Wyraz twarzy Brudnego mówił więcej niż tysiąc słów. – Mam już w czubie, a do tego przerabiałem to już setki razy.

– Dobra już, dobra. Tylko spójrz, jak łatwo można kogoś udupić – nie ustępowała. – Wystarczy kępka włosów z okresu niemowlęcego, aby wrobić Bogu ducha winnego faceta.

– No tu masz rację. To był jedyny wątek, którego nie byłem w stanie ogarnąć. W pewnym momencie połapałem się, że ktoś wykorzystał moją nieuwagę i podrzucił nad rzekę kiepa i te kawałki pizzy, ale za cholerę nie mogłem zrozumieć, skąd przy tych bachusikach wzięły się moje włosy.

Brudny odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Sprawa Jana Jasiny powoli schodziła na dalszy plan, a media znów skupiły się na politycznych wojenkach przy Wiejskiej. Od czasu do czasu jednak dokopywały się do utajnionych informacji i rzucały spragnionej tłuszczy kolejny kawałek mięcha, próbując odświeżyć wiecznie podgrzewanego kotleta. Nieco ponad tydzień temu – co wyjątkowo Brudnego wkurwiło – puściły w eter fakt, który na nowo rozbudził ciekawość tłumów, a programy informacyjne ponownie zapełniły się „mądrymi głowami" i pseudospecjalistami próbującymi odgadnąć, dlaczego „Rzeźnik z Nietkowa" zrobił to, co zrobił. Brudny uzgodnił z Czarneckim, że szczegóły śledztwa nie zostaną podane do publicznej wiadomości, zwłaszcza że morderca nie przeżył, a wobec wyłowienia jego ciała i odnalezienia tak oczywistych śladów kolejnych zbrodni w należącej do niego chlewni nikt nie miał wątpliwości, że to Jan był odpowiedzialny za wszystkie morderstwa. Ale media, jak to media, próbowały wycisnąć ze sprawy wszystko, co tylko możliwe, nie bacząc na fakt, że przy życiu pozostało dwóch braci bliźniaków największego i najbardziej bezwzględnego seryjnego mordercy w najnowszej historii Polski. Braci, którzy chcieliby wrócić do normalnego życia, nie będąc na każdym kroku wytykani na ulicy palcami.

– Wiemy już, skąd morderca miał twoje DNA – oznajmił inspektor Czarnecki, gdy dwa dni po zakończeniu akcji odwiedził Brudnego w szpitalu.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć. Wstyd przyznać, ale trochę mnie to wszystko przytłacza.

– To były włosy. – Czarnecki wyciągnął trzy plastikowe woreczki z imionami i nazwiskami osób, do których należały. Przystawił je bliżej owiniętej bandażem głowy komisarza. Na naklejonych karteczkach napisano: Jan Jasina, Filip Trochan, Igor Brudny. – Wasza matka tuż po urodzeniu każdemu z was ucięła po kosmyku włosów i schowała je do szuflady, pewnie na pamiątkę. Morderca po latach wykorzystał je, aby spróbować was wrobić.

– Czyli jestem w całości oczyszczony z zarzutów? – Brudny wyszczerzył zęby w grymasie, który miał przypominać uśmiech, choć bliżej mu było do warczenia hieny.

– Lichy żart, ale tak. Jesteś wolny, a zaraz pewnie zostaniesz bohaterem. W przeciwieństwie do prokuratora, którego przyszłość nie rysuje się w zbyt różowych barwach. Morderstwo Gwidony na pewno nie ujdzie mu płazem.

– Jemu chętnie dałbym w mordę. Ale skoro to niemożliwe, to bez względu na to, co mi powiesz, humoru mi dziś nie poprawisz. Ale dobrze wiedzieć. Dzięki.

– Założyliśmy też, że Jasina nie miał pojęcia o waszym istnieniu i dowiedział się na krótko przed śmiercią matki.

– Od tego momentu zaczął zabijać tych facetów?

– Dopiero gdy ostatecznie odeszła z jego życia, zdobył się na to, aby wyjść z jej cienia. Klasyka, można by rzec.

– Przeanalizowaliście historię ofiar?

– Wygląda na to, że każdy z sześciu zamordowanych mężczyzn kiedyś miał z nim kontakt. To by się zgadzało z tym, co ci wyjawił. Gwałcili go, gdy był dzieckiem, przy biernej postawie matki. A być może i za jej przyzwoleniem.

– Tak mówił. Kupowali go za butelkę wódki… Kurwa, jasna…

Brudny zamknął oczy i nabrał powietrza w płuca. Choć był zimnym i twardym sukinsynem, który potrafił odgrodzić się od świata szczelnym murem, wydarzenia ostatnich dni przytłoczyły go jak nic do tej pory. Nigdy nie chciał wracać do przeszłości, jakby podświadomie przeczuwał, że historia jego rodziny jest wystarczająco ponura. W najmroczniejszych koszmarach nie podejrzewał jednak, że prawda może być tak okrutna i tragiczna.

– Co do filmu z kamer monitoringu… – kontynuował Czarnecki. – Na nagraniu nie znajdował się Trochan, tylko Jan. Po porwaniu ucharakteryzował się na doktora, aby później próbować wrobić go w morderstwa.

– I jednocześnie zwabić mnie.

– Najwyraźniej taki miał plan, bo o ile Trochana mógł sobie najzwyczajniej w świecie wygooglować, o tyle ty byłeś poza jego zasięgiem. No, prawie…

– A gdy mnie w końcu namierzył, ucharakteryzował się na mnie, aby zwabić Annę Trochan i Oksanę…

– Otóż to. Dlatego ta pierwsza z początku myślała, że to ty wszystko zaplanowałeś i prowadzisz jakąś chorą grę. Wyglądałeś dokładnie jak on. Jota w jotę. Jan wygolił sobie nawet fragment brwi, na której masz bliznę.

– Ech… – Brudny odetchnął głęboko. – Mam dość na dziś. Wybacz, Romek, ale trochę tego sporo, a łeb mnie dodatkowo napierdala, jakby ktoś wbijał mi w czaszkę gwoździe.

– Chciałem tylko, żebyś wiedział. Uznałem, że powinieneś, zanim przyjdzie tu jakiś gnojek z wewnętrznego i zacznie rozpytywać.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Mnie też przyda się trochę odpoczynku.

– Zanim wyjdziesz, Romek. Mam prośbę…

– Mów śmiało.

– Czy możecie przekazać mediom wyniki dochodzenia w jakiś… cywilizowany sposób? Wiesz, co mam na myśli…

– Z uwagi na dobro śledztwa…

– Dzięki, Romek. Od początku wiedziałem, że dobry z ciebie chłop.

– To ja powinienem ci podziękować.

– Dobra, dobra. – Brudny machnął ręką. – Takie pitolenie zostawmy sobie na później. Idź już i daj mi poleżeć. Bez urazy, inspektorze – dodał i puścił do niego oko.

– Do zobaczenia, komisarzu.

– Aha… Jak będziesz wychodzić, to złap jakąś pigułę i powiedz jej, żeby przyniosła tu wiadro środków przeciwbólowych.

– Jasne.

Brudny otworzył oczy i wrócił do rzeczywistości. Na fotelu po drugiej stronie stołu, z butelką piwa w dłoni, wciąż siedziała Zawadzka. Miała zarumienioną twarz, mętne spojrzenie i właśnie sięgała po kolejnego papierosa. Sam wyjął z paczki jednego i przypalił zapalniczką. Zaciągnął się i upił łyk piwa.

– A te koszmary? Wciąż cię nawiedzają? – spytała Zawadzka, wydmuchując dym.

– Odeszły wraz z Janem. Od jego śmierci nie przyśnił mi się ani razu.

– Wiesz, że… no kurczę… – Zawadzka przewróciła oczami.

– Miałaś wątpliwości?

– Nie, nie… no… to znaczy przez chwilę, gdy…

– Gdy naopowiadałem ci o tych snach w samochodzie?

– Przez chwilę, gdy zobaczyłam Jana idącego wałem. Miał nawet taki sam płaszcz i…

– I pomyślałaś, że jestem jakimś popapranym schizofrenikiem?

– Jezuu… Przepraszam cię, Igor. To był tylko ułamek sekundy. Głupia myśl. Nigdy nie miałeś podobnych?

Brudny uśmiechnął się głupio i znów upił łyk piwa. Spojrzał w stronę okna, za którym duże płatki śniegu leniwie opadały na skąpane w mroku podwórze starej kamienicy. Zaciągnął się papierosem.

– Wyluzuj, Julka. W pewnym momencie sam się nad tym zastanawiałem. Nie byłem niczego pewny. Nawet tego, czy czasem nocami nie budzę się jako jakiś świr i nie kroję tych ludzi.

– Poważnie?

– Poważnie.

– To dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Daj spokój, Julka. Tylko pogrążyłbym się w twoich oczach.

– Na pewno nie.

– „Ma rogi i spojrzeniem pali krzyże”. Pamiętasz swoje słowa?

– To nie tak miało zabrzmieć.

– Dobra już, dobra. Najważniejsze, że koszmary odeszły. Zresztą nie tylko ja się od nich uwolniłem, bo Filip też.

– Tyle lat człowiek twardo stąpa po ziemi i nigdy by nie pomyślał, że takie rzeczy są możliwe…

– Chyba dałem tej rudej Pałce temat do pracy doktorskiej – prychnął.

– Mówisz o tej profilerce?

– Koniecznie chciała ze mną pogadać, to pomyślałem, że w sumie czemu nie. Samego mnie to intrygowało, bo długo myślałem, że to jakaś trauma z sierocińca. Zrozumiałem wtedy na moście, a gdy później dowiedziałem się, że podobne sny miał Filip, to nudząc się w tym szpitalu, zacząłem grzebać w sieci i odnalazłem wiele artykułów na temat współodczuwania bliźniąt jednojajowych. Potem pogadałem z Pałką, która powiedziała, że rzeczywiście w psychologii istnieją potwierdzone, choć nie

do końca zbadane, przykłady czegoś takiego. Wiesz… dajmy na to, że jeden z takich bliźniaków złamał nogę, to drugiemu ta sama puchła i go bolała, nawet gdy nie wiedział o tym, co spotkało brata. Albo gdy jeden miał wypadek, to drugi od razu odczuwał niepokój i wiedział, że wydarzyła się jakaś tragedia. Co najlepsze, odległość też nie grała roli, bo znane są przypadki, że takie rodzeństwo było oddalone o tysiące kilometrów.

– Niepojęte…

– No… To wciąż nie zostało jednoznacznie zbadane, ale istnieją dowody, że takie współodczuwanie funkcjonuje. Gdybym wiedział… gdybym, kurwa, wiedział…

– Daj spokój. Nie mogłeś wiedzieć. Zresztą byłeś dzieckiem. I tak nie mógłbyś nic z tym zrobić.

Przez ostatnie tygodnie Brudny codziennie myślał o tym, co spotkało Jana Jasinę. Jak cierpiał, jaki był w tym wszystkim osamotniony, jak musiał się czuć przywiązany łańcuchem jak pies, wykorzystywany, poniżany, zdradzony przez kobietę, która powinna otoczyć go opieką i zapewnić mu bezpieczeństwo. Z odrazą przypominał sobie, że ta kobieta była też jego matką i równie dobrze mógł znaleźć się na miejscu brata. Nie mógł opędzić się od tych myśli, czasem kompletnie go przytłaczały i tylko obecność Oksany pozwalała mu zebrać się w sobie i wstać z łóżka. To na niej skupił całą swoją uwagę, dzięki czemu był w stanie jakoś przetrwać najtrudniejsze chwile. I choć wciąż nie odciął się zupełnie od ponurych myśli, remedium na sytuację, w której się znalazł, widział w powrocie do pracy. To dlatego nie chciał przedłużać chorobowego. Fizycznie czuł się już całkiem dobrze i choć bark i pachwina wciąż mu trochę doskwierały, mógł zacząć przynajmniej od roboty papierkowej. W jego mniemaniu to właśnie praca – pomijając nieocenioną rolę Oksany – mogła najszybciej przywrócić go do dobrej formy.

Brudny dokończył piwo i zerknął na wyświetlacz dekodera. Czerwone cyferki wskazywały czwartą dwanaście. Julka wychwyciła spojrzenie przyjaciela i także opróżniła swoją butelkę.

– Dobrze było znów spędzić z tobą trochę czasu, Igor – rzekła, powoli podnosząc się z fotela.

Brudny, wstając, dostrzegł, że przyjaciółka jest lekko zmieszana. Nie był głupi i wiedział, że pragnęłaby więcej niż tylko serdecznego, przyjacielskiego uścisku i poklepania po plecach. Wiedział też, że nie może jej tego ofiarować. Za drzwiami sypialni znajdowała się ta, która – nawet nie wiedział kiedy – skradła jego serce.

Komisarz zachwiał się lekko i zrobił to, co w tej chwili powinien zrobić. Wyciągnął ręce i objął przyjaciółkę. Uściskał mocno, po męsku, nie dając nadziei na odczytanie jego intencji w jakikolwiek inny sposób. Zawadzka odwzajemniła gest, wtulając się w jego pierś, ale nie przekroczyła umownej granicy.

– Dziękuję, Julka. Za to, że uratowałaś mi życie, za to, że jesteś tak zajebistą przyjaciółką. Za to, że po prostu jesteś.

– Nie ma za co, Igor. Powiedzmy, że jesteśmy kwita. – Zawadzka odkleiła się od piersi Brudnego i puściła do niego oko.

– Widzimy się na posterunku?

– Pewnie.

Oboje poklepali się jeszcze po plecach, po czym Zawadzka ruszyła do drzwi. Zarzuciła na siebie skórzaną kurtkę z wełniastym kapturem i nie odwracając się, opuściła mieszkanie przyjaciela. Brudny przez chwilę wsłuchiwał się w odgłos jej kroków, po czym lekko chwiejnym krokiem poszedł do łazienki. Kilkanaście minut później usnął na wersalce.

W tym samym czasie w jednym z podzielonogórskich lasów umorusany i skrajnie wychudzony kundel walczył o życie. Choć był brzydki i nie miał

oka, dysponował doskonałym węchem. I właśnie złapał trop. Gdy Brudny przewracał się na drugi bok, kundel właśnie zaczynał zachłannie kopać łapami zmrożoną ziemię przy jednej z opuszczonych altanek. Wiedziony instynktem przetrwania nie miał pojęcia, że już wkrótce postawi na nogi całą zielonogórską policję.

Gdy w końcu udało mu się osiągnąć cel, z głębi lasu dotarł do niego sygnał, który sprawił, że cały się zjeżył. Sfora była blisko. A księżyc świecił w pełni.

Krótko później, z łupem w zębach, pobiegł w kierunku pobliskiej wsi.

Rozdział 59

Romuald Czarnecki leżał wygodnie na kanapie i popijał ciepłą herbatę z miodem i cytryną. Do domu siostrzeńca, który mieścił się w centrum Kołobrzegu, dotarł z żoną dwa dni wcześniej, ale zaraz po przyjeździe dostał kataru i rozbolała go głowa. Nie przejął się specjalnie objawami, bo nad morzem zwykle mocniej wiało, a on nie należał do osób o przesadnie silnej odporności. Ale pomimo srogiej zimy to właśnie tutaj czuł się najlepiej. Tu mógł odpocząć i oderwać się od pracy oraz wszystkich problemów, jakie w ostatnim czasie wygenerowała. Urlop mu się należał jak psu buda, nawet jeśli przyznany po wcześniejszej naganie.

Nie chciał o tym myśleć. Po raz pierwszy od lat było mu wszystko jedno. Potrzebował świętego spokoju.

Dochodziła dwudziesta pierwsza i w telewizji właśnie rozpoczęli się *Milionerzy*. Lubił ten program, w którym człowiek musiał popisać się nie tylko obszerną wiedzą, ale także sprytem, taktyką i umiejętnością analizowania faktów. Czasem, nawet nie znając odpowiedzi, dało się wybrnąć z sytuacji, wystarczyło jedynie wychwycić przesłanki sugerujące tę prawidłową. Kilkakrotnie zastanawiał się nad tym, czy sam nie powinien spróbować szczęścia, ale zwykle tłumaczył sobie, że nie będzie na stare lata pajacował. Niemniej lubił program oglądać i gdy tylko Hubert Urbański witał się z widzami, a on akurat miał wolną chwilę, kilkadziesiąt minut spędzał przed telewizorem.

– Wziąłeś leki? – usłyszał głos żony, która właśnie szykowała w kuchni kolację.

– Wezmę po jedzeniu. Ale już czuję się lepiej. Został mi tylko ten dziadowski katar.

– W twoim wieku to i kataru nie można lekceważyć. Doskonale o tym wiesz, Romuś.

Czarnecki codziennie dziękował Bogu, że ma tak wspaniałą żonę, bo należał do tego niewielkiego procentu ludzi zajmujących się ściganiem przestępców, którzy od początku do końca dzielili życie z jedną i tą samą kobietą. Podziwiał ją za to, że przez tyle lat była w stanie znosić ciągły stres związany z szeregiem uciążliwych i dla przeciętnego człowieka prawie niemożliwych do udźwignięcia utrudnień, jakie towarzyszyły pracy inspektora policji. Nieprzewidziane wyjazdy służbowe, odwoływane wakacje, samotne noce, humory męża związane z tym, czego doświadczył podczas oględzin zmasakrowanych zwłok czy rozmów z psychopatami – to wszystko musiała znosić całymi latami, mimo to pani Czarnecka zawsze przy nim trwała i darzyła bezwarunkową miłością.

Uśmiechnął się do niej, gdy chwilę później przyszła i położyła na stoliku talerz z kanapkami. Czarnecki wynurzył się spod koca, spuścił nogi na podłogę i w milczeniu zaczął jeść. Gdy zaspokoił pierwszy głód i wypił herbatę, rozłożył się wygodniej na kanapie i wziął żonę za rękę. Jadwiga odwzajemniła gest i oparła głowę na ramieniu męża.

– Cieszę się, że w końcu mamy trochę czasu dla siebie – szepnęła.

– Ja też, kochanie. Bardzo mi tego ostatnio brakowało.

– Aż trudno uwierzyć, że będziesz miał wolny cały grudzień. Uszczypnij mnie i powiedz, że to prawda.

Inspektor delikatnie uszczypnął żonę pod żebrami. Gdy tylko to zrobił, zakręciło go w nosie i zasłaniając usta przedramieniem, dwukrotnie kichnął.

– Prawda! – rzekł i oboje szczerze się roześmiali.

– Wiesz, że Jarek i Ilona przyjadą już tydzień przed świętami?

– Mówisz poważnie, Jadziu?

– To miała być niespodzianka, ale nie mogłam się powstrzymać. Nie pamiętam, abyśmy w ostatnich latach spędzili z dziećmi więcej niż dwa dni. Tylko ta ich kariera i kariera. Dlatego, gdy dowiedziałam się, że będziesz miał cały grudzień wolny, pomyślałam, że z nimi porozmawiam.

– I udało ci się ich namówić?

– W końcu jestem ich matką, prawda?

– To naprawdę fantastyczna wiadomość. Ale… – Czarnecki spojrzał na zegarek – …to już za kilka dni.

– Ilona ma lot pojutrze, a Jarek dotrze dwa dni później.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać. Mówiłem, że cię kocham?

– Noo… – Jadwiga podniosła głowę z ramienia męża i odgarnęła opadające na twarz włosy. – Możesz przypomnieć…

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham, mężu.

Delikatnie pocałowała inspektora w szyję i z powrotem ułożyła głowę na jego ramieniu. Obejrzeli do końca *Milionerów*, zjedli kanapki, a Czarnecki wyciągnął z szafki butelkę wina. Gdy wystarczająco się odprężyli, poszli do sypialni i kochali się.

Kiedy leżeli obok siebie, delektując się ciszą i spokojem, w salonie zadzwonił telefon. Czarnecki westchnął głęboko i już chciał się podnieść, gdy Jadwiga położyła mu rękę na piersi.

– Nie wstawaj. To może poczekać do jutra – szepnęła.

– Spokojnie, Jadziu. Wyłączyłem służbowy. Zresztą powiedziałem komendantowi, że lecę na urlop na Seszele.

– Tym bardziej może poczekać.

Sygnał urwał się tylko na chwilę, aby po kilku sekundach zabrzmieć jeszcze bardziej natarczywie. Najwyraźniej to była sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Odbiorę. Może dzwoni Jarek lub Ilona? Może coś się stało? – zasugerował, choć wcale nie pomyślał o dzieciach.

– Dobrze. Tylko wracaj szybko.

Czarnecki podniósł się z łóżka, włożył kapcie i skierował się do salonu. Już w lustrze dostrzegł poświatę wibrującego na stole smartfona. Wtedy przeszedł go nieprzyjemny dreszcz. Przystanął, aby się z niego otrząsnąć, po czym chwycił komórkę. To był podinspektor Grzegorz Zimny.

– Grzegorz… Mam nadzieję, że masz coś na swoje usprawiedliwienie, bo jak doskonale wiesz, jestem właśnie na urlopie, a dokładnie na Seszelach i….

– Nie żartuj, Romek. Ty i Seszele. Z naszej lichej pensji…

– Dobrze. Nie mędrkuj. Mów, o co chodzi.

– Wiesz, że nigdy bym cię nie niepokoił, gdybym nie musiał, ale znaleźliśmy coś, o czym musisz wiedzieć.

– Jestem na urlopie. Komendant doskonale o tym wie. I wybacz, ale nie interesuje mnie nic, co nie jest związane z moją żoną, gorącą herbatą i ciepłym kocem.

– Uwierz mi, że powinieneś to wiedzieć…

Czarnecki doskonale zdawał sobie sprawę, że Zimny to konkretny gość i nie zawracałby mu głowy pierdołami. Czy tego chciał, czy nie, musiał wysłuchać, co jego podwładny ma do powiedzenia.

– Dobrze. Mów, Grzegorz.

– Dwa dni temu na komendę zgłosił się niejaki Zygmunt Krakus, który przyniósł w worku na śmieci ludzkie przedramię. Okazało się, że należało

do kobiety między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, a tkanka jeszcze nie zdążyła się do końca rozłożyć.

– Czyli świeża sprawa. Pewnie morderstwo. Rozumiem, nawet dość makabryczna historia, ale czy naprawdę musiałeś dzwonić z tym do mnie?

– Nie powiedziałem ci wszystkiego.

– Grzegorz…

– Według relacji tego faceta ramię pod jego płotem obgryzał jakiś kundel. I w sumie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że… – Zimny zawiesił głos, a Czarnecki usłyszał, jak jego podwładny nerwowo przełknął ślinę.

– Że co?

– Że na kościach są ślady ludzkich zębów…

Czarnecki poczuł, jak w jednej chwili zaciska mu się żołądek. Wzdrygnął się i nerwowo przygryzł dolną wargę.

– Ktoś jeszcze o tym wie? – spytał po chwili.

– Na razie tylko ja i patomorfolog.

– Krzywicki?

– Tak.

– I niech tak na razie zostanie. Grzegorz…

– Jeszcze nie skończyłem…

– Mów więc. I tak już zepsułeś mi humor.

– Wczoraj wieczorem dostaliśmy dwa zgłoszenia z osiedla Słowackiego, że zaobserwowano coś podejrzanego.

– Co, Grzegorz? Co?

– No właśnie do końca nie wiadomo. Najpierw na ulicy Nowej, a następnie Pileckiego dostrzeżono jakąś postać.

– Jakąś postać? Mów jaśniej, bo zachowujesz się dziwnie.

– Bo nie wiem, Romek, jak mam ci to powiedzieć…

– Co ci ludzie zeznali, do jasnej cholery?

– Powiedzieli, że widzieli wilkołaka.

Czarnecki zamknął oczy i zazgrzytał zębami. Dopiero co zakończyło się jedno z najtrudniejszych i najbardziej szokujących śledztw w historii polskiej kryminalistyki, a szykowała się sprawa, która już na starcie mogła rywalizować z wyczynami Jana Jasiny.

– Wilkołaki nie istnieją, Grzegorz. – Czarnecki spróbował racjonalnie podejść do zaistniałej sytuacji.

– Też to wiem, ale nie mogliśmy ich całkiem zignorować, gdy dziś nad ranem otrzymaliśmy zgłoszenie o zaginięciu jednej z zakonnic.

– Zakonnic?

– Siostry Teresy z parafii Podwyższenia Krzyża Świętego. Tego wieczora wyszła na spacer i już nie wróciła.

– Gdzie ta parafia?

– Na osiedlu Słowackiego w Zielonej Górze.

Czarnecki pomyślał, że nici z rodzinnego spotkania. Gdy się rozłączał, zastanawiał się, co powie żonie. Pewny był tylko jednego. On znów ją zawiedzie, a ona znów mu wybaczy.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie moja ukochana rodzina i przyjaciele, którzy byli nie tylko inspiracją, ale także pomagali i wspierali mnie w chwilach zwątpienia.

Bardzo pragnę podziękować zwłaszcza panu Romanowi Czarneckiemu, który prawie od początku mojej przygody z pisaniem wspiera mnie i pomaga w sprawach organizacyjnych i łączonych z szeroko pojętym marketingiem. W przypadku *Piętna* stał się też inspiracją do stworzenia jednego z głównych bohaterów, gdyż jako emerytowany inspektor wydziału dochodzeniowo-śledczego okazał się niewyczerpanym źródłem informacji, dzięki którym – mam nadzieję – udało mi się oddać realia pracy komendy przy prowadzeniu tak skomplikowanych spraw. Jego wskazówki w wielu sytuacjach były dla mnie absolutnie bezcenne, za co jestem panu, Panie Romanie, dozgonnie wdzięczny.

Dziękuję też przyjacielowi Tomaszowi Trochanowskiemu, który podczas jednego ze spotkań przy piwie zasugerował, że śmiesznie byłoby, gdybym kiedyś umieścił go w książce. Cóż… Tomek, dostałeś to, czego chciałeś, i mam nadzieję, że nie tylko w twojej klinice, ale także wśród rodziny i przyjaciół będzie o czym rozmawiać i się pośmiać.

Dziękuję również dwójce fantastycznych ludzi, doktorowi Robertowi Krzywulskiemu oraz jego asystentce Izabeli Nowak, którzy w bardzo przystępny sposób i z niebywałym zaangażowaniem przybliżyli mi realia pracy w prosektorium, dzięki czemu na własne oczy mogłem zobaczyć,

a co za tym idzie – w najdrobniejszych detalach odwzorować proces przeprowadzenia sekcji zwłok. Robercie, Izo – bardzo Wam dziękuję, bo bez Was moja powieść z pewnością wiele by straciła.

Tradycyjnie dziękuję też moim pierwszym recenzentom: rodzicom oraz serdecznym przyjaciołom Danielowi Stachurskiemu, Krzysztofowi Figurze i Grzegorzowi Sikorze, którzy szczerze ocenili *Piętno*, nie szczędząc krytyki, ale doceniając też jego walory i motywując do wytężonej pracy przy kolejnych tytułach.

Na koniec chciałbym bardzo serdecznie podziękować Wydawnictwu Czarna Owca, które we mnie uwierzyło i zdecydowało dać szansę, abym mógł wypłynąć na szersze wody. W szczególności dziękuję niesamowitemu człowiekowi i wspaniałemu pisarzowi Vincentowi V. Severskiemu, którego wsparcie było absolutnie bezcenne, oraz „prowadzącemu" moją powieść Bartłomiejowi Nawrockiemu, który od początku do końca wykazał się najwyższym profesjonalizmem i chęcią do współpracy.

Dziękuję też wszystkim, których nie wymieniłem z imienia i nazwiska, a którzy przyczynili się do powstania *Piętna* w jego ostatecznej wersji.

Na koniec chciałbym podziękować Tobie, Drogi Czytelniku, że zdecydowałeś się sięgnąć po *Piętno* i dobrnąć do końca tej historii. Mam nadzieję, że powieść odkładasz usatysfakcjonowany.

Pozdrawiam serdecznie,

Przemysław Piotrowski

OD AUTORA

Przy pisaniu *Piętna* zależało mi na realizmie, dlatego prawie wszystkie miejsca i instytucje, które pojawiają się w książce, istnieją – począwszy od Komendy Miejskiej w Zielonej Górze, a na moście kolejowym w okolicy Nietkowa skończywszy. Na potrzeby fabuły wymyślone zostały tylko trzy: placówka opiekuńczo-wychowawcza sióstr hieronimek w Zaborze, dom księży emerytów „Spokój Ducha” w nieistniejącym Szkopułowie oraz stara chlewnia w Nietkowie. Pozostałe miejscowości oraz lokalizacje starałem się oddać jak najbardziej realistycznie, aby Czytelnicy, mieszkający w mojej rodzinnej Zielonej Górze i okolicach, mogli w trakcie czytania poczuć nieco silniejszy dreszczyk emocji. Co do bohaterów zaś to wszyscy, którzy pojawiają się na stronach powieści, są fikcyjni (poza bohaterami luźno zainspirowanymi osobami wspomnianymi w podziękowaniach). Wszelkie podobieństwa do prawdziwych postaci i zdarzeń są przypadkowe.

Przypisy końcowe

1. List św. Jakuba, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum. [wróć]